

A man with a beard and intense gaze, wearing a dark hoodie, is the central figure. He has a large, dark, tribal-style tattoo on his left chest. The background is a blurred, high-angle view of a city at night, with lights from buildings and streets visible. The overall mood is gritty and dramatic.

# OBIĘCAJ, *że wrócisz*

Nawet najlepszy plan zemsty  
może runąć, gdy niespodziewanie  
zderzy się z miłością.

*freedisc--Jackalus*

BEATA MAJEWSKA

BEATA MAJEWSKA

OBIECAJ,  
*że wrócisz*





Redakcja: Justyna Techmańska  
Korekta: Dorota Piekarska, Aneta Szeliga  
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © Beata Majewska 2021  
Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: Adobe Stock © konradbak; Unsplash © Gerrit Vermeulen  
Zdjęcie autorki na okładce: Sylwia Lidak Fotografia

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-7686-958-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book  
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

# SPIIS TREŚCI

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Epilog

## Przypisy

# Prolog

Najpierw był telefon.

Wówczas mało kto miał telefon komórkowy, chociaż w dwa tysiące trzecim roku były już dosyć powszechne. W rodzinie Goczy telefon komórkowy nosił przy sobie tylko tata. Pierwszy miał wysuwaną antenkę, należało ją wyciągnąć, a dopiero potem można było wybrać numer. Drugi aparat, który kupił tata, był nowocześniejszy – ciemnobordowy Ericsson R380, bez klapki, z anteną wystającą u góry. Gocza chwycił za tę antenkę i udawał, że gra w tenisa stołowego, bo telefon przypominał kształtem raketkę.

Niestety tata nie pozwalał mu zabierać telefonu do szkoły, a szkoda. Może wówczas kumple przychylniej by na niego spojrzeli, przestali się nabijać i dokuczać, że jest Ruskiem, a jego stary to muzułmanin. Nie zliczył, ile razy im tłumaczył, że tata jest Gruzinem, że Gruzini nie znoszą Rosjan, a co do religii, jego tata był takim samym chrześcijaninem jak Polacy. Wprawdzie rodzina ojca Goczy zamieszkiwała południowy rejon Abchazji, ale z dziada pradziada wyznawali prawosławie, nie islam. Niestety, nie docierało – nabijali się nieustannie, jak nie z taty, który czasami przyjeżdżał pod szkołę, żeby podrzucić go do domu, to z samochodu ojca, a nawet z imienia, które nosił. Nie pamiętał już, kto wymyślił tekst: „Gocza wypadł z krocza” – ten przeklęty wierszyk towarzyszył mu zawsze.

Telefon był jeden, najbardziej potrzebny tacie, wiadomo – tata był taksówkarzem, musiał mieć przy sobie komórkę. Sąsiad z mieszkania na parterze, pan Stasiak, zrobił tacie małe wizytówki, wydrukował je na grubszym papierze, a Gocza starannie porozcinał arkusze na równe prostokąty. Na wizytówce widniało imię i nazwisko taty – Eduard Nemsadze – oraz numer telefonu komórkowego i grzecznościowo numer telefonu stacjonarnego państwa Mocnych, sąsiadów rodziców, którzy mieszkali po przeciwnej stronie korytarza. Z tyłu tata kazał wydrukować kilka punktów: „transport osobowy –



kursy dzienne i nocne”, „przewóz zwierząt domowych” i jako ostatni: „przeprowadzki”. To było śmieszne, zważywszy na to, że ojciec jeździł starym volkswagenem golfem. Planował zakup czegoś większego, marzył mu się dostawczak, mercedes sprinter. „Wtedy będzie jak znalazł” – mówił o wizytówce. „Trzeba patrzeć przyszłościowo” – dopowiadała mama.

Tego dnia Gocza miał nigdy nie zapomnieć. A dokładnie – nocy. Już spał, była sobota, tata był w pracy, bo na nocnych kursach zarabiał najlepiej. Wprawdzie zazwyczaj woził pijanych ludzi, często nazajutrz Gocza wraz z mamą musieli sprzątać rzygi z tylnej kanapy albo oparć foteli, ale i tak się opłacało. Dyskoteki to było zbawienie – nikt nie patrzył, czy tata ma odpowiednie zezwolenia, by jeździć na taksówce, czy nie. Pijany klient nie czepiał się ojca, że ten kiepsko mówi po polsku, drzemał z tyłu albo śpiewał i się wygłupiał. Tata nieraz opowiadał, co mu się przytrafiło. Gocza sikał ze śmiechu, gdy tata przy późnym niedzielnym śniadaniu zdradzał przebieg co zabawniejszych kursów.

Obudził go płacz. Najpierw usiadł i wyteżył słuch. To mama płakała. Nie miał wątpliwości, bo ściany w ich bloku zrobiono z tektury, jak mówił często tata. Kiedyś nawet spróbował wydłubać dziurę w ścianie dzielącej duży pokój – tam spali rodzice – od jego klitki. Nie udało się przebić na wylot, ale Gocza zdołał wydrążyć scyzorykiem mały otwór pod tapetą.

Wstał i poszedł tam po cichu, nie zapalając po drodze światła, ani u siebie, ani w przedpokoju. Miał już dziesięć lat, rodzice nie pozwalali mu spać ze sobą, ale mimo to czasami wlaźli im do łóżka, układał się między nimi i usypiał, ogrzany ich oddechami.

– Mamuś... – zająknął się, stając w progu pokoju. Mama siedziała na wersalce, miała na sobie szlafrok. Jej włosy, zawsze schludnie ułożone i podpięte w koka z tyłu głowy, smętnie zwisały przy twarzy. – Mamuś? – Zebrał się na odwagę, podszedł i usiadł przy niej. – Coś cię boli?

Drgnęła. Dopiero teraz go zauważyła, obróciła głowę i spojrzała na niego. Z przerażeniem patrzył, jak krztusi się łzami. Próbuje coś powiedzieć, otwiera usta, nabiera powietrza, ale nic nie mówi. Jakby straciła tę zdolność. Chwycił ją za rękę i ścisnął. Był przerażony, jeszcze nigdy nie widział, żeby mama tak strasznie płakała.



– Coś cię boli? – Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Mama nigdy nie płakała. No prawie nigdy. Tylko kilka razy: na pogrzebie babci Józi, jej mamy, potem gdy tata rozwalił samochód i musiał dużo zapłacić za naprawę, i kiedyś, gdy się pokłóciła z wychowawczynią Goczy. Zmienił wtedy szkołę, ale to było dawno, zaraz na początku, poszedł wtedy do zerówki i dzieci mu dokuczały, a jeden chłopak, miał na imię Adam, prawie codziennie go bił.

– Synku... – zachrypiała.

– Mamuś, dać ci coś? Chcesz picie? – zaproponował. – Przyniosę.

Zerwał się i pobiegł do kuchni. Szybko nalał wody z czajnika do szklanki, wziął kosmetyczkę z żółtej ceraty – mama trzymała tam różne tabletki – i wrócił do pokoju. Nic się nie zmieniło: mama siedziała, dociskając do twarzy dużą białą kulkę, utoczoną z chusteczek higienicznych.

– Masz, wypij. – Wcisnął jej szklankę do ręki. – A tu są lekarstwa.

Posłuchała. Wypiła kilka łyków, spojrzała na niego i znowu to się stało: jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Jak my sobie poradzimy? Boże, co teraz będzie... – łkała.

– Zadzwoń do taty – powiedział stanowczym tonem. Czuł, że sam sobie nie poradzi, że sytuacja go przerosła.

Ale te słowa jeszcze pogorszyły sytuację. Nie czekał na dalszy rozwój wypadków, w jednej chwili znalazł się na klatce schodowej. Zastukał głośno do drzwi państwa Mocnych, a po krótkim namyśle nacisnął dzwonek. Był pewien, że sąsiedzi śpią. Na dodatek pan Mocny był stary i kiepsko słyszał, z kolei jego żona, pani Irenka, to już w ogóle lipa, bo nosiła aparat słuchowy. Ku jego zdumieniu, drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Zobaczył panią Irenkę, miała na sobie pikowany szlafrok, a na głowie wałki. Co dziwne, ona też była zapłakana.

Aż go wmurowało, bo wyglądała prawie tak samo jak mama: czerwona na buzi, z chusteczką przy nosie.

– Proszę pani, bo moja mama...

– Wiem. – Spojrzała na drzwi do ich mieszkania.

– Kto tam przyszedł? – usłyszał głośne zapytanie, a po chwili w głębi korytarza pojawił się pan Mocny. – A, to ty, chłopcze.

Spojrzeli po sobie. Gocza wyczuł, że coś się stało, wystarczyło na nich popatrzeć, ale jeszcze nie dopuszczał do siebie żadnych myśli.

Po prostu wiedział, że coś się stało. Coś złego.

– Idź do niej, Irenko – odezwał się pan Mocny. – Ja z nim pogadam. – Podeszedł i przykucnął przed Goczą. – Chodź, chłopaku, trochę sobie pogadamy, a żona pójdzie do mamy, dobrze?

Pokiwał głową.

Sąsiad zaprowadził go do dużego pokoju. Przyniósł z kuchni butelkę z jakimś pysznym gazowanym napojem i nalał.

– Bo widzisz... – zaczął – ...przed chwilą zadzwonił do nas... zadzwonił jakiś facet, kolega twojego taty. Mówił, że... – Chrząknął. Ku zaskoczeniu Goczy, podniósł jego szklanke i opróżnił ją do dna. – Bo widzisz, Gocza, chłopcze... – Znowu uciął. Potarł policzki, potrząsnął głową i w końcu cicho rzekł: – Twój tata nie żyje.

„Twój tata nie żyje” – powtórzył w głowie. „Tata nie żyje” – skrócił informację, ale nadal nie dotarł do niego jej sens. „Jak to nie żyje?” – zdumiał się.

– Jak to nie żyje? – wypowiedział na głos. – Przecież tata jest w pracy. Pojechał na nocne jazdy. Kto do pana dzwonił? Tata? – upewnił się, bo to, co przed chwilą usłyszał, było kompletnie bez sensu. – Mój tata żyje. Jest w pracy.

– Dzwonił jakiś facet, jego znajomy.

– Kto?

– Nie zapamiętałem.

– To nieprawda. – Gocza wstał i ze złością zacisnął pięści. – To nieprawda, a pan kłamie. Kłamie! – Patrzył prosto w oczy sąsiada. – Pan jest głuchy i stary. Nic pan nie słyszał!

Wypadł z mieszkania Mocnych, chciał pobiec do mamy, wyrzucić stamtąd tę wstrętną panią Irenkę, to właśnie ona musiała nagadać mamie bzdur. Otworzył drzwi i wtedy wpadł wprost na czyjeś szerokie plecy. W pierwszej chwili myślał, że to tata! Że właśnie wrócił do domu, żeby pomóc mamie i nakrzyczeć na panią Irenkę, bo razem z mężem ich okłamali. Fala ulgi prawie go udusiła. Już miał krzyknąć: „Tata!”, prawie to zrobił, bo ten ktoś miał czarną kurtkę, taką samą jak nosił tata, ale to był ktoś obcy. Dopiero po chwili zrozumiał, że to policjant.

– Co pan tu robi? – wychrypiał, ale policjant nie zdążył mu odpowiedzieć, bo w drzwiach dużego pokoju pokazała się sąsiadka. – Co tu się dzieje? – Nie mógł nad sobą zapanować. Dolna warga

trzęsła się jak głupia, więc ją przygryzł. Nie pomogło, w gardle rosła gęstwa, gniotła coraz mocniej.

Dotknął policzka i spojrzał na swoje palce. Były mokre. „Ja płaczę?” – nie mógł uwierzyć, że to się stało. Nie lubił płakać. Zawsze się pilnował, żeby nie płakać jak baba. A już przy chłopakach? Przy nich nigdy nie płakał, nawet gdy któryś go walnął, czy popchnął na asfalt, jak ostatnio Filip z czwartej a. Rozwalił wtedy oba kolana, zwichnął nadgarstek w lewej ręce, bo prawą osłonił twarz, ale nie płakał. Nie dał satysfakcji temu gnojnikowi.

– Gocza! – dobiegł go krzyk mamy. Rozpaczliwy, głośny. Taki, że miał go zapamiętać do końca życia.

Popędził tam. Do niej. Wtulił się mocno.

Zrozumiał.

Tylko ona mu została. A on jej.

# Rozdział 1

Ojciec zawsze miał gest, ten prawdziwy ojciec, rzecz jasna, czyli wujek Wasyl. Stać go było na wszystko, inna kwestia, że nie zawsze był skłonny sypnąć groszem, ale na ślub Wierki? O tak, poświęcił małą fortunę, żeby ślub oraz wesele Wiery i Nikity odbiły się głośnym echem w towarzystwie. Ale nawet najbardziej wystawna uroczystość szybko się kończy, tak samo podróż poślubna i oglądanie prezentów. Minęło dziesięć długich miesięcy, część z tych prezentów nadal leżała w jednym z pokoiów gościnnych wielkiej rezydencji Doneckich, kiedy Wierka postanowiła uciec.

Tak po prostu.

To nie było szczególnie trudne. Jej mąż, a zarazem przyrodni brat, miał ją w dupie i vice versa: Wierka nigdy go nie lubiła. „Nadęty bubek, kawał chama i prostaka” – nie miała dobrego zdania o Nikicie. Zresztą nikogo z rodzeństwa nie znosiła, ani Nikity, ani Katii – wredna pinda, czepia się wszystkiego przy byle okazji – ani najmłodszego z ich grona, czyli Kostka. Tego smarkacza nie tolerowała od pieluch, był okropny, wrzeszczał całymi dniami, a tata zamiast zajmować się biznesem, kompletnie oszalał na jego punkcie. Zupełnie jakby Kostia był jego prawdziwym synem.

Żałosna sytuacja, przecież wszyscy wiedzieli, że tata nie może mieć dzieci, to znaczy wszyscy zainteresowani, zwłaszcza wuj Wasyl. Ech, te wszystkie pieprzone rodzinne sekrety potrafiły przyprawić o ból głowy. Wierka miała dosyć, chciała zwać, zapomnieć o tej walniętej rodzinie, o obu ojcach: Wasylu, który ją spłodził, i Olegu, który ją wychował, a teraz przehandlował za święty spokój, o matce, rodzeństwie i każdym, kto pracował na rzecz klanu jej taty i Doneckich.

Dość.

Oczywiście liczyła się z tym, że będą jej szukać. Bynajmniej nie z tęsknoty, bo kto miałby tęsknić za Wierką? Mama? Śmiechu warte. Pod koniec ubiegłych wakacji, kiedy Wiera dowiedziała się, jaki plan

mają wuj Wasyl i tata, popędziła do matki na skargę. Powiedziała, a raczej wykrzyczała: „Nie wyjdę za własnego brata, jesteście pojebani!!! To obrzydliwe!”. A co na to jej matka? Załamała ręce, zrobiła cierpienniczą minę, stęknęła, że biedny Oleg jest taki chory i nie wolno przyprawiać mu trosk. Ostatecznie Wierka wzięła ślub z Nikitą, a teraz chciała pokazać całemu światu, że ona też ma wolną wolę, jakieś plany i pomysły.

Nie od razu się udało. Najpierw podpytała przyjaciółki, czy jej pomogą, ale to nie miało sensu. W tym świecie zbyt dużo było wzajemnych powiązań. Pociągnąłeś za jeden sznureczek, a na końcach pięciu innych wybrzmiały dzwonki. To było z góry skazane na niepowodzenie. Kilka dziewczyn, z którymi się przyjaźniła i była bliżej: Olena, Lubow i Anna, tkwiły w podobnym układzie: były córkami ludzi, którzy się znali. Po prostu. Wystarczyło powiedzieć „oni się znają” i już wiadomo, o co chodziło. O powiązania, o zależności, o miejsce w tej wielkiej maszynie. Kto chciałby nadstawiać karku za Wierkę? Narazić się jej teściowi, wielkiemu Wasylowi Doneckiemu? On był jak król. Wprawdzie nie tylko Bolivar – taką ksywkę nosił wuj Wasyl – trząsł gangsterskim światkiem w Rosji, miał wielu podobnych sobie kolegów, którzy kierowali wielkimi organizacjami, lecz bez wątplenia był kimś, z kim wszyscy się liczyli.

Najciemniej pod latarnią, kto nie zna tego przysłowia? Wierka wynajęła małe mieszkanie na jednym ze strzeżonych osiedli w Moskwie i tam przesiedziała pierwszy miesiąc. Nikt nie zwrócił uwagi na jej nazwisko, nikt nie spytał, co takiego zamierza robić ta samotna młoda dziewczyna i dlaczego nie chce żadnej umowy. Nieważne. Minął miesiąc, skończył się wynajem, a Wierce znudziła się samotność w czterech ścianach. Rozważała powrót na łono rodziny, przecież mogła wrócić do Nikity, powiedzieć, że potrzebowała dystansu i samotności. Inna rzecz, że Niki nie zdążył zauważyć jej zniknięcia. Nie dzwonił, nie szukał jej, nic, natomiast tata owszem – szukał, ale co mógł zrobić? Był umierający, nieustannie naszpikowany lekami przeciwbólowymi. Co do wuja Wasyla, ten zawsze stanowił zagadkę. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak postąpi, a już na pewno nie ona, córka z nieprawego łóża.

O tym, że wuj Wasyl zauważył jej zniknięcie, dowiedziała się od Idy, jedynej zaufanej osoby, która mieszkała w domu rodzinnym Wierki. Ida zawsze ją lubiła, może nawet coś więcej. Miała dwadzieścia pięć lat i była lesbijką. Niestety, Wierki nie kręciły takie klimaty, ale korzystała z dobroci serca Idy, jej zafascynowania i pełnego oddania. Czemu nie? W końcu Ida dostawała kasę za swoją pracę i pobyt w domu rodziców Wiery.

– Pan Oleg strasznie się martwi. Pani Magda też.

– Nie kituj – zaśmiała się Wierka. – Może tata się martwi, ale matka? W życiu nie uwierzę. Moja matka ma w sobie tyle ciepła, ile kawior z jesiotra.

Wiedziała, co mówi. Matka nigdy nie była wobec niej serdeczna, nawet kiedy pojawiały się poważne problemy i Wierka naprawdę potrzebowała matczynego wsparcia. Jej rodzicielka cedowała obowiązki, delegowała je na wszystkich, byleby sama nie musiała marnotrawić czasu i starań, o uczuciach w ogóle nie wspominając. Trochę serca okazywała jedynie Kostkowi, ale tylko dlatego, że gnojek potrafił nią manipulować i wymuszać zainteresowanie.

– Był tu pan Wasyl. Strasznie wściekły. Podśluchałam co nieco – szepnęła konfidentycznie Ida.

– No mów!

– Najpierw oskarżył panią Magdę, że to jej rodzina z Polski przechowuje cię u siebie, a potem, kiedy pani Magda go wyśmiała i stwierdziła, że to pewnie Grizzly bruździ, on albo ktoś z nim powiązany, powiedział, że też o tym myślał i trzeba to sprawdzić.

– A czemu oni? – zdziwiła się. Od lat trwał konflikt między klanem Michaiła Sorokina, który nosił przydomek Grizzly, bo był niski, krępy i zarośnięty na twarzy jak prawdziwy niedźwiadek, a Wasylem Doneckim. Obaj nieustannie walczyli o strefy wpływów, głównie chodziło o polski rynek, więcej detali Wierka nie знаła, bo miała to w nosie, ale teraz ci ludzie mogli się przydać! – Co jeszcze słyszałaś?

– Pan Wasyl powiedział, że za twoim zniknięciem może stać ktoś z ich klanu. Że cię uprowadzili i będą chcieli wymienić, ale za co, nie zrozumiałam.

– Ładne jaja. – Parsknęła śmiechem. – Handel żywym towarem, który mieszka pod ich nosem. Co za głupek. – Nie miała wysokiego

mniemania o biologicznym ojcu. – Ale wiesz, to niegłupi pomysł.

– Co? Powtórz.

– Nieważne. Jak coś się zmieni albo wydarzy, daj znać.

– Mam dzwonić na ten numer? – upewniła się Ida.

– Yhy. A jeśli nie odbiorę albo nie będzie działał, poczekaj spokojnie, odezwę się na pewno.

To Wiera pierwsza dała znak życia, zadzwoniła do wiernej pokojówki z nieznanego numeru, bo tamten nie działał. Jeszcze przed wynajęciem apartamentu pozbyła się poprzedniego telefonu: rozwaliła go kamieniem w drobny mak, ale najpierw przepisała do notesu wszystkie ważne numery.

– Uważaj na siebie.

– Uważam.

– Kocham cię.

– Ej, no! – Wiera nie lubiła takich wyznań.

Czasami Ida była okropnie natrętna z tymi swoimi wyznaniem miłości. Jeszcze nie zrozumiała, że nie kręciły ją te klimaty? Wołała facetów, zdecydowanie, zwłaszcza ostatnio. Seks zawsze przynosił ukojenie, pozwalał zapomnieć, poczuć się lepiej, pewniej. Dawał chwilę na oddech, bywało, że działał lepiej na psychikę niż jej romans z żyletką.

– Wiesz, że tak jest. Okropnie tęsknię.

– To przestań.

Właśnie po tej rozmowie Wiera opracowała swój plan. Nie musiała długo szukać dojścia do właściwej osoby. To wymagało zaledwie dwóch wypadów do klubu nocnego Dolar, swoją drogą ten klub należał do jej męża, co dodawało pikanterii całej sytuacji. Nie ma to jak układać się z wrogiem rodziny pod samym jej nosem. Na szczęście nikt na nią nie trafił, nie skojarzył i nie rozpoznał, nawet Fiodor, przydupas Nikity. Wierka widziała go w klubie, zawsze tam był, tkwił jak przyspawany, pewnie nigdy nie wychodził. Wszedł prosto na nią, potracił niechcący, przeprosił i polazł dalej. Co za jełop. Przecież Niki zaprosił go na ich ślub. Niezły żart, że jej nie poznał.

W każdym razie udało się jej skontaktować z facetem, który kręcił lody z ludźmi Sorokina, a on dał jej namiary na Wiktora Smołowa. Ten był bliżej bossa, można rzec, że był prawą ręką Sorokina, jego



*smatriaszczim*, tak samo jak Misza Korkow był zaufanym przybocznym Wasyla Doneckiego. Mężczyzna najpierw uprzedził Wierkę, że do Dolara nie przyjdzie, nie ma takiej opcji, ale parę dni później wyznaczył datę, godzinę i inne miejsce spotkania.

Umówili się w hotelu Salut, tam było względnie bezpiecznie, zresztą Wiktor wysłał najpierw kilku ludzi, żeby sprawdzili teren przed spotkaniem i mieli na oku budynek. Nie potrzebował problemów, a już na pewno nie z klanem Doneckich. Musiałby być ostatnim głupcem, żeby naruszyć terytorium wroga i to jeszcze bez ważnego powodu, bo spotkanie z jakąś gówniarą nie było niczym ważnym, nawet jeśli smarkata została niedawno żoną Nikity Doneckiego. Zresztą nawet wśród gangsterów panowały niepisane zasady, a jedna z nich stanowiła, że kobiet nie miesza się do interesów.

No, chyba że ta kobieta była wyjątkowo łakomym kąskiem.

Aż się oblizał na widok Wiery. Była śliczna, trochę za bardzo zrobiona, ale to nie stanowiło problemu. Zawsze można ją było porządnie wykąpać i zmyć z twarzy wszystkie te malowidła.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał.

– Hmm... – Wierka przygryzła kącik ust.

Gdy weszła do holu hotelowego, była pełna entuzjazmu, energia wręcz ją rozsadzała, gdy pomyślała, jak wkurzy się ten stary głupek, jej ojciec. Teraz straciła rezon. Facet, który siedział po drugiej stronie stolika, nie wyglądał na miłego misia, przeciwnie. Inna rzecz, że odkąd pamiętała, wokół niej kręciło się mnóstwo podobnych mu kolesi: w czarnych kurtkach ze skóry, z gnatem pod pazuchą lub za paskiem spodni i z zakazaną gębą, pokrytą bliznami oraz innymi śladami burzliwej przeszłości.

– Wydusisz coś z siebie czy będziemy tak siedzieć i pić herbatkę? – Uniósł brwi.

– Potrzebuję się ukryć – wykrztusiła w końcu.

– Aha. Przed kim?

– Przed nikim. Po prostu chcę zniknąć. Na jakiś czas – zastrzegła.

– To można dwojako zrozumieć. – Wyszczерzył zęby. – Że chcesz zniknąć. Bo wiesz, niektóre zniknięcia – pokazał palcami znak cudzysłowu – są bardzo długie, rzekłbym bezterminowe.

Wzdrygnęła się, poprawnie interpretując jego słowa.

- Chcę zniknąć na pół roku – doprecyzowała.
- A później?
- Dostać się do Londynu.
- Po co? I czemu od razu tam nie polecisz?
- Nie twój biznes, po co.
- Jesteś w błędzie. Teraz to również mój biznes.
- Chyba niepotrzebnie cię fatygowałam. – Wstała, ale prawie od razu usiadła z powrotem, a raczej walnęła tyłkiem o siedzisko krzesła, bo Wiktor Smołow szarpnął ją za rękę i usadził na miejscu. – Ej, no! – warknęła.
- Żarty sobie robisz? – On też nie miał miłego tonu. – Chcesz się spotkać, umawiam ludzi, a potem co, focha strzelasz? Na rozum ci padło?
- Rozmyślałam się. – Potarła nerwowo nadgarstek. – Sama sobie poradzę.
- Za późno. Chcesz zniknąć, nie ma sprawy. Nie bój się – dodał, bo rozbawił go wyraz twarzy dziewczyny. Była posikana ze strachu. Niepotrzebnie. Na razie nic jej nie groziło, nic i nikt. – Pod moją opieką będziesz bezpieczniejsza niż w domu u mamusi. Gwarantuję.
- Dasz słowo?
- Dam. – Przyłożył pięść do serca. – Na honor *wora*. No co? Ulżyło ci?
- Okej – mruknęła bez przekonania. – Co za to chcecie?
- Za co?
- Za skrytkę. Gdzieś muszę mieszkać, no nie? Uprzedzam, chwilowo nie mam zbyt dużo kasy.
- Potem się rozliczymy.
- Co to za meta?
- Moja ciotka ma dom w małej wiosce pod Petersburgiem, tam cię zawiozę. Duży, wygodny. Nikt cię tam nie namierzy.
- Tam musi być kurewsko zimno. – Potarła ramiona. Wszystko, co znajdowało się na północ od Moskwy, według niej leżało na biegunie północnym, a ona nie znosiła zimna.
- Wytrzymasz. – Nachylił się i klepnął ją mocno w ramię, aż jęknęła.
- Czemu mi pomagacie? – Przymrużyła oczy.
- Bo poprosiłaś o pomoc, a pięknym kobietom się nie odmawia.

– Co za banał. – Wiera przewróciła oczami. – Daj spokój. Marny z ciebie podrywacz.

– Daję radę. – Zaśmiał się.

Wprawdzie nie miał żony i dzieci, bo od początku mafijnej kariery hołdował zasadzie, że dobry *wor w zakonie* nie żeni się, nie płodzi dzieciaków, nie kała się uczciwą pracą i nie przywiązuje do żadnych dóbr materialnych, ale lubi mieć pieniądze, a co za tym idzie – piękne kobiety.

– Kiedy tam pojedę?

– Zaraz. – Sięgnął po filiżankę i przechylił, ale w środku nie została nawet kropelka herbaty.

– Chyba oszalałeś? Nie mam ze sobą żadnych rzeczy. Wszystko zostało w przechowalni.

– Trzymasz swoje rzeczy w przechowalni? Jeszcze powiedz, że na dworcu? – Zrozumiał, że poprawnie odgadł, bo Wiera przewróciła oczami. – Na Leningradzkim? – Wyszczrzył zęby, a kiedy fuknęła pod nosem, że właśnie tam, powiedział: – Kupię ci nowe szmaty, stać mnie.

– Jak chcesz. – Nie odważyła się sprzeciwić.

Smołow miał coś takiego w spojrzeniu, że brakło jej odwagi. Zupełnie jakby siedział przed nią Nikita, jej brat. Znała dobrze tę specyficzną dzikość, czerń w oczach, która zakrywała prawdziwe myśli i zamiary.

Pojechali na lotnisko, stamtąd polecieli prywatnym odrzutowcem Sorokina do Petersburga, później znowu jazda samochodem, na szczęście ten etap podróży był krótki. Wyjechali za rogatki miasta, minęli dwie małe osady, by dotrzeć do trzeciej, jeszcze mniejszej, ale położonej w wyjątkowo urokliwym miejscu. Ciotka Smołowa, Anna, żyła sobie spokojnie w całkiem bogato urządzonej wiosce zaraz przed miasteczkiem Lebiażje. Jej gospodarstwo skrywało się w gęstym lesie, od północy graniczyło z linią brzegową, w trzech pozostałych zabudowania otoczono wysokim murem. Trochę wyglądało to jak miniaturowa wersja ojcowskiego Edenu, tylko morze było inne: u Wasyla Morze Czarne, natomiast tutaj Bałtyckie, a dokładnie Zatoka Fińska.

Jeśli Wiera łudziła się, że w razie zmiany zdania będzie mogła stąd wyjechać, była w błędzie. Nie dość, że posesji strzegło kilku

przypakowanych koleś, to ten pieprzony cham, Wiktor, zaraz po ich przybyciu na miejsce i pokazaniu pokoi, które dla niej przygotowano, założył jej bransoletkę na nogę. Oczywiście, nie odbyło się to bynajmniej w pokojowej atmosferze. Wiera mało nie wydrapała Wiktorowi oczu. Najpierw próbowała mu uciec, potem, kiedy ją dorwał, tuż przy oknie, walczyła niczym lwica, ale miał druzgocącą przewagę fizyczną i nic nie mogła zrobić. Co gorsza, po założeniu bransolety Wiktor kazał Wierce rozebrać się do naga i obejrzał uważnie każdy skrawek jej skóry, nawet tam, w tym miejscu.

– Jesteś wstrętny! – Wiera napluła mu w twarz, gdy zakończył inspekcję.

– Musiałem cię zrewidować. – Wiktor stanął tyłem i polecił, żeby się ubrała.

Prawdopodobnie zauważył blizny, te przy pachwinach, bo w trakcie oględzin na chwilę podniósł wzrok, a w jego oczach dostrzegła jakże znajome pytanie: „czemu to robisz?”, ale nic nie powiedział. Mógł spytać, usłyszałby wtedy, że to jej sposób na przetrwanie, właśnie to – samookaleczanie, „samobójstwo na raty”, jak powiedziała kiedyś terapeutka. Było jej wszystko jedno, już i tak po niej. Tutaj nikt jej nie odnajdzie, miała pewność.

– To obrzydliwe.

– Przeciwnie – odburknął zza pleców. – Masz niezłe ciało. Ruchałbym – zarżał.

– Pieprz się.

– Dojdziemy do tego – odparł. – Wystarczy, że poprosisz.

Miała ochotę go zabić, ale czym? Jak? Byli sami, chociaż tyle, że nie naraził jej na śmieszność przed podwładnymi. Och, jak Wiera żałowała, że zwróciła się do niego o pomoc, lecz mleko już się wylało, była zdana wyłącznie na siebie.

– Czemu tak rozrabiasz? – Wiktor wziął krzesło, postawił oparciem do niej i usiadł na nim okrakiem. – Gdybyś nie fikała... – Pokiwał głową, widząc liczne otarcia na jej twarzy. Młoda Donecka prezentowała się jak po wyjątkowo ostrym seksie, a on nawet nie umoczył kutasa. „Tyle przegrać” – pomyślał.

– Pierdol się, Wiktor. – Usiadła w fotelu, sięgnęła po skarpetkę i naciągnęła na stopę. – Gdzie druga? – Rozejrzała się wokół.

Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu: wywrócone krzesła, zerwana zasłona i drewniany karnisz, poprzesuwane meble, bo Wiera popchnęła Wiktora na małą komodę. Serweta ściągnięta z małego okrągłego stolika leżała na podłodze wraz z rozbitym wazonem. Jeszcze przed kwadransem stały w nim świeże kwiaty. Im też się oberwało: różane płatki upstrzyły parkiet białymi plamkami.

– Chodź w jednej.

– Sam sobie chodź w jednej skarpetce.

– Zawsze mogę odstrzelić ci stopę. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Wystarczy ci jedna. – Wskazał na tę, na której tkwiła bransoleta.

– Debil.

– Powiedz mi, jak twój stary z tobą wytrzymuje? – Przechylił głowę.

– Ojciec?

– Nie. Mąż.

– Mam go w dupie.

– Pokażesz? – Wyszczrzył zęby. Były ładne, równe, białe, bez żadnego ubytku.

– I tak stąd ucieknę. – Hardo zadarła brodę.

– Niby dokąd?

– Gównu cię to obchodzi.

Zapadła cisza. Wiktor westchnął ciężko. Od początku ten pomysł wydał mu się durny, ale stary naciskał. Gdyby to od niego zależało, kijem by nie tknął Wiery Doneckiej. Po co komu problemy?

– Zaczniemy jeszcze raz – zagaił koncyliacyjnym tonem. – Chcę dla ciebie dobrze. – Sam się zaśmiał w duchu z tego stwierdzenia, ale ciągnął dalej: – Będiesz grzeczna, włos ci z głowy nie spadnie, przysięgam. – Przyłożył pięść do serca. – Żaden z ciebie przeciwnik. Wygram z tobą, żaden honor, przegram, wstyd na całe życie. Nie prowokuj mnie. Możesz tyle zrobić?

– Jesteś zwykłym zjebem. Ech... – jęknęła, patrząc na kostkę lewej nogi. Bransoleta już zdołała otrzeć naskórek. – Popierdoliło cię? Ja chyba śnię. – Przenosiła wzrok z bransolety na Wiktora i z powrotem. – Zdejmij to, wtedy pogadamy.

– Nie mogę. Nakaz to nakaz.

– Piesek Sorokina.

- Może i piesek.
- Na krótkiej smyczy.
- Dłuższej niż twoja. – Wskazał brodą na bransoletę.

Miał rację. On mógł stąd wyjść, wrócić do Moskwy, robić, co zechce. Ona nie.

I to na własne życzenie.

\* \* \*

Dni mijały, zlepiały się w tygodnie, a te w miesiące. Na początku Wiera myślała, że obmyśli ucieczkę, ale z dnia na dzień coraz bardziej traciła chęci, żeby wprowadzić w życie jakiś plan. Przypuszczała, że dopadło ją coś na kształt depresji. Budziła się rankiem i jedyne, co czuła, to zmęczenie. Najchętniej w ogóle nie wyłaziłaby spod kołdry. Spała po szesnaście godzin na dobę, czuwała przez pozostałe osiem. Rzadko czuła głód, prawie wcale. Nawet nie miała ochoty, by sięgnąć po żyletkę. To też wymagało energii, a przede wszystkim emocji, czegoś, co wyzwało w niej potrzebę okaleczania.

Wiktor powiedział, że czasami wpadnie zobaczyć, co u niej. Dotrzymał słowa: przyjeżdżał dwa razy w miesiącu, bywało, że częściej – wpadał na cały weekend, a do Moskwy wracał dopiero w poniedziałek. Pytał, jak Wierka się czuje, czy ciotka Anna jest w porządku. Nie była. „Nienawidzę tej baby” – mówiła Wiera, ale bez emocji. Po prostu jej nie znosiła. Jej wyglądu, stylu bycia, głosu, a nawet zapachu – mieszaniny lakieru do włosów, naftaliny i wódki. Ohyda.

Podejrzewała, że starucha dosypuje jej do napojów coś na uspokojenie, i nawet to sprawdziła. Przez kilka dni konsekwentnie wylewała wszystko do toalety, a pragnienie gasiła wodą z kranu. Przestała być senna, zmysły ponownie się wyostrzyły. Spytała ciotkę Wiktora, czym ją faszeruje. „To zioła” – odparła Anna. „Trujesz mnie jakimś świństwem! Poskarżę Wiktorowi” – zagroziła Wiera, lecz Anna zupełnie się tym nie przejęła. „Chcesz? Mów. Chciałam tylko pomóc”.

Minął tydzień odwyku i picia wody z kranu, a Wiera czuła narastające napięcie. Wprawiało jej ciało w niezdolny dygot,

uniemożliwiało sen. Zdała sobie sprawę, że po ziołach, jakiegokolwiek były, czuła się lepiej. Znowu opróżniała do dna dzbanek z poranną kawą zbożową, tak samo postępowała wieczorem, kiedy podawano jej kubek kakao. I znowu było jej lżej przetrwać kolejne dni. Funkcjonowała na jałowym biegu, spokojna i pogodzona z losem. Ożywiała się dopiero przed wizytą Wiktora. Anna uprzedzała, kiedy jej siostrzeniec przyjedzie. Wtedy Wiera mogła powiedzieć, że wraca do niej życie.

Chodziło o seks. Wyłącznie na to czekała. Nie żeby miała problem ze znalezieniem kochanka. Po posesji kręciło się sporo facetów, pilnowali zabudowań i ogrodzenia – młodzi, zdrowi, na pewno chętni, żeby ją zaliczyć choćby z nudów. Bardzo możliwe, że Wiktor zakazał im wszelkich prób poderwania Wierki, bo trzymali się na dystans, odpowiadali półsłówkami, tyle, ile było konieczne, by nie wyjść na ostatniego buraka. Ale nawet nie próbowała wystartować do któregoś z nich. Jeszcze nie upadła tak nisko, by prosić o seks zwykłych pacholków, ludzi stanowiących ostatnie ogniwo łańcucha w hierarchii organizacji.

Co do seksu – traktowała to jak element higieny osobistej. Rano i wieczorem myła zęby, brała prysznic, zmieniała ciuchy na świeże. To samo z Wiktorem – seks z nim stał się jedną z czynności wykonywanych rutynowo. Wiktor przyjeżdżał, jedli kolację albo późny obiad, potem szli do jej pokoiów, Smółow zostawiał pistolet na małej szafce w korytarzu, a magazynek chował do kieszeni spodni. Wchodzili do środka, Wiera przekręcała w drzwiach klucz, który musiała mu oddać. Niepotrzebnie tak się zabezpieczał, nie mogła stąd uciec, strażnicy zatrzymaliby ją zaraz w głównym holu, a jeśli nie tam, to przy drzwiach albo pod oknem, gdyby zdecydowała się skoczyć z prawie dziesięciu metrów na wybetonowane podwórze wokół budynku.

Smółow zawsze miał ze sobą trzy paczki prezerwatyw, te same, marki Durex. Ponoć były najlepsze. Najpierw ona zdejmowała ciuchy i rzucała je na podłogę. Potem on: rozpiął guziki koszuli, ale tylko te górne, i zdejmował ją przez głowę, ściągał buty wraz ze skarpetkami, a na koniec pozbywał się spodni i bielizny. Sięgał po pudełeczko z kondomami, zakładał prezerwatywę, nie spuszczaając Wierki z oka.

– Rozłóż nogi, dotknij się tam – prosił czasami, bo nie szło mu wciąganie gumki.

Kładł się od razu na niej, bez żadnej gry wstępnej, ale to nie przeszkadzało Wierce. Gdy kiedyś się zastanawiała, zaraz na początku – to musiało być ich drugie, może trzecie spotkanie w sypialni – jak to by było, gdyby Wiktor ją całował, pieścił, mówił jakieś sprośne rzeczy albo próbował polizać ją po cipce, aż nią wzdrygnęło. Nie brzydziła się go, zawsze przyjemnie pachniał, nosił czyste i fajne ciuchy, był zadbany. Ale to za mało. Za mało, żeby ofiarować coś ponad to, co mu dawała.

Ich seks miał tylko jedno właściwe określenie – był mechaniczny. Co nie przeszkadzało Wierce za każdym razem osiągnąć satysfakcję. Bez względu na to, czy pieprzyli się pierwszy raz, drugi czy piąty – Smółow był bardzo wydajnym i wydolnym kochankiem, a ona zawsze miała orgazm. Czuła, że nadchodzi, charakterystyczne mrowienie skóry obejmowało najpierw lewą stronę wejścia do pochwy, potem drugą, by po kilku sekundach eksplodować rozkosznym spełnieniem w całej cipce. Wierka zamykała oczy, przestawała się ruszać, zapominała zupełnie o Wiktorze. W tym momencie mógł przestać istnieć. Gdyby po wszystkim wstał i bez słowa wyszedł z sypialni, nie drgnęłaby jej powieka. Zrobił swoje, mógł spadać.

Dopiero po dłuższym czasie przypominała sobie o nim. Otwierała oczy i patrzyła na Wiktora. Co myślał? Czy w ogóle coś myślał? O niej? Kim była dla niego? Wtedy czuła smutek. Tak dojmujący, że sprawiał niemal fizyczny ból. Właśnie w tych chwilach wracało do niej stare pragnienie – żeby się pociąć. Żeby wyjść do łazienki, wyjąć małą cienką blaszkę, którą zawsze miała przy sobie, schowaną teraz pod brodzikiem prysznicą, przejechać po skórze i patrzeć na krew. Czekać na znajome emocje – na poczucie ulgi. Cały syf, który zrodził się w jej głowie, wypływał wraz z krwią, definitywnie i ostatecznie opuszczał jej ciało. Oczyszczenie dawało nadzieję, że chociaż przez chwilę będzie lepiej. Lżej na duszy.

Ale zawsze może być gorzej. Przywykła do Wiktora, do ich mechanicznego seksu, przewidywalnego w każdej sekundzie. Już nie myślała o ucieczce, zapominała, że kiedyś żyła gdzie indziej. Czuła nieco większe ożywienie, bo wyciąg z ziół, którymi faszrowała ją



ciotka Anna, przestał działać. Uodporniła się. Bywało, że szła z Anną na spacer, przez las docierały na plażę i siedziały tam, nie rozmawiając ze sobą. Anna próbowała zagadywać, często pytała o Wiktora, drążyła, zazdrosna o siostrzeńca, który poświęcał swój czas tylko Wierce, ale ta nigdy nie zdradziła, co ją łączy ze Smołowem. Pozostawały domysły, graniczące z pewnością, bo przecież ktoś systematycznie sprzątał pokoje Wierki, opróżniał kosz ze zużytymi kondomami, zmieniał pościel, pomietą i przesyconą zapachem ich potu.

– Wyjeżdżasz stąd – powiedział.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Musiała przemilić słowa, powtórzyć je w głowie, by znaleźć sens.

– Co ty mówisz? Wiktor? – Usiadła po turecku, zakryła piersi prześcieradłem i spojrzała na niego.

Leżał na boku, podparł głowę ręką, a drugą bawił się bezwiednie rogiem poszwy kołdry. Wsuwał go między palce, przeciągał pomiędzy nimi aż do koniuszka, i znowu to samo, od początku.

– Mówiłem. Zabieramy cię stąd. – Odrzucił róg kołdry. Przez chwilę się nie ruszał, ale w końcu usiadł jak ona. Przez jego klatkę piersiową spływała coraz mniej widoczna strużka potu, aż zupełnie zniknęła w gąszczu włosów na umięśnionym brzuchu. – Jutro wyjeżdżamy.

– Ale jak to? – Zatkanę ją na dobre.

– Minęło pół roku – przypomniał.

– Dokąd mnie zabierasz? Do Londynu? – spytała, choć była prawie pewna, że zaprzeczy.

W ogóle o tym nie rozmawiali, no, może trochę. Czasami mówiła Wiktorowi, jakie ma plany, że chce tam zostać na dłużej, znaleźć jakieś mieszkanie, normalną pracę. Chciała żyć jak zwykli ludzie, pracować i dostawać pensję, mieć kogoś, faceta, który jest zwykłym człowiekiem, nie nosi kłamki za paskiem spodni, pracuje w fabryce albo w księgarni.

– Londyn? – Zaśmiał się cicho. – Chyba w to nie wierzyłaś? – Nie musiał pytać. Aż tak naiwna nie była. Sama zaczęła z nimi grę, której zasad należało przestrzegać do ostatniego przedstawienia pionków na planszy. Wiktor wsparł stopy o materac, rękami objął lekko rozchylone kolana i uśmiechnął się blado. – Żałujesz, że to koniec?

– A ty?

– Może trochę. Chyba nie chowasz urazy?

– Za co?

– Za wszystko. Za ciotkę, za nadzór, za prochy. Ciotka coś wspominała.

– Nie – odpowiedziała bez wahania. Naprawdę nie czuła żalu, bo nic złego się nie stało, poza tym było jej łatwiej, nawet w to nie wątpiła. – To gdzie teraz mnie ulokujesz?

– Pojedziesz do Warszawy. Albo polecisz – dodał po namyśle. – Jeszcze się zobaczy. Zadowolona? Nie chciałaś tu być. – Szturchnął łokciem w jej lewą nogę. Na kostce wisiała bransoleta, już dawno Wiera owinęła ją szerokim bandażem, żeby nie uszkadzała naskórka.

– Jutro to zdejmujemy, co ty na to?

– Będę tęsknić – burknęła z przekąsem.

– Za mną?

– Za nią. – Wskazała brodą na lewą stopę.

– Jasne, tak sobie mów – zaśmiał się.

– A ty?

– Co ja? – spytał, doskonale wiedząc, co ma na myśli. – Nie będę tęsknić. Jak nie ty, to inna. Wszystkie cipki są takie same – oznajmił filozoficznym tonem. – No, prawie takie same – dodał, bo przewróciła oczami. – Nawet cię polubiłem. Mało kłopotliwa jesteś, nie gadasz bez powodu, nie pytasz o nic. Nogi chętnie rozkładasz, to też plus.

– Nie, nie wyjdę za ciebie. – Wiera wydeła usta. – Zapomnij.

– Już jesteś mężatką – przypomniał jej.

– Wal się, Smółow.

– Jutro. Na pożegnanie. – Zerknął na swoje przyrodzenie. Pieprzyli się dzisiaj trzy razy i powoli zaczynał czuć przesyty. – Jak coś, zawsze możesz na mnie liczyć – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Jak co?

– No wiesz. – Jego ramiona lekko drgnęły. – Czasami możesz potrzebować rady.

– A ty co? Wróżką jesteś, że mam się ciebie radzić?

– Ech. – Wyciągnął rękę, chwycił krzepko za kark Wierki i bez najmniejszego wysiłku dogiął jej głowę. – Uparta z ciebie suka, ale

i tak cię lubię.

– Czemu akurat Warszawa? – Wyprostowała się i poprawiła włosy.

– Tymczasowy przystanek.

– Przed czym? – Nadal nie wiedziała, jakie plany co do niej ma boss Wiktora.

– Grizzly rzadko się zwierza, ale nie martw się, ktoś o ciebie zadba w Warszawie.

– A potem się zobaczy – prychnęła ironicznie.

– Dokładnie tak.

Wyjechali nazajutrz, jak zapowiedział Wiktor. Odwróciła głowę, kiedy mijali bramę. „Nie zapomnę tego miejsca” – pomyślała. W końcu spędziła tu kawał czasu. Minęło ponad pół roku, ponoć Oleg – jej papierowy ojciec – zmarł pod koniec ubiegłego roku. Trochę żałowała, że nie mogła być na pogrzebie. Ale tylko trochę. „Chciałabym widzieć ich miny” – pomyślała o reakcji matki i reszty rodziny. Zamrugła, bo coś zapiekło ją pod powiekami.

– No co, gotowa na nową przygodę? – spytał Wiktor.

Siedział razem z nią, z tyłu. Miał jej towarzyszyć do granicy z Białorusią.

– Nie wiem – odparła, nie odrywając wzroku od Anny.

Widziała ją przez tylną szybę. Ciotka Wiktora stała na końcu podjazdu i machała im na pożegnanie. Wierka odwróciła głowę dopiero wtedy, gdy wszystko zniknęło za zakrętem.

– Poradzisz sobie – powiedział Wiktor. Chwycił jej dłoń i lekko ścisnął.

## Rozdział 2

Od początku wszystko szło nie tak.

Bruno cholernie żałował, że podjął się tego zadania. Na początku ludzie Sorokina nie zdradzili wielu szczegółów, wiedział jedynie, że dziewczyna jest młoda i bardzo cenna. Spytał: „W jakim sensie cenna?”. Był przekonany, że to jakaś niepokorna laska, która wpadła w oko Sorokinowi i sprawiała problemy, ale po co ten miałby ją wysyłać do Polski? Bruno nie potrafił tego zrozumieć. Usłyszał w odpowiedzi: „przydatna, z potencjałem” – jak lokata na korzystnych warunkach. Został skrzynką depozytową, w której Grizzly zamierzał zdeponować swój skarb.

Owszem, współpracował z nim, wykonywał różne zlecenia, ale na swoich warunkach. Brał tę robotę, której mógł i chciał się podjąć. Najbardziej opłacalną i najmniej ryzykowną. Czy Sorokina zupełnie pogięło? Nie miał w planach być jakąś pieprzoną niańką. Ostatecznie zgodził się na współpracę, bo naciskali na niego, a suma zaoferowana przez Sorokina brzmiała zachęcająco. Szybko dostał kasę, co było ostatecznym przyklepaniem umowy, i dopiero wtedy coś go tknęło. Podpytał, kim jest dziewczyna. Gdy usłyszał, że to Wiera Donecka, zrozumiał, że ślepy los znowu z niego zakpił. Próbował sobie wmawiać, że tak miało być, że to nie jest zwykły przypadek. Niestety, jego wiara była ułomna, Bruno bardziej wątpił w Boga, niż wierzył. A jeśli nawet istniał Bóg, miał wywalone na ludzi, stworzył i zagospodarował świat, a potem szybko się nim znudził i zapomniał.

Tyle dobrego, że dziewczyna była piękna i dobrze mówiła po polsku. Bruno nie znośił rozmawiać po rosyjsku. Drażniło go brzmienie języka Rosjan, których tolerował tylko z konieczności. Zanim dotarli z dworca do mieszkania, zdążył znienawidzić Wierę Donecką. Wprawdzie na razie nie rozmyślał jeszcze, w jaki sposób definitywnie i szybko pozbyć się problemu, czyli wycofać z umowy, ale czuł, że minie kilka dni, a taki plan powstanie.

Ledwie weszli do mieszkania i zaczął się problem.

– Mam ci pomóc? – spytała Wiera, widząc, że zaklinował się w wąskim korytarzu między drzwiami do sypialni a przejściem dalej: do kuchni i łazienki.

W tym miejscu korytarz zakręcał w prawo, po lewej stronie stała pokaźna komoda, było wąsko, ale dało się przejechać wózkiem i jeszcze był luz. No ale... Wiera postawiła walizkę w przejściu, zastawiła przejazd i teraz proponowała mu pomoc. Dobrze sobie.

– Nie trzeba, wystarczy, że to zabierzesz. – Wskazał na jej bagaż.

– Ach, no tak, nie pomyślałam, że będzie ci przeszkadzać.

– Nie przeszkadza.

– A gdzie...

– Tam ją daj, mówiłem, że to twój pokój. – Wyciągnął rękę i pokazał palcem na wejście.

Usytuował Wierkę w tak zwanym „średnim” pokoju. Bo ten pokój faktycznie był średni. Nie dość, że nieustawny, bo dosyć długi i wąski, to graniczył ścianą z apartamentem obok, a tam mieszkało dwoje koszmarnych dzieciaków, które darły się od świtu do nocy, zupełnie jakby im za to płacono. Bruno nie korzystał z niego, sypialnię urządził w pokoju blisko drzwi wejściowych, a w ciągu dnia przesiadywał w największym pomieszczeniu, tym z tarasem. Tam miał telewizor, biblioteczkę, sporą narożną sofę i biurko.

– Dzięki. – Dziewczyna szarpnęła rączkę walizki, pociągnęła ją za sobą, przy okazji zahaczając o róg komody.

Bruno wzniósł wzrok ku niebu i pomyślał, że czekają go ciężkie dni.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, daj znać – powiedział.

– Czemu tu tak pusto? – spytała, przekroczywszy próg swojej sypialni. – Nie ma mebli?

„Zaraz oszaleję” – westchnął w myślach Bruno.

– Nie ma.

– Ale jest materac. – Spojrzała na niego.

– Jest. Do spania. I pościel też jest, też do spania. I okno. – Już miał dodać, że do otwierania, ale Wierka zdążyła zauważyć, że się z niej nabija i przymrużyła oczy.

– Nie musisz być taki złośliwy.

– Jaki?

– Złostliwy.

– Aha. – Pokiwał głową.

Jeszcze w samochodzie Wiera Donecka zdążyła mu powiedzieć, że jej matka pochodzi z Polski, dlatego posługuje się tym językiem tak samo biegle jak rosyjskim. Fakt, znała polski doskonale, naturalnie miała specyficzny wschodni akcent, ale zasób słów i reszta były bez zarzutu, chociaż zdarzały się jej drobne pomyłki, jak choćby słówko „złostliwy”.

– Jeśli już, to złośliwy – poprawił ją.

– No właśnie. – Wydeła usta. – Nie musisz mnie poprawiać.

– Nie muszę.

– A co z szafą? – Nadal stała tuż za progiem pokoju i patrzyła to na niego, to na materac leżący w kącie. – Gdzie mam trzymać swoje ubrania?

– Tam. – Pokazał na szafę wnękową zaraz przy wejściu do apartamentu. Żeby znowu nie wejść w kolizję z walizką Wiery, szybko przejechał do korytarzyka wiodącego do kuchni. „Ciasno się zrobiło” – pomyślał, kręcąc głową.

– Chcesz coś do picia? Kawa? Herbata? Woda?

– Zaraz. – Wiera zostawiła walizkę i mruknęła: – Muszę do toalety.

– Tutaj. – Wskazał wejście do łazienki. – To coś szklane po prawej, to kabina, a siku robi się do...

– Okropny z ciebie dupek – przerwała mu.

– Drzwi są przesuwne – domyślił się problemu. – Znajdziesz je we wnęce.

– No tak.

W całym apartamencie miał właśnie takie drzwi, nie zajmowały miejsca, ułatwiały poruszanie się na wózku i były bardziej estetyczne, niż te zamontowane przez dewelopera. Bruno nigdy ich nie zamykał, bo po co? Nawet łazienkowych. Jedyne, które zasunął, to właśnie te w średnim pokoju, żeby odseparować się od hałasu zza ściany.

– Pokażę ci. – Podjechał bliżej. – To proste. – Chwycił za uchwyt we wgłębieniu kwatery i lekko pociągnął. – Widzisz?

Wierka nie odpowiedziała. Weszła do środka, zamknęła się i spędziła w łazience prawie kwadrans, co ostatecznie i dobitnie

uświadomiło mu, że mieszkanie z kimś na sześćdziesięciu metrach kwadratowych i z jedną łazienką jest okropnie uciążliwe.

– Teraz mogę coś wypić – oznajmiła, znalazłszy go w kuchni. – Masz neskę?

– Tak.

– To proszę. Może być w kubku, z mlekiem. Dwie łyżeczki cukru. Wieczorem piję kakao, jeśli nie masz, musisz kupić, bo nie zasnę bez kakao.

– Oczywiście – odparł sztucznie usługowym tonem.

– A gdzie krzesła? – Stała przy małym okrągłym stoliku.

– Nie ma.

– Ej, no! To na czym mam siedzieć?

– Chyba mamy problem. – Zaśmiał się. Wsypał cukier do kubka, zamieszał i podjechał, żeby podać jej gotową kawę. – Tak się składa, że nie potrzebuję krzeseł.

– Ale ja potrzebuję.

– Coś zorganizujemy, zamówię w Jysku, a na razie chodź, wypijesz kawę w salonie.

Wprawdzie w tym pokoju była sofa, ale stolika kawowego Bruno nie posiadał. Wziął z półki albumy i ułożył z nich zgrabny stosik, pełniący tymczasowo rolę stolika.

– Wybacz, moje mieszkanie jest dostosowane do moich potrzeb. Dlatego nie ma krzeseł, drzwi są przesuwne, a blaty w kuchni niżej niż w mieszkaniach pełnosprawnych osób.

– I po co się tłumaczysz? To zrozumiałe, że jest inaczej. Chodzi mi o to, że nie musisz być złośliwy. – Tym razem powiedziała poprawnie.

– Postaram się.

– Nigdy nie byłam w takim mieszkaniu. – Wierka rozglądała się wokół, co chwilę rejestrując kolejne specyficzne detale, na przykład klamki okienne zamocowane na samym dole ram i tak samo nisko umiejscowione włączniki światła. – Nie masz dywanów?

– Nie.

– A czemu? Przez wózek?

– Tak.

– A ja lubię dywany. Lubię siedzieć na podłodze, na dywanie. Najlepiej grubym i z długim włosiem.

- Zamówię w Jysku.
  - Co ty masz z tym Jyskiem? Przecież to meble dla biednych.
  - Macie te sklepy w Rosji? – Bruno pomyślał, że zaraz weźmie smarkulę za łeb, wywlecze z mieszkania i zostawi na klatce schodowej.
  - Nie, ale wkrótce otworzą. To takie samo gówno jak meble z Ikei.
- Zapadła długa cisza. Wierka w końcu nie wytrzymała:
- Włącz telewizor.
  - Proszę. – Podał jej pilot.
- Kolejne pięć minut Wierka przelatywała przez przypadkowe kanały, aż w końcu wyłączyła odbiornik.
- Same nudy.
  - Zgadza się.
  - A co ty w ogóle robisz?
  - Co robię? – Przechylił głowę i spojrzał na nią z ukosa. – Nic. Siedzę i rozmawiam z tobą.
  - Chodzi mi o pracę. Robisz coś w ogóle, czy jesteś na rencie inwalidzkiej?
  - Nie, nie jestem. Pracuję.
  - Jako kto?
  - Jestem urzędnikiem państwowym.
  - Tak? – Wyrażnie się zdziwiła. – To tak można?
  - Czemu nie? Mam niesprawne nogi, ale reszta działa bez zarzutu.
  - Nieźle. Urzędnik państwowy, który lata dla gangusów. – Prychnęła pod nosem. – To dlaczego nie jesteś teraz w pracy? Pracujesz zdalnie?
  - Teraz wszyscy będą pracować zdalnie. Jest pandemia, wkrótce zamkną wszystkie biura. – Zauważył. – Od poniedziałku zamykają szkoły. Dzieciaki będą się uczyć w domu. Większość lotów została odwołana. Już nigdzie nie polecisz, przynajmniej na razie. – Miał niewesołą minę.
  - Wierzysz w ten cały covid? Według mnie to jakaś bzdura. Nie oglądałam ostatnio za dużo telewizji, ale czytałam w gazecie, że to choroba podobna do grypy. Nic poważnego.
  - Nie jestem specjalistą. Zobaczymy, czy bzdura.
  - No tak.



Wierka wypila resztki kawy, odstawiła pusty kubek na swój prowizoryczny stolik i spojrzała na Brunona pytającym wzrokiem. Czuł, że za moment znowu zada mu jakieś kretyńskie pytanie, dlatego wołał ją uprzedzić:

– Mam robotę. – Wskazał brodą na laptopa, który stał na blacie biurka. – Mogę cię prosić, żebyś...

– Mam spadać. Kapuję.

Został sam. Zasunął drzwi, podjechał do biurka i uruchomił laptopa. Niefortunnie siedział plecami do drzwi i gdyby dziewczynie wpadło do głowy, żeby wejść bez pukania, wszystko by zobaczyła. Zero prywatności. „Cholera jasna!” – zaklął w duchu. Przesunął biurko, by wózek mógł zmieścić się z drugiej strony. Teraz siedział przodem do wejścia, ale co z tego, skoro w ekranie laptopa odbijało się światło. Wprawdzie mógł zaciągnąć rolety zewnętrzne, lecz w dzień nigdy tego nie robił, tylko wieczorami odgradzał się od świata.

– To kilka dni, wytrzymasz. Za tydzień już jej nie będzie – mruknął, zamykając klapę laptopa. Niestety, przeczuwał, że w świetle ostatnich wydarzeń ten plan mógł rozsypać się jak domek z kart.

\* \* \*

Wstał nowy dzień. Wierka usiadła, przeciągnęła się jak kot i z powrotem opadła na materac. W zasadzie najchętniej nie opuszczałaby łóżka aż do dnia, kiedy wreszcie się stąd wyniesie. Bruno był najnudniejszym człowiekiem, jakiego знаła. To niewyobrażalne, ale ten facet potrafił ją znudzić po minucie wspólnego przebywania w kuchni. Czasami Wiera miała ochotę wrzasnąć, że zaraz ją coś rozsadzi od środka, bo gospodarz przypominał bardziej zombie niż normalnego człowieka. To już u ciotki Wiktora miała więcej rozrywki. Nie żeby za nią tęskniła, ale mogła wyjść do ogrodu, pójść na plażę, siedzieć w koszu i drzemać na słońcu.

A mogło być fajnie. Bo Bruno był fajny, w sensie – z wyglądu był naprawdę mega. Czasami dyskretnie go podglądała, na przykład jak szykuje sobie coś do picia i kręci się po kuchni. Gdy była u siebie

i siedziała na materacu – nadal jedynym elemencie wyposażenia pokoju – a Bruno robił coś w kuchni, wystarczyło zerknąć w tamtą stronę, by mieć go jak na dłoni.

Unikał jej, zamykał się w swojej sypialni albo mówił, że ma dużo pracy i znikał w pokoju dziennym. Przesiadywał tam długie godziny, a jej nie pozostawało nic poza czytaniem książek. Akurat tego nie brakowało: całe półki zastawione były książkami, oczywiście na próżno szukać romansów czy innych babskich książek, ale kryminały owszem, kilka Wiera znalazła. Nawet zdążyła wyłonić faworyta wśród autorów: facet nazywał się Mróz i pisał naprawdę dobrze, chociaż Bruno stwierdził, że to literatura niskich lotów i nie poleca.

– A mnie się podobało – oznajmiła, oddając mu kolejną przeczytaną książkę tego autora. – Masz drugą część?

– Nie mam, ale kupię ci e-booka. – Popatrzył na tylną okładkę *Kasacji*.

– Wolę zwykłą książkę. Papierową. Duży format, nie te maleństwa do torebki.

– Okej, zamówię w empiku.

– Zdąży przyjść? Za chwilę stąd spadam.

– Nie wiem, kiedy spadasz, a książkę odbiorę jutro w salonie.

I taka była z nim rozmowa. Na wszystko się zgadzał, był uczynny, grzeczny do wyrzygania i beznadziejnie nudny. Zupełnie jakby chciał ją zanudzić na śmierć swoim towarzystwem. To już ciotka Wiktora była sto razy lepsza, nawet jeśli wredna i sukowata, przynajmniej miała jakiś normalny charakter.

„A może wrócić do Moskwy?” – Wierkę znowu dopadło pytanie, które ostatnio coraz częściej pojawiało się w jej głowie. Czuła, że mogą być problemy, że Michaił Sorokin wystawi jej rodzinie solidny rachunek za półroczną opiekę, a potem czeka ją gigantyczna awantura ze strony wuja Wasyla, bo wpakowała się prosto w łapy człowieka, z którym od dawna konkurował. Mimo to była pewna, że ludzie Sorokina nic jej nie zrobią, bo nie mogą jej tknąć. Kto chciałby ryzykować wojnę?

Żałowała, że nie uciekła wtedy, na dworcu Warszawa Centralna. Miała okazję, nikt jej nie pilnował. Wiktor scedował opiekę nad Wierką na dwóch podwładnych. Ci wsadzili ją do pociągu w Grodnie, powiedzieli, że w Warszawie ktoś na nią czeka. To tyle. Żaden z nich

nie ostrzegł, że ma być grzeczna i nie myśleć nawet o ucieczce. Mogła wysiąść gdziekolwiek, zaraz po przekroczeniu granicy z Polską. Ale nie wysiadła. Jechała do końca, aż dotarła tutaj.

„Spakuję się, kupię jakiś pieprzony bilet na pociąg i już. Albo zadzwonię do tego dupka Wiktora, niech mnie stąd zabiera. Koniec tego”. Wylazła z łóżka i podreptała do kuchni, nastawić wodę na kawę. Bruno musiał już dawno wstać, znowu siedział w pokoju dziennym i klepał coś na klawiaturze. Drzwi były wygodne, nie zajmowały miejsca, przesuwwały się bezszelestnie, niestety miały też wadę: gorzej niż tradycyjne izolowały od hałasów.

Wierka powstała chwilę pod nimi, nasłuchując, ale nic ciekawego się nie działo, dlatego skierowała swoje kroki do łazienki, tam spędziła kwadrans, zapomniawszy na amen o gotującej się wodzie. Gdy sobie przypomniła, czajnik już dawno się wyłączył i znowu musiała chwilę poczekać. W końcu zrobiła kawę, zabrała kubek do swojej sypialni i sięgnęła po kilka kobiecych czasopism, które wczoraj kupił dla niej Bruno. Nie żeby często czytała takie gazety, w istocie nie czytała ich nigdy, wołała zdecydowanie internet i jego dobra, ale co miała robić? Już ponad pół roku nie miała dostępu do sieci, powoli zapominała o swojej pasji. Kiedyś social media pochłaniały połowę jej życiowej energii, a teraz? Kolorowe czasopisma stanowiły zaledwie namiastkę dostępu do Instagrama.

Przewertowała „Elle”, jeszcze szybciej poszło jej z „Avanti”. Rzuciła gazety na podłogę i poprawiła turban z ręcznika, którym owinęła mokre włosy. Wyjęła lusterko z kosmetyczki, ustawiła przed sobą i spojrzała krytycznie.

– Jestem okropnie blada – westchnęła, patrząc na swoje odbicie.

Nie dziwne, już od sześciu miesięcy nie była w solarium, a morska opalenizna zawsze szybko z niej schodziła, ale w kosmetyczce miała resztkę porządnego samoopalacza. Wiktor kiedyś go kupił, wraz z całą długą listą innych niezbędnych rzeczy, które Wiera zażyczyła sobie zaraz na początku pobytu u cioteczki Anny. Wprawdzie nikt jej tutaj nie oglądał, bo kto miałby podziwiać jej opaleniznę? Bruno? Śmiechu warte, ale mogła fajnie wyglądać dla siebie.

– A co mi tam – burknęła, znów sięgając po kosmetyczkę.

Wyjęła tubkę i zaczęła wcierać kosmetyk w twarz i szyję. Potem posmarowała dekolt i przedramiona, sądząc, że to już koniec

samoopalacza, ale był bardzo wydajny, dlatego pokryła nim całe ręce, od nadgarstków po ramiona. Siedziała półnaga po turecku i w najlepsze wcierała samoopalacz w skórę na biuście i brzuchu.

– Kupię drugie opakowanie – mruknęła do siebie, zadowolona, że kosmetyku wystarczyło nawet na uda. Nagle usłyszała jakiś dźwięk w holu i spojrzała tam. – E... Bruno? – W pierwszym momencie chciała natychmiast się zakryć, zasłonić obnażone piersi, ale powstrzymała odruch. – I co słyszać? – Uśmiechnęła się promiennie.

– Ekhm... – chrząknął lekko w zaciśniętą pięść. – Wszystko okej. Piłaś już kawę?

„Dobre sobie, patrzcie, jaki troskliwy!” – zaśmiała się w duchu. Bruno zaproponował jej kawę tylko w pierwszym dniu, zaraz po przybyciu, a teraz każdy sobie rzepkę skrobał: ona robiła kawę dla siebie, a Bruno dla siebie.

– Tak, dzięki.

– Jasne.

Obrócił się zgrabnie wózką i wjechał do kuchni. Po chwili zawarczał ekspres ciśnieniowy, do uszu Wiery dobiegło ciche młasknięcie drzwiczek lodówki, potem syk spienianego mleka. „Ale miał minę” – chichrała się w duchu. Nie umknęło jej uwadze spojrzenie Brunona, którym szybko otaksował ją z góry na dół. „Ciekawe, czy miał kiedyś dziewczynę?” – zastanawiała się. W mieszkaniu nie zauważyła ani jednego śladu wskazującego, że bywa tu jakaś kobieta. Nic.

Dokończyła wcieranie samoopalacza i zakręciła tubkę.

– Muszę umyć ręce – mruknęła do siebie.

Bez namysłu wstała z materaca i w samych majtkach oraz lekko przekrzywionym turbanie chciała przemknąć do łazienki, ale w tym samym momencie Bruno wyjechał z kuchni. Tym razem się zakryła, zdążyła zasłonić piersi skrzyżowanymi ramionami.

– No co? – spytała, widząc jego zdeglustowaną minę. – Nie widziałeś gołej laski?

– Widziałem.

Przewróciła oczami i weszła do łazienki. Ku jej zdumieniu Bruno wtoczył się za nią.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś zostawiała to pomieszczenie w takim stanie, w jakim było przed twoją wizytą. – Pił do śladów jej poprzedniej bytności: wielkiej kałuży wody przed kabiną, piżamy rzuconej na posadzkę i pustej butelki po odżywcze, którą zostawiła w umywalce.

– Jeszcze nie skończyłam. Muszę zmyć samoopalacz, inaczej będę miała brązowe plamy na rękach. – Kusiło ją, by pokazać wnętrza dłoni, a przy okazji zaświecić gołymi cyckami przed samym nosem Brunona, ale uznała, że to dziecinada.

– Miłych ablucji – odparł, obrócił się zgrabnie i wyjechał.

– Ablucji? – mruknęła do siebie.

Wzruszyła ramionami, nie знаła tego słowa, ale miała to w nosie. Umyła porządnie ręce, wytarła podłogę, a piżama wylądowała w koszu na brudy.

– Posprzątałam! – krzyknęła, opuściwszy łazienkę, ponieważ Bruno już zdążył się skryć w swojej jaskini.

– Dziękuję!

Wskoczyła w wygodny dres, zjadła śniadanie i dopiero wtedy przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Wiktora. Zastukała do pokoju dziennego, a kiedy Bruno krzyknął: „proszę”, przesunęła lekko drzwi.

– Można? – spytała.

– Czego sobie życzysz?

– Chciałam skorzystać z telefonu. Z mojego telefonu – podkreśliła.

Chociaż minęło już kilka dni, ciągle pamiętała, jak się wkurzyła, kiedy odkryła, że Bruno zabrał i schował gdzieś jej telefon. Rzekomo takie miał dyspozycje od Sorokina. Dobrze sobie. „Dostałam telefon od Wiktora, to moja własność, nie masz prawa mi go odbierać” – oświadczyła, a wtedy on po prostu obrócił się wózkem i zostawił ją samą.

– Rozumiem. Mogę spytać, do kogo chcesz zadzwonić?

– Do Wiktora.

– A Wiktor to?

– Masz demencję? – Przewróciła oczami. – To znajomy, pracuje dla Grizzly’ego.

– Coś bliżej? – Bruno zamknął laptopa, objechał biurko i zatrzymał się przed Wierą. – Kim jest ten człowiek?

– Mieszkalam u jego krewnej, ciotki Anny, zanim tu przyjechałam. Chcę pogadać o moim powrocie – zreferowała sztucznie monotonnym tonem. – Niech mnie stąd zabierze, ale to już, inaczej zdechnę tu z nudów.

– Usiądź. – Bruno wskazał jej miejsce na sofie. – Dokąd ma cię zabrać?

– Do Moskwy.

– Chcesz wrócić do Moskwy? – spytał, kiedy zajęła miejsce. – Dlaczego?

– Mówiłam, bo mi się znudziło. Znudziła mi się zabawa w ukrywanie. To nie ma sensu. Po co mam tutaj siedzieć? Przeszkadzam ci, nie zaprzeczaj. Skoro jeszcze nigdzie się stąd nie wybrałam, równie dobrze mogę wrócić do Rosji, do domu.

– Do męża czy do rodziców?

– Skąd wiesz, że mam męża? – Wiera przymrużyła oczy.

– Niepotrzebna ci taka wiedza. Myślisz, że ten człowiek się zgodzi?

– Wiktor? A czemu nie?

– To spore koszty. Ktoś musi cię eskortować do granicy, przecież nie pojedziesz PKS-em czy taksówką.

– Ty tak serio? – fuknęła. – Przyjechałam z Grodna pociągiem i jakoś nie umarłam. Nic mi się nie stało, nawet nie zwałam, a mogłam.

– Załóżmy – mruknął. – Byłaś najpilniej strzeżoną pasażerką tego pociągu. Poza tym nie wiem, czy... – uciął.

– Czy co?

– Powiem wprost: dostałem pewne dyspozycje i w pewnym sensie twoja swoboda została poważnie ograniczona.

– Żartujesz? – Wiera wybałuszyła oczy.

– Ja rzadko żartuję, a jeśli tak się stanie, na pewno zauważysz.

– No nie! – Zerwała się z kanapy i stanęła nad nim, celując w jego nos palcem wskazującym. – Nie jestem twoją niewolnicą ani więźniem. Mogę stąd wyjść w każdej pieprzonej chwili, nawet teraz! Oddaj mi mój telefon, pakuję się i spadam stąd.

– Nie ma takiej możliwości. Usiądź, proszę. – Chwycił ją za nadgarstek.

– Powiedz, że to jakiś żart. – Próbowала wyszarpnąć rękę, ale palce Brunona były jak stalowe kleszcze.

– Usiądź – powoził prośbę.

Zwolnił uchwyt, mogła więc zabrać rękę. Potarła zmiażdżony nadgarstek i klapnęła z impetem na siedzisko sofy.

– Słucham! – warknęła.

– Grzeczniej, z łaski swojej.

– Wal się. Będę miała siniaka. – Spojrzała na dłoń, ale szybko wróciła spojrzeniem na Brunona.

– Ktoś cię tu przysłał, odebrałem cię z dworca, a teraz będziesz tutaj tak długo, aż twoi przyjaciele postanowią wysłać cię dalej. Z tego, co mi wiadomo, chcesz się dostać do Londynu, tak?

Wytrzeszczyła oczy.

– Skąd o tym wiesz?

– Skądś wiem – zbył ją. – Chcesz być w Londynie czy nie?

– Tak. Mam tam przyjaciół, poradzę sobie.

– W porządku. Mam pytanie, skoro chciałaś dotrzeć do Londynu, czemu sama tego nie zrobiłaś?

– Bo się ukrywam? – Potrząsnęła głową. – Nie chciałam od razu tam lecieć. Mój ojciec natychmiast by mnie znalazł i sprowadził z powrotem. Kapujesz?

– Ojciec czy mąż?

– Jeden pies. Oni obaj są tacy sami. Mają mnie za zero. Dlatego uciekłam, żeby się wreszcie przestali wpieprzać z buciorami w moje życie. Mam ich dosyć.

– Skoro tak, po co chcesz wracać do Rosji? – słusznie zauważył Bruno, czym wprowadził Wierę w chwilową konsternację, ale szybko odzyskała rezon.

– Nie wiem jeszcze, dokąd wrócę. Może do domu, do mamy, a może pojadę prosto do Londynu. Nie mam kasy, chcę poprosić tego znajomego, żeby mi pożyczył trochę pieniędzy na start, a potem sobie poradzę. Mam w Londynie dwie kumpele, załatwią mi jakąś robotę, ogarnę.

– Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że sama nie wiesz, co teraz zrobić. Nie wiedziałaś, kiedy postanowiłaś się ukryć przed rodziną,

a teraz tym bardziej. Chciałaś zwrócić ich uwagę, sprawić, żeby nareszcie ktoś cię dostrzegł, zaczął się z tobą liczyć. Nie wyszło, a ty tylko się miotasz. Mam rację? – Przymrużył lekko oczy.

– A nawet jeśli masz? – fuknęła.

– Działasz bez planu?

– I co z tego?

– To, że władowałaś się w poważne kłopoty.

– Posłuchaj... – Wzięła głęboki wdech. – Dam sobie radę, zawsze dawałam. Nie oczekuję od ciebie żadnej pomocy, zwróć mi telefon i już. Resztę załatwię sama. Wiktor mi pomoże.

– Wiktor Smółow, pseudonim Cylinder. Jeden z zaufanych ludzi Grizzly’ego. – Oczy Brunona przypominały wąskie szparki. – Wiesz, kim jest ten człowiek? To wielokrotny morderca, egzekutor w firmie Sorokina, jego zaufany przyboczny.

– No tak – bąknęła, zaskoczona informacjami, które przed chwilą padły z ust Brunona. Wprawdzie mogła się domyślać, że Wiktor ma sporo na sumieniu, zresztą tak samo jak Niki czy ojciec, ale skąd Bruno o tym wiedział? I dlaczego wspomniał o tym w tym momencie? – Wiedziałam, na co się piszę, gdy poprosiłam Wiktora o pomoc w ukryciu się – odparła, próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Władowałaś się w solidne kłopoty – powtórzył bez większej nadziei, że dotrą do niej te słowa.

Była jak zaimpregnowana, odporna na rzeczywistość.

– Nie strasz mnie. – Prychnęła. – Nie wiesz, kim jest mój ojciec. Mój prawdziwy ojciec.

– Wasyl Donecki? – Bruno z rozbawieniem zarejestrował minę dziewczyny. Wyglądała, jakby właśnie ujrzała ducha, którym nomen omen był jej biologiczny ojciec od pewnego czasu. Przypuszczał, że ludzie Sorokina trzymali ten fakt w sekrecie przed Wierą, a on nie miał zgody, by jej to przekazać. Ani zgody, ani powodu. – Bolivar to duża postać, ale nawet on ci nie pomoże. – „Prędejsz małżonek” – dodał w myślach.

– Skąd to wiesz?

– Tajemnica Poliszynela – odparł, lecz Wiera mogła nie znać tego określenia, więc dodał: – To taki sekret, który znają wszyscy, ale nikt o tym głośno nie mówi. Naprawdę, jesteś taka naiwna? Grizzly zrobił



porządny *research*, zanim tutaj dotarłaś. Ja też. Wolę wiedzieć, kogo goszczę pod swoim dachem.

– Przestań. Przestań mi mówić to wszystko. – Wiera zamknęła oczy i zakryła twarz dłońmi. – Chcę zadzwonić do Wiktora.

W zasadzie mógł spełnić tę prośbę. Postanowił udostępnić Wierce swój telefon. Pojechał do sypialni, zabrał komórkę i już miał wrócić do dziewczyny, gdy przyszło mu na myśl, że przyda się jej coś na rozluźnienie.

– Dzięki. – Przyjęła szklankę ze zrobionym naprędce drinkiem z wódki i soku.

– Chciałbym być przy tej rozmowie, mogę? – Podał jej iPhone'a.

– A po co? – Natychmiast się spięła.

– Założmy, że czuję się za ciebie odpowiedzialny. Nie mam zgody na umożliwianie ci korzystania z telefonu.

– Wiesz co? Jesteś beznadziejny, taki sam, jak oni wszyscy – wysyczała. Jej oczy ciskały gromy, kiedy wręczył jej telefon z wybranym numerem. – Okłamałeś mnie.

– Dlaczego?

– Znasz numer Wiktora, dobrze wiesz, kim on jest.

– Nigdy nie twierdziłem, że go nie znam – odparł.

– Pieprz się. Nie ufam ci ani za grosz. Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

– Ciii... – Przyłożył palec do ust, bo właśnie ktoś się zgłosił po drugiej stronie.

– Wiktor? – spytała. – To ja, Wierka! – krzyknęła do mikrofonu, bo nie rozpoznał jej głosu.

Bruno wykorzystał moment, nachylił się i przełączył mikrofon na głośnomówiący.

– Wybacz, kolego, ale panna Wiera nalegała – powiedział płynnie po rosyjsku. – Prosiła pilnie o kontakt z tobą.

– Spokojnie – burknął Smołow. – Nic się nie stało. A teraz daj nam porozmawiać sam na sam.

– Widzisz? – Wiera popatrzyła na niego z tryumfem. – Zostaw nas samych.

– Jak chcesz. – Podniósł na moment ręce.

Wyjechał z pokoju, zasunął za sobą drzwi i skierował się do kuchni. Wprawdzie kawę już wypił, nawet dwie, ale na śniadanie zabrakło wcześniej czasu i ochoty. Naszykował sobie kanapki,

ugotował trzy jajka na miękko, szybko pokroił pomidory i nałożył kilka plastrów szynki z indyka na talerz. Już miał zacząć posiłek, kiedy go coś tknęło. Popędził do salonu, odsunął drzwi i wjechał do środka.

Jego podopieczna siedziała na kanapie, trzymała w dłoniach telefon, a jej kciuki klepały na ekraniku z prędkością światła. Nie certolił się, podjechał i wyszarpnął aparat z dłoni Wierki.

– Ej! Co robisz?! – wrzasnęła. Zerwała się z miejsca i nachyliła nad nim, próbując odebrać mu smartfona, lecz nie miała szansy w tym starciu. – Oddaj!

– Bądź poważna – mruknął. Zdążył zobaczyć, czego szukała Wiera i musiał przyznać, że dziewczyna jest uparta jak diabli. – Po co ci taksówka? – spytał, wsunawszy wyłączony telefon między udo a boczne oparcie wózka. – Dokąd się wybierasz?

– Nie twój biznes! – warknęła.

Zostawiła go, a po chwili usłyszał głośnie walnięcie drzwi łazienkowych, aż zadudniło.

– Masz krzepę – parsknął pod nosem. O ile zwykłymi drzwiami łatwo było trzasnąć, o tyle przesuwными znacznie trudniej, zwłaszcza że wszystkie posiadały specjalny system hamujący. – Wiera! – krzyknął, podjechawszy pod łazienkę. – No wyjdź, pogadajmy.

– Pierdol się.

– Oj, nieładnie. Nie musisz być wulgarna.

– Ale mogę! I chcę.

– Szkoda – odparł.

On sam prawie wcale nie używał wulgaryzmów. Brzydził się nimi od dziecka. To przez ojca, ten często powtarzał, że przekleństwa są przywarą głupców i prostaków. Mały Gocza chłonał słowa taty, a po jego śmierci postanowił, że nigdy nie zaklnie, żeby tata nie musiał się wstydzić za niego w niebie.

Jeszcze chwilę poczekał, żeby usłyszeć, co dzieje się za drzwiami, ale w łazience panowała cisza. Nagle coś trzasnęło o posadzkę, jakby upadł na nią jakiś szklany przedmiot. To był ewidentnie ten odgłos. „Rozbiła coś” – pomyślał Bruno, a chwilę później już wiedział, co. Wiera musiała strącić flakon diora, bo już po chwili poczuł intensywny zapach Homme Intense.

Nie czekał na dalszy rozwój wypadków, chwycił za uchwyt i odsunął drzwi. Miał rację: na środku łazienki leżał rozbity flakon, co do sprawczyni wypadku – stała przed otwartą na oścież szafką, podparła ręce pod boki i mordowała go wzrokiem.

– Nikt cię nie nauczył, że nie wolno wchodzić do łazienki bez pukania?

– To moja łazienka. – Rozejrzał się wokół, rejestrując po kolei: otwarte szafki pod umywalką, nad umywalką i tę, z której Wiera strąciła flakon. Na blacie obok umywalki stała rolka papieru toaletowego. „Po co?” – Przeniósł wzrok na Wierę. Co się zmieniło? Rękawy. Przedtem były zasunięte na dłonie, teraz podwinęte do łokci. – Czego szukałaś? – Przymrużył oczy. Zbliżył się do dziewczyny i chwycił za lewą rękę. Podsunął sobie pod nos jej nadgarstek i mocno pociągnął nosem. Skóra pachniała intensywnie, ale nie to było problemem, a niewielkie, prawie niewidoczne blizny, cienkie jak nitki. – Cięłaś się. – Ni to stwierdził, ni spytał.

– Pieprz się, Bruno. – Wyszarpnęła rękę. – Wynocha stąd.

– Nie. – Popatrzył na otwartą szafkę nad umywalką. – Jeśli szukałaś żyletek, muszę cię rozczarować, nie używam. Mam elektryczną maszynkę, jest tam. – Wskazał brodą na granatową kosmetyczkę z logo LV. – Trzeba to posprzątać. – Przeniósł wzrok na odłamki szkła, które zostały z flakonu.

– Posprzątam. Zostaw mnie w spokoju. No już, idź sobie.

– W porządku – odpowiedział, ale nie od razu. Najpierw spojrzał prosto w jej oczy, jakby chciał przekazać, że jej ufa, wierzy, że nie robi żadnego głupstwa. – Szufelkę i zmiotkę znajdziesz w...

– Wiem, jest w schowku, widziałam – przerwała mu. – Wracaj do siebie.

– Okej. Uważaj na szkło, jest bardzo ostre i możesz się skaleczyć – powiedział, wycofując wózek z łazienki.

– Postaram się.

Wjechał do kuchni, zatrzymał wózek pod oknem, podniósł roletę i przez chwilę patrzył na niewielki plac zabaw przed apartamentowcem. Był martwy i cichy. Zamknięty na cztery spusty i otoczony żółtą taśmą. Wiatr kołysał huśtawkami, a na karuzeli siedział mokry gołąb.

„Biedna dziewczyna. Biedna i głupia” – pomyślał o swojej lokatorce.

\* \* \*

Wiera wyszła z łazienki, podreptała do kuchni, żeby zabrać stamtąd kubek na odpadki, ze schowka wzięła parę grubszych rękawic, zmiotkę i łopatkę oraz rolkę ręczników papierowych. Dokładnie wyzbierała okruchy szkła, przetała podłogę ręcznikami i wszystko wrzuciła do śmietnika. „Czemu nie mogę tak samo posprzątać w swoim życiu?” – przygryzła wargi, żeby się nie rozryczeć. Miało być przecież zupełnie inaczej.

W uszach ciągle wybrzmiewał surowy głos Wiktora. Zgnoił ją jak psa, powiedział, że ma siedzieć grzecznie w Warszawie i nie robić żadnych numerów, w przeciwnym razie będą kłopoty. Spytała, czemu nie może wrócić do Moskwy, a wtedy on stwierdził, że chyba zgłupiała. „Nie masz nic do gadania, rozumiesz? I nawet nie próbuj kontaktować się z rodziną, nie szukaj ratunku, bo go nie znajdziesz”. Odparła hardo, że pewien człowiek nie popuści, że na pewno jej szukają, a wtedy Wiktor spytał beznamiętnym tonem:

– Masz na myśli Bolivara? Jego już nie ma.

– Jak to nie ma?

– Nie ma. Ktoś go zastrzelił jak psa. Zgadnij, kto.

Zatkało ją na amen. Dopiero po dłuższej chwili była w stanie powiedzieć, że mu nie wierzy.

– Łiesz, Wiktor. To nieprawda.

– Po co miałbym kłamać? Bolivar wacha piach. Nie jesteś ciekawa, kto go skasował? – Na chwilę umilkł. – Twój małżonek. Odstrzelił ojcu łeb i przejął rządy. To bardzo miłe z jego strony, jeden problem z głowy. Trzeba przyznać, że stary Donecki był godnym przeciwnikiem, dobrze, że synalek wyłączył go z gry. Druga korzyść, twoja wartość wzrosła.

Milczała, więc Wiktor wyjaśnił: została żoną bossa, a ten prędzej czy później musiał się o nią upomnieć. Jeśli nie z miłości, to z poczucia honoru.

– Nie wierzę ci – powtórzyła.

– Spytaj tego ciecia, który cię pilnuje. Potwierdzi moje słowa. Siedź tam, nie próbuj szukać kontaktu z Nikitą, z nikim z twojej rodziny, bo...

– Bo?

– Nie szkoda ci przyjaciół? Na przykład ta dziewczyna, Ida, nadal pracuje u was w domu. Miła, ładna, chociaż nie w moim guście. Byłoby szkoda, gdyby coś jej się stało. Dla twojej rodziny jest nikim, ale ty ją lubisz. Zanim cię przejęliśmy, dzwoniłaś właśnie do niej. Nie przepadam za ostrymi zabawami, znasz mnie, ale inni wolą ostrzej. Paru moich kumpli lubi anal czy podduszanie. Czasami wydarzy się nieszczęście, knebel wejdzie za głęboko albo...

– Zamknij się. – Zdołała wykrztusić.

– Waż słowa – ostrzegł. – Nie mówisz do psa.

– Jesteś gorszy od psa! – krzyknęła.

– Możliwe, ale chcę dla ciebie dobrze.

– Akurat. Bo ci uwierzę.

– Trzymaj się, Wierka.

Rozłączył się, zostawił ją z tym wszystkim, bladą jak ściana, z wnętrzem dłoni pokrytym mgiełką wilgoci. W pierwszej chwili chciała natychmiast zadzwonić do Nikity, spytać go, czy to prawda. Pamiętała numer, była pewna, że Niki go nie zmienił, a jeśli nawet, mogła zadzwonić do Katii, do mamy, w najgorszym wypadku do tego głupka, swojego braciszka. Kostia na pewno wiedział, czy wujek Wasyl żyje czy nie.

Wstukała numer Nikity, ale nie miała odwagi nacisnąć zielonej słuchawki. Co zamierzała mu powiedzieć? Że jest tutaj? W Polsce? Znała dokładny adres, zapamiętała nazwę ulicy i numer budynku, w którym była. Ale nawet Niki nie był w stanie wysłać tu swoich ludzi w ciągu godziny czy dwóch. Zanim pomoc dotrze na miejsce, Wiktor zorientuje się, że złamała zakaz, Bruno poinformuje go, że dzwoniła, a potem...

Wzdrygnęła się. Jej ciało oblał lodowaty pot. Czuła, że brakuje jej tchu, musiała stąd uciec. Uciec, zanim stanie się coś jeszcze gorszego. „Co ja narobiłam?” – przełknęła kulę w gardle. Sprawdziła – internet działał, Bruno nie wyłączył wi-fi, pomyślała, że uruchomi Facebooka i przez Messengera skontaktuje się z kimś, kto mógłby

dyskretnie przekazać wiadomość Nikicie. Próbowwała się zalogować, ale...

– Nie ma mojego konta – szepnęła.

Dotarło do niej, że Wiktor albo ktoś inny zlikwidował jej profil na Facebooku i komunikatorze. To samo z Instagramem. Zniknęła z sieci. Zapomniała sprawdzić dwie skrzynki mejlowe, co swoją drogą było zbędną fatygą, ponieważ już dawno jeden z ludzi Sorokina zmienił ich hasła. Nie myślała logicznie, jedyne, co miała w głowie, to paniczną chęć ucieczki. Zupełnie bezmyślnie zaczęła szukać taksówki. Bezmyślnie, bo nie dysponowała ani kartą płatniczą, ani gotówką. Co gorsza, nie miała pojęcia o tym, że Bruno przetrzepał jej torebkę oraz portfel, zabrał dokumenty i wszystkie pieniądze.

Była zdana na jego łaskę. Jego i Wiktora Smołowa.

– Wszystko w porządku? – Bruno pojawił się bezszelestnie jak duch.

Obróciła głowę. Powoli wstała z kucek i wrzuciła kulę z ręcznika papierowego do kubelka.

– Tak. Chyba nic nie zostało. Dwa razy pozamiatałam. Mogę tu jeszcze poodkurzać.

– Nie trzeba. – Bruno podjechał bliżej, sięgnął po kubek ze śmieciami i dodał: – Wystarczy. Chodź, zrobię ci herbatę.

– Nie musisz. – Wiera wzruszyła ramionami.

– Bez dyskusji.

Oboje udawali, że nic się nie stało. Bruno nastawił wodę, poczekał, aż czajnik pstryknie, zalał łyżeczkę czarnej herbaty i postawił kubek przed Wierą. Wczoraj dotarły zamówione meble: kilka krzeseł, stolik kawowy do salonu, mały wóchaty dywan do sypialni dziewczyny, lampka nocna i parę innych drobiazgów, o które poprosiła. Bruno zdążył skrócić jedno krzesło i stolik. Reszta czekała w kartonach, zostawiona tymczasowo na klatce schodowej.

– Słodzisz?

– Uhm. – Wiera pokiwała głową.

Musiała wyglądać żałośnie, bo prócz cukierniczki na stole wylądowała paczka delicji i słone paluszki.

– Co teraz ze mną będzie? – Odważyła się podnieść wzrok na Brunona. Siedział, milczał i patrzył na nią spod lekko przymrużonych powiek. Miał na sobie ciemną bluzę z kapturem.

Musiał ją lubić, bo często ją wkładał. Co dziwne, kaptur też. Wisiał nad jego czołem, zacieniając twarz i nadając jej mroczny, ale też smutny wyraz.

– To znaczy?

– Co się ze mną stanie? – Wzruszyła ramionami. – Na pewno wiesz.

– A jeśli nie wiem?

– To kłamiesz. – Podniosła kubek i dmuchnęła na parujące lustro płynu. Upiła mały łyżeczek, ale herbata jeszcze nie wystygła. – Powiedz.

– Na razie nie mam żadnych konkretnych wieści. Czekam. Czekamy. – Poprawił się na wózku. – Pojutrze się dowiesz. Wtedy mają postanowić, co dalej.

– Ktoś zadzwoni?

– Tak.

– I na co to wszystko? – Westchnęła. – Ale jestem durna. Wierzyć się nie chce.

– Cóż... – Bruno uniósł brew. – Każdy popełnia błędy.

– Ale bredzisz. – Pokręciła głową. – Wiedziałaś?

– O czym?

– Że mój... Wiktor powiedział, że wuj Wasyl nie żyje.

– Wasyl Donecki, twój prawdziwy ojciec.

– Tak, właśnie on. Ktoś go uśmiercił.

– Nikita. Twój przyrodni brat, a zarazem mąż. – Bruno lekko się skrzywił, bo czuł niesmak za każdym razem, kiedy pomyślał o tej sytuacji.

– Kiedy to się stało? – spytała Wierka, licząc, że to świeża sprawa.

– Niepotrzebna ci taka wiedza.

– Ależ byłam głupia... – jęknęła Wiera. – Nic nie wiedziałam.

– To już wiesz. – Skwitował beznamiętnie Bruno. – Byłaś z nim związana?

– Związana? W jakim sensie? – Wiera od razu wzmożła czujność. Kto wie, o co chodziło Brunonowi z tym pytaniem.

– Emocjonalnie?

– Przestań. – Prychnęła. – Nie znosiłam go. Był beznadziejny. Wyniosły, nadęty, chamski. Zresztą nikt go nie lubił, ani Niki, ani Katia. Nikt. Nawet ciotka Ewa, żona wujka. Na szczęście już dawno

umarła, nie musiała go znosić. Miałam dwóch ojców, a jakbym nie miała żadnego. Beznadziejne, no nie? – Przygryzła kącik ust, żeby się nie rozkleić. – A ty?

– Co ja?

– Jaki był twój ojciec?

– Mówiłem ci. Nie pamiętam go. – Wyraźnie nie chciał drążyć tematu. – Dlaczego się cięłaś?

– Co za głupie pytanie. – Spojrzała przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Myślisz, że chciałam się zabić? – Bruno milczał, więc wyjaśniła: – To nie o to chodzi. Nie, żeby się zabić. Chodzi o kontrolę. O odwrócenie uwagi. Leczysz ból innym bólem.

– Pomaga?

– Nie.

– To czemu to robisz?

– Nie robię. Tylko parę razy spróbowałam – odparła. Bruno musiał wyczuć jej drobne kłamstwo, bo cięła się wiele razy, najpierw z nudów, teraz z potrzeby, dlatego spuściła wzrok.

– A dzisiaj chciałaś powtórzyć.

– Yhm. – Nie było sensu zaprzeczać. – Ale już mi przeszło. Nie musisz się bać.

Uniósł lekko brew, żeby zrozumiała, że wcale się tym nie przejął.

– To przez Wiktora? – dopytał.

– Przez wszystko. Jestem głupia i tyle. Wpieprzyłam się w niezłe bagno, a co gorsza, nikt mi nie pomoże. Ty też nie. – Zamilkła, by po chwili zachichotać. – Chryste, co ja w ogóle gadam? Możesz mi zrobić drugiego drinka? – Spojrzała na Brunona, lecz ten od razu pokręcił głową, czym wcale jej nie zaskoczył. Spodziewała się, że odmówi. – Zawsze musisz sam decydować? Przedtem dałeś mi wódkę, bo tak ci się chciało. Teraz, kiedy ja chcę, ty odmawiasz. Na przekór.

– Jeśli mowa o byciu przekornym... – Mrugnął do niej spod krawędzi kaptura.

– Ponoć jestem uparta. Mama tak zawsze powtarza.

– No właśnie, co z twoją matką?

– A ty co? Opieka społeczna? – Wydeła wzgardliwie usta. – Co cię obchodzi moja matka?



– Nie obchodzi, spytałem z ciekawości. Przecież nie musisz odpowiadać.

– Nic nie muszę.

– Prawie nic.

– A jeśli stąd ucieknę? – Przechyliła głowę. – To wcale nie takie trudne. Mogę zwać przez okno. W nocy. Nawet się nie zorientujesz.

– Drzwi są zamknięte na klucz, okna też. Ale okej, udaje ci się wymknąć. I co dalej? Nie masz dokumentów, nie masz pieniędzy.

Zatkało ją, wprowadzie tylko na chwilę, bo mogła się tego spodziewać. Nie zaglądała do portfela, a teraz nie było sensu. Bruno na pewno nie kłamał. Wzięła głęboki wdech, wbiła w Brunona wzrok i oznajmiła hardo:

– Poradziłabym sobie. Zadzwoń do Nikity i powiem, że ma po mnie kogoś wysłać, przeczekać w jakimś ustronnym miejscu. No co?

– Znowu wzruszyła ramionami. – Na przykład w kościele. Skryję się na noc, prześpię na ławce. Aha, zadzwonię z czyjegoś telefonu, poproszę kogoś, żeby mi pożyczył.

– Niezły plan. Kiedy realizacja? – Wyraźnie z niej kpił. Jego oczy przypominały wąskie szparki, a na ustach błąkał się delikatny uśmiech.

– Wiesz, że nic z tego. – Nagle się stropiła. Podniosła stopy i wsparła pięty o krawędź krzesła. – Nie ucieknę. – Objęła kolana rękami i oparła na nich czoło. – Nie ucieknę stąd, bo Wiktor...

– Szantażował cię?

– Głupie pytanie. Skoro dla nich latasz, wiesz, jak to wszystko działa. Powiedział, że zrobią coś Idzie.

– Kim jest Ida?

– To nasza pracownica. Moich rodziców, ale głównie dla mnie pracowała.

– Była twoją pokojówką? – spytał Bruno, a kiedy Wiera potaknęła, dodał: – Chciałabyś cofnąć czas? Nie wchodzić z nimi w układ?

– Chciałabym, ale o całe życie. Caluteńkie, aż do dnia, kiedy się urodziłam. Zmarłabym zaraz potem, a nie musiała się męczyć. – Westchnęła z goryczą.

– Nasze szczęście, nasze poczucie szczęścia zależy od nas samych, nie od zewnętrznych okoliczności.

– Ja pierdolę, sam to wymyśliłeś czy przeczytałeś w jakimś kretyńskim poradniku? – burknęła spomiędzy kolan. – Co za głupota.

– Przeczytałem.

– Tak czułam. Ktoś, kto to napisał, jest niezłym idiotą.

– Hmm... – mruknął Bruno. – Często podzielam twoje zdanie.

– Nie jesteś szczęśliwy? – Wiera podniosła głowę, żeby móc spojrzeć na Brunona. – To jak? Jesteś czy nie?

– A czy każdy musi być szczęśliwy?

– Chyba powinien, prawda? W życiu chodzi o szczęście. Jaki sens ma życie, jeśli nie jesteśmy szczęśliwi?

– Jakiś ma. Każde życie ma sens, tylko trzeba go określić.

– A twoje? – Wsparła brodę o kolana. – Jaki sens ma życie Bruna?

– Brunona. – Poprawił.

– Niech ci będzie. Twój cel to?

– Sprawiedliwość.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyła czoło. – Sprawiedliwość? – Bruno nie odpowiadał. Domyśliła się, że musi sama odgadnąć, o co mu chodziło i nagle przypomniała sobie, że jest urzędnikiem. – Pracujesz w sądzie?

– Można tak to ująć.

– Naprawdę? – Wyprostowała się i spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz także odrobiną niekłamanego szacunku, a nawet podziwu. Nie знаła osobiście żadnego sędziego, liczni prawnicy, którzy pracowali dla jej ojca, mieli tyle wspólnego ze sprawiedliwością, co nic. Zależało im wyłącznie na kasie, służyli ludziom nie dla sprawiedliwości, a dla zysku. – Powiesz coś więcej?

– Nie. – Zaśmiał się cicho.

– Czemu nie jestem zdziwiona. Albo jestem. Bo wiesz, trochę to dziwne, że pracujesz w sądzie, a jednocześnie... – szukała właściwego sformułowania – latasz dla ludzi pokroju Sorokina. To chyba sprzeczność. Ciekawe, czy w twojej pracy wiedzą, czym zajmujesz się po godzinach.

– Domyśl się.

– Nie boisz się wsypy? A jeśli ktoś doniesie na ciebie do przełożonych albo na policję? Popełniasz przestępstwo.

– Nikt nie doniesie. – Chwycił za obręcz i odjechał na pół metra od blatu stołu, by zaraz wrócić. Zbliżał się i oddalał, tam i z powrotem, nie spuszczał wzroku z Wiery, aż ta poczuła się głupio.

– Czego się gapisz? Bo ci wolno?

– Myślę. – Nagle oderwał przednie kółka wózka od podłogi i zaczął balansować na tylnych, minimalnie wychylając się ciałem, by zachować równowagę. – Widzisz?

– Niby co?

– Nie wywracam się.

– Serio? – Przewróciła oczami. – Co w tym takiego dziwnego?

– Możesz robić wszystko, popełniać błędy, mylić się, iść naprzód i cofać się, ale najważniejsza jest równowaga. Nie wolno jej stracić. Gdy coś wytrąci cię z równowagi, zostaje tylko... – zawiesił głos.

– Upadek? – Nie odrywała wzroku od przednich kółek wózka. Tkwiły w powietrzu, tylko nieznacznie się poruszały, w górę i w dół.

– Trzymaj balans. – Opadł z powrotem na cztery koła. – Panuj nad sobą i nigdy nie trać kontroli.

– Jakies brednie – fuknęła. – Filozof z ciebie.

– Domorosły.

– Ech. – Wiera wstała i podeszła do zmywarki, by włożyć tam kubek po herbacie. – Mam w dupie równowagę. No co za gówno – syknęła z irytacją, bo zapomniała wysypać fusy do kubka z odpadkami i gdy wstawiła kubek na górną półkę, fusy wypadły i zaśmieciły całe dno zmywarki.

– Każda równowaga jest ważna, ta również. – Bruno podjechał bliżej i zaczął pomagać jej zbierać mokre listki. – Jesteś jeszcze młoda, powinnaś zadbać o swoją psychikę – powiedział, zamykając drzwiczki zmywarki.

– A ty stary? – Pokiwała z politowaniem głową.

– Ja? Ja już dawno umarłem – odparł po dłuższej chwili.

Wyjechał z kuchni, zostawiając ją zapatrzoną w jego plecy.

## Rozdział 3

Miasto wyglądało na wymarłe. Bruno jechał przez Warszawę i czuł się jak w przedziwnym horrorze bez aktorów czy statystów. Gdziekolwiek spojrzeć, panowały pustki. Nikt nie spacerował, nie mknął na hulajnodze, a zielone światła na przejściach dla pieszych zapalały się i gasły dla wiatru, który nie był tym w ogóle zainteresowany. Miotał jednorazowymi rękawiczkami i rozpędzał się na bezludnych chodnikach.

Było pięknie. Słońce wpadało przez przednią szybę, Bruno opuścił górną osłonę nad głową, wyjął z kieszonki okulary przeciwsłoneczne i założył je. „Za wcześniej wyjechałem” – pomyślał, zerkając na zegarek. Żałował, mógł dłużej zostać w mieszkaniu. „Kto wie, co strzeli do łba tej idiotce” – martwił się, bo jak dotąd nie zostawiał Wiery samej w domu na tak długo, ale musiał dzisiaj załatwić osobiście pewien trudny temat. Nie dało się inaczej. Stał na czerwonym i szybko klepał wiadomość. Na szczęście facet, z którym miał się spotkać, mógł dotrzeć wcześniej na umówione miejsce.

Zająca, bo taką ksywkę nosił, poznał niedawno, widział się z nim raptem dwa razy, dzisiaj miał być trzeci. Nie ufał mu, zachowywał ostrożność, ale nie było innego wyjścia, tylko ten koleś mógł mu pomóc. Oczywiście trochę pogrzebał, żeby go sprawdzić. Facet nazywał się Filip Zawadzki, żonaty, dwoje dzieci, do tego trzypokojowe mieszkanie niedaleko Parku Szcześliwickiego i nowa skoda. Zawadzki pracował na ćwierć etatu w salonie sieci Joker, a prywatnie pasjonował się fotografią, z pozoru był typowym przedstawicielem klasy średniej, lecz to tylko przykrywka, ponieważ Zajac był alfonsem. W swojej stajni miał ponad dwadzieścia kobiet, głównie z Ukrainy, ale Polki też dla niego pracowały.

Bruno zaparkował pod budynkiem strzelnicy. Miejsce było surowe, obskurne nawet, ale przez to miało swój charakter. Strzelnicę ulokowano w podziemiach, właściciel wstawił ścianki działowe z szarych pustaków, nie bawił się w wykończenia, postawił na

funkcjonalność i dobre wyposażenie. A co najważniejsze: nie zainstalował miliona kamer, to bardzo odpowiadało Brunonowi, właśnie dlatego tłukł się przez całe miasto na ulicę Krakowiaków. Od razu zauważył samochód Zawadzkiego, minął go i podjechał pod windę przemysłową, żeby dostać się do podziemi. Ledwie opuścił windę, a wpadł na Łukasza Górniaka.

– Co słysząc? – spytał gospodarz Guns N’Bullets.

– Stara bieda. A u ciebie?

– Praca zdalna, ogarniam. Jak interes?

– Ludzie świrują, siedzą w domach i im odpierdala. Trzeba odreagować! – Właściciel strzelnicy podniósł głos, żeby przekrzyczeć głośnie kanonadę.

Nie znali się zbyt dobrze, tyle co z widzenia. Dlatego Bruno szybko się pożegnał i ruszył na poszukiwania Zawadzkiego. Ten zamiast wypożyczyć jakiegoś gnata i sprawdzić oko, polazł do kawiarni. To określenie zdecydowanie nie pasowało do mrocznej nory, usytuowanej na końcu wąskiego korytarza, który biegł przez całe podziemia, ale tylko tutaj było względnie cicho, a w rogu stał automat z kawą.

Bruno kupił gorącą czekoladę i dopiero wtedy podjechał do małego stolika, przy którym siedział Zawadzki. Oczywiście pierwsze, co obgadali, to sytuację w kraju. Zając pochwalił się teściową, zakażoną covidem. „Niestety, przechodzi bezobjawowo” – zarechotał, wypijając ostatni łyk kawy. „Akurat ta franca mogłaby podnieść statystyki” – stwierdził z przekąsem.

– Masz coś dla mnie? – spytał Bruno. Podniósł wzrok i czujnie się rozejrzał, ale byli sami, a w tym pomieszczeniu nie zainstalowano żadnego monitoringu, bo też po co, skoro nie było nawet okien.

– Przecież bym nie jechał z pustymi rękami – odparł Zawadzki. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę. – Zgodnie z umową. Sześć zdjęć, chyba wystarczy.

– Zależy, co na nich jest. – Bruno skrył kopertę w kieszeni spodni.

– Kiedy zapłacisz?

– Jeszcze dzisiaj.

– W porządku.

Najpierw strzelnicę opuścił Zając, Bruno został na dwa kwadranse, postrzelał z beretty, a potem poprosił o nową zabawkę w arsenale:

pistolet KelTec CP33 kalibru zero dwadzieścia dwa. Całkiem nieźle się bawił, prawie zapomniał, że w domu czeka na niego Wierka, a co do koperty, jej zawartość sprawdził, ledwie wszedł do samochodu.

Zdjęcia przedstawiały Tomasza Rywala. Facet kilka lat temu zakończył służbę i przeszedł na emeryturę, mieszkał na Ursynowie, tylko on i żona, dzieci nie mieli. Był jeszcze stosunkowo młody, dlatego znalazł sobie zajęcie – został radnym. Praworządny obywatel, skromny, miły, oddany żonie. Swego czasu był partnerem Andrzeja Litwińskiego, oficera, który prowadził sprawę zabójstwa Eduarda Nemsadze. Nie on prowadził śledztwo, był tylko pomocnikiem, ale miał pełny dostęp do akt. Wiedział, kto odpowiada za śmierć gruzińskiego taksówkarza. Na pewno trzymał w ręku ekspertyzę balistyczną, czytał zeznania świadków, był na miejscu zdarzenia.

I nic nie zrobił.

Bruno wyjął telefon, wysłał kasę blikiem, a potem z drugiego aparatu puścił Zającowi krótkiego SMS-a o treści „6/6”. Cała szóstka zdjęć przedstawiała Tomasza Rywala i jego kochankę, Elizę Sobocińską. Gdyby ujęto ich w miłosnym objęciu, przy pocałunku, a nawet w trakcie stosunku seksualnego, nie byłoby zabawy, co najwyżej Sabina Rywal, żona wiarołomcy, mogłaby mieć zastrzeżenia i wystąpić o rozwód, jeśli ktoś uczynny wysłałby fotki do kwaciarni Stokrotka, którą od wielu lat prowadziła. Ale zdjęcia nie przedstawiały zwyczajowego seksu nad Wisłą – po ciemku i pod kołdrą.

Tomasz Rywal spotykał się z Elizą w jej mieszkaniu. Nie miał pojęcia, że to wynajęty apartament, a czarnowłosa Eliza bynajmniej nie zajmuje się zawodowo robieniem tatuaży permanentnych. Nie zdążył jej sprawdzić, dopiero zaczęli się spotykać, a zresztą jeszcze nigdy nie naciął się przez żadną kochankę. Nie zajrzał do torebki, by poszukać jej dowodu osobistego. Widniało na nim imię i nazwisko: Joanna Smutna. Joasia bynajmniej smutna nie była, lubiła swoją robotę, jej opiekun, czyli Zając, dbał o nią. Prostytucja zawsze dawała sporo kasy, a gdy trafiło się specjalne zamówienie, jak choćby to ostatnie, naprawdę nie miała prawa narzekać.

Fotki stanowiły kadry z kilku filmów, nagranych przez trzy kamery, umieszczone w sypialni apartamentu. Bruno pokiwał głową

z uznaniem – musiał przyznać, że kamera lubi Tomasza Rywała. Facet wypadł całkiem nieźle, chociaż wcale nie pozował. Wprawdzie miał dosyć wydatny brzuch, prawie zasłaniał skromne przyrodzenie, ale twarz było dobrze widać. Twarz, ciało, fikuśną uprząż z czarnych skajowych pasków, którą założyła swojemu pieskowi piękna Eliza. Jeszcze bardziej widowiskowe były dwa zdjęcia, na których smaga Tomasza Rywała cienką różgą. Pośladki policjanta pokrywała krwistoczerwona krata, a on sam odwrócił głowę i patrzył na Elizę z miną wiernego psa.

Poprzednim razem Bruno dysponował nieco ostrzejszym materiałem: Andrzej Litwiński dostał podobne fotki, wprawdzie seks był zwyczajny – pozycja misjonarska albo na jeźdźca, lecz jego partnerka, Sandra Włoszek, z którą od jakiegoś czasu się spotykał, chodziła do ósmej klasy podstawówki. Tego związku nikt nie zaaranżował, ale grzechem było nie wykorzystać okazji. Bruno zainwestował w profesjonalny teleobiektyw, śledził Litwińskiego, aż mu się udało.

Zawsze parkował dwie ulice dalej, wysiadał z samochodu, nasuwał nisko kaptur, a brodę ukrywał w podniesionym kołnierzu bluzy. Z plecakiem przerzuconym przez ramię zmierzał do kamienicy stojącej naprzeciwko tej, w której mieszkała Sandra Włoszek. Błyskawicznie pokonywał piętra, wchodził na strych i tam obserwował swoją ofiarę, najpierw rozłożywszy mały przenośny statyw, na którym mocował aparat. Matka Sandry często pracowała na nocki, ojciec jeździł TIR-em, a smarkata zostawała wówczas sama w mieszkaniu.

Litwiński nie miał za grosz rozwagi, spotykał się z Sandrą, ignorując wszelkie ryzyko, również to, że mieszkanie na ostatnim piętrze, gdzie teoretycznie nikt nie może zajrzeć przez okna zasłoniętego muślinową firanką z zadrukiem w różowe motylki, nie gwarantuje stuprocentowej dyskrecji. Na jednym ze zdjęć – Bruno był z niego dumny – można było dostrzec obgryzione paznokcie Sandry Włoszek. Trzymała w dłoniach kutasa Litwińskiego. Na drugim ujeżdżała oficera, a żeby było ciekawiej, skuła jego dłonie i przypięła kajdanki do ramy łóżka. Była też fotka z Litwińskim, który brał Sandrę od tyłu: tułów dziewczyny spoczywał na blacie biurka, a wokół leżały zeszyty i przybory szkolne.

Wtedy Andrzej Litwiński jeszcze pełnił służbę, pracował, właśnie go odznaczono, bo z sukcesem zakończył pewne trudne śledztwo, ważne dla komendanta. Dostał przesyłkę od Brunona, wziął kilka dni urlopu, ale potem wrócił. Zamknął się w swoim gabinecie i po raz ostatni użył służbowego pistoletu, lecz najpierw napisał krótki list pożegnalny. Zawierał tylko jedno słowo: „Wygrałeś”. Treść tego listu znał każdy z ich oddziału. Do kogo był skierowany, wiedział jedynie Bruno.

Telefon piknął, Bruno odczytał wiadomość – Zając dał cynk, że zgodnie z umową nazajutrz podrzuci zdjęcia do skrzynki urzędu dzielnicy Ursynów miasta stołecznego Warszawy. Reszta potoczy się sama.

\* \* \*

– Dziewczyna musi zostać u ciebie – facet po drugiej stronie słuchawki nie pozostawiał cienia wątpliwości. Bruno kojarzył jego głos, ale imienia czy ksywki nie znał. Wiedział, że to zaufany człowiek Sorokina, bo koleś posługiwał się umówionym hasłem i znał w szczegółach ich ustalenia, mimo to wolał wiedzieć, z kim rozmawia. Niestety, jego kontakt nie chciał się ujawnić, a Brunonowi pozostało to zaakceptować, ale Wiery Doneckiej już znosić nie zamierzał.

– Mielicie ją zabrać najpóźniej jutro. Tak się umawialiśmy. Tydzień, w najgorszym razie dziesięć dni i ani godziny dłużej. Termin mija jutro, o czwartej. Minutę później wsiądę do samochodu, zawiozę dziewczynę do centrum i zostawię pod darem narodu radzieckiego, będzie tam pasowała.

– Boss zmienił plan.

– Daj spokój. – Bruno nie zamierzał odpuszczać. Gdy pomyślał, że Wiera będzie mu truć za uszami choćby jeszcze tydzień, oszaleje i skróci jej młody żywot. Była uciążliwa i głupia, poza tym notorycznie wtykała nos w nie swoje sprawy. – Bierzcie ją sobie, była umowa.

– Była umowa, a teraz jest aneks – skwitował rozmówca. – Nie masz wyjścia, Nemsadze. Za dużo o tobie wiemy.



Bruno poczuł na kręgosłupie strużkę lodowatego potu. W jego głowie rozszalała się gonitwa myśli: „skąd wiedzą?!\”, „kto zdradził?”. Był pewien, że żaden z Ruskich, z którymi współpracował, nie ma pojęcia o jego prawdziwej tożsamości, o legendzie, którą stworzył. „Co jeszcze wiecie?” – aż go zatchnęło, gdy pomyślał, że koleś, z którym właśnie się spierał, zna najmroczniejsze szczegóły z jego życia. „Muszę być ostrożniejszy – pomyślał. – Zwłaszcza przy Doneckiej”.

– Niech ci będzie, pogadajmy – wychrypiał.

– Widzisz? – zaśmiał się Rusek. – Od razu inna rozmowa. Jesteś nam potrzebny, Gocza – wymówił prawdziwe imię Brunona. – Włos ci z głowy nie spadnie, ale musisz współpracować. Dziewczyna zostaje u ciebie, masz moje słowo, że zgłosimy się po nią.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– To kosztuje. – Bruno postanowił nie oddawać tanio skóry.

– Co kosztuje?

– Utrzymanie. Mieszkanie, jedzenie. Nie jestem pieprzoną niańką – wymusnęło mu się. – Sorry – natychmiast przeprosił, ale wysłannik Sorokina nawet nie zarejestrował wulgaryzmu.

– Zapłacimy. Mój boss nie skąpi pieniędzy dla swoich ludzi. Ile chcesz? Proponuję pięćset za tydzień pobytu dziewczyny.

– Papierów?

– Przecież nie złotych. – Brunona dobiegł śmiech mężczyzny.

– Tysiąc pięćset.

– Drogo się cenisz, ale fakt, żarcie w Polsce sporo kosztuje.

– Nie chodzi o żarcie. Nic przy niej nie zrobię, nie wyjdę z domu, kto wie, co jej strzeli do głowy. To kłopot – Bruno próbował go zniechęcić. – Kłopot i spore ryzyko. Sam wiesz.

– I tak pracujesz zdalnie, a teraz masz dobry pretekst. Jest pandemia. „Zostań w domu” – Rosjanin wiernie zacytował hasło promujące zachowania w czasie szalejącej zarazy.

– Tysiąc papierów i robimy interes – Bruno ustąpił.

Czuł, że nie ma innego wyjścia. Ufał swojej intuicji, zawsze potrafił na czas zorientować się, że nie wygra bitwy, w której właśnie brał udział. Tym razem znowu usłyszał cichy podszept, żeby złożyć broń. Dzisiaj przegrał, jutro się odkuje, a kasa nie śmierdzi. Tysiąc

dolarów za tydzień opieki nad Donecką to niezła oferta. Inna rzecz, że Bruno wolałby pięćset złotych i tygrysa w roli podopiecznego, nawet chorego na wściekliznę i ze stadem pcheł na grzbiecie.

– Niech będzie.

– Kiedy ją odbierzecie? – spytał ponownie Bruno.

– Nie wiem. Zobaczy się.

– Byle szybko.

– Nie licz na to. A może ty gejem jesteś? – zażartował Ruski. – Dziewczyzna młoda, ładna, co ci przeszkadza? Jest na czym oko zawiesić.

– Mój gust to nie wasz biznes.

– Możesz ją posuwać, to nie mydło, nie wymydli się. – Zarżał. – Ponoć lubi te zabawy, Wiktor mówił.

– Zdzwonimy się.

Bruno się rozłączył, rzucił telefon na łóżko i przyłożył dłonie do skroni. Bolała go głowa, a kiedy pomyślał, na co właśnie przystał, ból stał się nie do zniesienia. „Wytrzymasz, szybko minie” – pocieszył się w duchu. Czekala go trudna rozmowa z Wierą, zażył tabletkę przeciwbólową i wyjechał z sypialni.

Znalazł swoją lokatorkę w kuchni.

– Chyba przeniosę tutaj twoje łóżko – powiedział z kwaśnym uśmiechem.

Od dwóch dni Wiera bez ustanku przesiadywała w kuchni, pichciła na okrągło: to upiekła ciasto, to zrobiła sałatkę.

– Nudzę się. – Wzruszyła ramionami. Otrzeпаła dłonie z resztek ciasta, bo właśnie skończyła je wyrabiać, zawinęła kulę w płat folii i schowała do lodówki. – Będzie tarta, ale nie na słodko, tylko ze szpinakiem.

– Zawsze tak było?

– To znaczy? – Wsparła plecy o blat szafki kuchennej.

– Zawsze spędzałaś w kuchni tyle czasu?

– Nie, no skąd – zaśmiała się. – Mam inne zajęcia. Ciekawsze.

– Na przykład?

– Mam konto na Instagramie... – nagle ucięła, a przez jej twarz przebiegł lekki skurcz, bo przypomniała sobie, że to już przeszłość. Mimo to mówiła dalej: – Mam dużo obserwatorów. Jestem influencerką, wiesz kto to influencer?

– Wiem, nie jestem taki stary. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Nie jesteś. A tak w ogóle ile masz lat?

– Więcej niż ty – zbył ją.

– Ech, strasznie jesteś tajemniczy. – Wydęła usta. – Co do moich zajęć, mówiłam: mam konto na Insta, wstawiam zdjęcia ciuchów, torebek i innych rzeczy. Dużo ludzi mnie obserwuje, bo robię fajne fotki.

– Aha – mruknął, nawet nie udając zaangażowania w rozmowę. – Coś jeszcze?

– Pytasz o moje zainteresowania?

– Raczej obowiązki. Mówiłaś o swoich zajęciach, że są ciekawsze – doprecyzował.

– Dziwny jesteś. Czepiasz się słówek. Podaj mi hasło do wi-fi, wtedy nie będę siedzieć w kuchni.

– Nie ma takiej możliwości.

– Czemu?

– Mówiłem, takie mam... wytyczne. Swoją drogą, muszę ci przekazać niezbyt dobre wieści, mianowicie zatrzymasz się tutaj nieco dłużej niż zakładałem. Minimum tydzień, może dwa. Albo trzy.

– Co?!

Ugięły się pod nią nogi. Oderwała pośladki od krawędzi blatu i podeszła do stołu, musiała usiąść.

– Sorry, nie ja o tym zdecydowałem. Prawdopodobnie obsuwa wynikła przez pandemię. – Bruno postanowił uzasadnić decyzję Grizzly'ego, żeby Wiera nie dręczyła go kolejnymi pytaniami. – Loty są odwołane, granice zamknięte. Uwierz, wcale mi nie jest na rękę twoja obecność, wybaczą szczerą, ale przywykłem do spokoju i samotności. Nie lubię zmian.

– A kto lubi? Serio, mam tutaj siedzieć? Po co?

– Nie wiem.

– Żałuję, że dałam się wkręcić w to całe ukrywanie i ucieczkę. Wychodzi na to, że tam miałabym lepiej.

– W Moskwie?

– Uhm.

– Cóż, teraz za późno na zmianę planów. Musimy jakoś ze sobą wytrzymać.

– Tym bardziej powinienes dać mi hasło do internetu, przecież ja tu zwariuję z nudów. Daj mi hasło albo chociaż pozwól zadzwonić. – Spojrzała błagalnie, nawet zatrzepotała rzęsami, ale Bruno nie dał się nabrać.

– Do Wiktora? – Uśmiechnął się znacząco. – To nie jest dobry pomysł. Możesz czytać, mam sporo książek. Pokazywałem ci.

– Nie lubię czytać.

– Jest Netflix – przypomniał, czując coraz większą irytację, że musi wyszukiwać zajęcia dla primadonny, która boryka się z nudą i nie potrafi funkcjonować bez dostępu do social mediów. – Kiedyś ludzie żyli bez netu.

– OK, boomer. – Przewróciła oczami, bo ujrzała pytanie w jego spojrzeniu. Najwyraźniej Bruno nie znał tego zwrotu, więc dodała: – Poszukaj w Google, co to znaczy.

– Poszukam, a teraz omówmy zasady.

– Znowu? Siedzę tu dziesięć czy jedenaście dni, za chwilę miną dwa tygodnie. Znam zasady, znam wszystko w tym mieszkaniu, każdy pieprzony kąt. Wiem, że nie wolno odsłaniać okien ani próbować wyjść na zewnątrz. Mówiłeś o tym milion razy. – Nieznacznie podniosła głos. – Wrzeszczeć też nie wolno. Ani ci przeszkadzać. Ani stukać w ścianę alfabetem Morse’a, żeby przekazać sąsiadom, że jestem uwięziona przez psychola. No co? – Właśnie mógł zobaczyć jej pełne uzębienie w górnej szczęcie, a nawet wolne miejsca na ósemki.

– Nie posunęłaś się do takiej głupoty – mruknął bez przekonania.

– Ale mogę, znam alfabet Morse’a. – Chwyciła za metalową solniczkę i wystukała o blat stołu sygnał SOS. To było łatwe, więc zaczęła wystukiwać swoje imię, a potem nadała kodem Morse’a „Bruno mnie bije na pomoc”.

Odczytał bez trudu, uśmiechnął się kwaśno i z niedowierzaniem potrząsnął głową, ale otrzymała pochwałę:

– Imponujące. Co jeszcze potrafisz?

– Strzelać. Tata zabierał mnie na strzelnicę.

– O. – Kiwnął głową z uznaniem.

– Umiem gotować i piec ciasta.

– Wyszywać też? – Jawnie z niej kpił.

– Czemu jesteś taki wredny? Wszyscy faceci są tacy, czy tylko ja mam pecha na takich trafiać? Umiesz zachowywać się normalnie?

– Umiem – odparł.

– Co jeszcze umiesz? – przejęła kontrolę nad rozmową. Teraz ona pytała, a Bruno odpowiadał.

– Strzelać.

– Jeszcze powiedz, że masz w domu broń. – Sprawdzała go. Nawet nie mrugnęła, czekając na odpowiedź.

– A co, jeśli mam?

– I tak jej nie znajdę, prawda?

– Gdybyś znalazła, co wtedy?

– Mogłabym cię zabić.

Zapadła cisza. Siedzieli po dwóch stronach stołu, patrzyli na siebie i nic więcej. „Wytrzymam” – postanowiła Wiera, ale pękła po dwóch minutach. Zresztą ich pojedynek na spojrzenia był nudny i bez sensu.

– Powiedz coś. – Przygryzła usta, tuż przy lewym kącie. – Chyba nie myślisz, że mogłabym cię zabić? Nikogo nie zabiłam, ale gdy byłam na studiach, nosiłam przy sobie broń. Tata mówił, że powinnam zawsze mieć ją przy sobie, co nie przeszkadzało mu zatrudnić dwóch kolesi, którzy wiecznie się za mną włóczyli. Z jednym z nich, miał na imię Patrick, straciłam cnotę. Bez sensu. – Zaśmiała się cicho. – Kiedy to było? Boże. – Zakryła twarz dłońmi. – Minęło tyle czasu.

– Skończyłaś studia?

– Uhm – mruknęła.

– Masz dopiero dziewiętnaście lat.

– Skąd wiesz? – Opuściła dłonie, żeby móc na niego spojrzeć.

– Bez przesady. Wiem takie rzeczy. Co studiowałaś?

– Naprawdę jesteś ciekawy?

– Nie mogę być? – Obrócił się na wózek i podjechał do lodówki. Wyjął ze środka butelkę wody mineralnej, po drodze zgarnął z szafki dwie wysokie szklanki i ustawił wszystko na stole. – Prywatna uczelnia?

– Wszystko prywatne, od apartamentu w małym luksusowym domu studenckim, przez wykładowców, przyspieszony tok nauczania, aż po ochronę. Głównie informatyka, ale nie

programowanie, to mnie nie interesowało. Social media, reklama, projektowanie stron, no i języki. Angielski, ale to wiadomo, i niemiecki. Tata nie skąpił kasy. Zawsze miałam wszystko, co mi się zamarzyło.

– Co można kupić.

– Tak, co można kupić. – Sięgnęła po butelkę. Napełniła obie szklanki i przesunęła jedną w stronę Brunona. – Nie spytałeś o Patricka.

– A powinienem? – Chrząknął znacząco w kułak. – Nie mój interes z kim i kiedy straciłaś cnotę – powtórzył słowo w słowo jej określenie pierwszego kontaktu seksualnego.

– To było na pierwszym roku, miałam szesnaście lat. Patrick pracował kiedyś dla królowej Elżbiety. No co? – Wzruszyła ramionami, widząc jego sceptyczny wzrok. – Pracował w ochronie królewskiej, to taka specjalna policja. Potem stamtąd odszedł i świadczył usługi dla prywatnych osób. Na przykład dla mojego taty. Nigdy mi nie powiedział, ile ojciec mu płacił, jemu i Matthew, zmiennikowi Patricka, ale na pewno masę pieniędzy.

– Nie wątpię. – Bruno zabrał szklankę. – Ile miał wtedy lat?

– Aha, to cię boli? – Zachichotała.

– Nic mnie nie boli, tylko pytam.

– Dużo. Patrick był przed czterdziestką.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – Skrzywił się wyraźnie.

– Co w tym dziwnego? Zawsze lubiałam starszych facetów.

– Nie chodzi o to.

– A o co?

– Był twoim ochroniarzem. Mało profesjonalne zachowanie, zwłaszcza u faceta, który z uwagi na wiek musiał mieć spore doświadczenie zawodowe.

– Boże... – jęknęła Wiera. – Przecież nie zrobił mi krzywdy, założył gumkę, był delikatny, zrobiliśmy to, bo...

– Oszczędź mi detali – przerwał jej.

Dopiero teraz dostrzegła, że dół prawego policzka Brunona, tuż nad linią żuchwy, lekko drga. „Zdenerwował się?” – pomyślała, najpierw z satysfakcją, ale szybko zrozumiała, co właśnie się stało. Co prawdopodobnie mogło się stać. Nie była aż tak bezczelna, a Bruno nie dał jej powodu, żeby mu dopiec i spytać, czy zazdrości

Patrickowi. Mogła jedynie spekulować, że przez wypadek motocyklowy i kalectwo Bruno nigdy nie był z kobietą. A jeśli nawet, ich seks nie wyglądał jak u zdrowej pary.

– Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. – Jej głos był pełen wahania.

– Urazić? – Przymrużył oczy, a na jego czole pojawił się lekki mars. – Nie uraziłaś mnie, po prostu to niesmaczne: szesnastolatka i dorosły mężczyzna, który miał ją ochraniać.

– Czyli co? Brzydzisz się mną? – W jednej chwili zmienił się jej nastrój. Teraz czuła jedynie irytację.

– Ta rozmowa nie ma sensu – odparł.

– No tak, najłatwiej powiedzieć, że coś nie ma sensu.

– Na szczęście nie musisz mnie wysłuchiwać.

– Bruno! – krzyknęła, bo bez słowa ominął ją zgrabnie i wyjechał z kuchni. – Bruno! Wracaj!

– Mam robotę! – odkrzyknął.

– *Mudak! Tupica!* – Obrzuciła go inwektywami. – *Tupaja baszka!*

Dopiła resztkę wody z wciąż lekko oszronionej butelki, ale nie ostudziło to jej nerwów. Wybiegła z kuchni, żeby mu powiedzieć, że jest wredny. Fajnie się im gadało, a Bruno musiał wszystko zepsuć. Znalazła go w sypialni, właśnie zdejmował koszulkę. Zastała go z rękami uniesionymi do góry. Szybko je opuścił i naciągnął T-shirt z powrotem, ale zdążyła zauważyć jego nagi tors. „O mamuniu” – jęknęła w duszy. Zatkąło ją. Momentalnie krew wypełniła jej policzki – ależ on miał ciało...

Wystarczyła chwila, by się przekonać, że od pasa w górę Bruno wyglądał jak nieziemskie ciacho, zdążyła dostrzec perfekcyjny sześciopak, nieludzko piękne ramiona, idealną gładkość oliwkowej skóry, a na lewej piersi, tuż nad sercem tatuaż z celtyckim motywem. Przypuszczała, że jest wysportowany, codziennie ćwiczył, słyszała nieraz, jak stęka zza ściany, ale nigdy nie pozwolił jej patrzeć. Przeciwnie – wyraźnie zabronił, ostrzegł, że gdy ćwiczy, nie wolno jej wchodzić do sypialni, zresztą akurat w tych drzwiach był zamek, a Bruno nie omieszkał z niego korzystać.

– No co? – warknął.

– Miałeś pracować. – Wsparła się o framugę.

– I? – Przechylił głowę.

– Czemu zdejmowałeś koszulkę?  
– Czy ty się słyszysz, dziewczyno? Co cię to obchodzi? Nie mogę zmienić koszulki? Przepociłem ją. – Podniósł ręce. Pod pachami miał ciemne plamy.  
– Powiedz, golisz klatę?  
– Słucham? – wykrztusił.  
– Nie masz tam włosów.  
– Chryste. – Bruno chwycił się za głowę. – Nie. To się nie dzieje naprawdę. Wyjdź, słyszałaś?  
– No co? Spytać nie można? – fuknęła.  
– Może chcesz sprawdzić, czy depiluję mosznę? Nie musisz. Tam mam włosy. Coś jeszcze?  
– Świnia!  
Odwróciła się na pięcie.  
„Ja ci jeszcze pokażę!” – warknęła w myślach.



## Rozdział 4

Kociak był mały i żałośnie popiskiwał.

Bruno zadarł głowę, żeby ocenić szanse zwierzaka na ratunek. Nie wyglądało to dobrze, widać, że malec pierwszy raz w życiu wspiął się tak wysoko i sytuacja go przerosła.

– Kici, kici... – zawołał Bruno, lecz kotek nie zwrócił na niego uwagi. Tkwił na konarze jak przyklejony i trząsł się ze strachu. – No chodź, nie bój się. – Bruno jeszcze bliżej podjechał wózkiem. – Skacz, nie bój się – powtórzył, lecz jak powszechnie wiadomo, koty rzadko rozumieją ludzką mowę, a jeszcze rzadziej słuchają poleceń.

Jak na nieszczęście wokół nie było żadnego spacerowicza, zresztą trudno się dziwić, usunąć wszyscy zostali w domu, tylko nieliczni wychodzili na zewnątrz, żeby załatwić niezbędne zakupy czy jakąś pilną sprawę.

– Cholera jasna – zaklął Bruno. – Kici, kici... – Znowu spróbował przywabić kociaka, ale bez sukcesu, strach wygrał z rozsądkiem malucha.

Co robić? Bruno wyjechał spod drzewa i rozejrzał się wokół. Ani śladu człowieka, nikogo. Najwyraźniej społeczeństwo bardzo poważnie potraktowało informacje płynące zewsząd: z każdego medium, z telewizji, radia i internetu. W parku nie uświadczyl spacerowiczów mimo bardzo przyjemnej pogody: od rana słońce przygrzewało, ptaki ćwierkały, a lekki wiatr przynosił orzeźwienie.

– Niech ci będzie, wygrałeś – mruknął Bruno, wróciwszy pod drzewo.

Przysunął wózek do samego pnia i jeszcze raz skontrolował wzrokiem okolicę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wspinał się na drzewo, to musiało być bardzo dawno, ale nie sądził, by mogło mu to sprawić większy problem. W końcu uprawiał wspinaczkę. Rozważał, czy istnieje jakakolwiek szansa, że ktoś go zobaczy, lecz uznał szybko, że to niemożliwe. Akurat w tym zakątku parku nie było monitoringu miejskiego.

Zsiadł z wózka i sprawnie wspiął się na drzewo, musiał uważać, by nie zniszczyć spodni i nie zahaczyć o coś bluzą. Zwierzak siedział stosunkowo nisko, wystarczyło pokonać bez mała trzy metry i już – Bruno schwytał kociaka, a ten zamiast podziękować, natychmiast drapnął go w dłoń do krwi.

– Ej, przestań – mruknął, wkładając kota pod bluzę. – Tak mi się odwdzięczasz? – spytał, schodząc. Wrócił szybko na wózek i po raz enty sprawdził, czy nie miał żadnego świadka swojego bohaterskiego czynu. Odetchnął z ulgą, bo nic się nie zmieniło. – I co z tobą, kolego? – Zwrócił się do puszystego malucha.

Wyjął go i obejrzał uważnie. Malec najadł się strachu, ale prócz tego nic mu nie dolegało. Był ciepły, nie miał żadnych ran czy uszkodzeń skóry, a jego ciemne ślepka patrzyły bystro na świat i swojego wybawcę.

– Gdzie twoja mama, kolego? – spytał Bruno. Podniósł kocię do góry, by sprawdzić, jak wygląda podbrzusze malca i na oko oszacować jego wagę. Nie żeby znał się na tym, tak po prostu – chciał sprawdzić, czy kot jest dobrze odżywiony. Raczej nie wymagał już wyłącznej opieki mamy i matczynego mleka jako pokarmu, ale mógł sam nie dać sobie rady w wielkim świecie, zwłaszcza teraz, kiedy ludzi na ulicach było jak na lekarstwo. – I co z tobą zrobić?

Oczywiście, że przez myśl przemknęło mu, by zabrać kociaka do domu. Może Wierka nareszcie miałaby jakieś zajęcie poza gotowaniem i pieczeniem ciast. Musiałaby dawać mu jeść, sprzątać kuwetę i tak dalej, ale co potem? Potem mógłby jej kazać zabrać go ze sobą. „W sumie?” – zadumał się Bruno. Kot mógł ułatwić mu wiele kwestii, w tym najważniejszą – zajęcie dla dziewczyny. Jakiż potencjał krył się w utrzymaniu kota – opieka nad domowym zwierzakiem zajmowała sporo czasu, angażowała emocjonalnie, a fotki ze zwierzętami niepodzielnie królowały w social mediach. Nareszcie Wierka przestałaby zawracać mu głowę.

– Ja pieprzę, co robisz, człowieku? – Zaśmiał się sam z siebie, bo nigdy nie myślał o posiadaniu domowego pupila.

To było niepraktyczne i pozbawione sensu. Zwłaszcza trzymanie wielkiego psa w ciasnym mieszkaniu w bloku czy posiadanie rybek – tylko kłopot z nimi. Żadnych zobowiązań – tym kierował się Bruno.

A teraz proszę: wystarczył miesięczny pobyt smarkatej Rosjanki i zmienił zdanie.

Zmienił?

Spojrzał na kota i w myślach zrobił listę najpilniejszych rzeczy do kupienia: kuweta, coś do niej: żwirek, trociny? Do tego coś do jedzenia i pośłanie. „A jeśli Wierka ma alergię na sierść?” – szanse kota na zostanie kolejnym domownikiem gwałtownie spadły, lecz ten problem też można było załatwić, najwyżej odda się kota do schroniska albo wystawi ogłoszenie na OLX. „Weterynarz?!“ – kolejny poważny argument, by zostawić sierściucha w parku. Ten, nie mając pojęcia, że właśnie ważą się jego dalsze losy, zwinął się w kłębek na udach Brunona i smacznie zasnął.

– Jesteś niepoważny – skwitował Bruno, naturalnie mając na myśli siebie, nie kota.

Ruszył powoli, żeby nie obudzić zwierzaka. W pobliskim sklepie spożywczym kupił dziesięć saszetek z kocim jedzeniem, spory worek zapachowego żwirku i dwie plastikowe salaterki, zamiast kuwety musiała wystarczyć prostokątna plastikowa miska – niewysoka, idealna do tej roli, a co do pośłania, miał w mieszkaniu kilka pudełek po butach. Wystarczy ułożyć tam jakiś szal czy sweter i miejscówka gotowa.

– Strasznie długo cię nie było – przywitała go Wiera.

Rzadko opuszczał mieszkanie, wybywał sporadycznie po zakupy, których nie mógł załatwić przez internet, ale wtedy wracał szybko, zajmowało mu to góra kwadrans. Gorzej, kiedy musiał pojawić się w biurze, odebrać jakieś papiery albo z kimś pogadać. Wówczas zostawiał Wierę na godzinę, czasami nawet dwie.

– Miałem parę spraw, mówiłem ci – odburknął, jeszcze nie odkrywając kart.

– A po co to wszystko? – Wierka zajrzała do sporej reklamówki, którą zawiesił na uchwycie wózka. – Co to jest?! – pisnęła na widok saszetek z kocią karmą.

– Jedzenie. – Bruno rozpiął suwak bluzy. Kociak od razu cicho, lecz słyszalnie miauknął.

– Czy ty... – Dziewczynie zaiskrzyły oczy. – Mamy kota?! – Odruchowo podskoczyła w miejscu.

– TY masz kota – podkreślił. – To twój kot. No chyba, że go nie chcesz. – Wyjął zwierzaka i podał Wierce. – Cholera, wszędzie mam kocią sierść. – Spojrzał krytycznie na siebie. Zarówno pled, który miał na nogach, jak i bluzę pokrywały niezliczone białe włoski.

– Jaki słodki! – Wiera rozplynęła się w zachwycie. Tuliła zwierzątko do siebie i spoglądała to na swój nieoczekiwany prezent, to na ofiarodawcę. – Jak ma na imię? To chłopczyk czy dziewczynka? Skąd w ogóle go masz? – zasypała Brunona gradem pytań.

– Z parku. Znalazłem go w parku – doprecyzował. – Szwendał się po skwerze.

– Serio? Ale jak? Był sam? A może komuś się zgubił?

– Był sam. Przejechałem park wzdłuż i wszerz, ale poza nim nie widziałem żadnych kociąt czy matki – odparł. – Nie sądzę, by miał właściciela, a teraz pozwól... – Wskazał brodą na drzwi do łazienki.

– Już, już. – Wiera odsunęła się, żeby mógł przejechać.

„To był dobry pomysł” – uznał, zamykając za sobą drzwi. Musiał skorzystać z toalety, poza tym zmienić ciuchy, bo na razie on sam wyglądał jak kocie posłanie. Opuścił łazienkę po kwadransie, zajrzał do kuchni, lecz tam nie było Wiery. Znalazł ją w jej sypialni. Już zdążyła wypakować wszystko z reklamówki, a nawet dać kotu jeść. Wylizywał miseczkę, aż trzęsły się mu uszy.

– Słodki jest, prawda? – Siedziała po turecku przed łóżkiem, które Bruno niedawno kupił i nie odrywała wzroku od zwierzaka.

– Czy ja wiem? – Bruno się krzywił, bo kot wcale nie porażał urodą, rzecz można, że był przeciętny: cały w plamy, szare i białe, z przewagą tych drugich. Na dodatek z higieną stał na bakier, widać, że nie nauczył się jeszcze dbać o futerko. Inna kwestia, że ostatnio dużo padało i mógł po prostu upaść się w kałuży. Kto wie, jakie były jego wcześniejsze losy. – Podoba ci się?

– No pewnie – potaknęła Wiera. – Zawsze chciałam mieć kota, ale... – Nagle ucięła. – Nieważne.

– Zatem masz, jest twój.

– Dzięki. – Dopiero teraz spojrzała na Brunona. – Pewnie jesteś głodny.

– Pewnie tak.

– Zrobiłam obiad.

– Miło z twojej strony. Przypominam, nie musiałaś się fatygować. Można zamówić jedzenie na dowóz.

– Ale chciałam. To tylko jedno danie: kartacze z podsmażoną cebulką.

Oczywiście Wiera zabrała ze sobą do kuchni zarówno swojego pupila, jak i jego miseczki, kuwetę oraz worek żwirku.

– Sugerowałbym, żeby to umieścić w jakimś ustronnym miejscu. – Bruno wskazał na kuwetę. Co jak co, ale nie chciał mieć w kuchni kociej toalety. – Możesz ją ustawić w korytarzu przy schowku na buty lub w łazience.

– Jasne. Zaraz to wyniosę.

Jeśli sądziła, że obecność zwierzęcia natychmiast ogrzeje domową atmosferę, była w błędzie. Bruno zachowywał się bez zmian: był miły, uprzejmy i grzecznie się do niej zwracał. Zjadł obiad, podziękował, powiedział, że znakomite, zaproponował, że robi kawę, wypili ją jak zwykle w dużym pokoju, a w telewizji leciał Polsat News. Gdy wieczorem Wiera poinformowała z dumą: „Nauczyłam koteczka załatwiać się do kuwety”, wyraził uznanie i zadowolenie, lecz próżno było szukać entuzjazmu w jego głosie.

„Mam go w dupie” – pomyślała Wierka, zabierając posłanie kota do swojej sypialni. Zrobiła je z niewielkiego koszyka, który do tej pory pełnił rolę pojemnika na świeże ręczniki. Wymościła kosz kocem i ustawiła zaraz przy łóżku, ale w nocy, nie wiedzieć jak, kotek znalazł się w łóżku Wierki. Widocznie uznał, że tam jest cieplej i milej niż w jakimś koszyku.

– A może ty wymyślisz mu imię? – zaproponowała Wiera nazajutrz. Postawiła przed Brunonem kubek z kawą i usiadła po drugiej stronie stołu.

– Ja? Nie nadaję się na ojca chrzestnego, wybaczone. Zresztą nie znamy płci.

– Znamy, to chłopczyk. Kocurek. – Wiera pogłaskała malca, a ten od razu zaczął cicho mruczeć. – Wymyśl coś, to ty go znalazłaś.

– Nemrod – odparł w końcu, czując, że Wiera nie odpuści.

– Nemrod? – powtórzyła sceptycznym tonem. – Dziwne imię.

– Dziwne, bo psie.

– Wymyślasz imię dla psa, a to jest kot. Coś z tobą nie tak?

– Sama widzisz – odparł. – Ty go nazwij. Na pewno masz większe kompetencje.

– Niech będzie Nemrod. Przywyknę.

– Na pewno. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Ech, no... – jęknęła z zawodem. – Czemu jesteś taki? Wiem, że się wkurzyłeś tą sytuacją, ja też się wkurzyłam. – Spojrzała tęsknie na okno, przysłonięte szczelnie roletą. – Też chciałabym stąd wyjść, zniknąć z twojego życia. To nie moja wina.

Piła do wczorajszego telefonu od Wiktora. Jej były kochanek zadzwonił, żeby przekazać Brunonowi, że Wiera zostaje u niego na kolejne cztery tygodnie.

– Nie wkurzyłem się. Rzadko się złościę. – Odstawił kubek, bo kawa nagle przestała mu smakować. – Raczej się zirytowałem. I tak, masz rację, to nie twoja wina. To zasługa okoliczności.

– No dobrze, ale skoro jesteśmy skazani na własne towarzystwo, mógłbyś się chociaż trochę postarać?

– W jakim sensie? – Uniósł brew.

– W każdym. – Wierce zabrakło konkretnego słowa. – Chodzi mi o to, że...

– Obawiam się, że nie sprostam twoim oczekiwaniom w tej materii, a teraz wybaczyć, mam obowiązki.

Znowu została sama, lecz teraz miała kogoś, kto cieszył się z jej obecności.

– Wiesz co, kiciu? Mam go gdzieś. Oboje mamy, no nie? On nie jest taki zły, uratował cię, kupił ci dobre jedzonko i żwirek. Będzie dobrze, za chwilę zrobi się ciepło, ten cały wirus zniknie, a my będziemy wychodzić na spacer. No pewnie, że nie tutaj. Tutaj nie ma takiej możliwości. Gdzie indziej, na przykład w Moskwie. Kiedyś zabiorę cię do Moskwy. Albo nie. – Przerwała na chwilę swój cichy monolog. – Oj, nie wiem, gdzie będziemy mieszkać, ale na pewno w jakimś miłym i ciepłym miejscu. Zobaczysz. – Przytuliła kociaka do siebie. – Będzie dobrze.

\* \* \*

Mały Nemrod nareszcie zasnął, inna rzecz, że więcej czasu spał niż się bawił, widocznie lubił spać, a może to było typowe dla takich

młodych kociąt. W każdym razie spał jak suseł, a Wiera mogła zająć się czymś innym. W jej głowie odbyła się krótka polemika: ugotować obiad? Może upiec ciasto? A najlepiej nic nie robić! W końcu kto doceniał jej starania? Bruno? W życiu.

Wprawdzie zjadał chętnie każde danie, które serwowała Wierka, nigdy nie marudził na widok długiej i skomplikowanej listy zakupów spożywczych, zamawiał wszystko bez szemrania i płacił, lecz nic ponadto. Gdy Wiera spytała, czy mu smakuje, mówił, że owszem, bardzo smaczne, lecz często dodawał: „Niepotrzebnie się fatygowałaś, można zamówić gotowe dania, przypominam, tutaj niedaleko jest firma cateringowa, wystarczy kwadrans i masz jedzenie dostarczone pod drzwi”.

Na początku jej pobytu tak właśnie było: Bruno wybierał coś z menu, dzwonił, płacił dostawcy gotówką lub kartą, zabierał jedzenie do kuchni, zjadali posiłek i już. Nawet jej smakowało, nie chodziło o jakość tych dań, tylko o wysiłek. W domu mama zawsze gotowała obiady, nawet gdy stali się bardzo bogaci i w samym ogrodzie wokół ich willi pracowało ośmiu ludzi. Dbali o posesję i czystość w ogrodzie, na podjeździe, w garażach i wokół basenu. Mama nie musiała sama przygotowywać posiłków i z biegiem czasu scedowała szykowanie śniadań i kolacji na kucharkę, lecz obiad pozostał.

Gdy Wiera powiedziała, że będzie codziennie gotować, Bruno pokazał jej każdy zakątek kuchni, otwierał szafkę po szafce, ale nietrudno było zauważyć, że pichcenie w kuchni nie jest domeną jej właściciela. Równie dobrze mógł zmienić to pomieszczenie w bibliotekę czy trzecią sypialnię, zostawić jedynie ekspres do kawy, dzbanek na wodę i lodówkę. No, może jeszcze zmywarkę do naczyń, uruchamianą raz w tygodniu, by umyć kubki, filiżanki i łyżeczki.

Wiera podumała, ale nuda wygrała z irytacją na niewdzięcznika. Szybko przygotowała barszcz, ulepiła uszka, a gdy stwierdziła, że Nemrod nadal chrapie w najlepsze, postanowiła trochę posprzątać. Z tym nie szło jej tak dobrze jak z gotowaniem. Raz, że nie lubiła sprzątać. Gdyby nie domowa służba, w jej panińskim pokoju panowałby totalny bajzel. A dwa: nie umiała. Nikt jej nie uczył dbać o ład i czystość, mama nie zajmowała się takimi rzeczami, dlatego Wierka uznała, że też nie musi.

– Czym się myje podłogę? – wymamrotała, patrząc na zawartość plastikowego boksu, który stał na półce w schowku. – To powinno być dobre. – Wybrała zielony płyn o zapachu konwalii. Wlała połowę butelki do miski znalezionej w kuchennej szafce i spojrzała krytycznie, bo zielona ciecz ledwie zakryła dno. – A niech będzie. – Przechyliła butelkę, żeby opróżnić ją do końca.

Szybko napotkała kolejny problem: jest miska, jest płyn, ale czym umyć podłogę? Gąbką do naczyń? Musiało minąć piętnaście minut gorączkowych prób znalezienia czegoś, co mogłoby spełnić rolę ścierki, zanim Wiera odkryła cały zestaw: mop oraz wiaderko z nakładką wyzymającą wodę. No właśnie – woda. Że też od razu nie wpadła na myśl, że trzeba rozcieńczyć płyn wodą.

– Chciałaś myć samym płynem? Jesteś głupia, koleżanko – skwitowała.

Przekonała się jeszcze dobitniej o swoich brakach w edukacji pani domu, gdy w całym mieszkaniu zaczęło pachnieć jak w Sephorze. Puściła klimatyzację i otworzyła maleńkie okienko w łazience, ale nic to nie dało, podobnie jak uruchomienie wyciągu nad kuchennym piecem.

– Zaraz się zrzygam – jęknęła Wiera, czując obrzydliwie intensywny zapach konwalii. – Bruno mnie zabije. Nie ma opcji.

Wprawdzie przemyślała drugi raz wszystkie podłogi czystą wodą, lecz uparty zapach nie chciał ustąpić. Najbardziej śmierdziało w dużym pokoju, tam gdzie Bruno spędzał najwięcej czasu. Bez namysłu szarpnęła klamkę drzwi balkonowych, a te po prostu się otworzyły.

– O! – wykrzyknęła, zadowolona ze swojego odkrycia.

Szybko zamknęła Nemroda w swojej sypialni, żeby nie przyszło mu do głowy zwiać, i wróciła do dużego pokoju. Wyszła na taras, upajała się świeżym powietrzem i właśnie wtedy, na tarasie, zobaczył ją Bruno.

– Prosiłem, żebyś nie opuszczała mieszkania.

– Nie opuściłam. – Wzruszyła ramionami, bo minął już kwadrans od powrotu gospodarza, a ten nie przestawał do tego wracać.

Zdążył ją ochrzanić zaraz po wejściu do środka, potem, kiedy podawała mu obiad i teraz, gdy odkrył, że w jego sypialni podniosła roletę.



– Miałaś tutaj nie wchodzić. – Przypomniał. – Znasz słowo prywatność? Wiesz, co to takiego? – burczał. Podjechał do okna i gwałtownie zaciągnął zasłony.

– Jesteś wstrętny! – wypaliła, zła jak osa na jego niewdzięczność.  
– Chciałam posprzątać, umyć podłogę, nawet twoje buty umyłam! Wszystkie! Niektóre były całe w brudzie!

– Buty? Moje buty nigdy nie są brudne. – Okręcił się na wózku i stanął przodem do niej. – Co jak co, ale butów myć nie musiałaś. Zresztą nic nie musiałaś, przypominam, dotychczas sam ogarniałem porządk, nie wymagam od ciebie pomocy.

– Miałaś brudne buty, panie Samodzielny. I to bardzo. Szorowałam je szczoteczką!

– Słucham? – Bruno przechylił głowę.

– Wyszorowałam twoje zaszrane buty szczoteczką, coś się paniczowi nie podoba? – Wierka nie czekała na reakcję, wybiegła z sypialni, by za chwilę wrócić, dzierżąc w dłoniach sportowe buty Brunona. Miały białą podeszwę i to właśnie podeszwy Wiera wypucowała na błysk, bo wcześniej nosiły ślady błota, a brzegi pokrywały smugi z trawy i czegoś ciemnego. – Widzisz? Jak nowe!

– Ach, te buty... – Ku jej zdumieniu Bruno nagle spuścił z tonu. Mogłaby przysiąc, że lekko się zarumienił, lecz przy jego karnacji ciężko było to zauważyć.

– Tak, te buty. Były brudne.

– Te buty. – Bezwiednie podrapał się po głowie. – Musiałem je zabrudzić od wózka. No tak, pamiętam, byłem wtedy...

– Boże... – Wiera przewróciła oczami. – Czy to ważne, gdzie je zbrudziłeś? Nie, nieważne. – Cisnęła trampkami na podłogę. – Wiesz, co jest ważne? Że w ogóle nie doceniasz mojej pracy.

– No tak, przepraszam – odparł.

I znowu: głównie podświadomie, lecz zdołała dostrzec wyraźną ulgę na jego twarzy.

„O co ci chodzi?” – pomyślała, patrząc na Brunona. Ten podjechał bliżej, podniósł trampki i położył na udach.

– Nie złość się. – Przybrał skruszoną minę.

– Nie złoścę się. – Wierka założyła ręce na piersiach, dając mu do zrozumienia, że wcale jej nie przeszło. – Chodzi mi o szacunek.

O podstawowy szacunek dla drugiej osoby. Dla mnie. – Rozplotła ręce i wskazała na siebie. – Masz mnie szanować.

– Przepraszam. Już nigdy nie podniosę na ciebie głosu.

– Nie chodzi o to! – Tupnęła bezsilnie. – Możesz wrzeszczeć, nie przeszkadza mi to. Masz mnie zauważać. Zauważać! – Powtórzyła dobitnie.

– Zauważać.

– Tak.

– Jasne. Proszę o wybaczenie. – Lekko skłonił głowę.

– Znowu się wygłupiasz. – Prychnęła. – Ale niech ci będzie, powoli przy... przyzwyczaj...

– Powoli przywykasz – odpowiedział.

– No właśnie.

– Czy zostało ci może ciasto? To z wczoraj? – Wyraźnie próbował ją obłaskawić. Nawet się uśmiechnął: szczerze i szeroko.

– Zostało. Jest w lodówce.

– Mogę liczyć na kawałek? Było naprawdę świetne.

– Nie bądź taki zdziwiony. Umieć piec ciasta. No to chodź, zjemy razem – zaproponowała.

– Panie przodem.

Pomaszerowała do kuchni, a za nią Bruno. Nie zauważyła, że zrzucił trampki na podłogę w korytarzu i dyskretnie wepchnął je stopą pod komodę. Tylko on wiedział, że popełnił kardynalny błąd. Dotarł do kuchni chwilę później. Obserwował Wierkę, przeklinając przy tym swój brak ostrożności. „Niewiele brakowało” – jeszcze nie opadły emocje, dlatego sięgnął po dzbanek z wodą i napełnił szklankę.

– A co słyszać u Nemroda? – zagadał.

– Matko! – pisnęła Wiera. Rzuciła nóż na deskę i wyleciała z kuchni jak poparzona.

– Bogu dzięki – mruknął.

Wychylił się, żeby sięgnąć po spory kawał brownie. Wsadził go do ust i powoli przeżuwał. Sytuacja była opanowana, przynajmniej na razie, ale czuł, że musi wzmocnić środki ostrożności.

## Rozdział 5

Jeśli Bruno sądził, że ma do czynienia z typową słodką blond idiotką, był w grubym błędzie. Właśnie minęły dwa tygodnie od pamiętnego popołudnia, kiedy Wiera wyperfumowała cały apartament konwaliowym płynem. Pilnował się, był uważny i czujny, co trochę mu przeszkadzało, ale jednocześnie było doskonałym sprawdzianem jego poczynąń. Przy Wierce nie dało się wrzucić na luz. Nawet jej podopieczny, Nemrod, nie gwarantował mu spokoju. Kot przeważnie spał, nie lubił broić, za to jadł za trzech. Całe dni spędzał w swoim legowisku, ożywiał się wieczorami, ale nawet wtedy zabawa trwała nie dłużej niż godzinę. Powoli Bruno zaczął rozumieć, że to nie on tutaj rządzi, a pyskata smarkula. Ale sam jej na to pozwolił. Najgorzej było, gdy musiał wyjść i coś załatwić. Wracał do domu z duszą na ramieniu, gotowy na wszystko, co może zastać po przekroczeniu progu. Nie mógł pojąć, czemu jego intuicja milczała, kiedy wyrażał zgodę na przyjęcie Wiery Doneckiej pod swój dach.

Zadawała mnóstwo niewygodnych pytań, drażyła, truła. Chciała zobaczyć, jak ćwiczy, kiedyś wlaźła mu do łazienki podczas kąpieli. Czuł, że ma taki plan i już od kilku dni brał prysznic na siedząco. Nie zakładał najgorszego, był pewien, że zapędy Wiery wynikają z jej wrodzonej ciekawości świata. Właśnie dlatego kiedyś spytała, czemu zawsze zabiera ze sobą pled, gdy wychodzi z domu. Przecież było ciepło i nie musiał zakrywać nóg.

- Gdy nie używasz mięśni, nie chodzisz, łatwo marzniesz.
- Ale ty używasz mięśni. Kręcisz kołami.
- Obręczami – poprawił.
- O Jezu, niech ci będzie. Kręcisz obręczami. Przecież widzę, że czasami wracasz spocony z zakupów, to jak? U góry jesteś spocony, a w nogi ci zimno?

Wy tłumaczył, że dolne partie ciała wyziębiają się pierwsze. Bo są na dole.

Możliwe, że łyknęła to wyjaśnienie, bo już nie wróciła do tematu, a on stawał na głowie, by znaleźć jej zajęcia: już nie tylko gotowała na pełny etat, ale sprzątała całe mieszkanie i robiła im wspólne pranie. Zaproponował to, nie martwiąc się ewentualną odmową, a kiedy przystała na jego prośbę, odtrąbił w głowie hymn zwycięstwa. Ale nie ma nic za darmo. Oczywiście, nie chciała pieniędzy, natomiast poprosiła go o więcej czasu spędzanego we dwoje.

Miał z nią gadać, grać w planszówki, oglądać wspólnie telewizję, głównie seriale na Netfliksie, czasami śledzili wiadomości i komentowali sytuację wywołaną przez pandemię. Odważyła się nawet spytać, czy mógłby jej udostępnić laptopa, bo chciałaby skorzystać z netu, lecz wtedy musiał z żalem odmówić. Żal był szczery. Mógł sobie wyobrazić, ile miałby spokoju, gdyby podał Wierce hasło do wi-fi i zwrócił telefon.

Dzisiaj poświęcił jej prawie cztery godziny. Obejrzelili ciurkiem pierwszy sezon serialu *Dom z papieru*. O ile na początku serial był interesujący i szybko go wciągnął, o tyle po szóstym odcinku Bruno miał dosyć. Ziewnął, przeprosił Wierę, przesiadł się z kanapy na wózek i pojechał do łazienki. Wziął szybki prysznic i wyszedł, ale zanim skrył się w sypialni, zajrzał jeszcze do dużego pokoju. Wiera zniknęła. „Pewnie jest u siebie” – pomyślał, ale nie chciało mu się sprawdzać.

Położył się, otworzył jakąś niezbyt ciekawą książkę, żeby szybciej zasnąć, gdy Wiera odsunęła drzwi i wkroczyła do pokoju.

– I co tam? – Spojrzała na niego.

– Miło, że zapukałaś. – Westchnął.

– Miło, że jesteś kłamcą.

– Słucham? – Odłożył książkę grzbietem do góry, myśląc, że teraz już na pewno się nie uspokoi.

– Wiesz co, Bruno? – Zawiesiła głos dla lepszego efektu. – Myślę, że profesorek z tego serialu mógłby się uczyć od ciebie.

Parsknął śmiechem, bo sytuacja zaczęła być zabawna: Wiera podeszła bliżej, chwyciła za rączkę wózka i zaczęła go ciągnąć przez pokój.

– Usiądź, będzie łatwiej.

– Możliwe, masz większe doświadczenie. – Obróciła wózek przodem, ale zrezygnowała. Zawlokła wózek do przejścia i spojrzała na Brunona z kwaśną miną. – Pożegnaj się. Nie będzie ci już potrzebny.

– Co ty odwalasz? – Bruno czuł, że jeszcze chwila i straci panowanie nad sobą.

– Nic nie odwałam, sprawdzam swoje podejrzenia.

– Czyli?

– Zaraz zobaczysz. – Wierka nie zamierzała dłużej zwlekać. Szarpnęła wózką, bo zaklinował się w przejściu, lecz w końcu udało jej się przepchnąć go na korytarz. Wcześniej obawiała się, że go nie udźwignie, a musiała to zrobić, żeby wcielić w życie swój plan, ale na szczęście był dosyć lekki. – Zaraz zobaczysz, co odwałam! – krzyknęła hardo.

Nie czekając na reakcję Brunona, przetaszczyła wózek do salonu, otworzyła okno na oścież i szybko oceniła, czy jego rozmiar jest wystarczający, by wyrzucić wózek na taras.

– Zmieści się – stwierdziła. – Nawet nie trzeba go składać.

Wprawdzie kilka razy widziała, jak robił to Bruno, lecz ona sama nigdy nie wypróbowała tej umiejętności w praktyce. Wolała nie sprawdzać, czy sobie poradzi. Nie miała czasu. Za to odpięła koła, akurat to było proste: naciskało się na oś i kółko dało się banalnie łatwo wypiąć. Podniesienie wózka do poziomu parapetu i wyrzucenie go na zewnątrz wymagało nieco sprytu i wysiłku, ale dała radę. Gwałtownie uderzył o twardą posadzkę, możliwe, że właśnie coś się zepsuło lub złamało, lecz Wierka nie dbała o to. Za wózką poleciały oba koła i poduszka.

– Co ty wyprawiasz?! – Nagle dobiegł ją głos Brunona.

Odwróciła się. Nie słyszała, kiedy tutaj dotarł. Siedział na podłodze, wsparty na dłoniach, plecami do niej, a jego nogi bezwładnie spoczywały z tyłu. Żeby móc ją widzieć, obrócił głowę.

– Jeśli szukasz swojego pojazdu, jest tam. – Wskazała brodą za okno. Zdążyła je zamknąć i nawet zasunąć grubą firanę. – Zabierz go sobie, o ile w ogóle jest ci potrzebny. Słyszysz? – Podniosła głos, bo Bruno nie reagował. – Słyszałeś, co powiedziałam?

– Skąd miałaś klucz?

– Stąd. – Pokazała palcem okno. Z dziurki pod klamką wystawał klucz.

Bruno zaklął w duchu, znowu zapomniał go schować.

– Nie wiem, co strzeliło ci do głowy i dlaczego uznałaś, że nie potrzebuję wózka. Szczerze? Chyba masz jakiś problem.

– To ty masz problem. – Zaplotła ręce na piersiach. – Jesteś zwykłym kłamcą.

– Ponieważ? – Spiął się lekko.

– Ponieważ udajesz, że nie możesz chodzić.

– Interesujące. Szkoda, że nierealne. – Westchnął.

– I co robisz? – spytała, widząc że Bruno podciąga się na rękach i w ten sposób przemieszcza w stronę drzwi balkonowych. – Ja pierdołę, ale z ciebie głupek. Nie kapujesz? *Game over*, zabawa się skończyła.

– Mówiłem, że nie lubię wulgaryzmów? Nie toleruję takiego słownictwa, zwłaszcza we własnym domu – odparł niewzruszony. Wyciągnął rękę i szarpnął za klamkę skrzydła drzwi na taras. Akurat te były zamknięte na klucz, a ten został w szufladzie biurka. – Masz coś z głową, dziewczyno.

– Tak? Ja mam?! – Aż nią zatrzęśło. – Nie wierzę ci! Kłamiesz. Mówisz, że nie masz czucia w nogach, a przed chwilą widziałam, że ruszyłeś nogą. Lewą – doprecyzowała.

– To ruchy spastyczne. Mimowolne. Chryste, dziewczyno, daj mi wreszcie spokój. Pomyśl, a jeśli za grosz nie masz rozumu, to chociaż miej trochę szacunku do mnie.

– Coś ci pokażę!

Wierka wypadła z pomieszczenia, musiała mu przedstawić ostateczny dowód na poparcie swojej teorii. Szybko odnalazła parę dżinsów, które przed kwadransiem Bruno wrzucił do kosza na brudy i zabrała ze sobą. Kiedy wróciła, Bruno siedział na sofie. Pokręcił głową na jej widok, pewnie chciał powiedzieć, że jest niepoważna, skoro znowu drąży temat uszkodzeń przy nogawkach, lecz go uprzedziła:

– Tak, wiem. Nogawki są poszarpane z tyłu, bo trzesz nimi po chodniku. Już to kiedyś ustaliliśmy.

– Do rzeczy. – Bruno głęboko westchnął. – Nie wierzę. To się nie dzieje naprawdę.

– Tak, to się nie dzieje naprawdę. Twoje pieprzone kalectwo się nie dzieje. – Gwałtownie cisnęła spodniami, wylądowały na podłodze tuż przed Brunonem. – No popatrz na nie. Zobacz, jak wyglądają te spodnie.

– Jak wyglądają? Nieźle. Bardzo je lubię. – Bruno schylił się, podniósł džinsy i złożył w kostkę, ale po chwili namysłu zmienił zdanie. Postanowił je włożyć.

– I po co ta demonstracja? – Oczy Wierki zacisnęły się w wąskie szparki, kiedy obserwowała ten proces. – Umiesz normalnie włożyć spodnie.

– To jest normalne wkładanie spodni – odparł spokojnie. – Właśnie tak wkładam spodnie.

– A ja wkładam na stojąco.

– Zazdroszczę, to znacznie wygodniejszy sposób.

– Masz rację. A teraz coś ci pokażę. – Wierka usiadła obok Brunona i rozszerzyła nogi. – Spójrz!

– Ekhm... – Bruno chrząknął. – Gdzie mam spojrzeć?

– Tutaj! – Wskazała na miejsce, gdzie kończył się suwak džinsów i zaczynał gruby szew. – Tutaj zobacz!

– Cóż, nietypowa prośba, ale niech będzie. – Zaśmiał się cicho. – Co konkretnego masz na myśli? – Nachylił się. Mógł z łatwością wyczuć całkiem przyjemną mieszaninę zapachu proszku do prania, jakichś perfum i kobiecego potu, wzmocnioną ciepłem ciała. – Czy naprawdę zmusiłaś mnie do podziwiania swojego krocza? Jeśli tak, mogłaś zdjąć spodnie, byłoby...

– Co widzisz? – Przerwała mu. – Powiedz, co widzisz?

– Hmm... – mruknął. – Widzę džinsy, są lekko przetarte i wkrótce... – chciał dodać, że robi się tam dziura, gdy nagle dotarł do niego cel prośby Wierki, cel całego zamieszania.

„Załatwiła mnie” – pomyślał. Nie musiał zaglądać między własne uda, żeby wiedzieć, że jego spodnie wyglądają tak samo w tym miejscu: są przetarte w kroku, a tego nie da się zrobić siedząc. Takie uszkodzenia tworzą się wyłącznie przez częste chodzenie w džinsach.

– Bruno, przestań kłamać. Mnie nie oszukasz – powiedziała, kiedy się wyprostował i na nią spojrzał. – Patrzyłam dzisiaj na ten serial. To przez profesorka postanowiłam się z tobą rozmówić. Już dawno

wiedziałam, że oszukujesz, tylko... – przygryzła kącik ust. – Tylko się bałam.

– Czego?

– Ty mi powiedz. Dlaczego oszukujesz? Coś ci grozi? – Zniżyła głos prawie do szeptu.

– Nie, nic mi nie grozi.

– Czemu ci nie wierzę? Prawie się udało, prawda? Te wszystkie rzeczy... – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Przesuwne drzwi, klamki zamontowane nisko, niskie blaty w kuchni, uchwyty w łazience. Dałam się nabrać, każdy by się nabrać.

– Ale nie każdy odkrył prawdę. Nikomu dotychczas się nie udało.

– To ma być komplement? – Wydeła usta.

– To jest komplement.

– Łał. Łał – powtórzyła. – Nie mogę się otrząsnąć.

Przez chwilę Bruno trwał w milczeniu, ale musiał coś w końcu powiedzieć. Lub zrobić.

Zrobił więc: wstał.

Wstał i wyszedł, zostawiając Wierę z rozdziawioną buzią. Rzecz jasna oczekiwała takiego zakończenia śledztwa, ale nie była przygotowana na widok Brunona, który przemieszcza się równie swobodnie jak ona. Nie popędziła za nim, by tryumfować, wygłaszać wszem wobec, że odkryła sekret Brunona, zdemaskowała go jak najlepszy śledczy, ponieważ ją konkretnie wmurowało. Gdy wrócił, siedziała i tępo patrzyła przed siebie.

– Muszę zabrać stamtąd wózek, pomożesz? – spytał.

Przeniosła wzrok na Brunona. Podeszedł i dał jej klucz do zamka w drzwiach balkonowych.

– Chyba się uszkodził – napomknęła, biorąc klucz. – Coś chrupnęło, kiedy go upuściłam.

– To dobry wózek, odporny na upadki.

– Przepraszam, powinnam była uważać.

Na szczęście Bruno miał rację, wózek nie ucierpiał dotkliwie, a rama ze stali molibdenowej spisała się na medal.

– Nic się nie stało. – Usiadł na nim i przejechał kilka metrów w przód i w tył. – Jak nowy.

– Będiesz go używał?

– No pewnie.



- A w domu? Przede mną nie musisz udawać.
- Przed tobą nie.
- Ale przed innymi tak? Powiedz, czemu?
- Nie twój biznes – odparł. Wyjechał z pokoju, ale tym razem Wiera postanowiła za nim podążyć.
- Ej, no. – Stała w progu sypialni Brunona. – Czemu jesteś taki?
- Niby jaki? – odpowiedział pytaniem. Zgrabnie przesiadł się z wózka na łóżko i spojrzał na Wierę spod przymrużonych powiek. Jego oczy zdawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle. – Czego ode mnie oczekujesz? Rzewnej historii? Wytlumaczenia legendy, którą sobie stworzyłem? Widocznie miałem powody.
- Jakie? – Wsparła się ramieniem o futrynę.
- Jakieś. A teraz wracaj do swojego kota, pewnie tęskni za tobą.
- Świnia! – fuknęła z irytacją. – Jesteś beznadziejny.
- Zgadza się – odparł.

W końcu zrozumiała, że nie zamierza z nią gadać, na wyjaśnienia nie miała co liczyć, wyszła więc, zostawiając go z prawdziwą burzą myśli. Nie dał po sobie poznać, jak nim wstrząsnęło odkrycie lokatorki. Kolejny bastion prywatności legł w gruzach, Wiera już wiedziała o mistyfikacji, kwestią czasu było, kiedy reszta tajemnic ujrzy światło dzienne. Ruscy już znali jego prawdziwą tożsamość, za chwilę odkryją, gdzie mieszka, o ile już tego nie wiedzieli. Ktoś mógł go przecież śledzić, gdy odbierał Wierę z dworca.

- Niech to szlag – zaklął cicho.

Miał w planach lekturę, przygotował książkę, lecz umysł nie chciał współpracować. Wzrok ślizgał się po słowach i zdaniach, lecz nie rejestrował ich sensu. Równie dobrze Bruno mógł czytać tę powieść od tyłu. Odłożył książkę na szafkę nocną i zgasił lampkę. Znowu udawał – tym razem, że śpi. Był pewien, że Wiera jeszcze da znać o sobie i zajrzy do niego pod byle pretekstem. Faktycznie, kwadrans później do jego uszu dotarł cichy szmer: dziewczyna łąziła po korytarzu. Drewniane panele prawie niesłyszalnie, ale skrzypiały cicho pod stopami Wiery.

„Niech to się skończy” – pomyślał. Marzył, żeby było jak dawniej: on i jego cel, a raczej cele, i nic ponadto. Żadnych intruzów zakłócających spokój, uniemożliwiających realizację zadania, któremu poświęcił całe życie. Miał jeszcze tyle do zrobienia, tylu

złych ludzi do zlikwidowania, tyle pokładów gniewu, które musiały zostać wyczerpane.

– Czego chcesz? – burknął, czując, że Wierka stoi w progu sypialni i gapi się na niego. To było wręcz namacalne: jej spojrzenie na jego plecach.

– Pogadać.

– Nie widzisz, że śpię?

– Nie śpisz. No chyba, że umiesz mówić przez sen.

– Umiem. Umiem nawet śpiewać przez sen, a teraz spadaj. Późno już.

Nie posłuchała, co zresztą wcale go nie zaskoczyło. Już dawno pojął, że Wiera ma nieposłuszeństwo zapisane w genach. Dzień w dzień buntowała się, pyskowała i na siłę forsowała swoje pomysły, nieważne, że coś mu się nie podobało, to ona musiała mieć ostatnie słowo.

– Nie bądź taki – rzuciła nadąsana.

Oho, znowu te jej ulubione ogólniki: „nie bądź taki” – taki, czyli jaki? Drażniły go podobne sformułowania. Nie miały żadnego sensu.

– Czemu nie dasz mi spokoju? – spytał, czując ugięcie materaca po drugiej stronie łóżka.

– Obróć się, to zobaczysz.

– Obraca się kula ziemiska.

– Matko, ale się czepiasz. Odwróć się, no już.

„Ja pieprzę, co ona znowu wymyśliła?” – czuł, że Wiera wpadła na kolejny kretyński pomysł, i chyba nie miał ochoty sprawdzać, co tym razem strzeliło jej do głowy. Inna rzecz, że był pewien co do istoty poczynañ Wierki – w większości sytuacji zachowania smarkatej, zwłaszcza te spontaniczne, były głupie i uciążliwe. Mimo to pstryknął włącznik nocnej lampki i przekręcił się na plecy.

– Co ty odwalasz? – Musiał przyznać, że i tym razem Wiera go nie zawiodła.

Podniósł się na przedramionach i półleżąc podziwiał Wierę. „Kiedy ostatnio miałeś kobietę, Bruno?” – spytał się w myślach. Już prawie zapomniał, jakie to uczucie przytulić się do rozgrzanego seksem kobiecego ciała. Właśnie takie ciało: młode, chętne i powiedzmy sobie szczerze – bardzo piękne, miał teraz Brunon na wyciągnięcie ręki. Skupił wzrok na piersiach dziewczyny. Widział je

raz, ale pobieżnie. Mógł sobie wyobrazić, że są jędrne, idealnie gładkie, powleczone jasną jedwabistą skórą, a teraz miał je niecały metr przed sobą. Realia przekroczyły oczekiwania, Bruno poczuł suchość w gardle.

– Po co ta demonstracja? – wychrypiał, nie odrywając wzroku od jasnoróżowych brodawek piersi Wiery. Stały na baczność, otoczone odrobinę bardziej różowymi kółeczkami skóry. – Hej, mówiłem coś.

– To nie demonstracja.

– Co więc? – Udało mu się przenieść wzrok na twarz Wiery, ale zanim tak się stało, zdążył zerknąć na wzgórek łonowy swojej niepokornej lokatorki i z zadowoleniem zauważyć, że zostawiła tam wąski paseczek jasnych włosów.

– To ja.

– Ty? – Uniósł brew.

– Tak, ja.

– To ma być propozycja? – Usiadł wyprostowany. Czuł, że w jego bokserkach zapanowało spore poruszenie, mógł śmiało rzec, że jest w pełni gotów do akcji.

– A jeśli tak? – Przesunęła się na łóżku. Teraz była w zasięgu ręki, wystarczyło ją lekko wysunąć, by móc dotknąć jednej z wyprężonych brodawek piersi Wiery.

– Dlaczego teraz? Dzisiaj? – Miał pewne podejrzenia, ale chciał się upewnić, że to jego udawane kalectwo powstrzymywało Wierkę przed zainicjowaniem seksu.

– Bo... – Widział wyraźnie, że jej twarz oblał uroczy rumieniec. – Bo...

– Chcesz się... – uciął. Jakiego określenia użyć? „Pieprzyć” brzmiało zbyt ordynarnie, „kochać się” było na wyrost, z kolei „uprawiać seks” brzmiało nazbyt technicznie i Bruno nie znosił tego zwrotu. – Masz ochotę na seks? – Wybrnął, nie do końca zadowolony.

– Nie mogę mieć? – Wiera natychmiast przeszła do defensywy. Założyła ręce na piersiach, chwilowo ograniczając mu piękne widoki i wykrzywiła buzię. – A ty nie masz ochoty na seks? – podniosła lekko głos.

– Kto tak twierdzi?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – A masz?

Musiał przyznać, że co jak co, ale dziewczyna ma jaja wielkie jak arbuzy. Nie dość, że przylazła do jego sypialni naga jak ją Bóg stworzył, prawie wprost zaproponowała mu seks, a teraz zamierzała bronić swoich racji, czyli potrzeb. „Szacunek, mała” – pochwalił ją bezgłośnie. Domyślał się, że mogła czuć lekką konsternację, on sam ją odczuwał, bo sytuacja była nieco dziwna: oboje, od początku wspólnego mieszkania, darli ze sobą koty, Bruno nie zliczyłby, ile razy powiedział coś nieprzyjemnego Wierze, a ona nie pozostawiała mu dłużna.

– Chyba mam, daj mi sekundę. – Postanowił odrobinę rozładować sytuację.

Nigdy nie widział, by Wiera płakała, ale w końcu kiedyś mogła jej pęknąć żyłka, na przykład teraz. Co jak co, jeśli musiał wybierać, wolał nadpobudliwą gówniarę od płacziwej smarkuli, a ryzyko zamiany w tę ostatnią właśnie zaistniało. Odrzucił kołdrę i spojrzał na swoje bokserki. Wzwiedziony penis uformował zgrabny namiocik z czarnej bawełny.

– Mam, ewidentnie – oznajmił, podnosząc wzrok na Wierę.

Prawie słyszał, jak kamień spadł jej z serca, a w oczach rozbłysła dziewczęca radość. Musiała odetchnąć z ulgą, bo w istocie: nic miłego być odrzuconym w takim momencie.

– No to... – Jej głos był pełen wahania.

– Chodź tutaj – powiedział to niezbyt czule, bo już zapomniał, jak to jest być blisko z kobietą, zresztą nigdy nie był romantykiem. Ledwie się zbliżyła, a zagarnął ją ręką, popchnął lekko, by ułożyła się na wznak i zawisł nad nią. – Jesteś piękna, Wiero Donecka.

– Nie mów tak. – Zachichotała. – Tak oficjalnie. Jestem Wierka.

– Wierka. – Powtórzył. Nachylił się i lekko pocałował ją w czoło. Skrzywiła się, postanowił więc przestać się cackać, ale najpierw musiał coś ustalić: – Co z antykoncepcją? Bierzesz tabletki?

– Nie.

– Ups – syknął cicho, ponieważ nie pamiętał, czy miał w domu choćby jedną prezerwatywę. – Muszę coś sprawdzić.

– W tej szafce masz pudełko z gumkami. – Machnęła głową w lewą stronę. – W szufladce. Jeszcze się nadają.

– Ech. – Zaśmiał się cicho.

Kogo on chciał oszukać? I na co zdało się zamykanie drzwi na klucz albo prośby, żeby Wiera nie plątała się tam, gdzie nie trzeba? Mała spryciara musiała wykorzystać chwilę nieuwagi i spenetrować również te bastiony prywatności gospodarza, ale teraz Bruno nie zamierzał czynić jej wyrzutów, mógł jedynie opracować plan na przyszłość, w jaki sposób pozbawić Wierę wszelkich okazji do wścibstwa, co w świetle wcześniejszych zdarzeń zdawało się zupełnie pozbawione sensu.

Skoro mieli zabezpieczenie, już nic nie stało na przeszkodzie, by zaznać nieco przyjemności. Nie żeby Bruno nie doceniał seksualnych rozrywek, przeciwnie: lubił seks, swego czasu prawie codziennie spotykał się z chętnymi kobietami, preferował krótkie znajomości, bez żadnych zobowiązań, dlatego też błogosławił wynalazcę Tindera – właśnie za pośrednictwem tej aplikacji znajdował dziewczyny, które miały ochotę na kilka miłych wieczorów. Niestety, odkąd zaczęła się epidemia i związane z nią obostrzenia, temat umarł, a Bruno nie miał czasu na głupstwa. Teraz trafiła mu się okazja – głupotą byłoby zrezygnowanie z takiej oferty.

Wychylił się, lecz nie mógł dosięgnąć szufladki. Musiał wstać. Od razu założył prezerwatywę i dopiero wtedy wrócił do Wierę. Zdążyła się zakryć pościelą, może było jej zimno, uznał.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – mruknął do ucha Wierę, wsunąwszy się zgrabnie pod kołdrę.

– Tak. – Objęła go, kiedy położył się na niej, ale jeszcze nie sforsował wąskiej szparki. – Jestem pewna. Chyba że ty nie jesteś?

– O mnie się nie martw – odparł.

Nie wiedzieć czemu, zachciało mu się śmiać, bo spróbował sobie wyobrazić, jakie emocje kotłowały się w Wierce, zanim zdjęła ciuchy i przysła tutaj. Pokłócili się, a raczej to Wiera – jak zwykle – zrobiła aferę, wyzwała go od świń, kłamców i beznadziejnych typków. Najpierw mu się dostało, teraz przyszedł czas na nagrodę.

Pytanie, dla kogo tak właściwie była przeznaczona?

## Rozdział 6

Wstyd przegrał z uzależnieniem. Od początku Wiera czuła, że kiedyś wejdzie Brunonowi do łóżka i sprowokuje go do seksu. Nie wiedziała jedynie, kiedy to nastąpi, a co gorsza, jak to będzie wyglądało. Może dlatego próbowała wmówić sobie, że Bruno, chociaż na wózku, jest normalnym zdrowym facetem, a co ważne – w pełni sprawnym, jeśli mowa o seksie.

Wkurzało ją, że nie może o tym poczytać, sprawdzić u wszechwiedzącego wujka Google'a jak wyglądają te sprawy u gości, którzy poruszali się na wózku. W pamięci kołatały się jedynie fragmenty filmu *Nietykalni*, który kiedyś obejrzała. Główny bohater też poruszał się na wózku, lecz w jego sytuacji sprawa przedstawiała się znacznie gorzej – cały był sparaliżowany, nie jak Bruno, który mówił, że takich jak on określa się mianem tetras – człowiek z brakiem czucia od pasa w dół.

Teraz już wiedziała, że taki z niego tetras, jak z niej baletnica. Pic na wodę. Bruno tylko udawał inwalidę. W rzeczywistości był sprawny i zdrowy. Ledwie to sobie uświadomiła, a natrętne myśli wróciły. Nic nie mogło ich zatrzymać, ani wstyd, ani obawy, że Bruno ją odtrąci, każe pójść w diabły lub, co gorsza, wyśmiej. Właśnie dlatego postawiła wszystko na jedną kartę. Wróciła do siebie, dała kotu jeść, chwilę go pogłaskała, lecz tymi czynnościami jedynie odwlekała w czasie to, co było nieuchronne.

Tak, miała problem.

Tak, cholernie chciała seksu.

Nie, nie czuła już wstydu.

Nie, nie mogła się doczekać chwili, kiedy Bruno w nią wejdzie. Wejdzie, wtargnie, wypełni sobą. Pragnęła seksu, potrzebowała go bardziej niż jedzenia. Objęła mocno Brunona i przyciągnęła do siebie. Na razie nie czuła nic ponadto, że bariery wstydu runęły, a skrępowanie powoli znikało.

– Pocałuj mnie – poprosiła. Marzyła o tym, wyobrażała sobie takie chwile, kiedy siedzieli na kanapie i oglądali film albo byli blisko siebie w kuchni, przy stole. Przecież mógł odłożyć kanapkę, odstawić kubek z herbatą, nachylić się i pocałować ją, a potem... – No, pocałuj – powtórzyła, bo Bruno nie zbliżył twarzy nawet na milimetr. Patrzył na nią, powoli oddychał, ale nic więcej się nie działo. – Nie chcesz? – spytała prawie niesłyszalnie.

– Chcę.

Zamknęła oczy, a on w końcu spełnił jej prośbę. Miał miłe ciepłe usta, lekko spierzchnięte, lecz szybko stały się gładkie i wilgotne. Ich języki się znalazły, a wargi coraz śmielej oddawały pocałunki. Długie, namiętne i gorące. Już niemal sama ta pieśczoła doprowadziła Wierę na szczyt, ale Bruno miał w zanadrzu o wiele więcej. Jego dłoń odnalazła pierś Wiery, palce chwyciły brodawkę, ugniatały ją i naciągały.

– O tak... – jęknęła Wiera, kiedy dłoń przesunęła się w dół, dotarła do wejścia do pochwy, a palce Brunona wślizgnęły się do środka i odnalazły nabrzmiałą lechtaczkę. – Tak, tak jest dobrze. Kochaj się ze mną, tak bardzo cię pragnę – poprosiła jękliwie.

– Zaraz – obiecał.

Widocznie chciał odwlec w czasie to, co najlepsze. Pobudzał ją, dotykał, bładził palcami, co rusz całował ją w usta i szeptał, że jest cudowna, piękna, że doprowadza go do szaleństwa. Ten ostatni zwrot „doprowadzać do szaleństwa” działał na nią szczególnie mocno. Jeszcze nikt tak nie mówił do Wiery, żaden mężczyzna nie wypowiedział tych słów. Gdy je usłyszała, cały wstyd, całe upokorzenie, obawy i lęki – wszystko poszło precz. „On mnie pragnie” – powtarzała w myślach, wijąc się jak kotka, by nie uronić nawet jednego najłżejszego dotyku i muśnięcia, ani jednego ciepłego oddechu lub westchnięcia, którym raczył ją Bruno.

– Chcę już mieć cię w sobie. – Z trudem udało się jej poprawnie sformułować zdanie. Teraz najchętniej mówiłaby do niego po rosyjsku, ten język był ładniejszy, słowa gładziej, bardziej okrągłe, lecz Bruno, chociaż świetnie znał rosyjski, wolał, kiedy nie używała rodzimego języka. – Proszę.

– Jesteś niecierpliwa.

– Jestem. – Oplotła go nogami i docisnęła do podbrzusza. – Pospiesz się. Ja jestem gotowa.

Aż zadrżała, kiedy w końcu poczuła go w sobie. Najpierw był delikatny, zbyt ostrożny, ale szybko pojął, że ona potrzebuje silniejszych pchnięć, silniejszych i szybszych. Mógłby przeszyć ją na wylot – dokonać pchnięcia, które rozpląta ją wpół, a potem scali z powrotem i doprowadzi na sam szczyt rozkoszy. Ależ była złąkniona, oplotła Brunona jak bluszcz, żeby poczuć go każdym skrawkiem ciała. Był silny, szybki, a jego skóra aż parzyła.

Wiera czuła, że nadciąga spełnienie, uniosła powieki, chciała zobaczyć twarz Brunona, być z nim całą sobą, dzielić każdą chwilę, każdy skurcz i spazm. Już nic nie powiedziała, nawet nie jęknęła, kiedy przyspieszył, intensyfikując jej doznania. Wygięła ciało w łuk, wstrząsana falami orgazmu, przetaczającego się przez nią całą. Dopiero kiedy ostatni paroksyzm przeminął, zamknęła oczy i opadła bez sił.

„Boże, ale to było dobre!” – westchnęła w duszy. Tak, zdecydowanie potrzebowała seksu, łóżkowe zabawy znosiły stres, sprawiały, że chociaż przez chwilę czuła się jak królowa życia. To nic, że wkrótce zapagnie tego znowu, że będzie chciała ponownie przeżyć spełnienie, na razie była szczęśliwa i w pełni zaspokojona.

Nie zauważyła, kiedy Bruno zsunął się z niej i położył obok. Słyszała jego oddech, najpierw szybki i urywany, lecz już po chwili równomierny i spokojny. „Może zasnął?” – pomyślała, ale wtedy Bruno spytał:

– Wszystko okej?

„Co za głupie pytanie? Jasne, że tak”.

– Uhm, dzięki.

– Przyniosę coś do picia.

To ją zainteresowało. Obróciła głowę w bok i spojrzała na Brunona.

– Chce ci się pić?

– Tak. Tobie nie?

– Nie. – Miała dodać, że skorzystałaby z toalety, ale nie wypadało w takiej chwili mówić o sikaniu. Aż tak blisko ze sobą nie byli.

Z niekłamaną przyjemnością otaksowała wzrokiem jędrne pośladki Brunona, kiedy wychodził z sypialni. „Opanuj się, kobieto”



– ochrzaniła się w myślach, znowu czując lekkie mrowienie w cipce i mdły ból napływający do podbrzusza. Wprawdzie miała usprawiedliwienie: dość się naczekała, minęły prawie dwa miesiące, odkąd wprowadziła się do Brunona, a on od kiedy zrobiło się ciepło, poruszał się po domu w samych spodniach, które zasłaniały jedynie dolną połowę ciała, podczas gdy górna była naprawdę apetyczna. W zupełności wystarczyło, żeby poczuć gigantyczną chciwę. Na marginesie, dresowe spodnie, które Bruno tak często nosił, nie pozostawiały zbyt wiele pola dla wyobraźni: miękka dzianina opinała mięśnie jak druga skóra, a męskie klejnoty? Wystarczyło spojrzeć w to miejsce, by zauważyć, że matka natura hojnie obdarzyła Brunona.

Wrócił dość szybko, niosąc dwie szklanki z wodą gazowaną.

– To na później, po drugim razie. – Mrugnął do niej porozumiewawczo i postawił szklankę na stolik nocny. Przysiadł obok Wiery i wypił duszkiem swoją wodę. – Nic nie mówisz – zauważył, odstawiając pustą szklankę.

Fakt, to było do niej niepodobne. Z reguły klepała jak najęta, a Bruno potakiwał lub oznajmiał, że ma pracę i wychodził. Nie wiedział, że w głowie Wierki rozpetęła się konkretna burza, wywołana tekstem sugerującym powtórkę ich erotycznych zmagających. „Zgodzić się czy wyjść?” – rozważała. Kusiło strasznie, by zostać, pozwolić mu kolejny raz doprowadzić ją na szczyt, ale... czy nie wyjdzie wówczas na łatwą? Nie chciała, żeby myślał o niej jak o niewyżytej seksualnie idiotce, za którą, w istocie, się uważała. „Ech, trudny wybór” – jęknęła w duszy.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzyła jedną z jego ulubionych formułek. Podniosła się na ramieniu i ułożyła na boku, ale najpierw naciągnęła na siebie róg kołdry.

– Hej, panno Wiero, co z tobą? – Bruno nachylił się i cmoknął jej ramię. Nie zareagowała, więc zmienił taktykę. Chciał ją sprowokować, chwycił za brzeg kołdry i zsunął, by odsłonić jedną pierś.

– Przestań. – Odepchnęła jego głowę, zanim zdążył zagryźć zęby na brodawce piersi. – Zostaw mnie. – Poprawiła kołdrę, jej brzeg podciągnęła pod samą brodę, a ciało zwinęła w kłębek.

– Zrobiłem coś nie tak? – Bruno poczuł się głupio.

Coś było nie tak, prawdopodobnie przez niego i chciał wiedzieć, co poszło nie po jej myśli. Sięgnął po bokserki. Wypadało je włożyć, skoro partnerka zdecydowanie się wycofała z gry.

– Ty? Nie. To ja.

– Możesz jaśniej? – zadał pytanie żartobliwym tonem, lecz Wiera nie odpowiedziała. – Powiedz, co jest grane, będzie łatwiej, nie uważasz? – Wstał, naciągnął bieliznę na tyłek i usiadł z powrotem.

– Wcale nie będzie łatwiej. Jestem skrecona.

– Jaka? – Uniósł brew.

– Dziwna, zepsuta, o tutaj. – Wysunęła dłoń spod kołdry i stuknęła się w czoło.

– A... – Pokiwał głową. – Pokrecona?

– No właśnie.

– Dlaczego?

– Długo by gadać.

– Mamy czas.

– Wiesz co? – Nagle usiadła. Była tak blisko, że poczuł na wargach ciepło jej oddechu. – Mógłbyś się zdecydować. Najpierw mówisz, że jesteś zmęczony i mam spadać, bo jest późno, a teraz, że mamy czas. Zdecydowałbyś się.

– Masz mnie. – Pokiwał głową.

– Nie. Nie mam ciebie. Nie mam ani kawałka ciebie, taka jest prawda.

– Może nie lubię się obnażać? Dzielić sobą?

– Na pewno nie lubisz. – Patrzyła spod przymrużonych powiek. – Nie lubisz i nie chcesz. Wszystko muszę z ciebie wyciągać siłą.

– Nie każdy jest otwarty. Ty też niewiele o sobie mówisz – dodał po namyśle. Sporo ryzykował, nie był pewien, czy ma ochotę poznać mroczne sekrety z życia Wiery. – Czasami zbyt duża bliskość jest niebezpieczna. Gdy wiesz wszystko o drugiej osobie, znasz jej tajemnice, słabości, czułe punkty, możesz to wykorzystać.

– Chcesz, wykorzystuj. Nie zależy mi na tym.

– Nie mam czego wykorzystać, bo tak w zasadzie niewiele o tobie wiem.

– Zapytaj. Co chcesz wiedzieć? – Hardo zadarła brodę. Wyglądała tak uroczo, że jedyne, co chciał teraz zrobić, to popchnąć ją na

materac i obsypać zarumienioną twarz gradem gorących pocałunków.

– Dlaczego właśnie dzisiaj? Brzydziłaś się mnie, kiedy...

– Nie, nie brzydziłam. – Przerwała mu gwałtownie. – Co to w ogóle za pomysł. – Potrząsnęła głową. – Po prostu nie wiedziałam, czy możesz się kochać. – Ostatnią część zdania powiedziała prawie szeptem. – Nie wiedziałam. Bałam się, że... że... – Nie potrafiła odnaleźć właściwego sformułowania.

– Że jestem niewydolny seksualnie – odpowiedział.

– Tak.

– To ma sens. Twoje wytłumaczenie – doprecyzował.

– Już wcześniej... – Znowu ucięła. Nieznośny rumieniec rozpałił jej policzki, nienawidziła tego. – Od początku mi się podobałeś. Jesteś przystojny i masz ładne oczy. Lubię twoje oczy. – Przygryzła wargi.

– Miło mi. – Uśmiechnął się. – Ty też jesteś ładna. Zaskakująco ładna.

– Zaskakująco? Nie rozumiem.

– Nie masz makijażu, twoje włosy są w nieładzie. – Omiótł wzrokiem zwichrzone pasma, skręcone pod wpływem potu. Nic nie zostało z porannej fryzury: idealnie wyprostowanych kosmyków, równo ułożonych wokół karku. – Jesteś naturalnie piękna. To rzadkość.

– Teraz będziemy sobie tak słodzić do rana – skwitowała, parsknąwszy śmiechem.

– Jeśli tego potrzebujesz, jestem skłonny się poświęcić. – Mrugnął żartobliwie.

– Ten tatuaż coś znaczy? – postanowiła spytać o coś neutralnego.

– Nie. – Bruno opuścił głowę i zerknął z góry na swój tors. – Pełni funkcję dekoracyjną. Czemu pytasz?

– Bez powodu. Nikita jest cały wytatuowany.

– Wytatuowany.

– Yhy. Pełno ma tego. Wszędzie. No co? – Nagle zrozumiała, czemu się skrzywił. – Nie! To nie tak. Nie spaliśmy ze sobą, błagam.

– Udała, że wstrząsnął nią odruch wymiotny. – Widziałam na basenie. – Ale jego dziary są specjalne, każda coś znaczy.

– Domyślałam się.

Zapadła cisza, jak zwykle to ona ją przerwała.

– To wszystko jest okropnie sztuczne.

– Co takiego? – Przechylił głowę.

– Nasza rozmowa. Ty jesteś sztuczny, ja jestem sztuczna. Rozmawiamy ze sobą jak dwoje zupełnie obcych ludzi, nie czujesz tego?

– Nie – odparł szczerze. – Nie znamy się, jak inaczej moglibyśmy ze sobą rozmawiać?

– Nie wiem. Zwyczajnie, bez tych sztucznych grzeczności. – Bezwiednie poprawiła krawędź kołdry pod brodą. – Nie jak ludzie, którzy spędzili ze sobą mało czasu. Przecież ja tu mieszkam. Jestem z tobą codziennie. Razem jemy, oglądamy telewizję, korzystamy z tej samej łazienki. Teraz jestem w twoim łóżku, a ty... – Umilkła. – Nie dopuszczasz mnie do siebie. Jesteś jak z kamienia, Bruno. To jest takie... – Przełknęła ślinę, bo coś nagle urosło jej w gardle i odebrało głos. – To jest złe. Bardzo złe.

– Taki jestem – odezwał się po długiej chwili milczenia.

Zbyt długiej, by dało się ją zignorować. Może nie chciał urazić Wiery, nawet na pewno nie chciał dać jej do zrozumienia, że jemu nie przeszkadza dystans i chłód, z którym ją traktował, przeciwnie – odpowiadała mu odległość, która ich dzieliła, mur postawiony prawie od razu po informacji, że Wiera spędzi u niego dłuższy czas. „Jak wybrnąć?” – zadumał się. Mimo wszystko, musiał przyznać, że dzisiejszy wieczór wyraźnie naruszył ten mur, a on nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Próbował usłyszeć głos intuicji, podszept płynący z podświadomości, często wygłaszający swoje prawdy wbrew rozsądkowi, lecz nic takiego nie dotarło do duszy Brunona. Był zdany wyłącznie na siebie.

– Ja jestem inna. – Wiera też odczekała dłuższą chwilę, by to oznajmić. – Jestem miękka, mam uczucia, potrzebuję wszystkiego. Nie tylko seksu. – Przygryzła kącik ust. – Teraz powiesz, że nie jesteś gotowy na żaden związek, że nic nas nie łączy, że tylko tu mieszkam, bo Grizzly tak zdecydował, bo jest pandemia i odwołano loty. Ale kiedyś to wszystko się skończy, zrobi się normalnie, Wiktor albo ktoś inny mnie stąd zabierze, a potem zapomnisz o mnie. Zresztą nawet teraz zapominasz, bo kim ja jestem? Przypadkową dziewczyną,

paczką, która utknęła w magazynie, ponieważ chwilowo nie można jej dostarczyć na miejsce.

– Nie jesteś paczką.

– Szkoda, prawda? To byłoby znacznie prostsze.

„Tak, byłoby znacznie prostsze” – zgodził się z nią w myślach. Nagle poczuł, że musi coś zrobić, przerwać tyradę Wiery, zanim rozmowa wymknie się spod kontroli. Musiał jej coś obiecać, to zawsze działało na kobiety.

– Postaram się zmienić – wychrypiał, dbając o odpowiedni ton deklaracji. – Masz rację, nie jestem zbyt czuły, ale to... Nie potrafię inaczej. – Bezradnie rozłożył ręce. – Chciałbym czuć to, co ty. Potrzebować bliskości, dawać więcej z siebie. Umieć się dzielić. Nauczysz mnie? – spytał, świadomie i z premedytacją skazując się na utratę resztek świętego spokoju. „Przyda mi się taka lekcja” – uznał w myślach. Każde nowe doświadczenie wzbogacało wachlarz narzędzi, którymi mógł zmanipulować przeciwników. Kto wie, kiedy akurat takie będzie potrzebne?

– Słaba ze mnie nauczycielka. – Wiera obdarzyła go bladym uśmiechem, ale nie dał się nabrać.

Nawet ślepy zauważyłby błysk w jej oku, kiedy poprosił o pomoc. To też działało niezawodnie. „Chcesz zjednać sobie człowieka? Poproś go o przysługę” – pamiętał radę z jakiegoś podręcznika dla handlowców. Swego czasu połykał ich mnóstwo, czytał po dwa dziennie.

– Kiedy zaczynamy? – Przymrużył oczy.

– Dzisiaj?

\* \* \*

Szybko poszło.

Zaczeplił ją na Facebooku, napisał wiadomość prywatną, ale najpierw skomentował kilka publicznych postów Pati Pati, wielkiej fanki mangi i anime. Kupowała komiksy, czasami recenzowała je na swoim profilu, tworzyła coś, co określała słowem „cosplay” – przebierała się w dziwne ciuchy, zakładała perukę i upodabniała do bohaterów książek. Bruno nie rozumiał, ale szanował. Nie takie popieprzone hobby potrafili mieć młodzi ludzie. To, co

najważniejsze, wiedział: jak się nazywa, do której chodzi szkoły i ile ma lat. Skończyła piętnaście, nie ryzykował zbyt wiele, no może trochę. Łapał się na tym, że ostatnio coraz częściej przekracza granicę ryzyka, zbędnego ryzyka. Czas przyspieszał, zostało kilka punktów planu, które poprzysiągł sobie zrealizować bez względu na koszty. Liczył się tylko cel.

Spojrzał na nią. Gdyby nie jej pochodzenie, ich ścieżki nigdy by się nie przecięły. Była sporo młodsza, jeszcze dzieciak, niezbyt ładna. Z twarzy wyglądała jak chłopak, ale nie jak przeciętny polski smarkacz, których spotykało się na ulicy. Córka Romana Drona przypominała raczej jedną ze swoich ulubionych postaci anime: duże oczy, otoczone grubymi pociągnięciami czarnej kredki, blada, wręcz biała cera, wąskie usta i krótkie, rozjaśnione do białości włosy. Sterczały wokół trójkątnej twarzyczki, nadając całości wygląd pyszczka białego lisa. Oszpeciła się. Przekłuła wargi i skrzydełka nosa, osadziła tam małe srebrne ćwieki, lecz nie to było najgorsze, a dwa wielkie tunele, ziejące w naciągniętych do bólu płatkach uszu.

Musiała zauważyć spojrzenie Brunona, obróciła głowę i spytała hardo:

– Co się gapisz?

– Nie mogę? – odparł.

– Masz fajki?

– Tu nie wolno palić. – Bezwiednie zacisnął palce na kierownicy. Nie znosił smrodu papierosów, ale wiedział, że Pati Pati prócz mang i przebieranek lubi swojsko „zjarać peta”, kupił więc paczkę marlboro i włożył do schowka. – To nie mój samochód.

– A czyj?

– Kolegi – skłamał. – Zapalisz sobie potem.

– Jakiś dziwny ten samochód. Co to? – Wskazała na ręczną manetkę gazu.

– Kolega jest niepełnosprawny.

– Powaga? Co mu się stało?

– Choruje na kręgosłup i jeździ na wózku.

– Przerąbane, no nie? – mruknęła.

Bruno nie odezwał się ani słowem. Cierpliwie wysłuchiwał cikliwej historyjki o jakiejś koleżance, która zaczęła się spotykać

z niepełnosprawnym chłopakiem, ale ten ją rzucił, bo nie chciał jej sobą obciążać.

– Daleko jeszcze? – Patrycja wydmuchiwała balon z gumy. Był za duży, cicho strzelił i oblepił jej nos. – Nudzi mi się. Włącz radio.

– Sama to zrób.

– Dziwny jesteś – powiedziała z wyrzutem. – Wydawałeś się strasznie rozmowny, a teraz siedzisz i nic nie gadasz.

– Skupiam się na prowadzeniu – wyjaśnił spokojnie. Nie uruchomiła radia, więc sam to zrobił. Ustawił Radio Zet i spojrzał na nią: – Może być?

– Może. – Wsunęła dłonie w kieszenie bluzy. Miała na sobie wąskie spodnie rurki, bluzę z kapturem i podkoszulek. Wszystko czarne jak smoła, wysokie glany też.

– Nie jest ci za ciepło? – spytał, specjalnie modulując głos, by zabrzmiał jak u obleśnego wujaszka, który podrywa małą siostrzenicę, ale chyba nie zauważyła niuansu, bo wzruszyła ramionami i bąknęła, że chodzi tak cały rok.

W końcu dojechali na miejsce. Pierwotnie planował zabrać ją do jakiegoś motelu na obrzeżach miasta lub prywatnego apartamentu. Tych było w stolicy na pęczki, gdy się zapłaciło odpowiednią sumkę, nikt nie wnikał, nie prosił o dowód tożsamości, nie pytał, czy gość zamawia śniadanie. Bruno płacił, zajmował apartament na parę godzin, wychodził. Ale szybko odrzuciła ten pomysł. Po pierwsze, kamery miejskie, po drugie, dziewczyna mogła zapamiętać adres i dojść do niego jak po sznurku, a po trzecie – właśnie zakazano wstępu do lasów, czyli żadnego ryzyka, że ktoś ich tutaj spotka.

– Ej, serio? Przywiozłeś mnie do lasu?

– Czemu nie? Jest ciepło, słońce świeci. Ptaki ćwierkają – dodał, wysiadając z auta.

Dołączyła do niego, stała i patrzyła, jak rozkłada koc.

– Chcesz te papierosy?

– A masz?

– Są w schowku.

Pognała tam i po chwili wróciła, już z jednym w ustach.

– Częstuj się – zaproponowała, zajmując miejsce obok Brunona.

– Nie palę.

– To po co je masz?

– Mówiłaś, że palisz, to kupiłem.

– Stary dziad z ciebie. – Zachichotała. – Podryw na pety, co za przypał.

Już zdążyła mu powiedzieć, że jest staruchem, że ją oszukał, bo mówił, że chodzi do liceum, a wygląda na studenta ostatniego roku. Ale, co w sumie nie było jakoś szczególnie zaskakujące, zgodziła się wsiąść do samochodu Brunona i dała wywieźć do lasu, daleko za Łomiankami. Mógł z nią zrobić, co tylko przyszło mu do głowy.

– Po co ci kasa? – Zerwał długie źdźbło trawy, wsadził je do ust i zagryzł. – Na komiksy? – spytał niewyraźnie.

– Na tatuaż.

– Ile kosztuje?

– Tysiaka.

– Nie dam ci tyle.

– Mam już trochę uzbierane.

– A co na to twoja matka? Na tatuaż? Chyba musisz mieć jej zgodę?

– Nie muszę. Załatwiłam to. – Wcisnęła niedopałek pomiędzy mech i mocno go wgniotła. – Matka nawet nie zauważy, że mam dziarę.

– A ojciec? – Nie spuszczał oka z twarzy dziewczyny. Dostrzegł, jak przemknął przez nią lekki skurcz, ale szybki i ulotny, prawie niezauważalny.

– Stary nie żyje.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Mama jest zadowolona. Ja w sumie też. Tylko syf robił w domu. No wiesz... – Przełknęła ślinę. – Ostatnio ciągle pił, wrzeszczał. Czasami walnął matkę, ale mnie nigdy nie ruszał. Ktoś go załatwił. Skopał na śmierć. Zrobili sekcję i powiedzieli mamie, że ojciec był napruty po kokardę. Może miał przy sobie jakąś kasę, napadli na niego i zabrali? Kto to wie? – Lekko uniosła ramiona. – W każdym razie należało mu się. Za mamę. – Siedziała po turecku, tak samo jak Bruno, ale teraz zmieniła pozycję. Wyprostowała nogi, wsparła się rękami z tyłu i spojrzała prowokująco na Brunona. – Może...

– Może co?

– Nie pocałujesz mnie?



- Nie lubię się całować.
- A co lubisz?
- Lubię ostry seks.

Z satysfakcją zarejestrował minę dziewczyny. Tylko udawała, że jest harda. Choć to było prawie niemożliwe, pobieleła jej twarz. Wyprostowała się i odruchowo potarła ramiona.

- Zimno ci? – spytał.
- Nie. Tak jakoś. – Przygryzła dolną wargę. – Może...
- Może co? – Przysunął się nieznacznie. – Chcesz wracać?

Rozmyślała się?

- Nie – zaprzeczyła natychmiast.
- To co?

Musiała podjąć jakąś decyzję, widział wyraźnie, jak myśli, a emocje tłoczą się w jej głowie. W końcu wzięła głęboki wdech, jakby miała oznajmić, co postanowiła, lecz nie powiedziała ani słowa, za to sięgnęła do suwaka bluzy i rozpięła ją jednym zamaszystym pociągnięciem. Po chwili bluza leżała obok, na trawie. Przyszedł czas na T-shirt. Poszło szybko. Z głanami trochę się biedziła. Niewiele brakowało, a Bruno usłużnie zaproponowałby pomoc przy rozplątywaniu długich sznurowadeł.

Siedział bez ruchu i patrzył, jak dziewczyna pozbywa się ciuchów. W jego głowie kotłowały się myśli. Nie zliczył, ile razy sumienie wrzeszczało: „Przerwij to! Każ jej przestać!”, ale nie zrobił nic. Nic, dopóki piętnastoletnia córka Romana Drona nie usiadła przed nim kompletnie naga i bezbronna. Zasłoniła piersi rękami. Drżała, ale nie z chłodu, bo nad ich głowami wisiało słońce, bardzo się ociepliło w ostatnich dniach.

- Na co czekasz? – wyjąkała przez zaciśnięte zęby.
- Oglądam.
- Co?
- Towar. – Przymrużył oczy.

– Nie jestem towarem – wypłuła. – Jestem człowiekiem.

– Jesteś... – Uciął. Zbyt wiele określeń pasowało do niej, by mógł je wszystkie wymienić.

– No już – popędziła go. – Nie mam za dużo czasu, o trzeciej muszę być w domu, bo matka wraca z roboty.

- Gdzie pracuje?

Przewróciła oczami.

– W dupie! – wypaliła.

– Ciasno tam. – Oblizał wargi, a jego oczy zwęziły się w wąskie szparki. – Ciasno i ciepło.

– Ale z ciebie zboczeniec. – Wzdrygnęło nią. – Nawet o tym nie myśl, słyszysz?! – Jej głos zmienił się w cienki falset. – Matka pracuje w Biedrze, jest kasjerką. No co? Pewnie gardzisz takimi, co? Nadęty bogaty dupek.

– Dlaczego myślisz, że jestem bogaty?

– Masz drogi zegarek.

Ups. Nie musiał zerkać na swoje ręce, skrzyżowane w dłoniach między kolanami. Wiedział, co ujrzy na lewym nadgarstku. Zapomniał się i założył zegarek. Czarno-złoty, marki Rado, limitowana edycja. Miał taki kaprys. Dał za niego prawie dziesięć tysięcy.

– I czemu milczysz? Też powiesz, że od kolegi? Pożyczony?

– Nie. To mój zegarek. Skąd wiesz, że był drogi?

– Skądś wiem. – Była zdenerwowana. Klatka piersiowa, którą nadal osłaniała ramionami, unosiła się i opadała coraz szybciej.

Bruno przesunął wzrok na jej wzgórek łonowy. Nie usunęła zarostu, został tam, niezbyt ciemny, gęsty i mocno skrecony. Promienie słońca prześlizgiwały się znad ich głów, padały spomiędzy niezliczonych gałązek brzozy, pokrytych świeżymi, nieskażonymi upływającym czasem, młodymi listkami, i tańczyły na skórze dziewczyny.

– To chcesz się pieprzyć czy nie? – wychrypiała.

– Po to tu przyjechaliśmy, prawda? – Przesunął wzrok na jej twarz.

Nie odpowiedziała, położyła się na wznak, a ręce ułożyła wzdłuż tułowia.

– Rozsuń nogi – polecił.

Widział, że się trzęsie, dygocze jak galareta. Wbiła palce w koc, zacisnęła je, aż pobielały drobne kosteczki stawów. „Co ty odwalasz, człowieku?” – spytał się bezgłośnie. W tym momencie gardził sobą jak jeszcze nigdy wcześniej. Brzydził się tym, co zamierzał, ale nie zrobił nic, by to przerwać. Wsunął dłoń do tylnej kieszeni dżinsów. Pod palcami wyczuł prezerwatywę. Gdy ją zabierał, miał obawy, czy będzie w stanie ją użyć. Czy potrafi uprawiać seks z dzieciakiem. Bo

ona była DZIECIAKIEM. Brzydził się sobą, tym, że ma wzwód, że kutas stanął mu na baczność, rozpychał się pod materiałem spodni, aż bolało.

– Na co czekasz? – Dziewczyna podniosła głowę.

– Na nic.

Przesunął się bliżej, położył obok niej, zamknął oczy. To było surrealistyczne, kiedy wsadził rękę między nogi dziewczyny i przesunął do góry. Pod palcami czuł jej zarost, włoski okazały się miękkie i jedwabiste. Ale to nie była jego dłoń, to nie on wsunął palec do mokrego i ciasnego wnętrza. To był ktoś. Ktoś, kim gardził.

– Ałć – syknęła.

– Mam przestać? – spytał, wsuwając i wysuwając palec coraz głębiej.

– Nie.

Słyszał jej ciężki oddech. Słyszał swój ciężki oddech, jeszcze cięższy.

– To boli? – Zniżyła głos do szeptu.

– Co?

– Pierwszy raz.

Zamarł. Mógł się domyślić, że ona jest dziewicą, ale... Odsuwał tę myśl. Nie pozwolił jej wybrzmieć w swojej głowie. „Teraz dziewczyny wcześniej podejmują współżycie” – tłumaczył sobie. Sprawdził nawet statystyki. Po co?

– Nie robiłaś tego wcześniej? – Nie poznawał własnego głosu.

– Nie. Musisz być delikatny, inaczej będę wrzeszczeć.

– Nie byłaś nigdy z chłopakiem – ni to stwierdził, ni spytał.

– Jesteś głuchy?

„STOP!”.

Otworzył oczy. Jego wzrok padł na to, co było tuż pod samym nosem: bladoróżowa brodawka stała na baczność, otoczona mikrymi grudkami otoczki. Tu i ówdzie złociły się krótkie, prawie bezbarwne włoski, cieniutkie jak nitki pajęczej sieci. „Przerwij to. Natychmiast!”.

Usiadł. Najchętniej walnąłby się pięścią w głowę. Nie patrzył na dziewczynę, po omacku odnalazł jej ubrania i rzucił na jej brzuch.

– Ubierz się. No już.

– No co ty? – Podparła się na przedramionach. – Czemu?

– Wkładaj ciuchy. – Wstał, odszedł na kilka metrów i stanął tyłem do ich legowiska. Chciał krzyczeć, chciał coś rozwalić, chciał kopać i niszczyć. Kopać aż do skutku, napieprzać pięściami, żeby przestać TO słyszeć: „Jesteś tchórzem! Zwykłym śmieciem!”. – Ubrałaś się? – warknął zza pleców po minucie.

– Tak – odburknęła.

Nie skłamała. Zostawiła jedynie buty. Leżały obok koca, ich długie sznurówki połyskiwały, odcinając się od czerni cholewek świeżą niewinną bielą. „Weź się w garść” – westchnął. Jego niedoszła kochanka siedziała skulona, a jej ciałem wstrząsał szloch. Przeształ z nogi na nogę, nie chciał wracać na koc, ale teraz nic innego nie przyszło mu do głowy, jak tylko usiąść obok dziewczyny. Po chwili przypomniał sobie o papierosach, w fałdach koca odnalazł opakowanie, wyjął marlboro, odpalił i podał smarkatej.

– Masz fajkę.

– Dzięki – chlipnęła żałośnie.

Papieros był jak zbawienie, nareszcie zapadła cisza.

– Czemu mnie nie chcesz? Nie podobam ci się? – spytała po dłuższej chwili. Wcisnęła niedopałek w poszycie i przydepnęła glanem.

– Podobasz.

– To czemu? – Obróciła głowę w stronę Brunona. Jej oczy były przekrwione jak u królika, a czarna kredka rozmazała się aż na policzki. – Wiesz, jak się teraz czuję? Jak gówno. – Przełknęła ślinę. – Jak gówno, którego nikt nie chce. Nawet za darmo. Nie chodzi o kasę. Nie dlatego się wycofałeś. Po prostu jestem... Jestem brzydka i beznadziejna, tak?

– Nic nie rozumiesz. – Nagle chwycił jej twarz w dłonie i bokiem kciuka pogładził jej policzek. – Chciałem cię przelecieć. Nie widziałaś? Stanął mi. Jeszcze jest twardy. – Na moment oderwał dłoń, odnalazł rękę dziewczyny i docisnął do rozporka. – Czujesz?

– Tak – wykrztusiła.

– Tego nie można udawać. – Odepchnął jej dłoń.

– Uhm. – Jej oczy przypominały wielkością pięciozłotówki.

– Tak nie wolno.

– To znaczy? – Zadzwonila zębami.

– Nie wolno ci... Nie ze mną, nie z kimś przypadkowym. – Znowu ujął jej twarz, ale delikatniej niż przedtem. Niemal czule przytknął dłonie do mokrych od łez policzków. – Zrób to z kimś, kogo znasz, komu ufasz. Nie musisz go kochać, ale powinnaś chociaż lubić.

– Ale ja cię lubię. I ufam ci. – Miała ochrypły głos.

– Przestań chrzanić – odparł szorstko. – Dam ci kasę na tatuaż. Masz już wybrany salon?

– To mój kumpel, mówiłam ci. Amatorsko robi dziary.

– Nie idź do niego. Dam ci namiar na dobry gabinet. Zadzwoń i uprzedzę, że przyjdiesz, a potem zapłacę za tatuaż. Okej? – Bruno zabrał ręce i chwycił za dolną krawędź swojego T-shirtu. Zdjął go przez głowę i zwinął w kulkę i rzucił pomiędzy skrzyżowane nogi. – Widzisz? Koleś zna się na rzeczy.

– Ładny. – Wlepiła wzrok w celtycki motyw na jego piersi.

– I dobrze wykonany. Mam go już osiem lat.

– Super.

– Napiszę ci na Messengerze adres i numer telefonu.

– Dzięki – bąknęła.

Wstał, podniósł koszulkę i szybko włożył z powrotem. Bez słowa wyciągnął do niej rękę.

## Rozdział 7

Bruno miał wrócić dopiero o piątej, tak powiedział. Wiera zaplanowała na dzisiaj kurczaka w sosie słodko-kwaśnym. Wczoraj zamówili składniki w delikatesach i dzisiaj rano dostarczył je kurier. Zdążyła upiec ciasto, stygło właśnie w piekarniku. Co do obiadu, mogła już podsmażyć mięso, ale uznała, że ma jeszcze mnóstwo czasu, by to zrobić i postanowiła się wydepilować. Niestety, nie miała laserowego depilatora, który wiernie jej służył przez ostatnie dwa lata, dysponowała jedynie z trudem wywalczoną zwykłą maszynką jednorazową. Bruno nie zapomniał, że ma blizny po cięciu. Powiedział, że to kolejny raz, kiedy jej zaufał i ma nadzieję, że go nie zawiedzie.

– Nadęty dupek – mruknęła, wyjmując maszynkę z opakowania. – Protekcyjny bufon. – Musiała przyznać, że ostatnio jej polszczyzna wzbogaciła się o cały wachlarz nowego słownictwa, już Bruno o to zadbał.

Niestety, w łazience nie było wanny, co zdecydowanie utrudniało golenie, dlatego musiała sobie poradzić inaczej. Najpierw dokładnie ogoliła pachy. Co do cipki, postanowiła jej nie golić, namydliła obie nogi, podniosła jedną i wsparła stopę o brzeg umywalki. Ostrze gładko sunęło po skórze, skończyła, opłukała maszynkę i zmieniła nogę. Niestety, przy okazji straciła ręcznik, którym się owinęła – spadł na posadzkę. Nadawał się do prania, podniosła go więc, nadal trzymając nogę wspartą o blat przy umywalce, zwinęła w kulę i wrzuciła do kubła z brudnymi rzeczami. Już miała spróbować wyjąć z szafki nowy, gdy zachrobotał zamek w drzwiach.

– Jezu, ale mnie wystraszyłeś! – Chwyciła się za serce. Zdjęła nogę z blatu i odruchowo zasłoniła piersi. – Co tu robisz tak wcześniej?

– A ty? – Podszedł, nie spuszczając z niej oka. – Co robisz?

– Goliłam nogi – odpowiedziała. Cofnęła się o krok, bo Bruno naparł na nią. Pachniał wiatrem, świeżym powietrzem, słońcem.

I czymś jeszcze, nie potrafiła określić, co to za zapach, ale go znała.  
– Bruno? Coś się stało?

– Nie. Nic się nie stało. – Jego oczy w ciągu sekundy stały się czarne. Ciemne i nieprzeniknione. Poczowała lęk, bo przeszywał ją spojrzeniem, świdrował, jakby chciał odkryć jej myśli. – Uklęknij.

– Słucham?

– Uklęknij. – Znalazł jej dłoń, chwycił za nadgarstek i pociągnął w dół. – Klękaj. Na kolana.

– Bruno! Co ty wyprawiasz?! – Próbowwała się wybronić, ale on był znacznie silniejszy, wpił palce w jej ramiona i niemalże wgniótł w podłogę. – Przestań! To boli! – wrzasnęła, bo chwycił ją za włosy, lecz szybko zasłonił jej usta drugą dłonią.

– Zamknij się – syknął.

Czuła, że jeszcze chwila i stanie się coś strasznego, że Bruno ją zabije, skręci jej kark. Łatwo można zabić człowieka, wystarczy mocno chwycić jego głowę i przekręcić. Do oczu napłynęły łzy, zapiekło ją w gardle, a w uszach zaczęła huczeć krew. Bezradnie zamachała rękami, chwyciła za tył spodni Brunona, żeby się nie przewrócić. Jej kolana dotknęły lodowatej posadzki, i wtedy nagle zrozumiała, czego on chce. Jej wzrok padł na rozporek dżinsów.

– Będziesz cicho? – Jego głos brzmiał obco. Był inny niż zawsze, jak u demona. Mruknęła w odpowiedzi. Zrozumiał. Puścił dłoń i przez moment wpatrywał się w jej oczy. – Otwórz usta. Słyszałaś?

– Tak. – Rozchyliła wargi. Klęczała przed nim, a on nadal trzymał ją za włosy, podczas gdy drugą ręką wprawnie rozpiął pasek i zamek spodni.

– Weź go – wychrypiał.

Zamknęła oczy, chciała się odciąć, spróbować nie myśleć, co właśnie się dzieje. Bruno ciągle trzymał ją za włosy, drugą rękę położył na jej karku i mocno docisnął głowę Wiery do swojego podbrzusza. „Zaraz się uduszę” – pomyślała, czując koniec penisa głęboko w gardle. Jęknęła, ale Bruno to zignorował. Przesuwał jej głowę w przód i w tył, nie patrzył na nią, odchylił się do tyłu i pieprzył ją w usta, nie bacząc, czy dziewczyna może oddychać czy nie.

Słyszała swój charkot, krztusiła się łzami, smarki zatkały jej nos. „Dłużej nie wytrzymam” – zaczęło jej ciemnieć przed oczami, ale

wtedy Bruno, jakby wiedziony szóstym zmysłem, wysunął penisa. Łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, nie zauważyła nawet, że Bruno puścił jej włosy i nachylił się, żeby ją podtrzymać.

– Lepiej ci? – spytał.

Pokiwała głową. Po chwili znowu w jej usta wbił się penis, ale teraz miała sama się postarać.

– Ciągnij, słyszysz? Mocno. – Jemu też drżały nogi z wysiłku, tak samo jak jej. Wsparł się jedną ręką o blat przy umywalce, a drugą przeczesywał jej włosy, wsuwał palce, zakręcał kosmyki, najpierw delikatnie, gmerał we włosach od niechcienia, gdy nagle znowu zmienił się w potwora i zacisnął pięść na grubym paśmie.

Nie zdążyła zaoponować, nie miała możliwości. Chwyciła się kurczowo za spodnie Brunona i zamknęła oczy, by skupić się na przetrwaniu. Próbowwała oddychać nosem, lecz to nie było takie proste. Czubek penisa raz po raz uderzał w miękkie podniebienie. Była pewna, że przy próbie wzięcia oddechu zwymiotuje lub zachłyśnie się śliną. Nagle Bruno zastygł w bezruchu, a sekundę później jego penis zadrżał. Wiera mogła odetchnąć z ulgą, że to już koniec.

Opadła na podłogę, ledwie Bruno wypuścił z dłoni pasmo jej włosów. Pótleżała, wsparta na obu rękach, łapczywie łapiąc powietrze. To nic, że z jej ust wyciekała ślina zmieszana ze spermą, że z nosa kapały smarki. To nic. Mogła oddychać. Nie zabił jej. Nie zabił.

– Jesteś podłym... jesteś podłym parszywym psem – zdołała wyartykułować. Zebrała z ust całą ślinę i splunęła na podłogę. W małej, śliskiej kałuży zauważyła cienkie pasma krwi. Szybko odkryła, że to ze skaleczonej dolnej wargi. Musiała poranić ją zębami. – Świnia. Pierdolona świnia. *Pizdiec!* I gnój. – Jej ciałem wstrząsnął szloch. Już nie miała siły utrzymać się w pionie. Ręce odmówiły posłuszeństwa. Położyła się i zwinęła w kłębek. Było jej cholernie zimno, ale nie miała w sobie ani grama energii, żeby wstać i włożyć szlafrok, który suszył się na grzejniku. – *Nienawidzę ciebie!* – Kaszlnęła, bo smarki wpadły jej do gardła. – Nienawidzę, słyszysz?

– Przepraszam.

– Co? – Podniosła powieki. Leżała na podłodze, a on nadal stał, z tej odległości mogła zobaczyć co najwyżej jego nogi. Obróciła



głowę. – Pierdol się.

– Mówiłem. Przepraszam.

– Wsadź sobie w dupę swoje przeprosiny. – Nagle poczuła przypływ energii. Usiadła i odczekała chwilę, żeby sprawdzić, czy nie kręci jej się w głowie. Nic złego się nie działo, wstała więc, przytrzymując się szafki. – Potraktowałeś mnie jak dziwkę. Jesteś... jesteś... – Zabrakło jej słów. Jęknęła żałośnie, odepchnęła go, żeby stanąć na wprost lustra nad umywalką.

Kiedy zobaczyła, jak wygląda, jakie są jej oczy – czerwone, usiane popękanymi naczynkami, jak wyglądają jej wargi – nabrzmiące i opuchnięte, aż nią zatrzęsło z gniewu. Odkręciła kurek z zimną wodą i błyskawicznie ochlapała twarz. Przyłożyła dłonie do zamkniętych powiek, moczyła je i znowu przykładła to na oczy, to na policzki i wargi.

Nagle coś zadudniło tuż nad jej głową. Natychmiast otworzyła oczy i popatrzyła w tę stronę. To był Bruno. Stał tuż przy ścianie i uderzał w nią pięścią. Jego knykcie raz po raz zderzały się z ryflowaną płytką z ceramiki. Już zdążył przeciąć skórę, krew przeciekała między palcami i znaczyła ścianę.

– Bruno! – krzyknęła Wiera, ale on nie zareagował. Stał i bił na oślep, a jej zrobiło się słabo, gdy słyszała okropny dźwięk miażdżonych chrząstek. – Dość!!! – ryknęła. Niewiele myśląc, wsunęła się między ścianę a Brunona i oburącz złapała jego rękę. Zatrzymał ją. Otworzył oczy i spojrzał na Wierę.

– Przepraszam. Mówiłem, że przepraszam.

– Wiem. Już jest okej.

– Nie jest okej. I nie będzie. – Jego oczy ziały pustką.

– Bruno, co się stało?

– Nic.

Czuła, że napiął mięśnie, ale nie wyszarpał swojej ręki, wyzwolił ją ostrożnie, żeby nie zrobić jej krzywdy. Chwilę później już go nie było, wybiegł z mieszkania, a ona dopiero teraz uświadomiła sobie, że wrócił do domu na własnych nogach, nie na wózku.

– Co ty odwalasz? – szepnęła do siebie, bez cienia nadziei, że kiedykolwiek się tego dowie.

Czekała na Brunona długie godziny, w końcu zapadł zmierzch, ale on nie wracał. Kręciła się po domu, próbowała zająć czymś myśli:

czytaniem, serialem na Netfliksie, lecz nic nie było w stanie jej uspokoić. Położyła się spać w swojej sypialni, tuliła do siebie Nemroda, lecz sen nie nadchodził. Co chwilę włączała lampkę i spoglądała na zegarek wmontowany w mały radioodbiornik, ustawiony tuż przy materacu. Najpierw wskazywał północ, potem pierwszą godzinę, drugą...

Bruno wrócił o świcie. Nie miała odwagi, by pójść i wykrzyczeć, że się o niego martwiła. Poszła do jego sypialni dopiero wtedy, gdy wszystko ucichło. Spał jak zabity, podeszła bliżej. Czuła specyficzny zapach nieprzetrawionego alkoholu, wzbogacony nieznosnym fetorem wymiocin. Pooglądała ulubioną bluzę Brunona: to właśnie ona tak mocno śmierdziała, musiał się nią wytrzeć, cała oblepiona była czymś paskudnym.

Wiera wróciła do siebie i w końcu udało jej się zasnąć. Spała tak samo mocno jak Bruno. Gdy otworzyła oczy i spojrzała na zegarek, wskazywał piętnastą. Usiadła, naciągnęła na stopy ciepłe frotowe skarpetki, narzuciła szlafrok i wyszła z pokoju. Nasypała Nemrodowi karmy, nalała wody do drugiej miski i dopiero wtedy skierowała się do kuchni. Bruno siedział na wózku, zaraz przy blacie stołu i tępo wpatrywał się w kubek z jakimś ciemnym płynem. Podeszła bliżej, podniosła kubek i powąchała. Upiła łyk zimnej kawy, skrzywiła się odruchowo, bo kawa nie dość, że bez mleka, to nie była posłodzona.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się Bruno. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Zajęła miejsce po drugiej stronie blatu. Wsparła plecy o ścianę i spojrzała na Brunona. Wyglądał jak zbity pies. Już nie cuchnął jak gorzelnia, musiał niedawno wziąć prysznic, bo jego włosy były jeszcze wilgotne, a przy każdym ruchu od jego ciała bił mocny zapach żelu do kąpieli.

– Gdzie byłeś całą noc?

– Wszędzie i nigdzie. – Podniósł wzrok na Wierkę. Jego oczy wyglądały jeszcze gorzej niż jej wczoraj, zaraz po tym, czego się dopuścił. Były przekrwione i opuchnięte. – Szwendałem się po okolicy.

– Aha. Bez wózka? Nie bałeś się, że ktoś...

– Że mnie zobaczy?

– No właśnie.

– Masz rację, to było głupie i zupełnie bez znaczenia. Przepraszam.

– Ale wiesz, że czasami to nie wystarczy? – Zaciśnęła zęby.

– Wiem.

– Takich rzeczy się nie robi.

Milczał, więc ona też milczała. Dokończyła jego kawę, ale nie odstawiła pustego kubka. Trzymała go oburącz, wsunęła palce pod duże ucho i ścisnęła mocno, jakby ten kubek był ostatnią deską ratunku, brzytwą, której chwyta się tonący. Czekwała. Czekwała na wytłumaczenie, przecież musiał być jakiś powód? „Nie gwałci się kogoś bez przyczyny. – Nie, źle to ujęła. – Nie gwałci się kogoś, kto nigdy nie odmawia seksu”.

– Ech... – Potrząsnęła głową. Ciągłe nie potrafiła właściwie ująć w słowa własnych myśli. – Mogłeś poprosić.

– Poprosić? O co? – Ledwie otworzył usta, a w powietrzu uniósł się lekki smrodek oparów alkoholu, zmieszany z miętową nutą pasty do zębów.

– Żebym zrobiła ci laskę. – Wiera postawiła kubek na blacie i wsunęła obie dłonie do kieszeni szlafroka. Było jej zimno. Nie czuła opuszków palców. – Wystarczyło powiedzieć.

– Nic nie rozumiesz – wychrypiał.

– Masz rację, nic nie rozumiem. Nie rozumiem, czemu wczoraj potraktowałeś mnie jak ostatnią szmatę. – Nachyliła się nad stołem.

– Zgnoileś, sponiewierałeś, zmusiłeś do seksu. Myślałam... – Ucięła, żeby wziąć głęboki oddech. – W pewnym momencie myślałam, że...

– Że co?

– Że chcesz mnie zabić.

– Jezu... – Zmartwiał. Jego twarz pobladła, a na czole perlił się pot. Siedział nieruchomo, ani nie mrugnął. O tym, że żył, świadczyła tylko nabrzmiała żyłka na skroni. Pulsowała mocno i szybko. – Nie chciałem cię zabić, przysięgam – wychrypiał.

– Wiem. – Parsknęła. – Nadal żyję. Ale wczoraj... – Chrząknęła, bo coś zadrapało ją w gardle. – Wczoraj... Przez chwilę myślałam, że to koniec. Kazałeś mi klęknąć, chwyciłeś moją głowę, wystarczyło obrócić i trach! – Aż nią wzdrygnęło.

– Nie. To nie tak. – Nagle Bruno szarpnął za stolik, ten szurnął po posadzce, a wszystko, co na nim stało: cukierniczka, stojak

z serwetkami, podkładki pod talerz – zleciało na podłogę. Teraz nie dbał jednak o rozbity kubek czy rozsypany cukier. Podjechał bliżej Wiery, zetknął kolana z jej kolanami, położył dłonie na krawędziach siedziska jej krzesła, zamykając ją jak w potrzasku. – Nie chciałem cię zabić, przysięgam.

– Nic do ciebie nie dociera. Popatrz na siebie. Pomyśl. Jesteś silny. Silniejszy ode mnie. Pomyśl, co mogłam wczoraj czuć. Ja... ja się bałam. – Jej dolna warga zadrżała, ale błyskawicznie ją przygryzła, żeby nie okazać słabości.

– Co mam zrobić, żebyś mi wybaczyła?

– Powiedzieć prawdę.

– To niemożliwe. Nie chcę. Nie chcę ci tego mówić, nie tobie. Proszę. – Wbił w nią błagalne spojrzenie.

– Dlaczego nie mnie?

– Bo... bo jesteś inna. Inna niż ja, inna niż oni.

– Jacy oni?

– Oni wszyscy. Nie chcę cię tym... Nie mogę cię tym zbrukać.

– Zbrukać?

– Kiedyś. Może kiedyś ci powiem, ale nie teraz – powiedział głosem pozbawionym z emocji.

Już wrócił tamten Bruno, ten, którego tak dobrze знаła: opanowany, spokojny, ale też chłodny jak kawa, którą przed chwilą wypila.

– Nie ufasz mi – odparła.

– Nie chodzi o zaufanie.

– To o co?

– O sens. Jeszcze się bronię, ale... czy tego chcę, czy nie... – Zamknął oczy, nachylił się i wsparł czoło na jej czole. – „Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbują one tylko się zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie”<sup>1</sup>. Wszystko się zmieniło. Ty mnie zmieniasz. Dzień po dniu, godzina po godzinie. Zmieniasz mnie, rozwalasz w pył cały porządek.

– Chyba jeszcze nie wytrzeźwiałeś – powiedziała, skonsternowana jego zachowaniem.

Przesunęła się z krzesłem do tyłu, Bruno stracił punkt oparcia i zachwiał się na wózku. Zrozumiał to, co chciała mu przekazać: nie

wybaczy mu, póki nie wyzna jej prawdy.

– Okropnie cuchniesz. Jak gorzelnia.

Odjechał wózkiem, zatrzymał się dopiero przy szafkach. Spojrzał na Nemroda, który majestatycznie i bezszelestnie wkroczył do kuchni. Stanął się przy krześle, na którym siedziała Wiera, a gdy klepnęła się w udo, Nemrod zgrabnie się wybił i wskoczył na jej kolana.

– „Ale jeszcze dalsze od światła były koty. Ich doskonałość zatrzymała. Zamknięte w precyzji i akuratrości swych ciał, nie znały błędu ani odchylenia. Na chwilę schodziły w głąb, na dno swej istoty, i wtedy nieruchomiały w swym miękkim futrze, poważniały groźnie i uroczyście, a oczy ich zaokrąglaly się jak księżyce, chłnąc wzrok w swe leje ogniste. Ale po chwili już, wyrzucone na brzeg, na powierzchnię, ziewały swą nicością rozczarowane i bez złudzeń”<sup>2</sup>.

– Nie pij więcej, Bruno – powiedziała z politowaniem Wiera. – Odwala ci po wódce.

– Nie będę.

\* \* \*

Przed chwilą skończyli się kochać. Jeszcze nie wyrównał mu się oddech, gdy zadzwonił telefon. Bruno od razu rozpoznał głos Grizzly’ego.

– I co tam u was?

– W porządku.

– No dobrze, dobrze – mruknął Sorokin. – Dasz mi smarkatą do telefonu?

– Nie ma jej. To znaczy, jest w łazience. – Bruno bezszelestnie zszedł z łóżka i zajrzał do korytarza. Nie kłamał, Wiera poszła wziąć prysznic, bo po trzecim z rzędu numerku, na jeźdźca, stwierdziła, że jeśli się nie wykąpie, to oszaleje. – Zawołać ją?

– Nie trzeba. Przekaż jej, że pojutrze ktoś ją zabierze, może Wiktor, może ktoś inny. Zaraz wyślę ci namiary, gdzie masz ją odstawić. Co do kasy, chyba wszystko dostałeś? Jesteśmy rozliczeni?

– Tak. – Bruno złapał się na tym, że coś gniecie go w gardle. Odchrząknął. – Dostałeś ostatnie zdjęcie?

Zgodnie z ich pierwszą umową, najpierw codziennie, potem co trzy dni wysyłał na specjalną skrzynkę, przez którą kontaktował się z Grizzlym, fotkę Wierę trzymającej przy twarzy jakąś gazetę z bieżącą datą. Bruno zaprenumerował Rzeczpospolitą, zabierał ją ze skrzynki, Wiera siadała w kuchni, przykładając do twarzy gazetę i zawsze, ale to zawsze robiła jakąś idiotyczną minę. Miał wszystkie te zdjęcia, żadnego nie skasował. Najpierw trzymał je na karcie aparatu, teraz były w chmurze.

– Ta... – mruknął Sorokin. – Dostałem. No widzisz, wytrzymałeś.

– Nie było łatwo... – westchnął Bruno.

– Już tak nie stękać. Mam jeszcze biznes, chodzi o ostatnie proszki.

– Grizzly miał na myśli dużą kontrabandę leków na bazie pseudoefedryny, którą systematycznie, jak w zegarku, przerzucał do Czech, a z każdej dostawy czerpał spore zyski. – Dostaniesz premię. Słyszałem, że były kłopoty.

– Nic się nie stało. Ogarnąłem temat.

– O tym mówię, chłopcze. A masz dla mnie jakieś nowe fanty?

Tym razem Grizzly pytał o rzeczy, które czasami zatrzymywano na cle. Bywało, że celnicy odkrywali pokaźną pulę czegoś trefnego: papierosy z podrobioną akcyzą, alkohol, markowe ciuchy albo elektronikę, cokolwiek, co nie mogło wejść legalnie na obszar celny kraju. Trefny towar przeznaczano do komisijnego zniszczenia. Praktycznie połowę tych rzeczy zabierał Grizzly, niczym nie gardził, no, może szmatami, bo z nimi był tylko kłopot, a kasa gówniana. Opłacał celników i ludzi, którzy w teorii dokonywali likwidacji trefnego ładunku – obie strony były zadowolone, a całość koordynował właśnie Bruno. Oczywiście nie za frajer, zawsze dostawał niezłą dolę. Bywało, że mógł kupić nowy samochód za nadzorowanie jednej dostawy fantów.

– Coś się kroi. Elektronika. Głównie smartfony, tablety, tego typu rzeczy.

– Piśzę się na to. Pamiętaj o mnie – zastrzegł Grizzly.

– Wiadoma sprawa.

– Trzymaj się...

– Czekaj – przerwał mu Bruno. – Dokąd ją zabierzecie?

– Wierkę? Dostałem ciekawą propozycję, ale nie chcę o tym gadać.

– Od jej rodziny?

– Od lepszego gracza. Poważny kontrahent. Z Azji. Oni lubią nasze dziewczyny. Chce ją najpierw do zabawy, a potem na wymiankę z Doneckim. W sumie... – zamilknął na moment. – Na ile ją wyceniasz?

– W jakim sensie?

– Jako świeże mięsko. – Grizzly zarżał obłeśnie. – Wymianka mnie nie obchodzi, ja biorę kasę tylko za dziewczynę. Muszę jeszcze doliczyć, ile zainwestowałem, a to już spore pieniądze, rozumiesz?

– Jasna sprawa. – Bruno zacisnął lewą dłoń w pięść i bezradnie uderzył się w udo.

– To ile zawołać?

– Wybacz, nie zajmuję się wycenami. Nie płacisz mi za kosztorysy.

– Ha, ha! Też racja – zarżał Grizzly. – No nic, sam pomyślę. Czekaj na wieści, Bóg z tobą, chłopcze.

Bruno odłożył telefon, ale tylko wspomniany przez Grizzly'ego Bóg wiedział, ile samokontroli to od niego wymagało. Gdyby nie fakt, że potrzebował tego aparatu, pieprzyłby nim o ścianę. Nie zauważył, że Wiera weszła do sypialni. Podniósł na nią wzrok dopiero, kiedy się odezwała. Była naga, ale na włosach zawinęła ręcznik. Spomiędzy fałdek białej frotte wystawały mokre kosmyki.

– Ej, pytałam o coś. Kto dzwonił?

– Nikt. Dzwonili z mojej pracy.

– Musisz mieć okropnego szefa – powiedziała, zbliżywszy się do niego. Przysiadła obok i chwyciła go za rękę. – Wyglądasz, jakbyś zjadł gówno.

– Smacznego. – Bruno skrzywił się w udawanym uśmiechu. – Chyba...

– Chyba co?

– Muszę coś załatwić. – Zabrał rękę. Wstał. Bezwiednie przygryzł dolną wargę, a jego czoło pokryły głębokie fale. Nagle na nią spojrzał. – Muszę coś ogarnąć – prawie słowo w słowo powtórzył poprzednie zdanie.

– No dobra, leć. – Wiera odprowadziła go wzrokiem.

## Rozdział 8

Kilometry znikwały pod kołami, jeden za drugim, ale Wierce wcale nie przeszło. Nadal miała focha.

Mega focha.

W zasadzie była tak wściekła, że udusiłaby Brunona gołymi rękami. I co z tego, że obiecał odzyskanie Nemroda. Czuła pod skórą, że już nigdy nie zobaczy swojego pupila, zresztą kto wie, czy naprawdę przekazał go sąsiadce? Może biedny kotek pałętał się teraz po osiedlu i szukał domu?

– Przysięgnij, że oddałeś go komuś pod opiekę – burknęła, ocierając łzę bezradności.

Była na siebie wściekła. Nie zносиła płakać, a zwłaszcza przy kimś, kto potraktował ją jak przedmiot! Jak psa! Jak... Wierce brakowało określeń. Nawet Niki nie był takim chamem w stosunku do niej. Co to w ogóle miało być?! Bruno wyrwał ją z łóżka wczesnym rankiem, kazał spakować najpotrzebniejsze rzeczy, a sam przygotował całą torbę prowiantu. Oczywiście od razu zrozumiała, co się kroi: wyjeżdżali.

Inaczej. Najpierw myślała, że tylko ona wyjeżdża. Ciołek z niego, jeśli sądził, że jej nie zależy! Zależało jej na nim, ale nawet gdyby ktoś przypiekał ją pogrzebaczem rozgrzanym do czerwoności, w życiu by się nie przyznała. Bruno milczał, kiedy spytała, co się dzieje. Usiadła więc na walizce, zaplotła ręce na piersiach i oświadczyła, że nawet palcem nie kiwnie, póki Bruno nie powie, co jest grane. Nie powiedział. Musiał siłą zrzucić Wierkę z walizki, czego naturalnie nie omieszkał zrobić. Ugryzła go w rękę, a wtedy Bruno wybiegł z jej pokoju, wrócił po kilkunastu sekundach z szeroką taśmą klejącą! Tak! Nie dość, że owinął taśmą jej ręce w nadgarstkach, to nakleił pasek na twarz.

Gdyby wtedy mogła go zabić, już od kilku godzin Bruno wachałby piach.



– Jesteś zwykłym bydlakiem – warknęła na wspomnienie tej chwili. – Ale nie chodzi o mnie, ja dużo zniosę. Każde upokorzenie – zachlipała. – Mój biedny kochany Nemrodek.

– Mówiłem – odparł spokojnie Bruno. – Zaniósłem wszystko lasce z ostatniego piętra. Legowisko, karmę, miski i kota. Będzie tam miał jak w raju.

– Ta... Na pewno. Czemu ci nie wierzę?

– Nie mogliśmy go zabrać, bądź poważna. Twój kot nie ma paszportu.

– To mogłeś zadzwonić do weterynarza, żeby wyrobił.

– Gdyby się dało załatwić taki dokument w jeden dzień, uwierz, Nemrod siedziałby teraz w bagażniku.

– Co?! – Aż nią zatrzęśło. – W bagażniku? Chyba zwariowałeś? Nemrod nie wytrzymałby w bagażniku. Siedziałby u mnie, na kolanach.

– Nie wolno przewozić zwierząt na kolanach – usłyszała lekką irytację w głosie Brunona, ale miała to w głębokim poważaniu.

– Nie wolno przewozić zwierząt na kolanach... – powtórzyła, całkiem udanie naśladując modulację jego głosu, wykrzywiając się przy tym niemiłosiernie. – Ale wolno w czasie pandemii jeździć po świecie? Jesteś głupi, Bruno. Jak but. Nie wiem, dokąd jedziemy, ale to się nie uda. Capną nas zaraz przy granicy z Czechami. Nie oglądasz telewizji, durniu?

– Więcej wiary – odparł, niezrażony złośliwościami z jej ust.

Wprawdzie czuł lekki niepokój, lecz ostatnie, na co miał ochotę, to zdradzić się z nim przed Wierką. Dopiero zaczęłaby truć mu tyłek. Spojrzał na nawigację, do granicy ze Słowacją zostało niecałe pięćdziesiąt kilometrów. Całkiem nieźle mu szło, nawet korki przed aglomeracją śląską nie dały się im szczególnie mocno we znaki. Postanowił zjechać na stację benzynową, bo skończył się płyn do spryskiwaczy i przednią szybę oblepiało mnóstwo martwych owadów.

Wrócił do samochodu, usiadł i zapiął pasy.

– No co? – spytał, ruszając w stronę wyjazdu na ekspresówkę.

– Nic.

– Zrozum, dziewczyno, inaczej nie mogłem. Odzyskasz swojego kota, obiecuję. Jest w dobrych rękach – zapewnił, choć wiedział, że

niecو nagiął fakty.

Cokolwiek by mówić, akurat ta sąsiadka była ostatnią osobą, w której ręce chciałby się oddać. Nie ze względu na walory fizyczne, bo nie poskąpiono jej urody, bardziej przez charakter. Współczuł Szymikowi, niejednokrotnie był mimowolnym świadkiem kłótni sąsiadów z ostatniego piętra, sporów, toczących się w miejscach publicznych, na klatce schodowej, przy windzie albo na parkingu. Szymikowa była istną awanturnicą, kobietą, która stanowiła pokutę za życia.

– Czemu ci nie wierzę? – to zdanie Wiera powtarzała jak mantrę.

– Nie wiem, ty mi powiedz. – Zerknął na nią z ukosa.

Zrzuciła buty, wsparła bosc stopy na krawędzi fotela, objęła nogi, a brodę skryła między kolanami. W jego ciemnej bluzie wyglądała jak wielka wrona, skrzyżowana z rozjuszonym szerszeniem.

– Bo ci nie wierzę. Bo jesteś kłamcą. Co chwilę kłamiesz, w ogóle nie można ci wierzyć. Łżesz jak z nut, to niebowałe. – Potrząsnęła głową. – Jak w ogóle tak można, no? – Spojrzała na niego bykiem. – To jest obrzydliwe.

– Nie przesadzaj. Gdy nie muszę kłamać, nie robię tego. Swoją drogą, to raczej mijanie się z prawdą, nie kłamstwa. To, że nie zdradziłem ci wszystkiego, nie czyni ze mnie kłamcy.

– Semantyka.

Uśmiechnął się pod nosem. Zasób słów Wiery w istotny sposób się powiększył. Z każdym dniem wzbogacała słownik o nowe pojęcia i wysławiała się całkiem poprawnie, już nie popełniała błędów, miło było jej słuchać i myśleć, że za tę coraz lepszą polszczyznę on odpowiada. Nabijała się z niego, przedrzeźniała, ale i tak dało się zauważyć, że próbuje mówić jak on, czasami sięga po coś ambitniejszego niż kryminały czy romansidła.

– Moja Galatea – mruknął z uznaniem.

– Co?

– Nic takiego – zbył ją. Zbliźali się do przejścia granicznego i nie miał teraz głowy, żeby przedstawić jej historię Pigmaliona i Galatei. – Załóż maskę – polecił.

Posłuchała. Naciągnęła na brodę niebieską maseczkę, ale nos nadal był odsłonięty. Zwrócił jej uwagę, by zaraz potem zaliczyć kolejne mordercze spojrzenie. Podjeżdźali powoli, strażnicy

przygraniczni skrupulatnie sprawdzali dokumenty osób przed nimi. Wiera parsknęła pod nosem.

– Co cię tak bawi? – spytał.

– Nie wpuszczą nas. Nie mamy testów. – Miała na myśli zaświadczenia o negatywnym wyniku badań na covid.

– Zobaczysz się. – Puścił do niej oko znad масeczki. On miał inną, wielokrotnego użytku, czarną i masywną, zasłaniała prawie całą twarz Brunona, widać było tylko jego oczy.

Celnik kazał mu zjechać, długo przeglądał papiery, ale negatywne wyniki wymazu go przekonały, spytał, czy na długo wjeżdżają, Bruno odpowiedział więc, że tranzyt. Strażnik zasalutował i kazał im ruszać dalej.

– Co to było?! – wrzasnęła Wiera, kiedy minęli tablicę informującą, że znajdują się na terenie Słowacji. – Ej, no! Wróć! – Odpięła pasy.

Zahamował i zjechał na pobliski parking dla TIR-ów.

– Uspokój się – powiedział.

– W co ty pogrywasz?! – Znowu ją okłamał. Gdy wyjeżdżali z garażu w podziemiach apartamentowca, Bruno powiedział, że jadą do Francji, na Łazurowe Wybrzeże. – Mieliśmy jechać do Francji. Przez Czechy, nie przez Słowację. – Z jej oczu tryskał gniew.

– Do Francji nie jedzie się przez Czechy. Pała z geografii.

– To gdzie jedziemy?

– Dokąd? Do... – uciął. – Na razie kierujemy się na Węgry, a potem się zobaczy.

– Co mu pokazałeś? Celnikowi – drążyła. – To były jakieś wyniki. Widziałam!

– Mam dobrą wiadomość, ma pani negatywny wynik testu na koronawirusa. – Jego oczy zwęził uśmiech, niewidoczny spod maski.

– Co? – Jej oczy przypominały pięcioletówki. – Ale jak?

– Pobrałem ci wymaz, gdy spałaś. – Znowu do niej mrugnął.

Nie odzywała się do niego przez kilka długich godzin. Zamierzał się zatrzymać i coś przekąsić w jednym z przydrożnych barów, ale uznał, że zrobią to później. Chciał jak najszybciej dotrzeć do granicy z Węgrami. Czuł podskórnie, że tam nie pójdzie im już tak łatwo. Węgierska straż przygraniczna potrafiła być upierdliwa. Intuicja go nie myliła, nie wystarczyły wyniki z laboratorium, dowód i delegacja

służbowa. Musiał pokazać legitymację i blachę. Chciał to zrobić dyskretnie, odchylić brzeg bluzy i pokazać celnikowi tylko odznakę, lecz ten kazał podać etui z dokumentami. Celnik skrył się w swojej budce, trwało to zaledwie pół minuty, nie więcej, ale wystarczyło, by Bruno się spocił. Ruszyli po krótkiej wymianie zdań, dopiero kwadrans później Wiera się odezwała.

– Jesteś z policji, a ja jestem tłumaczką.

– Dokładnie tak – potwierdził, co powiedział wcześniej, zaraz przed granicą.

– Jedziemy po jakiegoś świadka w sprawie.

– Uhm – mruknął.

– Co za tępak – fuknęła.

– Kto?

– No ten strażnik. Dał się nabrać na fałszywkę.

– Nie rozumiem. – Bruno spojrzał na nią. Powoli zapadał zmierzch, czerwone promienie słońca wpadały przez boczne okno i zabarwiały włosy Wierki na krwistoczerwony kolor. Wyglądała jak otoczona chmurą ognia.

– Twoja blacha. Jest fałszywa.

Nie powiedział ani słowa, z powrotem skupił wzrok na drodze, lecz wiedział, że Wiera nie odpuści. Wolał poczekać, aż sama skojarzy fakty, zrozumie, że celnik sprawdzał jego dane w komputerze. O ile można było dosyć łatwo wejść w posiadanie blachy, o tyle numer ewidencyjny, profil w służbach i tak dalej były nie do zmiany w systemie.

– Jesteś... – Głos Wierki do złudzenia przypominał ten u młodych chłopców przechodzących mutację. – Bruno, popatrz na mnie – warknęła.

– Tak, pracuję w policji.

Zapadło milczenie.

Mógł sobie wyobrazić, co czuje teraz jego pasażerka, jak naprędce obmyśla plan ucieczki, jak bardzo czuje się zdradzona i spanikowana. Słowo „policja” robiło wrażenie prawie na wszystkich. Ludzie czuli respekt, czy tego chcieli, czy nie. Nawet na największych gangsterach, których Bruno poznał. To przez brak zaufania do stróżów prawa, nawet jeśli ci już dawno przeszli na

ciemną stronę mocy lub stali w rozkroku, jak on, między dobrem a złem.

– To niczego nie zmienia – odezwał się w końcu. – Między nami.

– Żartujesz? – wychrypiała. – Jesteś psem, Bruno. Ja pierdolę, co za gówno. Jestem debilką. Nie wierzę. Serio, nie wierzę. – Chwyciła się za głowę. – Okłamałeś mnie. Znowu.

– Mówiłem, że jestem urzędnikiem, pamiętasz? Co za różnica, czy pracuję w sądzie, czy w policji?

– No błagam – jęknęła. – Czułam, że sobie robisz jaja z tym sędzią. Zresztą jesteś za młody na sędziego. Co z ciebie za sędzia? No popatrz na siebie!

– Masz rację, marny ze mnie sędzia. Dlatego już koniec ferowania wyroków.

– Ja pierdolę, ale jestem głupia. – Wierka nadal nie mogła pogodzić się z prawdą. Ciężko westchnęła, wyjęła ze schowka butelkę z wodą i całą opróżniła. – Co teraz, panie policjancie? – Jej głos był pełen wzgardy.

Bruno domyślał się, że nie jego profesja tak nią wstrząsnęła, a fakt, że ukrył prawdę. Też by się wkurzył, a na miejscu bezbronnej kobiety, zdanej na jego łaskę jak Wiera, również trochę wystraszył.

– Jedziemy. Mówiłem, to niczego nie zmienia. A jeśli nawet zmienia, to na plus. Bez moich papierów nie jechalibyśmy teraz przez Węgry.

– Oni cię zabijają.

– Kto?

– Ludzie Grizlly’ego. Dowiedzą się, że jesteś psem i cię zabijają.

– Kto powiedział, że Sorokin o tym nie wie?

– A wie?

Nie musiał na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że ma teraz rozdziawioną buzię.

– Kiedyś zostawiłeś telefon w kuchni – powiedziała cicho.

– Pamiętam.

Pierwsze, co zrobił, kiedy to sobie uświadomił, to sprawdził, czy Wiera z niego nie skorzystała. Miał ustawione zabezpieczenie Face ID: telefon mógł odblokować tylko on, ale zadzwonić na alarmowy dało się mimo blokady.

– Myślałam, żeby zadzwonić na policję. Wiem jak, bo Katia ma taki model smartfona. Ale nie zadzwoniłam. Wiesz czemu? Bo wiedziałam, że to nic nie da, że napytam sobie biedy. Odkąd pamiętam, tata zawsze powtarzał, że nie wolno ufać policji. Nigdy. A wuj Wasyl kiedyś stwierdził, że polska policja jest bardziej skorumpowana niż nasza.

Nie odezwał się ani jednym słowem.

Wierka też. Przestała zadawać pytania. Siedziała cicho, chyba nawet ucięła sobie drzemkę. On również czuł zmęczenie. Opróżnił mały termos z kawą, ale niewiele pomogło na ból mięśni i kręgosłupa. Nie czuł senności, czekało go jeszcze jedno przejście graniczne, to z Rumunią. Wprawdzie mniej się go obawiał niż poprzedniego, ale wolał mieć to już za sobą.

Była trzecia w nocy, kiedy podjechał pod bramki. Wokół jak makiem zasiał, zero innych samochodów, spokój, cisza. Nikomu nie chciało się wychylić nosa z budki. Strażniczka zerknęła na dowód osobisty, zajrzała do paszportu Wierki, pobieżnie przeleciała wzrokiem wyniki wymazów i kazała jechać. Odetchnął z ulgą. Dopiero teraz zmęczenie opadło na niego ze zdwojoną siłą. Wolał nie szukać motelu czy pensjonatu. To, że poszło im jak z płatka, nie pozbawiło go czujności.

Odjechał jakieś pięćdziesiąt kilometrów od granicy i zauważył zjazd. Okolica nie wyglądała zbyt urokliwie, z przydrożnych kubłów wysypywały się śmieci, ławka i stolik, przy którym można było coś zjeść, straszyły połamanymi deskami, ale wolał to miejsce niż hotel. Tam musieliby podać dane osobowe, a tego w miarę możliwości należało unikać.

– Czemu się zatrzymaliśmy? – burknęła Wiera. Była pewna, że Bruno odpowie: „na siku”, oczywiście jego męskie siku, bo ona nie miała zamiaru załatwiać tych spraw w krzakach, lecz oświadczył:

– Przenocujemy tutaj.

– Powiedz, że zwariowałeś. – Zerknęła w bok. Choć oko wykol, niczego nie dostrzegła w gęstej czerni. Stali na początku wąskiej leśnej ścieżki, praktycznie niewidoczni z drogi, a teraz, kiedy Bruno zgasił silnik i wszystko wokół zalała czerń nocy, poczuła prawie taki sam strach, jak wtedy, w łazience, kiedy wymusił na niej seks oralny.

– Tu jest strasznie. – Zniżyła głos do szeptu. – A jeśli ktoś nas

napadnie? Zaśniemy, podkradnie się, otworzy samochód i... – chciała dokończyć swoją przerażającą wizję, ale Bruno jej nie pozwolił.

– Zamknę centralny zamek, a gdy ten okropny mroczny morderca spróbuje go sforsować, odstrzelę mu jaja. Zadowolona?

Wcale nie było jej do śmiechu, ale gdy Bruno użył słowa „jaja”, zachichotała. Nigdy tak nie mówił, dlatego ją rozbawił. Szybko się opanowała, w końcu nadal była na niego ciężko obrażona i nie wypadało reagować przychylnie na żarciki. Siedziała, wciąż przypięta pasami, i patrzyła, jak Bruno organizuje im miejsce na nocleg. Dobrze, że nie wpadł na kretyński pomysł, by rozbić tutaj namiot. W życiu by się nie zgodziła na spanie w czymś równie lichym i niedającym żadnej ochrony.

– Tu są niedźwiedzie – burknęła, kiedy przerzucił na swoje siedzenie duży plecak, żeby zrobić więcej miejsca z tyłu. – Uważaj, zaraz któryś wyjdzie z gęstwiny i ugryzie cię w tyłek.

– Też nie ma czego gryźć, tylko mój tyłek. Prędzej twój.

– Bruno...

– Słucham.

– Tu naprawdę są niedźwiedzie?

– Tak. Dostyc dużo. Są takie miejsca, że można je napotkać bez większych problemów. Na przykład Transfăgărașan albo przy podejściu do zamku Poenari.

– Trans-co?

– Trasa Transfogarska, piękne miejsce. Warto zobaczyć.

Z bagażnika i złożonych tylnych oparców powstała całkiem przestronna sypialnia. Bruno ułożył dwa śpiwory na powstałej platformie, wydobyl skądś małe poduszki i koc. Koc był jeden, ale nie to było dla Wierki najgorsze, a pilna potrzeba fizjologiczna.

– Bruno...

– Słucham – znów cierpliwie odpowiedział. Właśnie zmieniał T-shirt, bo ten, w którym wyjechał z Warszawy, był przepocony.

– Siku mi się chce.

– Mam iść z tobą? – spytał, ale nie złośliwie czy kpiarsko, tylko zwyczajnie, neutralnym tonem. Mimo to Wierka natychmiast zaoponowała:

– Umiem sama zrobić siku.

– Okej. Latarka jest w schowku nad twoją głową – odburknął.

Szybko ją odnalazła, włączyła i wysiadła z samochodu. Odprowadził ją wzrokiem, czujny i skupiony. Wprawdzie niedźwiedzi się nie obawiał, włóczęgów i morderców napadających na niczego nieświadomych turystów również. Natomiast spodziewał się czegoś, co stanowiło wysoce prawdopodobne zagrożenie: leśnych owadów lub innych małych żyjatek ukrytych w poszyciu.

Odszedł kilka kroków od samochodu i wlepił spojrzenie w mroczną gęstwinę, przez którą przebijało się słabe światło latarki. Czekał na sygnał, na dziewczęcy pisk albo histeryczny wrzask, że coś siedzi w zaroślach. „Jakiś wielki roba! Pająk morderca!” – prawie to słyszał, ale Wierka go zaskoczyła. Wróciła po pięciu minutach, wsiadła do samochodu i schowała latarkę w schowku.

– No co? – Złapała jego spojrzenie we wstecznym lusterku.

– Nic.

– Idziesz spać? – spytała po minucie, zauważając, że już skończył przygotowania, zamknął klapę bagażnika i włądował się przez tylne drzwi do środka.

– A ty nie?

– Nie będę tam spała. – Wskazała brodą na rozłożone śpiwory.

– W fotelu wygodniej? – powiedział takim tonem, że nie wiedziała, czy spytał, czy oznajmił.

– Chyba nie myślisz, że po tym wszystkim położę się z tobą spać jakby nigdy nic. Nie sypiam z policjantami. Brzydzę się psiarnią, zwłaszcza sprzedajną.

– Jasne. Dobrej nocy. – Wyciągnął rękę, żeby zgasić światelko nad ich głowami.

– Bruno... – mruknęła znowu.

Już prawie zasnął. Udawał, że śpi, wyrównał oddech i nawet lekko zachrapał, ale Wierka nie odpuszczała tak łatwo.

– Czego, na litość? – spytał z irytacją. – Jest trzecia w nocy, muszę złapać trochę snu, inaczej jutro wpiemy się w drzewo, bo zasnę za kierownicą.

Ku jego zdziwieniu ten argument zadziałał, bo Wiera już nie truła mu tyłka. Musiał zasnąć, zresztą, powiedzmy sobie szczerze, był okrutnie zmęczony – wyczerpany fizycznie i psychicznie. Mimo to spał czujnie i natychmiast się zorientował, że blond uparciuch, który



nie „sypiał w psiarni”, czy jak to leciało, jednak zmienił zdanie. Przebudził się, ledwie Wiera przelazła między siedzeniami i wsunęła pod koc. Odsunął się, odwrócił plecami, żeby pozwolić zachować Wierce resztki damskiej dumy. Czekał, aż zaśnie.

Padła po minucie, wystarczyło osiem oddechów i już. Chrapała, aż miło...

\* \* \*

Wiera z trudem podniosła powieki. Nie żeby się wyspała, co to, to nie. Przeciwnie, miała wrażenie, że dopiero zaśnęła, a tu proszę – już wstawał nowy dzień. Przez intensywną zielen liści przenikały promienie słońca, które muskały jej twarz. Cicho ziewnęła i delikatnie poprawiła się na pościeli. Powiedzmy sobie szczerze – to było najbardziej niewygodne wyrko, w jakim spała. Coś uwierało ją w kolano, więc przesunęła się do tyłu i wtedy...

„No tak, hrabia się rozwalił, a dla mnie brakło miejsca” – pomyślała z irytacją. Kilka ostatnich nocy spędziła z Brunonem, ale wtedy zasypiali na jego wielkim łóżku, szerokim na dwa metry albo więcej. Teraz leżeli obok siebie niczym sardynki w puszcze. Na szczęście chyba się odwodniła, bo pęcherz nie dawał żadnych sygnałów. Przymknęła powieki, myśląc, że wymusi na Brunonie, żeby kolejny nocleg odbył się w normalnych warunkach, kiedy jego ręka niespodziewanie wylądowała na jej talii.

„Ej, no, facet...” – w duchu przewróciła oczami. Bruno nie należał do ułomków, jego łapsko musiało sporo ważyć, pewnie tyle, ile jej noga. Próbowала ją zrzucić, ale nie wyszło, przeciwnie – Bruno przysunął się bliżej, teraz już ją obejmował, a jego nos wydmuchiwiał powietrze prosto w jej kark, pomiędzy włosy. „No masz, teraz się przytula, łasi jak Nemrod, a wczoraj...” – nie dokończyła, bo nie wypadało zaczynać dnia przekleństwami.

„Co on odwała...” – zorientowała się, że Bruno już nie śpi. Jego oddech przyspieszył, a palce delikatnie odnalazły krawędź koszulki i wsunęły się pod spód. „Walnę mu”. Zaciśnęła zęby, żeby nie dać znać po sobie, że zachowanie tego dupka robi na niej wrażenie. Zanim do niego przelazła, zdjęła biustonosz i dzinsy, uwierały ją po

całym długim dniu podróży. Miała na sobie bawełnianą bluzkę, majtki i skarpetki, bo w długiej podróży zawsze marzły jej stopy.

Bruno poczynął sobie coraz śmielej, jego palce dotarły do piersi Wiery, zaczęły pieścić brodawkę. Napierał na nią podbrzuszem. Tego nie dało się zignorować – wielkiej twardej męskości, którą wbijał w jej plecy tuż nad pośladkami. Bezwiednie się wygięła, docisnęła pośladki, zaczęła nimi lekko pocierać o penisa Brunona, skrytego w dżinsowych spodniach, bo w odróżnieniu od niej, nie zdjął ich w nocy. Nagle jego dłoń zostawiła górne partie jej ciała i obrała inny kierunek.

– Tak... – stęknęła cicho, bo wsunął palce pod gumkę fig.

Liczyła, że zrobi jej dobrze, wystarczyło tylko dotknąć nabrzmiałej łechtaczki, kilka razy przesunąć po niej opuszką palca i Wiera by doszła, ale ten gbur i kłamca nie miał takiego zamiaru. Błądził palcami, wsuwał je w gąszcz włosów na wzgórku Wenery, gładził podbrzusze, ale nic ponadto. „Świnia” – obrzuciła go inwektywą, rozumiejąc, że się z nią bawi.

– Przestań – warknęła.

– Jesteś pewna? – Znowu dał jej nadzieję, bo zjechał palcem do miejsca, gdzie zaczynała się wąska wilgotna szparka. – Tak? – spytał.

Nie miała siły, by odpowiadać. Rejestrowała każdy ruch, nawet najmniejszy, ale znowu spotkał ją zawód, bo Bruno zabrał rękę i, co zaskakujące, popchnął ją lekko, żeby położyła się na brzuchu.

– Co ty robisz?

– Zdejmuję ci bieliznę.

– Bruno... Masz przy sobie gumki? – Wolała się upewnić, że nie zostawi jej rozbudzonej, bo okaże się, że nie zabrał zabezpieczenia. To on ogarniał te rzeczy.

– Nie.

– Nie?

– Nie potrzebujemy ich.

Jego palec trafił w sam środek cipki, rozsunęła nogi i lekko wypięła pupę, żeby miał łatwiejszy dostęp, ale wtedy Bruno zrobił coś, co ją sparaliżowało. Dotknął ją tam. Tam. Można rzec, że nie tylko dotknął, ale wsadził do środka swój palec. Na szczęście tylko czubek.

– Bruno... – Musiał wyczuć, że zdrętwiała w bezruchu, ale palca nie zabrał. – To kiepski pomysł.

– Czemu?

– Nie lubię tego.

– Będę delikatny, zobaczysz. – Zaczął ją lekko masować. Naciskał i puszczał, zataczał maleńkie kółko wokół zwieracza, co przyprawiało ją o nieznośny dygot, ale nie mogła powiedzieć, że to było nieprzyjemne czy bolesne.

– Nie tutaj. – W końcu wychrypiała. – Nie w samochodzie, chyba oszalałeś?

– Jestem czysty, wziąłem prysznic na stacji – przypomniał. Nachylił się i lekko zacisnął zęby na jej obnażonym karku. – Przed snem umyłem ręce żelem. Nie bój się, nic ci się nie stanie.

– Ale ja jestem nieświeża.

– To bez znaczenia, mój penis nie ma zmysłu powonienia.

– Chyba żartujesz? – Dopiero do niej dotarło, o co mu chodzi i co chce jej TAM włożyć. – Masz za dużego kutasa.

– Taki urósł. – Docisnął przedmiot ich rozmowy do biodra Wiery.

– Ale zmieści się, zobaczysz.

– Nie – jęknęła bez przekonania, bo Bruno zintensyfikował pieszczoty.

Przeżywała istną burzę myśli i pragnień. Z jednej strony bardzo się bała, nie wiedziała, co ją czeka, bo jeszcze nie bawiła się w seks analny, a z drugiej – kusiło ją, żeby przeżyć to właśnie tutaj, na dziko, w samochodzie. Kompletnie bez przygotowania, bez prysznica, wygodnego łóżka i dostępu do łazienki. Zwierzęco i trochę wbrew jej woli.

Zamilkła. Coraz otwarciej przyjmowała pieszczoty, wypinała się, ale to było trudne i wymagało sporego wysiłku, co zauważył jej kochanek. Kazał podnieść pupę, wsunął pod spód poduszkę i wrócił do masażu drugiej dziurki. Otwierała się coraz szerzej. Gdy brakowało poślizgu, Bruno ślinił palce i zwilżał to miejsce, aż stało się tak samo mokre jak cipka Wiery.

– Jesteś gotowa – powiedział szeptem.

– Ja... – jęknęła bezradnie. – A zresztą, rób, co chcesz – poddała mu się.

Położył się na niej. Spięła mięśnie, ale on potrafił sobie z nią poradzić.

„Ufam ci, nie zrób mi krzywdy” – przekazała bezgłośnie, wstrzymując oddech, bo właśnie w nią wszedł. Na początku trochę bolało, poczuła rozpieranie, ale po chwili odnalazła w tym przyjemność. Już się nie bała, czerpała rozkosz, chłoneła doznania, szepty i czułości, którymi ją obsypywał. Potrzebowała tego – kontrolowanego ujarzmnienia. Nie w gniewie, bez brutalności, ale też bez zawahania.

Bruno wiedział, co robi.

Kazał jej sięgnąć ręką do łechtaczki, mówił, że ma się pieścić. Posłuchała go. Szybko i zupełnie niepostrzeżenie ogarnęło ją jakieś totalne szaleństwo. W pewnym momencie krzyczała, że chce jeszcze, że Bruno ma ją posuwać, rznąć. Wykrzykiwała swoje żądania, nieskrępowana, pozbawiona wstydu. Po wszystkim zapadła się w sobie. Zwinęła w kłębek, chyba nawet rozpłakała. Był blisko, głaskał ją delikatnie po plecach, ale nie dopytywał, czemu płacze. Czuł, że tak musi być. To było jej potrzebne. Po pewnym czasie podał jej paczkę nawilżanych chustek, żeby wytarła ręce. Tylko ręce, bo tam powycierał ją Bruno. Odświeżył, znalazł w torbie czystą bieliznę i włożył ją Wierce, jak dużej lalce.

– Pewnie myślisz, że jestem straszną zdzirą? – w końcu zdobyła się na odwagę, by nawiązać do ich seksu.

Już zdążyli się zwinąć, uprzątnąć legowisko, zjeść na szybko po kanapce kupionej wczoraj na stacji pod Budapesztem i wypić trochę letniej kawy. Mijali właśnie rozjazd na Arad i Bruno skupił się na drodze, ale pytanie usłyszał. Coś ukłuło go w piersi, gdy Wierka zadała je żalosnym, niemalże płaczliwym tonem.

– Nie, nie myślę tak. Nigdy nie myślałem.

– Błagam, chociaż raz nie kłam. – Nie odrywała wzroku od widoku za szybą. Nie żeby ją ciekawił, był chociaż odrobinę interesujący. Nic, tylko lekkie wzniesienia po bokach, pasmo asfaltu przed maską i chmury, wiszące nad głowami jak kurtyna w jakimś dawno opuszczonym teatrze. – Wczoraj cię wyzywałam, a dzisiaj pozwoliłam na... Ech. – Odwróciła się, żeby nie widział jej twarzy, płonącej rumieńcem wstydu. – Nie potrafię ci odmówić. Robisz ze

mną, co chcesz, a na koniec okazuje się, że znowu miałeś rację, ja też tego chciałam. I to jak.

– To źle?

– Nie wiem. Jestem jak uzależniona, nie potrafię postawić granicy. Ciągłe ją przesuwasz, pozwalam ci na to. A ty... Masz mnie za nic, Bruno – dokończyła po dłuższej chwili.

– To nieprawda. Mylisz się. – Poczula jego dłoń na swojej. Chwycił ją mocno i ścisnął. – Ja też potrzebuję tego uczucia. Jeszcze tego nie rozumiem, nie potrafię sobie poradzić. Kiedy ogarnia mnie zimno, kiedy jestem zupełnie sam ze sobą, ze swoimi myślami... – Zamilkł na chwilę. – Coraz częściej chcę to zostawić. Wyjść z pustki, zadrzeć głowę i spojrzeć prosto w niebo.

– O czym ty mówisz, Bruno? – Obróciła twarz, by móc zobaczyć jego twarz.

– O tym samym, o czym ty mówiłaś. O uzależnieniu.

– Pfff... – fuknęła pod nosem, ale w duszy jęknęła z przejęciem. Bruno mówił o uczuciach. O uczuciach! Aż ją na moment zatkało. – Powiedz, dokąd jedziemy? Chyba teraz możesz mi powiedzieć? Zresztą w końcu i tak się dowiem.

– Mam pewien plan. Dzisiaj chcę dotrzeć do wybrzeża, blisko granicy z Bułgarią, a potem się zobaczy.

Przybrała skupiony wyraz twarzy, bo kiepsko uważała na lekcjach i zapomniała, które państwa graniczą z Bułgarią.

– Szkoda, że nie masz tu zwykłej mapy.

– Kto powiedział, że nie mam? Otwórz schowek.

Znalazła mapę, rozłożyła ją, przysłaniając przy okazji całą szybę przed sobą i szybko odnalazła Bułgarię.

– Grecja czy Turcja? – Spojrzała na niego.

– A co byś wolała?

– Ta... Bo ci uwierzę, że to ja mam wybrać.

– Ale powiedz.

– Turcja. Nigdy tam nie byłam.

– Okej, zatem pojedziemy do Turcji.

Zamurowało ją na moment.

– Ty tak na serio?

– Czemu nie? Najpierw pojedziemy do Turcji, a potem...

– Się zobaczy – dokończyła z wielkim bananem na twarzy.

## Rozdział 9

Kawa, którą serwowano na tarasie hotelu Ritz przy Twerskiej, kosztowała mniej więcej tyle, ile wynosiła przeciętna pensja kasjerki pracującej dla sieci Magnit. Właśnie dlatego Nikita lubił tam wpadać. Siadał przy stoliku, zamawiał kawę, słodził i pił, co chwila dmuchając niecierpliwie na gorące lustro płynu, spoglądając przy tym na plac Czerwony. Bywało, że na kawie się nie kończyło i Nikita musiał wynająć pokój. Swego czasu ten właśnie hotel trafił do księgi rekordów Guinnessa. Jako jedyny oferował apartament obejmujący prywatną kuloodporną celę. Jego lokator musiał zapłacić za ten luksus bagatela osiemnaście tysięcy dolarów – tyle kosztowała doba pobytu, bez śniadania, rzecz jasna, ale rozmiar apartamentu i luksusowe wyposażenie były tego warte.

Niestety, dzisiaj Nikita nie mógł sobie pozwolić na szaleństwa, bynajmniej nie przez pustki w portfelu, bo na upartego mógł choćby jutro kupić ten hotel wraz z obsługą, ale nie po to tutaj przyleciał. Zerknął na zegarek, do południa brakowało trzech minut. Wprawdzie to jego zaproszono na spotkanie, ale on ustalił miejsce i czas. Już zdążył pomyśleć, że Grizzly jest niepoważny – w ich kręgach spóźniałstwo zawsze było w złym tonie – kiedy przy wejściu na taras zapanowało lekkie ożywienie. Jego chłopcy natychmiast wyprężyli muskuły, poprawili dyskretnie broń i lekko się odsunęli, bo na taras właśnie wkroczyło kilku ludzi Sorokina.

On sam wszedł na końcu. Ubrany jak błazen – w długim kremowym płaszczu, który sięgał mu do stóp i pasował do obecnej aury jak kwiatek do kożucha. Podszedł i stanął przy stoliku – jedynym na całym wielkim tarasie.

– Jak żyjesz, bracie? – Wyszczерzył zęby.

Nikita wstał, żeby ucisnąć mu dłoń. „Co za pajac” – pomyślał. I ta właśnie myśl nie opuszczała go do końca długiego spotkania, zaaranżowanego przez Michaiła Sorokina. To on wysłał swoich emisariuszy, żeby zaprosili Nikitę Doneckiego na prywatną *schodkę*.

Zgodził się, innej opcji nie było. Tylko tchórz odmówiłby spotkania. Był ciekaw, co skłoniło Grizzly'ego do konfrontacji. Nie znali się osobiście, zaledwie raz widział Sorokina na własne oczy, ale to było dawno, Nikita miał wtedy szesnaście lat i razem z ojcem uczestniczył w pogrzebie Pietii Bykowskiego, wspólnego znajomego ojca, Sorokina i wielu innych *worów w prawie*.

Na początku Nikita głównie milczał, bo Grizzly rozwodził się nad fałszywą pandemią. Gadał głupoty, mówił, że to spisek, a przy okazji chwalił się, ile zarobił na nielegalnym handlu maseczkami, które opchnął za gigantyczne pieniądze gdzieś w Ameryce Południowej. Nikita uprzejmie słuchał, uśmiechał się, podjadał sushi, chociaż wolałby coś zwykłego – kawałek kiełbasy albo befsztyk na zimno, ale w końcu przyszedł czas na główny temat i powód spotkania.

– Co u twojej żony, Niki? – Grizzly rozparł się wygodnie w fotelu i założył dłonie na brzuchu.

– Ty mi powiedz, Michaił.

– Bystry chłopak. – Sorokin plasnął dłońmi w uda ciasno opięte kraciastą wełenką. – No tak. Masz rację. To ja mogę ci odpowiedzieć, nie ty mnie. Ale... – podniósł wskazujący palec – ona sama poprosiła o opiekę.

Nikita nie był zaskoczony, przecież miał swoich ludzi, którzy potrafili zdobyć prawie każdą informację. Wiedział, że Wierka jest u Grizzly'ego, że ktoś ją pilnuje, ale kto i gdzie? Mógł tylko spekulować, bo na razie nie udało mu się odkryć żadnych szczegółów.

– Krążą plotki, że moja siostra jest w Warszawie.

– Była, chłopcze, była. Czas przeszedł. A która siostra? Obie ładne.

– Grizzly uśmiechnął się obleśnie.

Na szczęście wszyscy, włącznie z Nikitą, wiedzieli, że Sorokin jest wyjątkowo wiernym mężem, ma swoją ukochaną żonę, Walentynę, od lat stanowią zgraną parę i nie w głowie mu inne baby. To było fenomenem w tych kręgach, ale Nikita mógł w pełni zrozumieć zachowanie Grizzly'ego. Mocno wierzył, że on i Weronika nigdy się nie rozstaną, a on prędzej uciąłby sobie kutasa, niż wsadził go w inną cipkę.

– Katia jest tutaj.

– A Wiera tam. – Sorokin machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Twój ojciec popełnił błąd. Nie wolno stawiać przeciwko świętości, krzywoprzysięgać przed samym Bogiem i zmuszać do kłamstwa swoje rodzone dzieci. – Miał na myśli ślub, który zawarli Wiera i Nikita. – Dlatego spotkała go kara. Dobrze zrobiłeś, chłopcze.

– Skąd wiesz?

– Że ty go zabiłeś? Ptaszki ćwierkały. – Uśmiechnął się jowialnie. – Najpierw ćwierkały, że to Bolivar spłodził Wierę, a potem... Wiadomo. – Nieznacznie wzniosł ramiona. – Ale nie rób sobie wyrzutów, twój stary zasłużył na psi los.

Nikita aż szarpnęło. Mimo wszystko czuł do ojca szacunek, nawet jeśli to on, rodzony syn, wysłał go na tamten świat.

– Do rzeczy – popędził Sorokina.

Ten z niezadowoleniem zmarszczył czoło.

– Grzeczniej. – Pewnie myślał, że jemu też należy się szacunek. Był prawie dwa razy starszy od Doneckiego. – Przyjechałem z ofertą. Możesz sobie ją zabrać. Wierę – doprecyzował. – Jest w Rumunii. Pilnuje jej ktoś, kto nie do końca dobrze się sprawuje.

– W Rumunii?

– Tak, to pewne, bo widzisz... – Grizzly wydał usta, jego mięsista górna warga prawie dotknęła nosa. – Miałem inne plany co do twojej siostry. Zamierzałem ją przehandlować. No co? – Spostrzegł minę Nikity. Ten przymrużył oczy, aż stały się wąskie i ciemne jak szczelina bankomatu. – Ty byś nie przehandlował? A zresztą, nieważne. – Grizzly machnął ręką. – Było minęło, ptaszek wyfrunął z gniazdka, a mój kupiec nie chciał czekać.

„Pierdolisz jak najebany ornitolog” – pomyślał Nikita, słysząc kolejne ptasie porównanie, ale nie odezwał się ani słowem. Pozwolił Sorokinowi dokończyć swój wywód. Ten z pełną powagą stwierdził, że to musiał być znak z nieba.

– Moja Walentyna powiedziała: „Dobrze, Miszka, że ta dziewczyna wymknęła ci się z rąk. Niehonorowo chciałeś postąpić i Bóg cię ukarał”. Ukarał, bo zaufałem. – Pokiwał głową. Za każdym razem, gdy ją opuszczał, pod jego brodą pojawiała się wielkie podwójne podgardle. – I komu?! Gnojkwowi, któremu byłem prawie jak ojciec. To łotr.



– Niejaki Bruno? – Nikita postanowił zagrać *va banque*.

Nie miał żadnej pewności, że trafił. To raczej był podszept intuicji, który usłyszał, gdy Sorokin potwierdził, że Wiera przez pewien czas siedziała w Warszawie.

– O, widzisz! – Grizzly wyszczerzył zęby. – Zaimponowałeś mi. Będziesz godnym następcą ojca. Już jesteś. Spokojnie... – Położył dłoń na przedramieniu Nikity, ale szybko ją zabrał. – Nie spytam o nic, co nie jest potrzebne, bo nie po to się spotkaliśmy. Bierz siostrę, ja zabiorę coś innego i jesteście kwita.

– Czego chcesz w zamian?

– Wyślę ci listę SMS-em. – Na chwilę zastygł w bezruchu, ale potem jak nie ryknął śmiechem ze swojego żartu. Pod wpływem fali dźwiękowej zadrżała nawet wielka palma, stojąca za jego fotelem.

– Może być SMS.

– Dogadamy się. – Grizzly nachylił się i wałnął dłonią w ramię Nikity. – Odpalisz mi któryś z klubów, może dwa? Jeszcze zobaczę.

– W porządku. – Nikicie nawet nie mrugnęła powieka. – Jak to załatwimy? Wystawisz mi go? Brunona?

– Masz na myśli Goczę Nemsadze? O nie. Akurat to muszę sam załatwić, piesek był niegrzeczny i trzeba go przykładnie ukarać, ale nie wykluczam pogawędki. Chciałbyś z nim pogadać? Byle krótko. Chłopaki go przygotowują, porozmawiacie sobie, a potem... – Zatarł ręce. – W każdym razie dziewczyna wróci na łono rodziny. Cała i zdrowa, chociaż na twoim miejscu złożyłbym smarkatą do krwi.

– Rozważę. – Nikita sięgnął po swój kieliszek i upił trochę wody mineralnej. – Kiedy to załatwisz?

– Ktoś do ciebie zadzwoni. Nawiasem mówiąc, ten cały Bruno czy Gocza to niezły chujek. Chciał mnie wyruchać jak szczyła. Uwierzysz? Mnie. – Dziobnął się palcem w klatkę piersiową. – A tak mu ufałem. Lata dla mnie pracował, chociaż młody, w twoim wieku. Parę lat temu miał wypadek, pomogłem mu, załatwiłem lepszą robotę.

– Ochronia świadków koronnych.

– Czyli wiesz, co robi? Niesłychane. – Grizzly obdarzył Nikitę takim samym czujnym spojrzeniem, jak on przed chwilą. – Ale masz stare informacje. Przełożonym został. To on tym wszystkim rządzi. Dzięki mnie. – Mlasnął z samozachwytem. – Ja mu załatwiłem

stołek. Takiemu smarkaczowi. Nie wierzyłem, że to wyjdzie, daj spokój! Przecież to młodzik. Gdy się udało, pomyślałem, że oni wszyscy w tej Warszawie chyba się z chujem na łeb pozamieniali. No sam powiedz. Takiego młodego gnojka ustawili na świeczniku, na dodatek kalekę.

– Co dokładnie się stało?

– Na wózku jeździ. Nie znam szczegółów, ale nie może chodzić.

– Jest bez szans – ocenił Nikita. – Od początku był.

– Aż dziwne, że go ta twoja siostra jeszcze nie odjechała. – Zarżał Grizzly. – Co za problem zwać kulawemu, no sam powiedz.

– Zależy od kulawego – zaśmiał się Nikita.

– Wrócisz do siebie, ktoś zadzwoni i da ci wiedzę, gdzie oni są. Co do waszej rozmowy... – Grizzly zawiesił głos. – Muszę to jakoś poukładać. Wiktor coś na pewno wymyśli, on ma łeb do takich spraw.

– Dasz mi pełną swobodę?

– To znaczy?

– Jak mogę załatwić temat, czyli odebrać młodą – dodał, żeby Grizzly nie miał wątpliwości.

– A pewnie, rób, co uważasz za słuszne, byle dyskretnie. Im mniej osób wie o naszej umowie, tym lepiej. I bez szaleństw. Tam też świrują z tym wirusem. Pojebani. Granice zamykają, maseczki każą nosić. Nawet na chuja nie założę tego kurestwa. Duszno, oddychać się nie da, z japy później śmierdzi. Co ja, kurwa, chirurg jestem? Prędzej patolog. – Zaśmiał się. – Nosisz to?

– Nie.

– Mądry chłopak. Będą z ciebie ludzie. To co, jeszcze po jednej? – Sorokin wskazał na małą butelkę z wodą perrier.

Zapewne kosztowała tyle samo co kawa. Zdążyli już wypić po dwie butelki, w żołądku Nikity bulgotało niczym w starej spłuczce, mieli takie w Edenie, zanim ojciec nie kazał wyremontować wszystkich sanitariatów.

– Cholera człowieka bierze, ale moja Walentyna zabroniła mi pić przez cały miesiąc. O dziecko się staramy – wytłumaczył Grizzly. Skinął na jednego ze swoich ludzi i mruknął, że chce jeszcze dwie butelki wody.

– Które to już?

– Jak Bóg da, piąte. A ty?

– Ja na razie jedno.

– Masz czas. A teraz, powiedz no mi, chłopcze...

„Czeka mnie pierdolone płukanie żołądka” – pomyślał Nikita, ale posłusznie podstawiał kieliszek.

## Rozdział 10

Na Isla Mocha zaczynała się zima. Luiza opatuliła się grubym swetrem, dołożyła kilka szczapek do kominka i ciężko westchnęła, bo o tej porze roku w Milikowie było jak w raj. A tu? Paskudnie, zimno i deszczowo, za niecały miesiąc, w czerwcu, przypadał środek zimy. Przez cały czerwiec, lipiec i sierpień średnie temperatury dobowe na wyspie oscylowały na poziomie siedmiu stopni Celsjusza, co było po prostu koszmarną perspektywą.

„Masz szczęście, że tak cię kocham” – pomyślała, zerkając na Rafała. Jemu nie przeszkadzał chłód, przeciwnie: czuł się tutaj jak ryba w wodzie, oczywiście w bardzo zimnej wodzie, bo tylko taka otaczała wysepkę. Siedział na kanapie w samym T-shircie i bokserkach i coś czytał. Miała mu powiedzieć, żeby się kładł, było już późno, a ona liczyła na jedną z najprzyjemniejszych form rozgrzewki, czyli na gorący seks, kiedy odezwał się telefon. Uniosła brwi. „Kto dzwoni tak późno?”. Spojrzała pytająco na Rafała.

Poprawnie odczytał jej myśli. Ostatnio mogła rzec, że rozumieją się bez słów.

- Numer prywatny – odparł, zdziwiony jak ona.
- Nie odbieraj. – Podeszła bliżej.
- Czemu?
- Nie wiem, ale nie odbieraj.
- Może to jakaś pomyłka?
- Ja bym nie odbierała. – Luiza czuła, że rośnie jej tętno.

Wprawdzie od długich miesięcy nikt ich nie niepokoił, nie dzwonił i nie pisał, ale dobrze pamiętała, co działo się z Rafałem, kiedy na wyspę dotarła jego była żona Weronika. Wszystko się rozsypało. Minęło ponad pół roku, ona i Rafał zapomnieli o sprawie, a raczej udawali, że nic się nie stało, nie ma Weroniki, nie ma Brunona, nie ma całej cholernej przeszłości Rafała, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. Że zło nie zniknęło, zaledwie się przyczyało, by znów uderzyć i zasiać ferment w ich życiu.

– Dobrze. – Rafał odłożył telefon, który zawibrował jeszcze kilka razy i ucichł.

– No widzisz. – Odetchnęła z ulgą. – To musiała być pomyłka.

Wstał i mocno ją przytulił.

– Nie bój się. Jesteś tutaj bezpieczna – wyszeptał w jej włosy. – Ty i Gaba. Nic się nie stało.

– Nic się nie stało – skłamała, bo właśnie się stało. Zadrżała na myśl, co przeżyła, gdy Weronika była tutaj. – Zimno mi. – Uzasadniła nieznośny dygot, który nie chciał ustąpić, pomimo silnego uścisku ramion Rafała.

– Idziemy się położyć?

– Uhm – mruknęła, czując, że dzisiaj nico z seksu, przeszedł jej cały nastrój.

– To chodź. – Rafał odsunął ją na odległość ramion i czule na nią spojrzał. – Moje biedactwo. Trzeba cię rozgrzać.

– Nie wiem, czy ci się uda. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Dam radę. – Chwycił ją za rękę i czule ścisnął.

Postąpili może trzy kroki w stronę wyjścia z salonu, kiedy znowu odezwał się telefon. Tym razem przyszedł SMS.

– Kurwa mać – wymsknęło się Rafałowi.

– I kto się tak dobija? – fuknęła z irytacją.

Zostawił ją na środku pokoju, wrócił na kanapę, usiadł, sięgnął po telefon i przejechał palcem po ekranie. Weronika obserwowała go uważnie, patrzyła na jego twarz, na dłoń, którą przyłożył bezwiednie pod nos, na oczy, gdy wpatrywał się w wyświetlacz.

– Coś się stało? – spytała, zbliżywszy się do niego. Usiadła obok, ale nie miała odwagi, by zajrzeć przez ramię Rafała na ekran.

– To Nikita Donecki. – Obrócił głowę i popatrzył na Luizę zszokowanym wzrokiem. – Wysłał wiadomość, że chce pogadać. To on dzwonił z zastrzeżonego numeru.

– Nikita Donecki? – Na jej czole pojawił się mars. Kojarzyła, kim jest ten mężczyzna, i z pewnością nie był kimś, kogo chciałaby spotkać. – Ten facet odwiedził moich rodziców? Zabrał Weronikę i Mikołaja, i wyjechali? – upewniła się, a gdy Rafał potaknął, dodała: – Oni dalej są razem, prawda? Ten cały Nikita i Weronika? – spytała, ponieważ Rafał rzadko, bo rzadko, ale czasami kontaktował się z Weroniką, żeby spytać, co u niej.

Pozwoliła mu na te sporadyczne rozmowy, kiedy poprosił, a teraz znów żałowała.

– Tak, mieszkają w Szwajcarii – odparł.

– Uhm. Czego chciał Donecki?

– Czego chce – skorygował Rafał. – Mówiłem, chce pogadać.

Ciężko westchnęła. Jeśli Rafał oczekiwał rady, co ma zrobić, czy porozmawiać z tym człowiekiem czy nie, jej odpowiedź była jasna i prosta: „Niech Donecki idzie w diabły”, ale postanowiła się nie wtrącać.

– A ty chcesz? – Wcisnęła dłonie do przepastnych kieszeni swetra.

– Odpiszę, że...

Znowu coś piknęło.

– Co napisał?

– Wysłał mi zdjęcie. – Rafał pokazał jej ekran. Z fotki uśmiechała się Weronika, trzymała w rękach synka, a znad jej głowy szerzył zęby jakiś blond troglodyta. – To pewnie Donecki?

– Nie mam pojęcia. Mama mówiła, że właśnie tak wygląda. Wielki, masywny jak trzydrzwiowa szafa z pawlaczem.

– Cóż, ja też jestem wielki, chyba nie wątpisz? – mruknął Rafał.

– Ale nie masz takiej tępej gęby. Dziwię się Weronice, kijem bym nie tknęła tego faceta. Brr... – Wzdrygnęła się, ku uciesze Rafała. – I po co te zdjęcia? – spytała, bo właśnie dotarła druga fotka. Przedstawiała Weronikę, Doneckiego i ich synka, sztucznie upozowanych i w eleganckich ciuchach. Donecki rozparł się jak król w fotelu, w ramionach trzymał dziecko, a obok stała Weronika. – Chwali się czy żali? – fuknęła, patrząc na gigantyczną choinkę, stanowiącą tło zdjęcia.

– Uwiarygodnia się. Że to on do mnie pisze.

– Chyba, że tak. – Luiza wzruszyła ramionami. – Nie znam się na tych waszych gangsterskich trickach.

– Złośliwa jesteś. – Szturchnął ją lekko łokciem. – Słyszysz? – Nagle znieruchomiał.

– Gaba płacze. Znowu... – jęknęła. Szybko wstała i wyszła, żeby sprawdzić, co się stało.

Ostatnio Gabrysia często się budziła, płakała w nocy, bo bolały ją kolanka. Lekarka powiedziała, że to bóle kostno-wzrostowe, kazała wcierać maść, a w razie silniejszych dolegliwości podać syrop

z paracetamolem. Luiza weszła do sypialni, myśląc, że znowu małą dopadły te wstrętne bóle, ale to był tylko zły sen. Utiłiła córeczkę, zostawiła zapaloną lampkę i wróciła do Rafała. Zastała go z laptopem na kolanach, siedział i czytał z przejęciem.

– Dostałem coś na skrzynkę – powiedział, ledwie ją dostrzegł.

– Co?

– Jeszcze nie wiem. Dopiero otwieram pliki. Co u Gaby?

– Miała zły sen, na dodatek spadła jej kołderka. – Weronika podeszła do kanapy i stanęła za oparciem, ale Rafał opuścił klapę.

– Wolałbym...

– Jasne. – Nie obrażała się, że nie chciał jej pokazać, co dostał od Doneckiego. Czuła, że Rafał woli najpierw sam się z tym zapoznać. Obeszła kanapę i spojrzała na ukochanego. Bała się, ale teraz nie mogła okazywać strachu. Czuła, że będzie mu potrzebne jej wsparcie. – Pójdę się położyć.

– W porządku. Przepraszam, ale wolałbym... – Wyciągnął rękę.

– Wiem, chcesz zostać sam. – Ucisnęła jego dłoń. – Będzie dobrze.

Nie mogła zasnąć, wierciła się i kręciła, co chwilę zaglądała na telefon, żeby sprawdzić, która jest godzina. W końcu zmorzył ją sen, ale był płytki i rwał się na strzępy to jawy, to bezsensownych wątków, pozbawionych logiki czy treści. Gdy otworzyła oczy, wokół panowały egipskie ciemności. Po omacku odnalazła telefon.

– Trzecia piętnaście... – odczytała godzinę.

Włączyła kinkiet nad głową, włożyła gruby włochaty szlafrok i wyszła z sypialni. W salonie nadal świeciło się światło. Zamknięty laptop leżał na stoliku kawowym, a na nim mała karteczka wyrwana z notatnika. „Poszedłem na spacer, jestem na klifach. Mam telefon” – odczytała. Zaraz na początku ich wspólnego pobytu urządziła Rafałowi wielką awanturę, bo wyszedł w nocy z apartamentu i polazł sobie na przechadzkę. Nie mogła go znaleźć, postawiła na nogi cały personel, a potem okazało się, że to częsty zwyczaj Rafała – lubił nocne przechadzki po wyspie. Od tej pory zawsze zostawiał karteczkę albo wysyłał SMS, a telefon zabierał ze sobą, żeby się nie martwiła.

Wróciła po swój aparat. „Gdzie dokładnie jesteś?” – wysłała SMS. „Już wracam, zaraz będę w domu” – odpisał. Faktycznie, pojawił się

w apartamencie kilka minut później. Zrobiła herbaty, bo deszcz zmoczył Rafała do samych majtek, a ona lubiła trzymać kubek i grzać nim dłonie.

- Skończyłem wszystko czytać o pierwszej w nocy.
- Jezu... – jęknęła. – Czego chce? Rozmawiałeś z nim?
- Jeszcze nie, tylko czytałem.
- Powiesz mi?

– Pamiętasz tego faceta, który od początku się mną opiekował? – Pokazał palcami znak cudzysłowu. – Miał na imię Bruno.

- Kojarzę. Co z nim? Nie żyje?
- Chyba żyje. Skąd taka myśl, że nie żyje?

– No błagam. – Luiza prychnęła pod nosem. – Aż dziwne, że ten Donecki jeszcze żyje.

– Ekhm... – Rafał chrząknął w kułak, dając jej do zrozumienia, że lekko przesadziła. – Wbrew pozorom to nie takie proste, umrzeć.

– Chyba nie chcę tego zweryfikować. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Co z nim?

– Waham się, czy powinienem ci to wszystko powiedzieć, ale... będę potrzebował rady. Więc tak... – Odetchnął głęboko. – Donecki dotarł do materiałów, do pewnych informacji o tym człowieku. On nazywa się Grzegorz Niżyński, ale ma pseudonim operacyjny Bruno. Skończył studia w szkole dla policjantów, w Szczytnie.

- Uhm.
- Ale kiedyś nie nazywał się tak. Miał inne imię i nazwisko.
- Kapuję. – Luiza pokiwała głową.
- Nazywał się Gocza Nemsadze, jest z Gruzji.
- Aha.

– Pracuje w policji, zajmuje się głównie opieką nad takimi jak ja, nad świadkami koronnymi i tak dalej. Ale to nie wszystko. Okazuje się, że współpracował z ojcem Nikity, Wasylem Doneckim, oczywiście zanim ten zginął.

- Ojciec Nikity to gangster? – domyśliła się Luiza.
- Tak. Kierował dużą organizacją.
- I już nie żyje?
- Nie.
- Chyba nie chcę wiedzieć, czemu i jak zginął.



– Bardzo słusznie – mruknął Rafał. – W każdym razie zanim umarł, zdążył nawiązać współpracę z Brunonem, ale to nie trwało długo, zaledwie rok, może dwa. To nie wszystko, jest jeszcze inny facet, też z Rosji i też gangster, dla którego latał Bruno. W teorii Bruno ciągle dla niego pracuje. Ten gość nazywa się Grizzly.

– Czyli Bruno jest policjantem, a przy okazji dorabia sobie do pensji, współpracując z dwoma gangami z Rosji. Naprawdę urocze. – Luiza poczuła, że nawet gruby szlafrok nie jest w stanie sprawić, by przestała się telepać z nerwów. – I on się tobą opiekuje? – wychrypiała, z trudem panując nad pierwszymi objawami paniki. – Niech mnie ktoś mocno uszczypnie – jęknęła.

– To nie koniec, bo firma Doneckich konkurowała i konkuruje z firmą Grizzly’ego.

– Oni ze sobą walczą? – pisnęła, zdziwiona, że jej głos potrafi wspiąć się na takie wysokie rejestry. – W sensie: zabijają się?

– Nie. To bardziej... – brakło mu odpowiedniego słowa. – Tolerują się. Jeden nie wchodzi w paradę drugiemu, nikt nie potrzebuje wojny, pewnie czasami mają jakieś drobne nieporozumienia, ale interesów ze sobą nie prowadzą. Tak sędzę, bo szczegółów nie znam.

– Uff... – odetchnęła afektowanie. – Co za ulga.

– Pamiętasz mojego bossa?

– Tak. Maniks. Twoja ciotka o nim wspominała, kiedy... – Pokręciła głową na wspomnienie okoliczności tej rozmowy. Wówczas sądziła, że już nigdy nie zobaczy Rafała, że został skazany, a potem to już w ogóle, kiedy w mediach podano informację, że Rafał nie żyje... Nigdy o tym nie zapomni.

– Otóż to. Mój boss to Maniks, on też zmarł, tak samo jak Karp, jego zastępca.

– Trup ściele się gęsto. Istna Lombardia – nawiązała do ostatnich tragicznych doniesień o pandemii szalejącej we Włoszech, ale czuła, że tylko zachowując dystans i odrobinę czarnego humoru, mogła przetrwać tę trudną rozmowę.

– Maniks ściśle współpracował z Grizzlym.

– Co? – Musiała stracić wątek. – Jeszcze raz.

– Rozrysuję ci to. – Rafał wziął karteczkę i szybko naszkicował sieć powiązań między wszystkimi elementami łamigłówki. – Maniks i Grizzly współpracowali ze sobą od lat, w zasadzie odkąd pamiętam,

kręcili razem lody. A Donecki konkurował z Grizzlym o strefy wpływów w Polsce, ale nie tylko. A Bruno najpierw latał dla Grizzly'ego, a potem jeszcze dla Doneckich – tłumaczył, wskazując końcówką długopisu na poszczególne strzałki. – Dla Doneckiego Bruno wymyślił sobie ksywkę Schulz. Dopiero Weronika pomogła Nikicie to odkryć. Łapiesz?

– Powiedzmy – odparła sceptycznym tonem. – Szczerze? Cieszę się, że ci dwaj – wskazała brodą na świstek papieru – już nie żyją. Ten cały Maniks i ojciec Doneckiego. Niech jeszcze Grizzly przeniesie się na tamten świat i będzie całkiem dobrze. Bruno też powinien. – Nagle jej ciałem wstrząsnęło coś na kształt nerwowego chichotu. Wstała i z nerwów zaczęła krążyć po dywanie. Nagle zatrzymała się i potrząsnęła głową. – Boże... to jest jakiś pieprzony koszmar. Rafał? – Spojrzała na niego. – Czemu mi to mówisz? Co oni wszyscy do nas mają? Co mają do ciebie? Weź to skasuj, i to już. – Nakręcała się z każdym kolejnym słowem. – Powiedz temu Nikicie, że ma się odpierdolić, inaczej ja do niego zadzwonię i tak go zjebię, że nie będzie wiedział, jak się nazywa! – ryknęła i zamilkła, zszokowana swoją furią i stekiem rzuconych przekleństw.

– Usiądź, proszę. – Przełknął ślinę.

Zrozumiał, że tak łatwo jej nie uspokoi, wstał i wyszedł do kuchni po karton z sokiem. Wypili po mocnym drinku, ale to nie pomogło, a na pewno nie uspokoiło Luizy.

– Co on do ciebie ma? – drażyła. – Po co Nikita ci to wysłał?

– W tym rzecz. Też mnie to zastanawia.

– Coś ci zagraża? Przecież Maniks nie żyje.

– Okazuje się, że nie żyje mnóstwo ludzi, którzy wtedy latali dla Maniksa.

– Ach. – Luiza poczuła spływającą po plecach kroplę lodowatego potu.

– Spokojnie. Nic mi nie grozi.

– Skąd masz tę pewność?

– Gdyby tak było, już dawno gryzłbym piach. Ale żyję.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też. Trochę wiem, ale jestem jak dziecko we mgle. – Zerknął na karteczkę. Podniósł ją i zaczął międlić w palcach. – Zacznę od

tego, że ktoś uprowadził żonę Nikity. Dziewczyna jest młoda, ma dziewiętnaście lat, zaginęła pół roku temu, niecały rok po ich ślubie.

– Jakim ślubie?

– Jej i Nikity. Jego żona ma na imię Wiera.

– To on jednak wziął ten ślub? – Luiza z dezaprobatą pokręciła głową.

Gdy Weronika niespodziewanie ich odwiedziła, była w zaawansowanej ciąży. Powiedziała wówczas, że nie może być z ojcem dziecka, bo ten zerwał z nią i szykował się do małżeństwa. Ale pewności wtedy Weronika nie miała.

– Tak. – Rafał był chyba bardziej zniesmaczony niż Luiza.

– Po prostu świetnie. Kiedy dokładnie się hajtnęli?

– Nie wiem, ale to bez znaczenia.

– Ładna patologia z tego Nikity. Najpierw zrobił dziecko Weronice, potem się ożenił, żona zaginęła, a mężulek zamiast jej szukać, mieszka sobie z kochanką. Bez urazy, ale na miejscu Weroniki kopnęłabym go w dupę. – Przybrała zaciętą minę. – Przecież ten facet jest skończonym draniem. To jakieś dno moralne, nie męczyzna. Wprawdzie to nie mój problem, ale... – Chciała coś jeszcze dodać, powiedzieć, że Weronika jest skończoną idiotką, jeśli jej to nie przeszkadza, lecz szybko ugryzła się w język. Nie chciała urazić Rafała, który na pewno martwił się o Weronikę. – Powiedz, o co w tym chodzi. Nikita chce odnaleźć żonę czy jak?

– Donecki twierdzi, że to ludzie Grizzly'ego ją porwali i przetrzymują. A teraz dziewczyna jest z Brunonem. On ją przejął, przyjechała do Polski niedawno, w marcu, zaraz przed wybuchem pandemii.

– Bruno ją przetrzymuje? Tę Wierę? – Na twarzy Luizy odmalowała się zgroza. – Policjant, który współpracuje z mafią? Jezu Chryste. Rafał, to jest... to jakaś piramidalna bzdura. Nalej mi jeszcze. – Kiwnęła brodą na butelkę z wódką. – Żeby policjant przetrzymywał ofiarę porwania? Nie wierzę.

– Wcale mnie to nie dziwi. W każdym razie już ich nie ma w Polsce, wyjechali z kraju parę dni temu, Wiera i Bruno. Są albo w Rumunii, albo gdzieś, nie wiadomo, gdzie dokładnie, ale Donecki mówił, że nad tym pracuje. Ma ludzi, którzy... grają na dwa fronty, czyli robią dla niego i dla Grizzly'ego równocześnie.

– I to się nie wyda? – Oczy Luizy przypominały rozmiarem i kształtem pięciozłotówki. Przechyliła szklanę i pochłonęła jej zawartość, jakby to była czysta woda.

– Może się wydać i wtedy będzie problem. Raz, że gdy Grizzly się zorientuje, od razu skasuje ludzi Doneckiego, o ile najpierw... – Nagle zamilkł. – Nieważne, zabije ich, to pewne. A dwa: taka sytuacja jest otwartym wezwaniem do wojny. To prowokacja. Grizzly musiałby zareagować.

– Chwilunia. – Luiza podniosła wskazujący palec. – To on zaczął. Grizzly. Porwał żonę Nikity.

– Nie sądzę, że on zaczął. Trochę wiem, na czym to polega. Otóż te wszystkie *wory w zakonie*, czy też *wory w prawie*, czyli Ruscy, mają swój kodeks honorowy i żaden poważny boss nie porwałby żony drugiego, zwłaszcza bez powodu.

– Aha. Czyli co? Wiera sama najpierw uciekła do Grizzly'ego, a teraz zwała z tym twoim opiekunem? – Uniosła ręce i pomachała nimi. – Przecież to głupie. No, chyba że się w nim zakochała? – Zmarszczyła czoło.

– W kim?

– W tym Rusku, Grizzlym.

– Nie sądzę. Nie ma jej przy nim, nigdy nie było.

– No to w Brunonie? – spytała z nadzieją, że Rafał potwierdzi, ale on parsknął śmiechem i powiedział, rozbawiony, że naczytała się za dużo babskich książek. – Szkoda, byłoby romantycznie. No to nie mam pomysłu, o co chodzi tej Wierce – skapitulowała.

– Ja też.

– A Donecki?

– Nie sądzę, by wiedział.

– Super. Tośmy sobie pogadali. – Luiza ziewnęła. – I co teraz? Po co w ogóle on do ciebie dzwonił?

– Ostatecznie nie zadzwonił. Ja mam zdecydować, czy z nim pogadam. Donecki planuje odbić żonę. Mówi, że Bruno chce ją wywieźć z Europy, prawdopodobnie zmierzają do Gruzji, bo stamtąd pochodzi Bruno.

– Wspominałeś. On też jest udany – prychnęła. – To ci się trafił opiekun, psia jego mać. – Prawie splunęła. – Policjant. To ma być stróż prawa? Wolne żarty. I czemu on tak się... tak się... no, kurwi! –

Nie wytrzymała dłużej. – Kurwi się za kasę Rusków, Jezuniu... W pale się nie mieści. Co oni tam, w tej policji, tak marnie zarabiają? Jeszcze bym zrozumiała, gdyby kręcił z jednym, na przykład z Grizzłym, ale nie, pazerny na kasę daje dupy również Doneckim. Sprzedajna szuja. A na dodatek to twój opiekun. O, ja pierdolę. – Luzia złożyła się wpół i schowała głowę między kolanami. – O, ja pierdolę, ale jestem pijana.

– Jesteś – zgodził się Rafał. – Chodź, położymy cię do łóżka.

– Mieliśmy pogadać. Miałam ci poradzić, zapomniałeś?

– To może poczekać do jutra.

Nie oponowała. Zanim zasnęła, zdołała odmówić różaniec. Nie cały, może jedną dziesiątkę, no może kapkę mniej, trzy zdrowaśki? Dwie? Ale jedną na pewno...

# Rozdział 11

Boże, jak tu cudownie! – Wierka podskoczyła jak małe dziecko. Byli na dobrudzańskim wybrzeżu już prawie tydzień, ale dopiero dzisiaj zobaczyła, jak tu pięknie. – Rumunia jest wspaniała! Kocham ją! – Rozpędziła się i z impetem wbiegła w morze. Fale natychmiast oblały ją od stóp do głów, zmoczyły lniane spodnie i kusy top. – Chodź! Woda jest ciepła!

– Zaraz! – odkrzyknął Bruno.

Zamknął samochód, podniósł siatkę z prowiantem, przerzucił przez ramię pled, którym owinał spory plażowy parasol i dopiero wtedy wkroczył boso na wydmy. Wierka miała rację, było jak w raju: słońce wisiało nad ich głowami, wokół ani śladu innych ludzi, a sztorm, który przez kilka ostatnich dni nawiedzał wybrzeże, wyrzucił na plażę tysiące muszli.

Bruno odnalazł miejsce, które idealnie nadawało się na rozłożenie koca, spojrzał w górę, myśląc, że parasol jest niezbędny. On co prawda odziedziczył po ojcu śniadą cerę i nigdy się nie poparzył, bez względu na to, jak długo się opalał, ale Wierka, ze swoją prawie białą skórą? Mogła mieć poważny problem.

– No chodź! – wrzasnęła. Wybiegła z wody, zakręciła piruet na piasku i wywaliła się jak długa. – Jestem szczęśliwa!!! – Jej okrzyk spłoszył stadko mew. Wzbiły się do lotu, zatoczyły nad nimi koło i poleciały dalej.

– Ja też! – odkrzyknął.

Szybko zrzucił z siebie wszystkie ciuchy i podbiegł do niej.

– No co ty! – Wytrzeszczyła oczy, widząc Brunona. – Oszalałeś? – Usiadła i rozejrzała się wokół. – Ktoś cię może zobaczyć.

– Tylko ty – zaśmiał się.

– Hmm... – Przymrużyła oczy.

– Śmiało – zachęcił ją. Usiadł obok po turecku i z przyjemnością podziwiał ciało Wiery, która urządziła mu właśnie mały prywatny

striptiz. Nagrodził ją brawami, spojrzał znacząco na swoje klejnoty, czym wzbudził u Wierki natychmiastową wesołość.

– Co teraz?

– A jak myślisz?

– Najpierw musisz mnie złapać!

O tak, mógł się spodziewać po Wierce, że wymyśli coś głupiego. Biegała po plaży jak wariatka, musiał przyznać, że jest zwinna i szybka, miał problem, żeby ją złapać. Dopiero niefortunny przypadek sprawił, że wywróciła się jak długa – potknęła się o suchy konar, ledwie widoczny pod piachem. Wtedy ją dopadł.

– Mam cię... – wydyszał jej do ucha.

– Masz. Cała jestem twoja. A ty mój – dodała po chwili. – Jesteś?

– Jestem.

Nachylił się i pocałował ją w usta. Mocno, głęboko, natarczywie.

Taki sam był ich seks. Musieli długo dochodzić do siebie, ale w końcu oboje ochłonęli, odzyskali równy oddech. Bruno poczuł, że jest głodny, spojrzał w stronę ich plażowego stanowiska i mruknął cicho:

– A teraz coś zjemy.

– Zjedz mnie. – Zaproponowała Wiera, ale pokręcił głową.

Mieli ze sobą kanapki, ciastka i kilka jabłek; wszystko to zniknęło. Nasycili się, a potem Bruno zaproponował sjęstę. Drzemali, objęci, w samej bieliźnie, ale zakryci ręcznikami, bo słońce zdawało się zupełnie ignorować parasol i prażyło bez litości.

Bruno obudził się po dwóch godzinach, upał już trochę zelżał. Otworzył oczy i spojrzał na włosy Wierki. Leżała tyłem do niego, wciśnięta pośladkami w jego podbrzusze. Uwielbiała tak spać, ukryta przed całym światem. Zawsze układali się na lewym boku, Wierka brała jego rękę i przekładała przez wcięcie w tali, jego dłoń trafiała na lewą pierś Wierki, ścisnął ją, masował i drażnił brodawkę, a wtedy do jego uszu dobiegało ciche mruknięcie: „tak mi rób”.

– Bruno... – jęknęła, bo przesunął palce na jej brzuch, by po chwili zabłądzić nimi w najniższej położone rejony podbrzusza.

– Tak?

– Nie mam siły. Śpię.

– Jasne. – Zaśmiał się cicho. Nagle usłyszał burczenie w brzuchu.

– Jesteś głodny? – jęknęła Wiera.

– Spokojnie, to tylko trawienie.

– Już myślałam, że znowu chce ci się jeść. Wierzyć się nie chce, ile potrafisz wchłonać. Zazdroszczę. Ja muszę uważać, co jem, inaczej ważyłabym tonę.

– Nie przesadzaj. – Chwycił jej nadgarstek i objął bez najmniejszego problemu, jeszcze było sporo luzu między kciukiem a najmniejszym palcem jego dłoni. – Dwa by się zmieściły – mruknął do siebie.

– Co mówiłeś? – Wierka odwróciła się na plecy.

– Że masz chude nadgarstki. – Przybliżył jej rękę do twarzy i spojrzał na cienkie białe linie. – Dlaczego to robiłaś? – spytał. W jego głosie wybrzmiewał smutek i żal, że nie zdołał jej wcześniej przed tym uchronić.

– Ja... ja nadal to robię.

Wytrzeszczył oczy, coś boleśnie zakłuło go w sercu. Podniósł się na przedramieniu i spojrzał na nią.

– Ale jak? Kiedy? – spytał przez ściśnięte gardło.

– Teraz nie, ale to ciągle jest we mnie. Nie rozumiesz? To jak nałóg. Nigdy nie możesz powiedzieć, że już przestałeś. Wystarczy, że coś się stanie, że poczujesz bezsilność, jakąś straszną pustkę, złość na kogoś, cokolwiek. To pomaga. Pomaga na ból... – Zamilkła, by odnaleźć najcelniejsze określenie, ale nic poza bólem psychicznym nie przyszło jej do głowy. – Na przykład gdy masz poczucie winy. Wiesz, że zawaliłeś, że zrobiłeś coś złego. Wtedy się tniesz za karę. Sprawiasz sobie ból, karzesz się, bo zasłużyłeś. Dostajesz to, co ci się należy. Czasami... – Wzięła głęboki, ale urywany wdech. – Na drugi dzień potrafię zdjąć opatrunki, patrzę na rany, są czerwone i opuchnięte, wyglądają koszmarnie, ale lubię ten widok. Dotykam się w te rany. To boli. Lubię, kiedy bolą. Patrzę, oglądam je, dotykam, póki się nie zagoją na dobre. To mnie uspokaja prawie tak samo jak cięcie.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Przytulił ją i przez chwilę tak trwali.

– Nie myślałaś, żeby skorzystać z terapii? – spytał, odchylając się trochę, żeby móc widzieć wyraz jej twarzy.

– Nawet gdybym nie chciała skorzystać z terapii, inni pomyśleli za mnie. – Zaśmiała się cicho. – Matka odkryła, że się tnę. Zrobiła awanturę, wrzeszczała na tatę, że to jego wina, że nie poświęca mi



swojej uwagi. Uwierz, jedyne, co wtedy czułam, to mega bezradność. Myślałam, że jestem jakimś najgorszym gatunkiem, że nikt mnie nie rozumie. – Przygryzła dolną wargę. – Pocięłam się wtedy strasznie. W pachwinach nóg.

– Widziałem. – Bruno drgnął na wspomnienie chwili, kiedy odkrył ten sekret ciała Wiery. Wstrząsnęło nim wtedy do głębi.

– Matka zapisała mnie do terapeuty. Nazywała się Maria Borodina, ponoć najlepsza terapeutka w Moskwie. Nawet miła, nigdy nie powiedziała mi nic przykrego, naprawdę się starała. Ale ja... W trakcie pierwszych spotkań czułam się, jakby ktoś zdjął ze mnie wszystkie ciuchy, obnażył i kazał stać na środku miasta. To było okropne. – Wiera zamknęła oczy i zakryła twarz dłońmi. – Miałam wrażenie, że nawet ona mnie nie rozumie. Że nawet dla niej cięcie się to jakaś chora niepojęta rzecz. Coś zupełnie obcego.

– Abstrakcja – odpowiedział Bruno.

– Tak, właśnie tego słowa mi brakowało. – Oderwała dłonie i spojrzała na niego. – Próbowałam jej wytłumaczyć, że nie ma innej drogi, że jestem uwięziona, zablokowana.

– W ślepym zaułku.

– Jak w potrzasku. Tak się wtedy czułam i czasami ciągle tak się czuję. A gdy zaczynam się ciąć, gdy płynie krew, wtedy... wtedy jest dobrze. Czuję uspokojenie.

– Ukojenie – Bruno podrzucił kolejne słowo. On też przeżywał tę spowiedź, słuchał Wiery i pękało mu serce, ale musiał jej pozwolić na pełną szczerość, a kiedy podsuwał Wierce właściwe słowa czy zwroty, było mu łatwiej. Łatwiej wejść w jej emocje i łatwiej przetrwać tę rozmowę. Kiedyś chciał spróbować. Zorganizował żyletkę, skrył się w łazience, nawet zdezynfekował skórę. Gdyby nie jego zwykły ludzki strach przed bólem i krwawieniem, pewnie by się odważył, ale nie znosił widoku własnej krwi. – Czy ciebie to...

– Boli? Tak, boli. Właśnie o to chodzi. Nie rozumiesz? – W jej spojrzeniu tliła się nadzieja, że jednak potrafi wejść w jej emocje. – Gdy czujesz się jak śmieć, jesteś w rozsypce, nie ma cię, nie istniejesz, tak mało jesteś wart, wtedy się tniesz i wszystko się zmienia. – Jej oczy załśniły z ekscytacji. Usiadła, narzuciła na siebie jego koszulę i zapięła kilka guzików. – Nie wyobrażasz sobie, jaki to... Kurczę, brakuje mi słów. Jesteś jak na haju. Czujesz satysfakcję,

że jesteś silny, potrafisz to zrobić, nie boisz się bólu. Bywało, że czułam dumę, bo się pocięłam. Jezu... – Wiera potrząsnęła głową. – Okropne, prawda? Najpierw czułam dumę, a na drugi dzień wstyd, że znowu to zrobiłam. I okropny strach, że ktoś zobaczy, zauważy blizny i pomyśli, że jestem totalną wariatką. Nikim.

– Błędne koło.

– Tak. Ulga trwa krótko. Mija kilka dni, ranki się goją i znowu o tym myślisz. Znowu się tniesz, potem goisz, tniesz, goisz. Po paru latach, o ile jeszcze nie umarłeś, bo można się zakazić czymś chamskim, dostać infekcji, umrzeć na sepsę albo po prostu ciachnąć za mocno, masz więcej blizn niż myśli. Więcej blizn niż wspomnień, bo nie pamiętasz, czemu się cięłeś. Czemu w ogóle zacząłeś się ciąć.

– Ale jest instynkt. Siła przetrwania. Powiedz, że ją masz. – Podniósł się, usiadł naprzeciwko i ujął mocno jej dłonie. – Coś, co każe ci wstać, iść do toalety, potem coś zjeść, nawet jeśli... – przełknął ślinę – ...nawet jeśli chwilę później jesteś na kolanach i wymiotujesz.

– Bruno... – jęknęła rozdzierająco Wiera. „Nie mogę tego słuchać. Nie chcę, nie wytrzymam” – pomyślała. Przygryzła wargę do białości, ale nie przerwała mu, kiedy podjął:

– Nie wiem, jak to jest. Nigdy nie czułem bólu w duszy, który tak mnie powalił, że skłoniło mnie to do samounicestwienia, do okaleczania się. Ale próbuję cię zrozumieć, wyobrazić sobie te emocje, zobaczyć krew, która spływa, a wraz z nią cały twój ból. Twój ból, gniew, żal. Zazdroszczę ci tej odwagi – dodał, patrząc na policzki Wiery, też przecięte, ale nie żyłką, a cienkimi strużkami łez. – Gdybyś mogła zetrzeć tę krew, zmyć ją i splukać, żeby zniknęła na zawsze z cierpieniem... lecz tak się nie da. Ślady twojej zbrodni pozostaną, zbrodni, która powstała w twojej duszy, ale wbrew tobie. Dlatego musisz przestać, musisz mi przysiąc, że już nigdy tego nie zrobisz. Twoje ciało... – przeniósł dłonie na jej ramiona wstrząsane szlochem – twoje ciało jest świątynią. Czymś idealnym, co należało i będzie należeć tylko do ciebie. Zawsze będzie twoje, piękne, idealne, doskonałe. Nie niszcz go, bo umrę z żalu.

– Ale to nieprawda. – Wiera zrzuciła jego ręce z ramion. – To nieprawda! – Zerwała się i stanęła nad nim. – To moje piękne ciało nigdy nie było idealne! Zachorowałam na białaczkę! Słyszysz? Byłam

chora, prawie umarłam, ale nie to było najgorsze. Potem się zaczęło! Zostałam uwięziona, wszyscy decydowali o mnie, ale nie ja sama. Nie mogłam nigdzie wychodzić, sama wybrać szkoły ani kierunku studiów. Robić tego, czego chciałam. Wszyscy mieli prawo do decydowania, tylko nie ja. – Aż nią zatrzęsło z gniewu. – Dlatego się tnę. Bo mogę! Bo to jedyne, co mogę! – krzyknęła z rozpaczą. Osunęła się na piasek i załkała żałośnie. – Nie chcę się zabić, ale czasami... czasami chciałam nie żyć. Umrzeć i zniknąć, uciec z życia.

Chciał ją przytulić, zamknąć w ramionach i nigdy z nich nie wypuścić, ale wiedział, że w tym momencie Wiera nie potrzebuje współczucia. Zrobiłby to tylko dla siebie. Ona nie zamierzała się użalać, wystarczyło, że Bruno był blisko. Spokojny, opanowany, w gotowości, by jej wysłuchać. Czekał. Musiała sama sobie poradzić ze swoimi demonami. Tak samo jak on radził sobie ze swoimi. Byli skazani na samotność w tych zmaganiach, bo nikt i nic nie mogło im pomóc.

Też próbował, był na terapii, zmieniał terapeutów wiele razy, szukał nowych metod na zawładnięcie swoimi emocjami. Brał leki i suplementy. Przetestował wiele diet, niektóre miały rzekomo wpływać pozytywnie na równowagę emocjonalną. Ćwiczył, spalał swój gniew podczas długich, niezliczonych treningów. Dawał upust wściekłości i nienawiści w sztukach walki, zaliczył kilkuletnie szkolenia z krav magi, kickboxingu, kyokushin. Za każdym razem przerastał swoich mistrzów. To samo na strzelnicy, nie miał sobie równych.

Coś osiągnął – wyciszył się na zewnątrz. Zupełnie. Osiągnął temperaturę kamiennego posągu. Było mu dobrze ze swoją obojętnością, ale nie chciał tego dla Wiery. Ona musiała być inna – pełna życia. Powoli się uspokajała. Już nie szlochała, tylko pochlipywała cicho, siedząc z brodą ukrytą między kolanami.

– Jestem tu – wyszeptał, żeby wiedziała, że czeka, aż wróci ze swojej mrocznej krainy.

– Teraz jesteś, ale kiedyś... – Nie dokończyła.

– Zawsze będę.

– Nieprawda. – Zadarła hardo twarz. Zachodzące słońce oblało ją z tyłu ognistym wieńcem. – Kłamiesz. Ciągłe kłamiesz. Co chwilę. – Zacisnęła szczęki.

– Masz rację – odparł. – Okłamałem cię wiele razy. Przepraszam. Nie sądziłem, że...

– Że zostanę u ciebie na długo. Na bardzo długo. – Potarła policzek, bo łza załaskotała ją w skórę.

– Na zawsze? – Wysunął rękę, żeby schwytać kosmyk jej włosów, uparcie opadający na twarz. – Chciałabyś zostać ze mną na zawsze?

– Dobrze mi z tobą, chociaż jesteś całkiem inny – odparła po dłuższej chwili.

– W jakim sensie? – Przechylił głowę.

– Inny ode mnie, od każdego, kogo znam.

– To dobrze czy źle?

– Ani tak, ani tak. Po prostu jesteś inny. – Sięgnęła po swoją koszulkę i otarła nią twarz. Skóra piekła ją jak rana posypana solą.

– Mój ojciec pochodził z Gruzji, tam się urodził. Pewnie dlatego jestem inny.

– Z Gruzji? – Wierka przez chwilę przetwarzała informację, ale ta nie była szczególnie interesująca. Kogo to obchodziło, czy ojciec Brunona był Włochem, jak wspomniał na początku ich znajomości, czy Gruzinem. – Akurat to jest nieważne.

– Nazywam się Gocza Nemsadze.

– O. – Jej czoło pokryły fale. – Gocza? – Powtórzyła. – To jest imię? – Wolała się upewnić. Z dwojga złego Gocza było łatwiejsze do zapamiętania i wymówienia niż Nemsadze.

– Tak, to moje prawdziwe imię.

– Szczerze? Wolę to stare. Gocza jest... Nie wiem, dziwne. W ogóle mi się z tobą nie kojarzy. – Odsunęła się i krytycznie spojrzała na Brunona. – Nie wyglądasz jak Gocza.

– A jak wygląda Gocza?

– Jak Stalin. – Zachichotała i natychmiast zatkała sobie usta dłonią, to było chamskie, bo przecież Stalin naprawdę był Gruzinem i Bruno mógł poczuć się głupio, ale nie wytrzymała długo. Zapewne wcześniejsze przeżycia, trudna rozmowa i swoiste *katharsis* sprawiły, że zaczęła zanosić się od śmiechu. – Gocza powinien mieć grube ciemne wąsy i wielki brzuch, a ty nie masz. – Zakwiczała, zwłaszcza że Bruno miał w tym momencie bardzo głupią minę. – Sorry! – pisnęła. – Nie mogę przestać. – Trzymała się za brzuch, a jej drobne jędrne piersi podskakiwały razem z nim pod cienką tkaniną koszuli.

– Jak Stalin? Nie pomyślałbym, ale coś w tym jest. Większość mężczyzn z mojej rodziny nosiła i zapewne nosi wąsy. Grube i ciemne. Co do brzuchów, pewności nie mam. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Wody? – Zapropomował, bo Wierka zaczęła kaszleć, zakrztusiwszy się wcześniej własną śliną.

– Daj. – Wyciągnęła rękę po butelkę. – Sorry, Bruno, jestem totalnie walnięta.

– E tam, nie schlebiaj sobie. – Poczochrał jej włosy.

Nareszcie uspokoiła się na dobre. Dopiero teraz była w stanie na spokojnie przeanalizować wieści.

– Czyli jesteś Gruzinem? A twoja mama?

– Mama jest Polką.

– A to ciekawe. Zupełnie jak moja. Mamy coś wspólnego. – Dziobnęła go wskazującym palcem w klatkę piersiową. – Gocza. Chryste, co za głupie imię, bez urazy.

– Takie jest.

– To skąd Bruno?

– Z miłości do Bruno Schulza. To pisarz. Napisał kilka dzieł, ale wszystkie są wybitne. Proza artystyczna. Niektóre fragmenty jego książek znam na pamięć.

– Aha. – Zamyśliła się, czy o coś dopytać, ale tego typu literatura nigdy nie leżała w kręgu jej zainteresowań. – Powiesz mi, czemu udawałeś inwalidę?

– To moja legenda.

– Czyli co? Nie było żadnego wypadku?

– Był, ale nie motocyklowy. Chyba muszę zacząć od początku. – Pokiwał głową. – Kiedyś byłem zwykłym krawężnikiem, potem awansowałem, przenieśli mnie do dochodzeniówki, ale miałem inny cel. Wiesz, co to ZOŚK-a? To w skrócie Zarząd Ochrony Świadka Koronnego. Żeby się tam dostać, trzeba spełnić mnóstwo warunków. Udało mi się, błyskawicznie przeskoczyłem między sekcjami, ale ta robota jest bardzo wymagająca. Dostajesz podopiecznego i musisz go pilnować jak dzieciaka. Ciągłe wyjazdy, podróże, wielogodzinne konwoje, zawracanie głowy. A ja wolę pracować z domu. – Kilka razy uniósł i opuścił brwi.

– I nikt się nie zorientował, że udajesz?

– Miałem wypadek. Dosłownie to był wypadek, bo świadek koronny, podopieczny kumpla, wypchnął mnie ze śmigłowca, którym go transportowaliśmy. Wypadłem z maszyny wkrótce po starcie, ale mieliśmy już dużą wysokość, kiedy grzotnąłem o ziemię. Przeżyłem, ale rokowania co do pełnego powrotu do zdrowia były słabe. Już prawie pogodziłem się z kalectwem, i wtedy dotarłem do pewnego człowieka, który zaoferował pomoc. Zoperowali mnie w chińskiej klinice, w Szanghaju. Oczywiście nie za darmo. Nikt nie wiedział, że wracam do pełnej sprawności, bo zaraz po operacji, gdy pierwszy raz stanąłem na własnych nogach i przeszedłem kilka metrów o kulach, postanowiłem nikomu się nie chwalić. A później już tak zostało.

– Czemu ci nie wierzę? – Wierka przymrużyła oczy.

– Nie mam pojęcia. Na pewno widziałaś bliznę na plecach, to po zabiegu.

– W bliznę wierzę.

– To co budzi twoją wątpliwość?

– Koledzy z pracy nie zauważyli, że kręcisz? Co za tępaki.

– Awansowałem na szefa sekcji, dlatego nikt nie dyskutował. Mimo to dobrze się maskowałem. Na pewno zauważyłaś, że przed wyjazdem z domu często zakrywałem nogi małym pledem. Wprawdzie mogłem wkładać spodnie z szerszymi nogawkami u dołu, które doskonale maskowały łydki i mięśnie przy kości goleniowej, ale z pledem na nogach czułem się pewniej. Kumple nie pytali nigdy, dlaczego tak jest, byli mniej dociekliwi niż ty, zresztą uprzedzałem pytania. Wystarczyło im powiedzieć, że mimo stałej rehabilitacji cierpię na atrofię mięśni, nogi tracą masę, wyglądają słabo i wiecznie mi zimno, by nikt nie wnikał. Wprawdzie ludzie są ciekawscy, to naturalny odruch, ale żaden z nich nie miał śmiałości, by zerwać koc i sprawdzić, co stało się z moimi nogami. Od razu ktoś by załapał, że oszukuję.

– Nie wiedziałam, że w ogóle jest coś takiego jak atrofia. Myślałam, że twoje nogi są normalne. Takie jak u każdego.

– Bo są. – Zaśmiał się. – W tym rzecz.

– A mieszkanie? Czemu je tak wyposażyleś? Ktoś cię odwiedzał?

– Sporadycznie, ale bywało. Czasami wpadł ktoś z pracy, przywiózł materiały, których nie można było przekazać drogą elektroniczną.

Nawiasem mówiąc, miałem w mieszkaniu dwa krzesła, jedno w kuchni, drugie przy biurku. Ale zanim się wprowadziłaś, schowałem je do piwnicy, bo były mocno wysiedziane. Widzisz? Tyle starań, a gdy przyszło co do czego, zdemaskowałaś mnie jak amatora.

– Ludzie Sorokina myślą, że jesteś kaleką?

– Tak. – Bruno drgnął nerwowo, przypominawszy sobie, że już zdolali odkryć jego prawdziwą tożsamość, tę sprzed zmiany nazwiska. – Mam nadzieję, że tak myślą. – Pozwolił sobie na wyrażenie swoich obaw.

– Czemu z nimi zacząłeś? Dla kasy? Bo twoi przełożeni nie wiedzą o twoich związkach z Grizzlým.

– Trochę dla kasy, ale głównie dla...

– No powiedz. – Ponagliła, bo uciał.

– Zanim się pojawiłaś, miałem swój plan. – Obrócił głowę i spojrzał w stronę morza. Fale tłukły o brzeg, zbliżały się, rozbryzgiwały miriady kropli i znikwały, wsiąkając w piasek. – Mój ojciec został... Zabili go. Zginął przez zupełny przypadek. Tak po prostu. Znalazł się w złym miejscu i w złym czasie. Na linii strzału. Miałem wtedy dziesięć lat, niewiele mogłem, matka podobnie. Nikt się z nami nie liczył. Jakoś musieliśmy sobie poradzić, ale nawet tacy jak my, ludzie nic nie znaczący, zwykli szarzy obywatele, zasługiwali na sprawiedliwość. Tak wtedy sądziłem, tak sądzę do dzisiaj. – Zamilkł, by zebrać myśli. – Nie miałem dostępu do wyników śledztwa, bo kto rozmawiałby z dzieciakiem, ale mama próbowała. Zbywali ją. W końcu umorzono postępowanie, mama wydeptała w ZUS-ie jakąś żalosną rentę dla mnie. Nie wiem, jak jej się to udało. Sprawcy nigdy nie ustalono. Rozumiesz? – Spojrzał na nią. – Nie ustalono, kto strzelił do mojego ojca. Był chłop, nie ma chłopca. – Pstryknął palcami. – Kogo to interesuje.

– Boże... – jęknęła Wiera. – Ja już chyba rozumiem. Poszedłeś do policji, żeby znaleźć sprawcę? I chcesz sam... Odnalazłeś tego człowieka?

– Policja go namierzyła. Doskonale wiedzieli, z czyjej broni padł śmiertelny strzał. Wiedzieli wszystko, kto strzelił, kto tam był, znali nazwiska i fakty, ale zamietli to wszystko pod dywan. Pewnie nic ci nie powie nazwisko Marian Kozaczyk, ksywka Maniks. Koleś był

jednym z ważniejszych w branży, miał może setkę żołnierzy, wszyscy się z nim liczyli, również politycy czy ludzie wysoko ustawieni w biznesie. Policja jadła mu z ręki, utrzymywał przyjacielskie stosunki z głównym komendantem, a ich żony chodziły do tej samej fryzjerki. – Wydłubał spomiędzy piasku niewielki kamyk, zamachnął się i posłał go w morską toń. – Mój ojciec znaczył dla tych ludzi mniej niż ten kamień. Ale dla mnie był wszystkim.

– Przykro mi – szepnęła Wiera.

– A mnie nie. – Bruno zacisnął szczękę. – Już nie. W piętnaste urodziny zrobiłem plan. Najpierw musiałem skończyć dobre liceum i zdać maturę. Wyprowadziłem się z domu. Znalazłem liceum na Śląsku, mieszkalem na prywatnej stacji. Uczyłem się całymi dniami, kułem jak szalony, a w wolnych chwilach dorabiałem na roznoszeniu ulotek i ćwiczyłem. Zero kumpli, żadnych dziewczyn, imprez, alkoholu, niczego, co by mnie rozpraszało. Potem udało mi się zmienić tożsamość. – Wyjął z kieszeni portfel, wyłuskał dowód osobisty i podał jej.

– Grzegorz Niżyński. – Przeczytała.

– Uhm – mruknął, odbierając dokument. – Postanowiłem powstać z popiołów, niczym mitologiczny Feniks. Zmieniłem imię i nazwisko, papiery do Szczytna złożyłem już jako Grzegorz Niżyński. Udało się. Później znalazłem robotę. Gdy masz dostęp do archiwów policji, jest łatwiej, ale nawet tam nie znajdziesz pewnych rzeczy, bo są ukryte, mają klauzulę niejawności. Czasami rozpuszczałem wici, żyłem dobrze z naszymi gangusami, przysługa za przysługę. Ja ostrzegłem przed nalotem, oni zdradzili jakiś sekret. Aż w końcu się udało – opowiadał, zbierając w tym samym czasie kolejne kamyki. – Wystarczy, po jednym na każdego – oznajmił, kiedy już wszystkie leżały w równym rzędku, schnąc prędko w słońcu. – Pierwszy był Rekord, czyli Mirosław Kościński, przydupas Maniksa. – Cisnął kamykiem. – Najpierw myślałem, że to on strzelił do ojca, ale potem okazało się, że to ten drugi, miał ksywkę Kiełek, pewnie ze względu na krzywe zęby. Tego chciałem zostawić na później. – Zabrał pierwszy kamyk od lewej i przełożył na koniec rzędu.

– Co mu zrobiłeś? – wychrypiała Wiera.

– Ja nic. Ktoś od Sorokina go załatwił, nie wnikałem, kto. Ale ja zamówiłem usługę grzecznościową. Potem... Potem przyszedł czas



na kogoś z naszych. Andrzej Litwiński. Prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa obywatela Gruzji, Eduarda Nemsadze. – Podniósł kamyk. Obracał go przez chwilę w palcach, aż zupełnie oczyścił się z piasku. – Długo się z nim bawiłem, ale w końcu... – Począł, aż kamyk zniknie w morskiej toni, dopiero wtedy dokończył: – Popełnił samobójstwo, ponieważ bał się skandalu. Jest jeszcze kolega Andrzeja, Tomasz Rywał. Miły, jowialny pan w średnim wieku. Ostatnio przeżywa poważne problemy, miał zawał, a jak na nieszczęście do tego przyplątał się niezawodny covid. Ciekawe, czy już go odłączyli od respiratora. – Podrzucił w dłoni kamyk, jakby się wahał, co z nim zrobić, ale ostatecznie wysłał go tam, gdzie poleciały inne. – Żartowałem. Nie żyje. Zawał był rozległy, a infekcja nie pomogła. Miło z jego strony, że szybko się zwinął, uprzejmy do końca.

– Co im zrobiłeś? Ten drugi też pracował w policji?

– Tak, Rywał był zastępcą Litwińskiego – wyjaśnił, spojrzawszy na Wierę. – Ja im nic nie zrobiłem, to oni sami. Ale już dość o nich. W kolejce czeka przecież Maniks i jego przyrodni brat Karp. Jak mógłbym o nich zapomnieć? Śmieszna sprawa, w zasadzie Maniksa załatwiło ciasto. Udławił się kawałkiem ciasta, wyobrażasz sobie? – Parsknął szczerym śmiechem. – Ale niech będzie, że to częściowo moja zasługa, może się stresował? Grizzly nie był zadowolony z ich współpracy. Co chwilę docierały do niego niepokojące sygnały, że Maniks ukrywa przychody, kombinuje coś na własną rękę, możliwe, że chce wejść w jakieś układy z Bolivarem. Maniks miał powody do niepokoju, bo Grizzly już zwołał *schodkę* i wyznaczył cyngla. Popatrz, jak to się plecie... Czy ciasto jabłkowe, czy pestka z gnata i tak Marian Kozaczyk skończył w piecu. Ten jest idealny – powiedział, ważąc w dłoni duży dorodny kamień. Wziął zamach i cisnął go daleko. – Zimno ci? – spytał, spostrzegłszy ruch Wierki. Narzuciła na siebie ręcznik kąpielowy i owinięła nim szczelnie.

– W porządku. Mów dalej.

– Leć... – Posłał w morze szósty kamyk. – To właśnie był Karp. Przyrodni brat Maniksa. Zginął honorową śmiercią przez samobójcze utopienie, ale najpierw dostał energetycznego kopa. Ktoś postanowił sprawdzić, czy stacja ładująca starej golarki, podpięta do gniazdka i wrzucona do wanny, potrafi zabić człowieka. Otóż potrafi.

Zapłaciłem sporo za zdobycie wyników eksperymentu, ale nie żałuję. W sumie Karp był bez znaczenia, daleko mu było do Mariana Kozaczyka, ale krew nie woda. Jestem jedynakiem, możliwe, że... gdyby mój ojciec żył, miałbym rodzeństwo. No co, cieplej ci? – Nachylił się bliżej twarzy Wierki, żeby musnąć jej czoło ustami. – Chcesz wracać? Powiedz jedno słowo i zbieramy się stąd.

– Zostały jeszcze dwa kamienie. – Wiera wyglądała jak śmierć na chorągwi, ale tak samo jak on wiedziała, że ta spowiedź musi potrwać do końca, wszystkie grzechy musiały zostać wyznane, inaczej Bruno nie przeżyje *katharsis*. – Mów.

– Nie muszę. Już nie. – Pokręcił głową. – To przestało być ważne – wyszeptał. – Bo jesteś ty.

– Chcę usłyszeć. Potem wrócimy do domu.

– Dzięki. – Wsparł czoło o czubek jej głowy. – Dzięki, że rozumiesz.

Odsunął się i spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Siódmy. – To Wiera podała mu kolejny kamyk. Ten był porowaty i miał nieregularny kształt.

– Wypisz wymaluj Kiełek – mruknął Bruno, obracając go w dłoni. – Koślawy, brzydki, z dziobami na twarzy. Nazywał się Roman Dron. Śmieszne nazwisko. To on strzelił i trafił mojego ojca. Lubił gorzałę, szybkie samochody i łatwe panienki. Po śmierci Maniksa nie potrafił się odnaleźć, pił jeszcze więcej, brakowało kasy. Nie ogarniał, chłopina. Zalewał się w sztok w pewnej knajpce, na Wołoskiej. Bywał tam prawie codziennie. Kiedyś go zaczepiłem, śmiał się, że kaleka na wózku ma dobrze. Nieważne, jak bym się nie najebał, zawsze mogłem legalnie prowadzić wóz bez ryzyka, że dostanę punkty. Dowcipniś. – Bruno parsknął pod nosem. – Kiedyś pożyczyłem mu kasę i nie oddał. Prosiłem, przypominałem, a on wiecznie mówił, że jutro. W końcu oddał, ale na drugi dzień znowu chciał pożyczyć kasę. Co za bałwan. – Zaśmiał się. – Nie wyobrażasz sobie, jaką czujesz satysfakcję, kiedy słyszysz błagania o życie. – Przeniósł wzrok na Wierę. – Ale najpierw zgodziłem się na drugą pożyczkę. Umówiłem się z nim przy garażach. Ustronne miejsce, spokojne, o północy nikogo tam nie zastałeś. Wstałem z wózka, uderzyłem go, a kiedy leżał i patrzył na mnie, nie rozumiejąc, co się stało, dlaczego stoję na

własnych nogach, czułem... ech... – Potrząsnął głową. – Niezapomniana chwila.

– Zastrześliś go?

– Zamierzałem. Strzał za strzał. Ale zaczął skamleć, prosić o litość, wkurzyłem się. Nie miał prawa tego robić. Czy on dał szansę mojemu ojcu? A mnie i mamie? Nie. Wiedział, że odpowiada za śmierć taty, a mimo to nic nie zrobił. Nie poszedł siedzieć za zabójstwo. Ktoś musiał wymierzyć karę. – Wzruszył ramionami. – Skopałem go jak psa. Powiedziałem mu, jak się nazywam, więc zanim stracił świadomość, poznał prawdę. Akurat na to zasłużył. – Pokiwał głową. – Szerokości, Kiełek! – krzyknął, rzucając rdzawy kamień w morze.

Wiera wzięła głęboki wdech. Popatrzyła na ostatni kamień, leżący przed stopami Brunona i w duszy podziękowała Bogu, że to już ostatni. To, że Bruno odpowiadał za śmierć tylu osób, pośrednio czy osobiście wysyłając ich na tamten świat, nie robiło na niej większego wrażenia. To w pewnym sensie stanowiło chleb codzienny jej rodziny. Ale sposób, w jaki Bruno o tym opowiadał, rozdzierał jej serce. Była pewna, że nigdy nikomu o tym nie mówił, że jest jedyną osobą na tej ziemi, która poznała prawdę. Ciężar zwierzeń zdawał się nie do udźwignięcia, ale musiała wytrzymać. Chciała wytrzymać. Dla niego.

\* \* \*

Słońce okrążyło ziemię i powoli zbliżało się do linii horyzontu. Od niskich wydm płynęło ciche cykanie cykad, przerywane co chwilę uderzeniem fali o brzeg. Zmierzchało, kolejny piękny dzień w Dobrudży dobiegał końca.

– Mam z nim problem – wyznał Bruno, patrząc na kamień symbolizujący Snarskiego. Wybrał go ze względu na kolor. Był pokaźny, symetryczny, w niezwykłym odcieniu bardzo ciemnej, prawie czarnej zieleni. Nieoczywisty. – To mój były podopieczny. Rafał Snarski, świadek koronny. Obecnie przebywa na wyspie Isla Mocha. To niedaleko stolicy Chile – wyjaśnił. – Wtedy, gdy to się stało, był młodym szczylem. Dopiero zaczynał karierę w szeregach ludzi Maniksa. Jestem prawie pewien, że to przez jego zeznania

udało się ustalić, z czyjej broni padł śmiertelny strzał. Przypuszczalnie chłopak nie zdawał sobie z tego sprawy, że obciążył kumpla. Nieistotne. Był na miejscu. – Szturchnął kamień paluchem prawej stopy. – Dziwny facet, nie mogłem go rozszyfrować. Miał kiedyś rodzinę, żonę, dziecko.

– Powiedziałeś Snarski? – Głos Wiery nie pozostawiał cienia wątpliwości. Musiała znać to nazwisko.

Obrócił głowę.

– Tak, Rafał Snarski. Jego żona, Weronika Snarska...

– Ja wiem. – Wierka na moment przytknęła dłoń do ust. – To kobieta, z którą jest Niki.

– Tak.

– Maczałeś w tym palce? – Oczy Wiery pociemniały. – Ona... Jej dziecko zginęło. Wiem to od Katii. Nie powiedziała mi, podsłuchałam kiedyś jej rozmowę z ojcem. Naszym ojcem – dodała. – To był mały chłopczyk, miał trzy lata.

– Nie. Przysięgam. – Bruno przyłożył pięść do serca. – Nie mógłbym. Nie dziecko.

– A jego matka? Ona też miała zginąć.

– To była sprawka Maniksa. Chciał zlikwidować rodzinę Snarskiego, żeby skłonić go do powrotu w szeregi firmy. Nie znam szczegółów, ale samochód Snarskiej wyleciał w powietrze, tyle że w środku nie było żony Rafała Snarskiego. Zginął syn Snarskich i dziewczyna, która pracowała dla twojego ojca.

– Jak to? Ale dlaczego?

– Długo by gadać, może kiedyś ci opowiem, chociaż... To nie moja sprawa. Ja chciałem tylko dorwać Snarskiego. Było kilka sytuacji, kiedy mogłem spokojnie go odpalić. Zawsze coś mnie powstrzymywało. Jakby chroniła go niewidzialna tarcza. – Podniósł kamień i przybliżył do oczu. – Może niech zostanie. Musi zostać. Ten musi tutaj zostać. – Powtórzył, wciskając kamień w piach. – Ale to jeszcze nie wszystko... – wychrypiął, opuściwszy głowę.

– To już wszystko, Bruno. Wystarczy. – Chciała chwycić jego rękę, lecz na to nie pozwolił.

Odsunął się, potrząsnął głową, jakby chciał z niej wyrzucić złe myśli. Nagle zerwał się na nogi, jego dłonie zakryły twarz, wzniesioną ku niebu.

– Jeszcze jeden – powiedział cicho. – Ostatni, obiecuję.

Długo go szukał, oddalił się od Wiery, szedł przed siebie i ocierał łzy, ale musiał znaleźć ten ostatni kamień. Kiedy wreszcie z nim wrócił, było prawie ciemno. Mimo to oboje z łatwością mogli wyraźnie zobaczyć dziewiąty kamień – idealnie gładki, owalny, śnieżnobiały jak księżyc, który pojawił się nad ich głowami.

– To ty. – Bruno położył kamyk między nimi. – To twój kamień. Dopiero niedawno zrozumiałem, że miałaś... masz – poprawił się – swój kamień. Nie, nigdy nie planowałem twojej śmierci. Nie miałem pojęcia, że w ogóle istniejesz. To zwykły przypadek, że zgodziłem się na zlecenie Sorokina. Miałaś pomieszkać u mnie, a potem ruszyć dalej. Nie dbałem, co z tobą będzie, ale to wiesz.

– Wiem. – Wiera chrypnęła cicho.

– Nie planowałem cię zabić. Nawet wtedy.

– Wtedy, gdy...

– Tak. – Pokiwał głową. – Zrobiłem to rozmyślnie. Wtedy byłaś ostatnim elementem polskiej układanki. Bo jeszcze jest druga, rosyjska, ale tej już nie zdążę poskładać. Trudno.

– Czemu ja? – Podniosła kamyk. – Jest piękny.

– Jak ty. – Nachylił się, żeby ich czoła się zetknęły. – Myślałem, że poczuję ulgę po śmierci Romana Drona. Sprawiedliwości stało się zadość. Oko za oko, ząb za ząb. Kiełek nie żył, to ja go zabiłem. To ja byłem przy nim, gdy oddawał swoją duszę diabłu. Było dobrze, euforia nie opuszczała mnie przez cały tydzień, ale potem...

– Demony wróciły – szepnęła.

Wyprostował się i odważnie spojrzał w oczy Wiery. Musiał stawić czoła prawdzie.

– Miotalem się. Właśnie przez to szukałem dziwnych kontaktów, jak z twoim ojcem, popełniałem błędy, podejmowałem debilne decyzje. To się działo, a ja z dnia na dzień traciłem kontrolę. Potem zjawiałaś się ty. Chaos narastał. – Zamilkł. – Dron miał córkę.

– Miał?

– Nie! – Podniósł dłoń w uspokajającym geście. – Dziewczyna żyje.

Właśnie zrozumiał, że to, co teraz wyzna, prawdopodobnie przekreśli go w oczach Wiery na zawsze, że ona nigdy nie zapomni tych słów, nie będzie umiała myśleć o nim inaczej, niż jak

o zwyrodnialcu i potworze, ale tak było sprawiedliwie. Zasługiwała na prawdę, a on na karę wykluczenia. Musiał to wyznać. Na niego także czekało miejsce w piekle, nawet nie liczył, że skończy inaczej. Wiedział, że gdzieś w piasku ukrywa się dziesiąty kamień – on sam.

– Chciałem uwieść córkę Drona. To młoda dziewczyna, ma piętnaście lat. Pati Pati. Taki ma login na Facebooku. Trochę z nią gadałem. Przez Messenger. W końcu zgodziła się spotkać. Potrzebowała pieniędzy. – Cedził zdanie po zdaniu, za każdym razem biorąc głęboki oddech. – Pojechaliśmy do lasu, kazałem jej... Zdjęła ciuchy. – Jego ramiona nieznacznie się uniosły. – Chciałem ją przelecieć. Miałem ze sobą kasę, dałbym jej te pieniądze po wszystkim. Przypuszczalnie zgodziłaby się na kolejne spotkanie. Plan był boleśnie prosty: za każdym razem seks, kasa, jakaś rozmowa, buzi na pożegnanie. Taką dziewczyną można łatwo manipulować. Jest młoda, głupia, łaknie dobrych emocji, potrzebuje kogoś, kto zwróci na nią uwagę, zapewni poczucie bezpieczeństwa, pokocha... – zamilkł.

Zamknął oczy, nie mógł patrzeć na Wierę. Mimo to nadal widział łzy płynące po jej twarzy. W świetle księżyca błyszcząły jak diamenciki.

– Mów dalej.

Tylko Bóg wiedział, ile go kosztowało uniesienie powiek.

– Byłem pewien, że rozkocham ją w sobie, sprawię, że nie będzie mogła beze mnie żyć. Uzależnię od siebie, a wtedy ją porzucę, ale najpierw upokorzę. Zgnoję, żeby czuła się jak ostatni śmieć. Jak ja się czułem. – Wziął mocny oddech i powoli wypuścił powietrze nosem. – Kiedy mój tata zmarł, miałem dziesięć lat. W tym wieku nie ma litości, albo jesteś *cool*, a kumple cię lubią i szanują, albo stajesz się ofiarą. Gnoili mnie na okrągło. Bili, szarpali, wyzywali.

– Ale za co? Co ty im zrobiłeś, Bruno? – Jej głos jeszcze nigdy nie brzmiał tak ochryple.

– Nic. Po prostu byłem inny. Wyglądałem inaczej, miałem dziwne imię i nazwisko, a mój ojciec był biedakiem. Kiedy tata zginął, ich ataki jeszcze się wzmożyły. Zupełnie jakby chcieli, żebym dołączył do ojca. Kiedyś dopadli mnie w toalecie. Wciągnęli do kabiny, jeden pilnował drzwi, a dwóch wsadziło mi głowę do muszli. Głęboko. Spuszczali wodę i śmiali się. To trwało przez całą przerwę między

lekcjami, zaledwie dziesięć minut, ale mnie wydawało się, że wieczność.

– Czemu nie powiedziałeś komuś? Wychowawcy albo mamie?

– Nie potrafiłem się zdecydować. Nie bałem się tych potworów, ale kiedy pomyślałem, co będzie czuła mama, że znowu się zacznie: zmiana szkoły, wizyty u szkolnego psychologa, niekończące się rozmowy, wymuszane przeprosiny od chłopaków, którzy mówili, że już nigdy tak nie zrobią, a jednocześnie obmyślali kolejne perfidne sposoby, żeby mnie zgnoić. Nie. – Potrząsnął głową. – To się ciągnęło do końca gimnazjum, ale wytrzymałem. – Zacisnął szczęki. – Musiałem wytrzymać. Dla taty.

– Ale wróciło. Takich rzeczy się nie zapomina, są jak wyryte stalowym dłutem w naszej duszy – powiedziała Wiera.

– Chciałem zobaczyć, jak to jest być po drugiej stronie. Zrozumieć, co nimi kierowało.

– Dlatego ta dziewczyna? Jak mogłeś? Przecież to...

– Przysięgam, nie zrobiłem jej krzywdy. – Bruno czuł, że jeszcze chwila i wielka klucha w gardle w końcu odbierze mu mowę. – To miał być jej pierwszy raz. Wtedy mi powiedziała. Wycofałem się. Odwiozłem ją do miasta, wysadziłem na przystanku i wróciłem do mieszkania.

– A potem mnie zgwałciłeś. Bo to był gwałt, Bruno. Nic innego.

– Nigdy sobie nie wybaczę. Nigdy – powiedział z mocą. – Wtedy, w tym dniu, w nocy... pojechałem w tamto miejsce, do lasu. Miałem ze sobą broń, ale nie mogłem. Nie dlatego, że się bałem. Uwierz, gdybyś teraz rzekła jedno słowo, powiedziała, że taki śmieć jak ja nie zasługuje na życie... W schowku pod siedzeniem jest moja służbowa klamka. Jeśli...

– Przestań. Przestań dramatyzować! – krzyknęła. Opuściła głowę na kolana i zastygła w bezruchu. – Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby mnie dotknąć – warknęła, usłyszawszy szmer, gdy chciał się przysunąć bliżej. – Nawet nie próbuj.

– Nie dotknę cię.

– Powiedz, czemu? Nie rozumiem. Nie zrobiłam ci nic złego – szepnęła żałośnie.

– Czułem gniew, byłem na siebie wściekły. Że jestem tchórzem, że zmiękłem. Chyba chciałem sobie udowodnić, że potrafię kogoś

złamać. Kogoś zupełnie niewinnego i bezbronnego, takiego jak ja wtedy, w szkolnej toalecie. To był impuls. Wszedłem do mieszkania. Stałaś tam, goliłaś nogi. Było normalnie. Pamiętam, że coś upiekłaś, ciasto z jabłkami?

– Wyrzuciłam je do kosza – wyjaśniła.

– Widziałem to ciasto. Gdybym mógł cofnąć czas – jęknął z bólem.

– Nie będę kłamał. Nie powiem, że coś mnie wtedy zaślepiło. Że to nie ja, tylko ktoś inny cię zgwałcił. Że ktoś przejął władzę nade mną. Zrobiłem to świadomie. Chciałem widzieć twój strach, twoje poniżenie. Chciałem patrzeć, jak się bronisz, jak panicznie próbujesz... – Umilkł. – Zobaczyłem wszystko. Bałaś się, umierałaś najpierw ze strachu, potem z upokorzenia i braku powietrza, ale nie przestałem. Patrzyłem na ciebie, a moją głowę wypełniały myśli, że jesteś nowym początkiem. Druga tura. Nowa lista, którą otwierałaś właśnie ty. Skończyłem i wtedy... Możesz nie wierzyć. W zasadzie nie masz żadnego powodu, by mi wierzyć. Jestem kłamcą i podłym miałkim człowieczkiem, ale właśnie wtedy zrozumiałem, że skrzywdziłem kogoś, kto jest dla mnie całym życiem. Kocham cię – wyznał. – Niczego nie oczekuję. Niczego, no może nienawiści. Tak, nienawiść byłaby dobra, ale jeszcze lepsza jest obojętność. Życzę ci, żebyś kiedyś o mnie zapomniała. Jak najszybciej. Zrobię wszystko, żeby zadbać o ciebie i twoje bezpieczeństwo. Potem zniknę, a ty zapomnisz.

– A jeśli ja nie chcę zapomnieć? – Podniosła głowę. – Pomyślałeś o tym, Bruno? Po co tu przyjechaliśmy? Czyj jest ten dom, w którym mieszkamy? Chcę wiedzieć, co będzie dalej. No powiedz! – Podniosła głos.

– Kupiłem ten dom. Zapłaciłem, ale na papierze nadal ktoś inny jest właścicielem. To kolega ojca. Rumun. Mieszka w Polsce. Po śmierci taty czasami nas odwiedzał. Znałem go. Kilka lat temu popadł w poważne kłopoty, jego córka zachorowała, potrzebował forsy. Spytałem, jak mogę pomóc. Dom jest stary, nadaje się do remontu, sama widziałaś. Na dodatek żyją dalsi krewni, którzy mają jakieś prawa, dlatego Christian nie mógł go oficjalnie sprzedać. Dostał pieniądze, a ja klucze. To wszystko.

– Zapłaciłeś za dom, który nie jest twój?



– Jest mój. Mieszkamy tam, a że nie mam aktu notarialnego? Czy to ważne?

– Dlaczego tu jesteśmy?

– Powinnaś spytać, dlaczego już nas nie ma w Polsce. Uciekliśmy stamtąd.

– Ale nie zostaniemy tutaj?

– Nie. – Spojrzał na księżyc, odbijający się na tle nieprzeniknionej czerni morza. – Tam jest nasze miejsce. Tam. Daleko. Za wodą.

– Gruzja? – Wiera nareszcie się domyśliła.

– Gruzja.

## Rozdział 12

Nie rozumiesz? To dla mnie szansa. – Rafał popatrzył na Luizę. – Szansa na normalność. Na zwykłe życie, moje i wasze – dodał po chwili, widząc pełne powątpiewania spojrzenie ukochanej.

– Ja wiem. Rozumiem. – Westchnęła. Musiała zebrać myśli.

W istocie, wiedziała już trochę więcej. Wczoraj Rafał zadzwonił do Doneckiego, pogadali, niestety na osobności, dlatego Luiza musiała bazować na tym, co później przekazał jej Rafał. Rzekomo Donecki chciał pomóc Rafałowi w powrocie do Polski i jednocześnie umożliwić jego rehabilitację w świetle prawa. To brzmiało jak spełnienie jej najskrytszego marzenia. Tak, zależało jej na odzyskaniu swobody, chciała znowu poczuć się wolna jak ptak, chciała wrócić do Polski, do Milikowa, mieszkać z rodziną lub mieć ją na wyciągnięcie ręki. To było takie piękne – móc pomyśleć, że wrócą i nikt im nie zagrozi ani nie przeszkodzi. Lecz co, jeśli...

Nawet nie chciała myśleć o ryzyku.

Przeszła przez pokój i usiadła skulona na kanapie. Rafał natychmiast do niej dołączył. Chciał ją objąć, lecz zauważyła jego gest i odsunęła się nieznacznie.

– Nie chcę, żebyś tam jechał – powiedziała.

To był warunek Doneckiego. Kazał Rafałowi przyjechać do siebie, do Szwajcarii. Powiedział, że nie ma innej opcji, żeby wyjaśnić wszystko z Brunonem, czy też Grzegorzem Niżyńskim. Mieli go dorwać, pogadać, wymusić na nim zeznania, które oczyszczą Rafała ze wszystkich grzechów i sprawią, że będzie mógł się zrehabilitować w świetle prawa, a potem wrócić do normalnego życia.

– Boisz się?

– Jak mam się nie bać? – Jej oczy wypełniły się łzami. – No powiedz. Masz gwarancję, że to się uda, że się powiedzie? Przecież ty nie znasz tego człowieka, nie wiesz, czy ma dobre zamiary. Czemu on chce ci pomóc? To nie ma sensu.

– Powiedział, że ma dług i musi go spłacić.

- Jaki dług? Wobec ciebie?
- Tak.
- Jaki on może mieć dług? Wdzięczności?
- Nie powiedział.
- Spytałeś?

– Tak. Powtórzył, że jest mi coś winien i chce to naprawić. Tylko czekałem, aż zaproponuje mi pieniądze, wtedy posłałbym go w diabły, ale nie. Nie chodziło o kasę. Odgadł, co mnie boli. To, że nie mogę was zabrać do Polski.

– Dług... – mruknęła Luiza. – Nie daje mi to spokoju. Może chodzi mu o Weronikę? W pewnym sensie odebrał ci żonę, a ty na to pozwoliłeś.

– Nic z tych rzeczy, Weronika mnie nie pamięta, jestem dla niej obcym człowiekiem. Nic do mnie nie czuje, no, może prócz zwykłej ludzkiej sympatii, ale to niczego nie zmienia. Ona kocha Doneckiego, inaczej nie byłaby z nim. Mają dziecko. – Chwycił Luizę mocno za ramiona i odparł stanowczo: – A ja mam ciebie i Gabę. Donecki niczego mi nie odebrał, nie wprost. Póki jest dla niej dobry, póki ona go kocha i pozwala mu być blisko, nie mam prawa się wtrącać. Już przeboleiałem, że przez kilka lat nie miałem pojęcia, że Weronika żyje. Opłakałem ją, odbyłem żałobę. Teraz... To wy jesteście dla mnie całym światem, to dla was chciałbym wrócić do Polski. Bo to wy cierpicie najbardziej, a zwłaszcza ty.

– Mogłeś ją drugi raz rozkochać w sobie. Gdy tutaj przyjechała.

– Ty tak na poważnie? – Rafał potrząsnął głową. – Co ty mówisz, dziewczyno? – Był wzburzony. – To ciebie wybrałem, ciebie kocham, z tobą chcę być.

– Przepraszam. – Zrobiła skruszoną minę. – Chciałam tylko zrozumieć, czemu Nikita się wpieprza w nasze życie. To zwykły bandyta, morderca. – Wzdrygnęło nią. – Wierzysz mu? Ja nie. – Zaciśnęła usta w wąską linijkę.

– W tej branży nikomu się nie wierzy i nie ufa.

– No właśnie. – Skwapliwie potaknęła.

– Ale to nie przeszkadza setkom podobnych do Doneckiego... – zamilkł, żeby w duchu dodać: „i do mnie” – pracować dla takich organizacji.

– Łatwa kasa. – Prychnęła ze wzgardą.

– Duża kasa, ale nie łatwa – sprostował.

– Nie chrzań! – Zerwała się z kanapy i stanęła przed nim. – Łatwa i duża. Wielka! Cała kupa forsy, a za co? Za mordowanie, żerowanie na ludzkich słabościach, na ludzkiej głupocie i... – Zamachała rękami, czując totalną bezsilność, bo uświadomiła sobie, że jej facet, wybranek serca, dokładnie w ten sposób zarabiał kiedyś na życie, a ona musiała to zaakceptować.

– To do niczego nie prowadzi. – Rafał próbował zachować spokój, ale było mu trudno jak nigdy wcześniej. Nie rozmawiali o tym, unikali tematu jego mrocznej przeszłości, tutaj na wyspie nie poruszali tych kwestii, dopiero wizyta Weroniki obudziła uśpione demony, a teraz szalały na całego, znów próbowały zmienić życie Snarskiego w piekło. – Usiądź, proszę.

– Muszę się opanować. – Luiza potrząsnęła głową.

Podeszła do barku i wyciągnęła pierwszą lepszą butelkę z alkoholem, padło na whisky. Nie bawiła się w ceregiele, odkręciła butelkę i wzięła kilka głębokich łyków. W gardle zapłonęło żywym ogniem, zakrztusiła się do łez, ale od razu poczuła ulgę. Alkohol otumaniał, spłycał emocje, pozwalał na przetrwanie. Zabrała whisky ze sobą, a nuż będzie potrzebna.

– Lepiej? – spytał Rafał.

Chciał objąć ją ramieniem, lecz się odsunęła. Nie nalegał, nie naciskał. Sama musiała to sobie poukładać i dokonać wyboru, bo to jej Rafał powierzył podjęcie ostatecznej decyzji. Nie z tchórzostwa, bynajmniej. Gdyby nie miał rodziny, wybór był banalnie prosty – przystaje na propozycję Doneckiego, jedzie tam, a potem niech się dzieje, co chce. Lecz on miał rodzinę – kobietę i dziecko, to oni stanowili centrum jego wszechświata, gdzie oni, tam jego dom.

– Muszę... – Głos Luizy był niepewny. – Do kiedy masz dać odpowiedź, czy tam pojedziesz?

– Im szybciej, tym lepiej. Donecki czeka, jeśli odmówię, sam będzie próbował załatwić tę sprawę. Chce pogadać z Brunonem, wyjaśnić, w co ten pogrywa.

Na razie nie wspominał Luizie o pewnym szczególe rozmowy z Nikitą Doneckim. Według jego słów Weronika zdradziła mu, że w ubiegłym roku, zanim przyleciała na Isla Mocha, była szantażowana przez Niżyńskiego vel Brunona. Nie dość, że zmusił ją

do przyjazdu na wyspę, to wobec Rafała posłużył się kłamstwem, jakoby to Weronika sama chciała odwiedzić byłego męża.

– Boże... – Luiza przewróciła oczami. – Mówisz o tym wyjeździe, jakby to była zwykła wycieczka. A tu chodzi o czyjeś życie, o życie wielu osób. Jezu... – Luiza zasłoniła twarz dłońmi, pochyliła się, a jej czoło prawie dotknęło kolan. – Co za koszmar. Jak mam zdecydować, no powiedz? Nie chcę. – Z trudem powstrzymała szloch.

Kiedy myślała, jaką odpowiedzialność niesie ze sobą ta decyzja, mroziło jej krew w żyłach. „Cokolwiek bym postanowiła, będę tego żałować” – pomyślała z goryczą. A gdy wyobraziła sobie, że zostaje sama na wyspie, Rafał wyjeżdża, a jej pozostanie jedynie modlitwa i zamartwianie się o jego życie, poczuła, że nie jest w stanie tego przetrwać.

– Już zdecydowałaś, prawda? – spytał cicho. – Mam zostać.

– Wolę cię żywego tutaj, niż martwego w Polsce, nie rozumiesz? Wolę, żebyśmy tu żyli, razem, w trójkę. Nie wrócę do Polski bez ciebie. Nigdy. – Wyprostowała się, by móc na niego spojrzeć. Na jej twarzy lśniły ślady po strugach łez. – Chcę, żebyś żył. Długo. Chcę, żeby Gaba miała tatę.

– Nie zakładaj, że...

– Tak, wiem! – podniosła głos. – Mam nie zakładać, że coś ci się stanie.

– Na litość boską, nie jestem idiotą. – Pokręcił głową. – Nie planuję samobójstwa.

– A jeśli on zaplanował? Ten Nikita? Może on chce cię zabić, żeby nie było ryzyka, że Weronika do ciebie wróci?

Rafał nie odpowiedział. Zabrał butelkę ze stolika i poszedł w ślady Luizy, wypił kilka łyków, myśląc, że to najmniej miłe okoliczności życiowe w jakich przyszło mu spożywać alkohol. Nawet stypa po Słowiku, kumpla z czasów, kiedy pracował dla Maniksa, była weselsza.

– Nigdy nie ryzykowałem ponad miarę, nie robiłem niczego, co było zbędne i... – Chciał coś jeszcze dodać, ale Luiza weszła mu w słowo i dokończyła:

– Dlatego podjąłem pracę w mafii. To jeden z najbezpieczniejszych sposobów na życie.

Zaśmiał się cicho. Luiza miała rację, wyszedł na idiotę, ale gdyby na chłodno ocenić jego postępkę, nawet pomimo specyficznego fachu, potrafił zachować maksymalną ostrożność i nigdy nie szarżował bez potrzeby.

– Swego czasu chłopcy z naszej firmy mówili na mnie Cykor. Taką dostałem ksywkę.

– Cykor? Czemu? Nie jesteś tchórzem. – Luiza wyraźnie się nastroszyła, co było nawet zabawne. Zupełnie jakby chciała bronić jego honoru gangstera.

– Nie zgodziłem się na... – Uciął, bo nie znalazł odpowiedniego określenia dla tego, co mu wtedy zlecono. – Nie zostałem cynglem. Odmówiłem.

– Miałeś kogoś zabić? – domyśliła się Luiza.

– Wykonać wyrok.

– Czyj wyrok? Twojego szefa?

– Tak – mruknął cicho Rafał. Nie chciał wracać pamięcią do tej sytuacji, ale był to winny Luizie. Już dawno powinien jej wszystko opowiedzieć, przedstawić bolesną prawdę, prawdę o nim i jego życiu.

– Nie zgodziłem się. Boss naciskał, a ja robiłem wszystko, żeby do tego nie doszło.

– Bałeś się więzienia?

– Przestań. – Prychnął zduszonym śmiechem. – Nie chodziło o więzienie.

– To o co?

– Naprawdę nie wiesz? – Uniósł brew.

– Że to grzech?

– Też.

– Nie potrafiłabym zabić człowieka.

– Ja... mógłbym zabić. Szkolono mnie w tym. W zabijaniu. – Postanowił być szczery, nawet jeśli miało to być bolesne i przykre. – Gdyby ktoś zagroził tobie, Gabrysi, komuś bliskiemu, komuś, kogo kocham... Nigdy nie mówiłem ci o moim ojcu – wychrypiał.

– I nie mów, chyba że musisz. Że to przyniesie ci ulgę.

– Nie przyniesie. Pewne rzeczy są jak kamień, leżą na sercu i będą tam trwać aż do końca, ale nie żałuję. Chroniłem mamę. Chciałem, żeby wreszcie mogła spokojnie żyć.

– Och... – jęknęła Luiza, widząc jak zmienił się wyraz jego twarzy.

– Co do propozycji Maniksa, najpierw odmówiłem, ale w końcu musiałem się zgodzić. Inaczej... – Odchrząknął, bo coś zadrapało go w gardle. – Inaczej mogło być kiepsko.

– To znaczy?

– Miałem wybór, albo ja kogoś odpalę, albo inni odpalą mnie. Maniks powtarzał, że robota w firmie to nie praca w korpo. U nas nie było sprzątaczek, pracowników biurowych i księgowej. Każdy musiał zaliczyć wszystkie etapy roboty. Czemu? Bo to rodziło solidarność i współodpowiedzialność. Jeden krył drugiego, każdy miał za pazurami. Nie posłałeś kumpla pod celę, bo to zapowiadało odwet. Ty kogoś podkablowałeś, inny zakablował na ciebie, proste.

– Dlatego zgodziłeś się kogoś zabić? – Oczy Luizy przypominały pięciozłotówki.

– Nie miałem wyjścia.

– Miałeś.

– Miałem: albo ja, albo ten ktoś.

– Zaraz oszaleję. – Luiza poczuła, że bez drugiej dawki whisky się nie obędzie. – No to mów – oświadczyła, odstawiając w połowie pustą butelkę.

– To długa historia, nie wiem, czy chcesz ją poznać. Na pewno niczego nie zmienia.

– Czekaj! – Dotknęła skroni i pomasowała je intensywnie. – Niczego nie zmienia w sensie?

– Że nie mam łba na koncie.

– Mów po polsku.

– Nie wykonałem żadnego zlecenia, nie odpaliłem nikogo.

– Jezu... – jęknęła z wyraźną ulgą. – Na pewno?

– Na pewno.

– Nadal nic z tego nie rozumiem.

– No i dobrze. – Pokiwał głową. – Nie musisz wszystkiego wiedzieć.

Spojrzał w stronę korytarza. Gdzieś tam, kilka metrów od nich, za ścianą, spała Gabrysia. Poczuł nagle mdlący ból w sercu, bo uświadomił sobie, że kocha to maleństwo nad życie i gdyby ją też miał stracić, jak Kacpra, umarłby, tym razem na dobre.

– Zasługuję na prawdę – powiedziała Luiza.

– Tak, zasługujesz, ale nie na każdą. I nie teraz. Czasami myślę, że najgorsze, co mogło cię spotkać, to ja. – Chwycił dłoń Luizy i pochylił się, żeby ją pocałować. – To ja jestem sprawcą twoich nieszczęść.

„Twoich, Weroniki, Kacpra” – pomyślał z bólem w sercu.

– Nie gadaj głupstw. Widziały gały, co brały. No prawie widziały – dodała z przekąsem.

– Pójdziemy się przejść? – zaproponował.

– Teraz? Jest środek nocy.

– Poproszę kogoś, żeby przypilnował małej.

– Jeśli chcesz, możemy się przejść. – Luiza od dawna wiedziała, że Rafał lubi nocne spacery, tę całą surowość wyspy, wiatr smagający policzki i nieustanny szum fal, uderzających o klify. To zawsze go uspokajało. – Musimy ciepło się ubrać.

– Ty na pewno. – Spojrzał na nią z czułością.

Wiecznie było jej zimno, nie przywykła do niskich temperatur i braku słońca, a tego było na Isla Mocha jak na lekarstwo, nawet w letnich miesiącach. Właśnie dlatego jego wielkim marzeniem, na razie niespełnionym, było zabrać stąd Luizę i Gabrysię tam, gdzie jest ciepło, gdzie mieszkają jej rodzice, najwspanialsii ludzie, jakich poznał. „Zrobię wszystko, żebyś kiedyś mogła wrócić do Milikowa, nigdy nie przestanę o to walczyć” – pomyślał, odprowadzając ją wzrokiem.

\* \* \*

Od rana Luiza snuła się po apartamencie, myślami błędząc hen daleko. Od tych wszystkich nocnych wrażeń, przemyśleń i rozterek rozboleła ją głowa, nie pomogły zioła przygotowane przez kucharkę ani tabletki. Wiedziała, że dopóki czegoś nie postanowi, dopóty ból nie ustąpi. Niestety, teraz – rankiem – nie czuła się ani odrobinę bliżej rozwiązania problemu. Przez myśl przemknęło, żeby rzucić monetą, czasami w ten sposób postępował ojciec Luizy, oczywiście ku oburzeniu swojej małżonki. Pani Kazia uznawała to za hazard, a ten, jak powszechnie wiadomo, to straszny grzech. „Idź się pomódl” – Luiza usłyszała w głowie radę mamy. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Na wyspie nie postawiono kościoła, była jedynie



mała kaplica, oddalona od ich domostwa o godzinę jazdy samochodem.

– Cholercia... – mruknęła do siebie, bo wyczuła nadmierną słodycz w kawie. Najwyraźniej posłodziła ją dwa razy. Wylała kawę do zlewu i ponownie wstawiła filiżankę pod dyszę ekspresu, ale po sekundzie namysłu wyłączyła urządzenie. – Kawa nie pomoże – powiedziała cicho.

Poszła do pokoju Gabrysi, dziewczynka zajęła się zabawą i dopiero po chwili zauważyła mamę.

– Bawię się! – pisnęła radośnie. Podniosła lalkę Barbie, którą wczoraj dostarczył kurier. Lalka miała na sobie krzywo włożoną sukienkę i plastikowe buciki nie do pary. – Uwielbiam Bajbi.

– Ja też lubię Barbie. – Luiza usiadła przy Gabrysi po turecku i pogłaskała ją po główce. – Miałam osiem takich lalek. Wszystkie miały swoje imiona.

– A jakie?

– Wszystkie na literkę „A”. Alina, Ania, Asia, Amelia, Aneta i Anita... – wymieniała, pokazując na palcach. – Alicja i Aronia. Nie ma takiego imienia Aronia, ale ja myślałam, że jest, bo w ogródku u babci rosną drzewka z aronią.

– To jest smakowite – stwierdziła z przekonaniem Gabrysia.

– Co, aronia? – Luiza zachichotała. – O nie, aronia nie jest smakowita. Jest strasznie kwaśna i ma twardą skórę.

– Chcę zjeść alonię.

– Nie mamy tutaj aronii.

– No to kup.

– Nie da się kupić aronii, chyba nie. – Luiza zmarszczyła czoło. Nie miała pojęcia, czy w tutejszym klimacie w ogóle urosłyby krzewy aronii, co dopiero mówić o owocowaniu.

– Babcia ma alonię?

– Tak. Dużo aronii.

– Ja chcę jechać do babci. – Mała zrobiła smutną minę.

Luiza poczuła ukłucie w sercu, a w oczach zaczęły piec łzy. „Ja też chcę jechać do babci, nawet nie wiesz jak bardzo” – pomyślała, przełykając gulę w gardle.

– Kiedyś pojedziemy, ale teraz zrobimy coś innego – wychrypiała.

– A co? – Gabrysia rzuciła lalkę na podłogę i z zainteresowaniem spojrzała na matkę. Zawsze była gotowa na nowe wyzwania.

– Pojedziemy do Bozi.

– Oj. – Dziewczynce zrzędała mina. Nie przepadała za wizytami w kaplicy. Według niej u Bozi było nudno, a godzinne nabożeństwo ciągnęło się jak z gumy. No i nie wolno było głośno rozmawiać, o łożeniu po kaplicy i zabawie kolorowymi figurkami świętych nie wspominając.

Mimo wyraźnej niechęci dziewczynki Luiza zabrała małą na wycieczkę, a żeby Gabrysia nie narzekała, w drodze powrotnej wstąpiły do minisklepu, prowadzonego przez dalszą kuzynkę jednej z pracownic Rafała. Sklep był niewielki, wiecznie panował w nim rozgardiasz, oferował zarówno spożywcze artykuły, na przykład słodycze, jak i zabawki oraz trochę książeczek. Gabrysia szybko się pocieszyła po wizycie w kaplicy, zresztą spędziły tam zaledwie kwadrans. Może dlatego Luizie nic a nic nie rozjaśniło się w głowie.

Dzień przeleciał jak z bicia strzelił, a ona nadal nie wiedziała, czy zgodzić się na wyjazd Rafała, czy postawić veto. Telefon do przyjaciela, czyli do rodziców, nie wchodził w grę. Musiałyby ich wtajemniczyć w całą sytuację, a na to nie miała zgody, zresztą umówmy się, sama doskonale zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne. Po co zwalać na głowę biednej mamy jeszcze takie troski?

– Pogadamy? – spytał Rafał, kiedy nieuchronnie nadszedł wieczór, a Gabrysia już smacznie spała.

– Ech, no. – Luiza opadła na kanapę i wbiła wzrok w swoje stopy.

– Nie wiem. Nie podjęłam decyzji, sam musisz wybrać.

– Wiesz, co myślę o propozycji Doneckiego – przypomniał jej.

– Chcesz tam jechać, chcesz z nim porozmawiać, a potem...

– A potem chcemy dorwać tego gnojka. Mam z nim do pogadania.

– Ale ciebie to nie dotyczy – powiedziała z naciskiem. Obróciła się w stronę Rafała i powtórzyła: – To nie jest twoja sprawa. I nie twoja żona. – Zrobiła minę, jakby właśnie połknęła coś wyjątkowo niesmacznego, bo też jak można było inaczej myśleć o chorym układzie, w którym trwał Nikita Donecki, jego żona i Weronika. – Niech ją sam ratuje.

– No dobrze – westchnął Rafał. – Nie powiedziałem ci wszystkiego.

Zamilkł, widząc reakcję Luizy – natychmiast się zjeżyła, jej oczy rozbłyły gniewem, ale w spojrzeniu równie dużo było strachu, a nawet paniki.

– To znaczy? – wykrztusiła.

– Mam na pieńku z tym gościem.

– Z Brunonem?

– Tak.

– Oszaleję, przysięgam. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Mów, co jest grane.

– On coś kombinuje. Od początku grał nie fair, zachowuje się dziwnie. Podejrzanie – sprecyzował. – Po pierwsze, nie powinien zdradzać ci miejsca mojego pobytu, a jeśli już to zrobił, miał obowiązek uprzedzić mnie, że tutaj przyjedziesz.

– No, wiem, kiedyś o tym wspominałeś. Mówiłeś, że to było skrajnie niepoważne ze strony polskiej policji. Narazili ciebie i mnie.

– Otóż to – potaknął.

– Ale nie żałujesz? – Przechyliła głowę.

– Daj spokój. – Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. – Było, minęło. Nic się nie stało. – „Mam taką nadzieję” – dodał w duchu.

– O co więc chodzi? O Weronikę? Wykręcił drugi raz ten sam numer.

– Tu rzecz ma się trochę inaczej, w tym problem – mruknął po chwili namysłu. – Niżyński vel Bruno zmusił ją do przyjazdu.

– Co? – Luiza odsunęła się od Rafała, by móc spojrzeć mu w oczy. – Jak to, zmusił?

– Normalnie. Powiedział, że ma tutaj przyjechać, dostała obstawę i poleciała, a przecież była wtedy w ciąży. Ryzykował jej zdrowie, zdrowie i życie dziecka. Ten człowiek zachowuje się dziwnie, rozumiesz? Narażał ją, groził, że gdy odmówi, zaczną ją nękać, bo posługiwała się fałszywą tożsamością. A potem nagle, już po jej przyjeździe, ustąpił. Zupełnie jakby zrealizował punkt czyjegoś planu. Weronika wróciła do Polski, mieszkała u twoich rodziców, a Bruno zapadł się pod ziemię, nie miałem z nim kontaktu, nie odpisywał i nie odbierał telefonu, tak jest do teraz.

– No dobrze, ale czym to grozi? – Luiza z trudem zapanowała nad drżeniem głosu. – Co to dla nas oznacza?

– Jeszcze nie wiem. Donecki powiedział, że wszystko mi przedstawi, całą wiedzę, którą ma o tym koleś, ale to nie jest rozmowa na telefon, muszę przyjechać do niego.

– A jeśli to zasadzka?

– Czyja? Doneckiego? – spytał, a kiedy Luiza potaknęła, dokończył: – Nie sądzę. Weronika nadal z nim jest, w trakcie tej rozmowy zamieniłem z nią kilka zdań. Poprosiłem Doneckiego, żeby dał ją do telefonu. Wydawała się spokojna, nie wyczułem w jej głosie niczego, co mogłoby mnie zaniepokoić. Wychodzi na to, że Donecki jest wobec niej w porządku.

– To żadna gwarancja, że taki będzie wobec ciebie.

– Oczywiście, że nie mam gwarancji. Żadnej – doprecyzował.

– Chcesz tam jechać, żeby pogadać z Brunonem?

– Najpierw z Doneckim, potem z Brunonem. Muszę go dorwać, zanim zwieje na dobre. Razem musimy, ja i Donecki.

– I co potem? Zabijecie go? – Aż nią wzdrygnęło, gdy pomyślała, że Rafał spotka się z tym ruskim bandziorem i będą tropić jakiegoś pochrzanionego policjanta, który gra na dwa fronty.

– Prawdziwa z ciebie dziewczyna gangstera, żadna krwi – zaśmiał się. – Nie mam w planach nikogo zabijać, jeśli cię to uspokoi. Chcę wyjaśnić sprawę, ostatecznie i definitywnie. Czuję... – zamilkł na moment – czuję podskórnie, że coś w tej sprawie śmierdzi i to od początku. Od momentu, kiedy zaproponowano mi fikcyjną śmierć i status świadka koronnego. Powoli dochodzę do wniosku, że to nie miało sensu. Przecież ja prawie nic nie zeznałem, nie sprzedawałem im żadnych wartościowych informacji, same pierdoły, nieistotne, w większości dotyczące koleś, którzy już dawno poszli do piachu. Powinni mnie byli położyć pod celę za przetrzymywanie Barskiego i tyle.

– Co to znaczy? – Luiza zmarszczyła czoło.

– Wsadzić do więzienia. Dać jakiś wyrok i to wszystko.

– Hmm... – Zadumała się.

– Chcę to wyjaśnić. Muszę pogadać z Brunonem, a reszta to działka Doneckiego. Niech sam się martwi o żonkę, psia jej mać.

– Czemu tak brzydko o niej mówisz? – Luiza uderzyła piąstką w biceps Rafała, lecz on nawet tego nie poczuł.

– Bo to jakaś totalna idiotka. Sama do nich uciekła, a teraz jest problem.

– O Jezu... – jęknęła Luiza. – Co ja mam począć?

– Posłuchaj... a jeśli... – zająknął się. – Jeśli to jedyna poważna szansa na moją rehabilitację? Na wolność? Na powrót do żywych, do Polski? Nie rozumiesz? To może być jedyna taka możliwość. Pierwsza i ostatnia.

Już wczoraj podniósł ten argument, a dzisiaj ponownie go użył. Ale co miał jej powiedzieć? Że tak naprawdę na wolności i powrocie do Polski zależało mu znacznie mniej niż na bezpieczeństwie? Że bał się o ich dalszy pobyt na wyspie? Że Grzegorz Niżyński vel Bruno wysłał tu Weronikę w jakimś celu, którego Rafał ciągle nie znał, ale czuł, że to nic dobrego. Tak samo jak jego długie milczenie.

– Ty coś ukrywasz – wypaliła. – Nie mówisz mi wszystkiego, prawda?

– Prawda.

– I nie powiesz nic więcej?

– Nie. – Wstał, żeby móc ją delikatnie objąć. – Nie powiem ani słowa więcej. Nie poproszę cię o zgodę ani nie przymuszę. Nie wyjadę, jeśli mi nie pozwolisz. Moje serce i mój dom są tam, gdzie ty i Gabrysia. Ty zdecydujesz, bo zrobisz to lepiej.

– Nawet jeśli wszystkiego nie wiem? – spytała. Jej głos zabrzmiał żałośnie jak u skrzywdzonego dziecka.

– Tak, nawet jeśli wszystkiego nie wiesz. Bo jesteś mądrzejsza ode mnie.

W emocjach dziewczyny rozegrała się krótka, acz burzliwa walka: czy wybuchnąć płaczem, czy walnąć Rafała w nos i kazać iść do diabła. Ostatecznie zwyciężyła opcja „po środku” – Luiza warknęła, że Rafał ma się zamknąć, a ona musi coś wypić i to już, natychmiast.

– Powiem ci rano, co zdecydowałam.

– Donecki czeka do...

– W dupie mam Doneckiego! Jego, Brunona i całą pieprzoną ruską mafię! – Odepchnęła Rafała i wyszła z salonu, by niemal natychmiast wrócić i wykrzyknąć, że zaraz ją szlag trafi. – I pewnie nie zgodzisz się, żebyśmy z tobą pojechali?! – wrzasnęła.

Akurat to pytanie nie miało sensu, bo od początku Rafał uprzedzał, że nie ma takiej opcji. Donecki zastrzegł, że Rafał ma przyjechać sam, natomiast zaoferował porządną ochronę dla Luizy i ich córki. Na czas nieobecności Snarskiego na wyspę mieli przybyć ludzie Doneckiego, kilka par mieszanych, by nie wzbudzać podejrzeń. Oczywiście o tym, kim naprawdę są ci goście, nikt poza Luizą nie miał prawa wiedzieć.

– Już o tym rozmawialiśmy – bąknął.

– Wiesz co, idź do diabła, Snarski! Wynocha, jedź sobie do Szwajcarii choćby już! – Odwróciła się na pięcie i wypadła z salonu po raz wtóry.

Gdy po niecałej godzinie odnalazł ją w sypialni, siedziała zapłakana, z różańcem w ręku i wzrokiem wlepionym w małą ramkę ze zdjęciem całej ich trójki.

– Jeśli coś ci się stanie, przysięgam, pojedę tam, znajdę cię i zabiję – warknęła, podnosząc na niego oczy. – Rozumiesz?

– Przysięgam, że będziesz miała okazję jeszcze nieraz grozić mi śmiercią – próbował zażartować. – Tak lekko ci ze mną nie pójdzie, a zresztą, złego diabli nie biorą. – Przysiadł obok.

– Obiecay, że wrócisz.

– Obiecuję. – Przyłożył jej dłoń do własnego serca. – Mam do kogo wrócić. – Przez chwilę tak trwali, w bezruchu, bez słowa, ale ich serca nie milkły. W końcu podjął: – Nie wiem skąd, ale czuję, że to dobra decyzja. Że nic złego się nie stanie, ani mnie, ani wam, tobie i Gabrysi. Czuję to. Tutaj. – Ścisnął lekko jej dłoń. – Nigdy ci nie mówiłem, ale wtedy, gdy Weronika i Kacper... – Przełknął ślinę. – Od rana czułem dziwny niepokój, coś mnie dusiło w mostku, byłem jakiś nerwowy, pobudzony, a jednocześnie odczuwałem straszne zmęczenie. Coś wisiało w powietrzu. Kiedy Weronika się spóźniała, postanowiłem zadzwonić. Uwierz, zanim odezwał się ktoś ze służb, kto znalazł telefon, wiedziałem, że to nie będzie ona – wykrztusił.

– Będę się modlić. Powiem mamie, że ma się modlić za nas.

– Hmm... – mruknął. – To chyba nie jest dobry pomysł. Zaczną się pytania, wolałbym...

– No wiem. Nic mamie nie powiem, ma się modlić i już.

– Ja myślę, że ona się modli nawet bez twojej prośby. – Puścił do niej oko.

Wyjechał w poniedziałek. Chciał polecieć wcześniej, ale Luiza nie pozwoliła: „w piątek zły początek”, w sobotę były imieniny Gaby, a w niedzielę trzeba dzień święty święcić, a nie szlajać się po lotniskach. Nie oponował, tym bardziej, że czekał na obiecaną ekipę od Doneckiego.

– Masz na siebie uważać i wrócić, inaczej... – Luizie załamał się głos, kiedy go żegnała.

– Wrócę. – Przytulił ją tak mocno, że prawie brakło jej tchu. – Obiecuję.

## Rozdział 13

Ekipa od Doneckiego liczyła sześć osób: czterech facetów i dwie laski. Dziewczyny były młode, ładne i wysokie, raczej szczupłe niż przypakowane, a na pewno nie przypominały masą ciała i muskulaturą swoich kolegów, lecz trudno było określić je „laskami”, zachowywały się jak faceci, nosiły męskie ciuchy i także fryzury.

Luiza próbowała nawiązać jakikolwiek kontakt z Poliną i Dianą, ale one trzymały się razem, nie wdawały w pogaduszki z personelem rancho i miały gdzieś, że Luiza chce się zakolegować. Nawet biedną Gabrysię ignorowały, chociaż dziecko – jak to dziecko – było zaciekawione każdym nowym gościem. Panowie z ekipy łaskawiej traktowali dziewczynkę, czasami zagadali do małej, uśmiechnęli się, gdy odpowiadali na grzeczne „Dzień dobry”.

Jeden z nich – Oleg – dosyć dobrze mówił po polsku, a kolejny – miał na imię Jakub – był Polakiem i posługiwał się biegle rodzimym językiem Gabrysi, całkiem nieźle rosyjskim i angielskim. Niestety, on również ignorował Luizę, nie wdawał się w pogaduszki z gospodynią, robił swoje, czyli chronił i bronił, chociaż na razie nie miał przed kim, bo od ich przyjazdu na wyspę, nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zagrozić mieszkańcom i pracownikom posiadłości Snarskiego. Ale *prikaz jest prikaz*, żołnierze Doneckiego pilnowali powierzonych pod opiekę kobiety i dziecka, byli czujni, nosili broń, na szczęście dyskretnie ukrytą, pełnili warty i na bieżąco zdawali szefowi raporty.

Między sobą rozmawiali po rosyjsku, a gdy była potrzeba kontaktu z obiektem, czyli z Luizą, delegowali Jakuba, żeby przedstawiał ich wnioski i uwagi. Co gadał? W sumie nic istotnego, miał parę zastrzeżeń do bezpieczeństwa w ośrodku, zaproponował dodatkowy system monitoringu, lecz właściwie nie było takiej potrzeby, bo co jak co, ale Snarski dobrze wiedział, jak zadbać o wszystko. Jakub



poprosił Luizę, by nie oddalała się od domostwa sama, podobnie dziecko, i to było tyle.

Nie mieli pojęcia, że Luiza dosyć pobieżnie, ale zna rosyjski. Wystarczająco, by rozumieć prawie wszystko, co między sobą gadali. Bynajmniej nie uczyła się tego języka w szkole czy na kursach, nie umiała pisać i czytać, ale złapała trochę rosyjskiego w czasie miesięcznego pobytu w Odessie, gdy pojechała tam z wymianą studencką. Potem znajomość języka przydała się jej, kiedy ojciec zaczął luźną współpracę z Rosjanami, sprzedawał im paszę dla ptactwa ozdobnego – głównie dla blaszkodziobych, czyli kaczek. Produkował taką paszę – wysokogatunkową i w pełni ekologiczną, a Rosjanie kupowali od niego większe opakowania i dzielili je na mniejsze porcje, by potem sprzedawać wszystko w Azji. Ta współpraca trwała kilka lat, później coś się wydarzyło i przestali odbierać paszę, lecz wtedy nastali pomocnicy z Ukrainy.

Znajomość języka została i Luiza mogła bez problemów podsłuchiwać ochroniarzy Doneckiego i rozumieć ich rozmowy, sprawiało jej to wielką radochę, bo Ruscy byli przeświadczeni, że Polka nie ma pojęcia, co właśnie mówią. Najzabawniejsze były uwagi o niej, panowie często i ochoczo komentowali jej wygląd. Jeden z nich, miał na imię Gleb, wyrażał swoje zainteresowanie za każdym razem, kiedy ją widział, wówczas zgłaszał natychmiastową chęć odbycia stosunku seksualnego – bynajmniej nie w taki elegancki sposób – z kolei facet z ksywką Łowca stwierdził kiedyś, że jest sucha jak każda Niemka i nie ma na czym oka zawiesić.

„Co za idiota” – pomyślała wtedy. Przecież nie była Niemką, tylko Polką, a jak powszechnie wiadomo, polskie dziewczyny są najładniejsze na świecie, a na pewno w Europie. „Może jestem sucha, za to ty wyglądasz jak wieprzek” – najchętniej palnęłaby, że Łowca bardziej przypomina jej knura niż mężczyznę, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć po rosyjsku.

Po dwóch dniach pobytu na wyspie, Rosjanie znali już każdy kąt ośrodka wypoczynkowego Snarskiego, słabe i mocne punkty, miejsca wymagające wzmożonej uwagi i te, które w ich mniemaniu zostały perfekcyjnie zabezpieczone. Łowca i Jakub zawsze trzymali się razem, we dwójkę patrolowali okolicę i ćwiczili walki wręcz – czym trochę zakłócali spokój ducha innych gości, bo jak zignorować

potyczkę dwóch kolesi, ważących razem ponad dwieście kilogramów? Na szczęście w ośrodku przebywało niewielu przyjezdnych: małżeństwo emerytowanych Belgów i ośmioro naukowców z Niemiec, którzy eksplorowali wyspę w poszukiwaniu endemicznych gatunków żab, biedny Diego ciągle musiał towarzyszyć im w wyprawach.

Z nudów Jakub i Łowca postanowili zajrzeć do stajni, a potem już poszło: zamiast się rozejrzeć i na tym zakończyć patrol, chwycili za widły i wysprzątaali pomieszczenia na błysk. Nie żeby panował tam nieporządek – Snarski dbał o konie, stajnia była systematycznie sprządana, co roku Diego zamawiał całe mnóstwo puszek z farbą i malowano ściany oraz sufity, a wszystkie trudno dostępne miejsca traktowano najpierw ozonatorem, potem myjkami parowymi. Ale każde dodatkowe sprzątanie się przydawało i Luiza postanowiła docenić pracę Rosjan.

Przygotowała coś na wzór barszczu ukraińskiego, zamierzała ugościć całą grupę, nakryła do stołu w jednej z mniejszych salek gościnnych w podziemiach, gdzie czasami odbywały się kameralne przyjęcia albo spotkania całego personelu ośrodka. Ustawiła osiem kamiennych miseczek, łyżki, pieczywo, a na środku zostało miejsce na wielką wazę z zupą.

– Pyszna – pochwaliła samą siebie po skosztowaniu.

Kucharce też smakowała ta zupa i skrzętnie spisała co i jak Luiza zużyła do jej wykonania.

– Pójdę po nich – zaoferowała się kobieta.

Prawie wszyscy dopisali, ale nie ci, których Luiza szczególnie chciała poczęstować barszczem. Polina łamaną angielszczyzną przekazała Luizie, że Jakub i Łowca znowu siedzą przy koniach, dlatego tam musi ich szukać.

– Teraz ja pójdę. – Luiza przewróciła oczami, bo czego jak czego, ale nie zносиła szukać biesiadników. Spojrzała na Gabrysię, która siedziała przy Polinie i wsuwała zupę, aż się uszy trzęsły. – Dobrze, córciu?

– Pychotka. – Mała wyszczerzyła zęby oklejone drobno posiekanymi listkami pietruszki.

– Zaraz wracam – powiedziała Luiza.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Nie znalazła ich w stajni, na padoku też nie.

– Ochroniarze z bożej łaski – prychnęła pod nosem.

Mieli ją przecież chronić, pilnować, a nie łązić gdzieś, gdzie nie trzeba. Musiała przyznać, że poczuła się nieswojo, bo oddaliła się dobry kawałek od głównego budynku, w tym miejscu już nie świeciły latarnie, a w gęstwinie krzewów czaił się mrok. Nagle aż ją sparaliżowało ze strachu, bo usłyszała jakiś dziwny dźwięk, lecz uspokoiła się szybko. „To tylko któreś z tych okropnych ptaszydeł” – pomyślała, rozpoznając charakterystyczny odgłos.

– Tu jesteście – wymamrotała do siebie, widząc, a przede wszystkim wyczuwając, dym papierosa.

Na terenie ośrodka panował bezwzględny zakaz palenia tytoniu. Rafał wprowadził go już po pierwszym miesiącu wynajmowania apartamentów, bo jeden z gości zaproszył ogień w pokoju, co mogło się skończyć tragicznie. Wprawdzie wtedy gość od razu zauważył płomień – a konkretnie tłącą się zasłonę – ale finał mógł być fatalny.

Luiza bezszelestnie zbliżyła się do mężczyzn, planowała ich zaskoczyć, stanąć przed nimi i zrugać, że kopcą zamiast zająć się swoimi obowiązkami. Podeszła bliżej i wtedy w jej ucho wpadło nazwisko Rafała. Natychmiast się zatrzymała i przycisnęła ciało do węgła drewnutni. To tam stali Łowca i Jakub, palili papierosy tuż przy składzie drewna, co było skrajnie głupie i nieodpowiedzialne, ale teraz nie dbała o to.

Mężczyźni rozmawiali po rosyjsku, rzucali mięsem co trzecie słowo i rechotali, ale bez problemów rozumiała, o czym, a raczej o kim, gadają. Z sekundy na sekundę miękły jej nogi, a serce łomotało coraz szybciej. „Boże...” – jęczała w duchu, kiedy Łowca zdradzał coraz więcej szczegółów pewnego zdarzenia. „Boże, biedna Weronika” – musiała się kontrolować, żeby nie wybuchnąć płaczem, prawie nie oddychała, kiedy padały kolejne słowa. Nawet Jakub przestał się śmiać, potakiwał jedynie i mruczał, że chujowo wyszło.

„Co za pieprzony gnój, co za śmieć!” – jej głowę wypełniały inwektywy pod adresem Doneckiego. Żałowała, że nie ma przy sobie telefonu. Zostawiła aparat w jadalni i teraz nie mogła nagrać rozmowy Rosjan, a to byłby stuprocentowy dowód, że jednak miała

rację, kiedy nie chciała się zgodzić na wyjazd Rafała. Czuła, że Doneckiemu nie można zaufać.

Mężczyźni zmienili temat, a ona po cichu wycofała się i pobięła w stronę głównego budynku. Wpadła do jadalni, gdzie towarzystwo kończyło posiłek, poleciała kucharce, by ta zajęła się Gabrysią. Musiała jak najszybciej zadzwonić do Rafała i powiedzieć mu, co zdołała podsłuchać. Zamknęła drzwi apartamentu, na wszelki wypadek skryła się w łazience i dopiero tam poczuła się w miarę bezpiecznie.

„Mam nadzieję, że te ruskie parszywce nie założyły mi podsłuchu” – spojrzała na telefon. Niestety jej wiedza techniczna dotycząca tego aparatu kończyła się na jego obsłudze, choć nawet tego nie opanowała do końca i jej prywatny iPhone krył przed nią jeszcze wiele funkcji.

Przeżegnała się i wybrała numer Rafała...

\* \* \*

Snarski rzadko kiedy był wściekły. Zwłaszcza ostatnio, zwłaszcza tutaj. Starał się odsunąć emocje jak najdalej, a najlepiej zupełnie je odstawić i nie dopuszczać do siebie żadnych głosów i słów płynących z serca. Serce miał dla Luizy i Gabrysi, panowały w nim niepodzielnie, a tu, przy Doneckim i Weronice, bazował na rozumie. Tak było lepiej i łatwiej, chociaż w obecności byłej żony czuł, że czasami przegrywa.

Nie potrafił patrzeć na nią zupełnie bez emocji, w końcu kiedyś stanowiła centrum jego wszechświata, urodziła mu syna, kochał ją jak wariat i nawet teraz, kiedy znalazł nową miłość, Weronika nie była mu obojętna i tak miało pozostać do kresu dni, ponieważ nie da się wyrugować z serca miłości, no, chyba że ta miłość została skasowana z pamięci.

Amputowana w całości, wraz ze wszystkim, całą historią czyjegoś życia.

– Zajebię cię, skurwysynie – powiedział, gdy zakończył połączenie. Nie chciał się uspokoić, nie potrzebował setki wódki, by zapanować nad sobą. Właśnie tak było dobrze – na pełnej piździe wjechać do Doneckiego, chwycić gnoja za fraki i wklepać mu po ryju,

żeby rodzona matka go nie poznała. – Ty chory pojebie, już nie żyjesz – wygłosił, wypadając z pokoju.

Czuł, że o tej porze zastanie Doneckiego z Weroniką i miał rację. Wszedł do ich apartamentu jak do siebie, nawet nie zapukał, bo też po co miał się bawić w uprzejmości. Spojrzał na gospodarza i warknął:

– Mamy pilnie do pogadania.

– Zostawię was. – Weronika nerwowo drgnęła w fotelu, lecz Rafał natychmiast dał jej znak ręką, że ma zostać.

– Jestem prawie pewny, że będziesz zainteresowana tą rozmową.

– Posłuchaj, brachu. – Nikita leniwie podniósł się z fotela. – Jesteś moim gościem, zaprosiłem cię, ale to nie upoważnia nikogo, również ciebie, by zachowywać się przy mojej kobiecie jak ostatni cham. – Zakończył, stając przed Snarskim. – Grzecznie przeprosisz moją kobietę i wyjdiesz, a pogadamy jutro.

– Nie. Pogadamy dzisiaj, ona też musi wysłuchać, co mam do powiedzenia.

– Nie nadużywaj mojej... – Nikita nie dokończył, bo masywna dłoń Snarskiego nie wiedzieć kiedy zwinęła się w pięść i wystrzeliła do przodu.

– Jezu! – krzyknęła Weronika. – Co ty robisz?! – wrzasnęła na swojego eksmęża, lecz ten nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

Wykorzystał moment zaskoczenia, to, że Donecki przyjął cios jak najgorszy mięczak, przeleciał ze trzy metry do tyłu i wyrznął na plecy tuż przed kamienną obudową kominka. Stał nad nim i wypalił:

– To ty, pierdolony ruski psie, uprowadziłeś Weronikę. To ty odpowiadasz za jej amnezję! Przyznaj się, gnoju! – ryknął, bynajmniej nie zasypiając gruszek w popiele. Zauważył, że Donecki próbuje wstać, ogarnąć się, mimo obfitego krwawienia z nosa i rozwalonej wargi, dlatego dopadł do mężczyzny, w ułamku sekundy chwycił go za rękę i założył dźwignię, jakby obaj znajdowali się właśnie na ringu. – To ten twój dług?! Myślisz, że to się da jakoś naprawić? Zapomnij! Zniszczyłeś jej życie! Zniszczyłeś wszystko: moje życie, życie naszego syna, Weroniki! Nie ma jej, rozumiesz?! Nie ma mojej żony!!! – Jego głos rozsadzał bębunki uszu Nikity. – Skasowałeś jej pamięć, a teraz ją uwiodłeś i zrobiłeś dzieciaka! Jak

można być takim śmieciem? – Nagle poczuł, że uszła z niego cała para.

To stało się momentalnie, gniew, który tak szybko się pojawił, jeszcze szybciej zniknął, a jego miejsce zajął niehumaniczny żal i ból, że gdyby nie Donecki, życie Weroniki wyglądałoby zupełnie inaczej. No właśnie, Weronika. Strwożony spojrzał na nią – stała, blada jak ściana, z oczami pełnymi zwierzęcego strachu i wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

– Jezu, Weruś, przepraszam... – jęknął, uświadomiwszy sobie, że erupcja wściekłości zamiast dotknąć Doneckiego, skupiła się głównie na Weronice.

Puścił rękę Nikity, podniósł się i podszedł do niej. Dygotała jak w febrze, chciał ją uspokoić, postąpić jak zawsze, mocno przytulić, pocałować w czoło i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale ona wyczuła ten zamiar. Dla niej był kimś obcym, człowiekiem, który wtargnął w domowe zacisze, rozwalil je, zniszczył bardzo kruchą równowagę, budowaną przez długie miesiące, a teraz zupełnie zdemolowaną.

– Nie dotykaj mnie – wykrztusiła, widząc, jaki ma zamiar.

Ominęła go, miała nogi jak z waty, ale na szczęście nie próbował jej zatrzymać, natomiast zrobił to Nikita.

– Weronika, poczekaj... – powiedział, kiedy prawie przestąpiła próg pokoju.

Zawahała się, bo ucieczka kusila. To było najłatwiejsze: wyjść, ukryć się gdzieś, znaleźć cichy kąt, a tam spróbować zapomnieć, odepchnąć złe myśli. Przecież nic takiego się nie stało. Rafał coś powiedział, coś nie do końca jasnego, ale nie zdradził żadnych szczegółów. Równie dobrze mógł to sobie wymyślić. Czemu Nikita miałby odpowiadać za jej amnezję? To w ogóle możliwe? Jak?

Odwróciła się i spojrzała na Nikitę. Już wstał. Jego biała koszula wyglądała strasznie – cała ochlapana krwią, ale Nikita nic sobie z tego nie robił, tak samo jak z obecności Rafała. Jakby Snarski dla niego nie istniał.

– Mały śpi? – zapytał, żeby się upewnić, lecz Weronika nie była w stanie odpowiedzieć. – Amelia z nim została? – przypomniał sobie Nikita. – Poczekaj. – Zbliżył się powoli.

Wyciągnął rękę, lecz ona nie podała swojej. Postąpiła krok do tyłu, potem drugi. Jej ukochany wyglądał inaczej niż zwykle i to wcale nie przez zakrwawioną twarz i koszulę. Jego oczy były inne. Czarne jak nigdy dotąd, pełne czegoś, czego nie mogła rozpoznać. Czy to była rozpacz czy zło – coś mrocznego, co czai się i czeka na okazję, by zaatakować?

– Boję się ciebie – wyszeptała.

– Zostaw ją – odezwał się Snarski zza pleców Doneckiego. – Daj jej spokój.

– Spierdalaj – warknął ten w odpowiedzi. – To nie twój biznes.

– Owszem, mój – zaoponował Rafał, lecz po krótkim namyśle uznał, że na dzisiaj już wystarczy.

Wyszedł bez słowa pożegnania. Teraz, kiedy mleko się wylało, żałował. Mógł to inaczej załatwić, sam rozmówić się z Doneckim i nie dzisiaj, tylko jutro, na spokojnie. Niestety, było już za późno, czasu nie da się cofnąć. Znowu Weronika miała ponieść konsekwencje, znowu czekało ją cierpienie, a to wszystko przez niego. Gdyby nie stanął na jej drodze, nie byłoby tego całego nieszczęścia.

Zatrzymał się i bezradnie uderzył pięścią w czoło.

– Idiota! Idiota! Idiota! – Raz po raz walił się po głowie.

Żałował, ale było już za późno...

Jak zawsze.

\* \* \*

Musiała zasłabnąć. Kiedy się ocknęła, leżała w sypialni. Otworzyła oczy, od razu rozpoznała bogato zdobione kasetony, którymi wyłożono sufit tego pomieszczenia. Nie podobał się jej wystrój prywatnych pokoi Nikity, ale nigdy mu o tym nie powiedziała. Zresztą jakie to miało znaczenie? Obróciła się na bok, plecami do niego. Nie musiała nic widzieć, żeby wyczuć obecność człowieka, którego pokochała całym swoim jestestwem.

Teraz już nie budził w niej lęku. To przeszło, tak samo jak słabość, która ją przedtem ogarnęła. Wprawdzie była zmęczona, chciało jej się spać, lecz równie dobrze mogła tu sobie leżeć i myśleć. Nic nie robić, tylko pozwolić myślom na spokojny przepływ.

- Powiedz coś – padło zza pleców.
- Ale co?
- Jak się czujesz?
- Dobrze.
- Mogę tu zostać? – spytał po dłuższej chwili Nikita.
- Rób co chcesz.

Minęły kolejne minuty i nic się nie zmieniło, prócz tego, że zrobiło jej się zimno. Ktoś uchylił okno, wiatr nadymał muślinową firanę jak żagiel, szarpał nią, nie dawał spokoju. Weronika skuliła się w kłębek, Nikita musiał zauważyć, że ma gęsią skórę na ramionach i ostrożnie otulił ją miękką narzutą.

- Teraz dobrze? – spytał.
  - Tak.
  - Chcesz spać? Mam wyjść? Możesz zasnąć, zajmę się małym.
- Nie odpowiedziała.

- Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć.

„Nic nie mów, po co w ogóle coś mówić?” – pomyślała, czując lekkie pieczenie pod powiekami. Pierwsze łzy wydostały się spod nich i zaczęły leniwie kapać, spływały po twarzy, pokonując skroń, wtuloną w poduszkę, wsiąkały w satynową poszewkę i znikwały na dobre.

– To nie tak – podjął rozmowę. – Nie porwałem cię, nie uprowadziłem. To nie ja. Nie chciałem tego. – Zamilkł. – Ojciec... Ojciec mi kazał. – Nagle z jego gardła wydobyło się coś na kształt szczeknięcia.

Czy to był stłumiony szloch, czy śmiech? Nie potrafiła powiedzieć.

– Przepraszam. Jestem żałosny, ale ja... ja nie chciałem cię skrzywdzić. Obiecałem ci wtedy, że nic się nie stanie. Ani tobie, ani...

„Dokończ. No dokończ!!!” – krzyknęła bezgłośnie, ale Nikita milczał. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Ojciec postanowił zwerbować twojego męża. Pojechałem do Polski, ja i kilku naszych ludzi. Plan był prosty: najpierw Irmina cię zgarnia, przyjeżdżacie we trójkę: Irma, ty i twój syn na umówione miejsce, tylko ty zostajesz z nami, a Irmina zabiera chłopca, jadą gdzieś, gdzie mogą się ukryć, Irma czeka tam na mój sygnał. Potem dzwonisz po męża, Snarski przyjeżdża, gadamy, robimy *deal*,



dzwonię do Irminy, wracacie w trójkę do domu, ty, twój mąż i dzieciak.

„Dzieciak – powtórzyła. Nagle coś boleśnie zakłuło ją w sercu. – O naszym dziecku też tak mówi? Dzieciak? Mikołaj jest tylko dzieciakiem?”. Kolejna porcja łez sprawiła, że wszystko wokół zasnuła mleczna mgła, zupełnie jakby welon muślinowej firanki opadł na sypialnię, na wielkie małżeńskie łóżko, na ich dwoje.

– Czujesz się winny? – Nie wiedzieć dlaczego, zadała właśnie takie pytanie.

– Nie – zaprzeczył od razu.

Myślała, że uzasadni, powie coś, wytłumaczy, dlaczego nie widzi w tym swojej winy, lecz on nagle zmienił zdanie:

– Tak. To moja wina. Moja pieprzona wina! – podniósł głos, lecz musiał spostrzec, że to ją przestraszyło, bo od razu złagodził ton. – To moja wina, tylko moja. Nigdy sobie nie wybaczę. Ani tego, że pojechałem wtedy do Polski, że zgodziłem się na tę akcję, a potem... – załamał mu się głos. – Potem zapomniałem. Przestałem myśleć.

– O czym? – zapytała, bo znów zapadło milczenie.

– O tobie, o was, o tym, co zrobiłem. Obiecałem, że nic się nie stanie. Że... że twój dzieciak, wasz dzieciak...

– Przestań. – Nie pozwoliła mu skończyć. Gdyby teraz mogła go zobaczyć, zauważyłaby drgający mięsień na policzku, przekrwione oczy, pełne bezradności i pobielające pięści. – Nie mów tak. To nie był dzieciak, to był mój syn. Mój mały synek. Miał trzy lata, na imię miał Kacper. Nic o nim nie wiem. – Jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Ja... nigdy sobie tego nie wybaczę. Mogłem się sprzeciwić. Nie wziąć udziału w akcji.

Mimo płaczu, który wstrząsał jej ciałem, łez odbierających oddech, guli dławiącej w gardle, spostrzegła, że Nikita jest teraz przed nią. Musiał obejść łóżko i usiąść po drugiej stronie. Od razu zamknęła oczy, skuliła się jeszcze mocniej, ale nadal się go nie bała, tak samo jak nie czuła gniewu czy nienawiści. Był jej obojętny. Teraz nie chodziło o Nikitę, nawet nie o Rafała czy Kacpra, ale o nią.

– Co stało się później?

– Twój samochód eksplodował. Maniks to zaplanował, myślałem, że wiesz. Chciał skłonić twojego męża do powrotu. Sądził, że Snarski po stracie rodziny, ciebie i dziecka, wróci szybko do firmy, będzie

zrozpaczony, wściekły, żądny krwi. Nie mówił ci, że Maniks go szantażował? Ty też miałaś zginąć w tej eksplozji, ale zamiast ciebie zginęła Irma.

– Ja to widziałam? – spytała cicho, prawie szeptem.

– Nie bezpośrednio. Irma zdążyła odjechać twoim wozem. Nie odjechała daleko, kilkaset metrów. Eksplozja była gwałtowna i głośna, od razu zrozumiałem, że Irma i dzieciak nie mieli szans.

– Nie pojechałeś tam, żeby sprawdzić? – Przełknęła ślinę.

Nikita nie miał pojęcia, że od tej odpowiedzi zależy wszystko. Cała jego wspólna przyszłość z Weroniką. „Jeśli powie, że nie, jeśli nie sprawdził wtedy, czy Kacper żyje, nie upewnił się, że nie można mu pomóc, ani mojemu synkowi, ani tej Irminie, nie odezwę się do niego ani słowem. Już nigdy. Przenigdy mu nie wybaczę” – pomyślała, zanim zadała pytanie.

– Pojechałem – odparł bez wahania. – Od razu tam pojechaliśmy, ja i jeden z moich ludzi.

– Co zastaliście? – wychrypiała.

– Oboje już nie żyli, zginęli od razu.

– Widziałeś mojego syna?

– Tak. Kacper nie żył. Sprawdziłem to, ale nie proś o szczegóły.

– A ja? Co działo się wtedy ze mną?

– Straciłaś przytomność, ale potem się ocknęłaś.

– Przez ciebie straciłam pamięć. – Zabrzmiało jak pytanie, lecz także stwierdzenie. – Jak? Dlaczego?

– Dałem ci jakieś świństwo. To miało... to miało cię uspokoić. Wracaliśmy do wynajętej willi. Zasnęłaś, spałaś całą noc. To wyglądało, jakbyś znów zemdląła, a potem, gdy się obudziłaś...

– Już wtedy nic nie pamiętałam?

– Nie wiem. – Spuścił głowę. – Nie rozmawiałem z tobą. Ojciec zadzwonił, powiedział, co mam zrobić. Na jego polecenie zawieźliśmy cię do ośrodka, do tego gościa, który pomagał staremu.

– Tomasz. Doktor Tomasz.

– Możliwe.

– I to już koniec?

– Tak. To już koniec.

## Rozdział 14

Od początku ludzie Grizzly'ego próbowali się z nim skontaktować. Zadzwonili nazajutrz po ich wyjeździe z Polski. Potem ciągle a to dzwonili, to wysyłali wiadomości – Bruno wszystkie ignorował, a połączeń nie odbierał. Najpierw grzecznie spytali, co się dzieje, potem prosili, żeby się opamiętał, później przyszedł czas na ostrzeżenia od samego bossa, na koniec zostały im groźby. Wiedział, że już po nim. Nie można wodzić za nos Michaiła Sorokina, nie tak długo. Mimo to Bruno wcale nie żałował, że zabrał Wierkę i wyjechał z Polski. Przeciwnie. Gdyby nawet mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo. Zamierzał żyć. Tak po prostu. Jak normalny człowiek, wolny i niczym nieskrępowany. Niechby nawet przez dwa tygodnie. Może dłużej. Liczyła się tylko obecna chwila, nie przeszła, nie przyszła. Tylko to, co właśnie trwało.

Ale mimo starań coraz mocniej odczuwał, że pętla się zaciesnia, kwestią czasu było, kiedy ich dopadną, kiedy JEGO dopadną, lecz ciągle się łudził, że jeszcze mają szansę. Od kilku dni ludzie Sorokina i on sam milczeli, dali mu spokój. Nikt nie dzwonił, nie próbował nawiązać kontaktu. Było dobrze, ale Bruno wiedział, że to już ostatnie chwile.

Jak nagle i niespodziewana poprawa stanu zdrowia na trzy dni przed śmiercią.

Bruno zaplanował wyjazd do Enisali, chciał pokazać Wierce twierdzę, chciał wziąć ją za rękę, wyprowadzić za mury ruin zamku, położyć się na zboczu góry i patrzeć razem z nią na przepływające leniwie obłoki. To wystarczyło, by poczuć szczęście – kilka ostatnich chwil spędzonych razem, w ciszy.

Minęli tablicę z napisem Istria, kiedy zadzwonił telefon. Bruno poczuł jego wibrowanie, ale jeszcze go nie wyjął. Czekał, aż przestanie. Docisnął nieznacznie gaz i spojrzał na Wierę. Musiała usłyszeć wibracje, patrzyła na niego, oczami pełnymi niepokoju, a on? On nic nie mógł. Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

Telefon ucichł, lecz Bruno doskonale wiedział, że za chwilę ponownie się odezwie.

– Kto dzwoni? – spytała Wiera.

Spojrzał na ekranik smartfona. Czuł, jak jego serce ściska paraliżujący strach, ale kiedyś musiał stawić czoła rzeczywistości. Czemu nie teraz?

– Zostań, nie wysiadaj – polecił, odpinając pas.

Wolał porozmawiać na zewnątrz, nie przy Wierce, ale ku jego zdziwieniu, to z nią chciał pogadać Wiktor Smółow, którego głos rozpoznał od razu.

– Daj młodą do aparatu.

– Nie ma jej tutaj – odparł Bruno, nie spuszczać oka z Wiery. Siedziała i niespokojnie patrzyła na niego przez szybę bocznych drzwi. – Coś przekazać?

– Posłuchaj. To już koniec. Koniec waszej zabawy. Nie uciekniecie, wszystko obstawione, granice też. Nie przejedziecie przez Bułgarię, Ukraina tym bardziej odpada. Nie wiem, jakie są twoje plany, mogą tylko przypuszczać. Gruzja, co? – zaśmiał się Smółow. – To już koniec, chłopcze. Nie ma cię, ale ona... – Odchrząknął. – Szkoda jej, co?

– Szkoda – wychrypiał.

– No właśnie. Musisz ją ukryć.

– Ukryć? – spytał, zszokowany. – Dobrze usłyszałem?

– Tak.

– Co później?

– Młody Donecki jest w Rumunii. Znajdzie ją. To bystra dziewczyna, na pewno wymyśli sposób, żeby mu to ułatwić.

– Ile mam czasu? – wychrypiał Bruno.

– Niewiele. Kilka godzin, trzy, może cztery i nasi cię dorwą.

– Albo ja dorwę ich – chciał podkreślić, że nie podda się bez walki.

– Masz poczucie humoru. – Wiktor parsknął, nie kryjąc rozbawienia.

– Zaskoczyłeś mnie. Czemu mi pomagasz?

– Aleś ty durny. Nie tobie pomagam, Wierkę trzeba zabezpieczyć.

„Jesteś w błędzie, Smółow. Właśnie mnie pomagasz. Pomagasz mi ją ocalić, a ona jest dla mnie wszystkim, całym nowym sensem. Jedyнным sensem”.

- Mogę ci zaufać?
- Nie masz innego wyjścia.
- Aż chciałoby się spytać, czy to przez sentyment. Twój sentyment do niej. – Bruno przełknął ślinę, bo świadomość, że kiedyś Wiera i ten człowiek byli ze sobą, że coś ich łączyło, zdawała się nieznośna.
- Nie twój interes, nawet jeśli ty też ją posuwasz.
- „Zamilcz!” – ryknął Bruno w duszy, ale z jego ust nie wydostało się nawet jedno ciche westchnienie czy jęk skargi.
- Ukryję ją. Dzięki.
- Nie było tej rozmowy – ostrzegł Smółow.
- Masz moje słowo.

W tym momencie Bruno nienawidził Smółowa z całego serca. Za wszystko, za to, że Wiktor Smółow kiedyś był z Wierą i za to, że zadzwonił i uprzedził o planach swojego bossa i kumpli. Zdradził Grizzly’ego, żeby pomóc Wierce. Ryzykował życie. Gdyby Grizzly się o tym dowiedział, urządziłby Wiktorowi piekło za życia. Oczywiście finalnie by go zabił, ale najpierw Smółow musiałby znieść nieludzkie tortury, przewidziane dla zdrajców w kodeksie worów. Aż nim wzdrygnęło, ponieważ jego szansa, by na własnej skórze poznać metody karania zdrajców: zabawy wiertarką, miażdżenie palców i innych części ciała czy inne finezyjne sposoby na zadawanie bólu, znacząco wzrosła, lecz Bruno zniósłby każdą torturę i udrękę, byleby mieć pewność, że Wiera jest bezpieczna.

– Muszę pogadać z Doneckim – wychrypiał. – Powiem mu, gdzie ją ukryłem.

– Nie – warknął Smółow. – Nie kontaktuj się z Doneckim. Nie radzę. Pamiętaj, w Polsce została twoja matka – ostrzegł. – Liczę na twój spryt, a teraz się pożegnaj.

Kliknęło w słuchawce. Bruno dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Wiera nie posłuchała: wysiadła z samochodu i stała na poboczu, wpatrując się w niego. Podszedł do niej, gorączkowo myśląc, czy powinien posłuchać Smółowa i nie próbować kontaktu z Doneckim. Miał jego numer, Wiera podała mu go kilka dni temu.

- Kto dzwonił? – Jej zęby zadzwoniły o siebie.
- Nikt, chodź. – Chwycił ją za ramię i prawie siłą wepchnął do samochodu.

Zawrócił samochodem, gorączkowo myśląc, gdzie mógłby ją ukryć. Żałował, że nie wypytał Smołowa o więcej szczegółów. Z ukosa zerknął na Wierę. Była blada jak trup, obie dłonie zacisnęła kurczowo na pasie bezpieczeństwa, a jej kolana drżały niepowstrzymanie.

– Nie bój się. Wszystko...

– Nieprawda – przerwała mu. – Nic nie będzie dobrze. Nic się nie ułoży.

Miała rację, dlatego nie oponował. Jechał przed siebie i gorączkowo analizował, co musi zrobić, co powinien zrobić, żeby uchronić Wierę przed ludźmi Sorokina. Był pewien, że Donecki zjawi się tutaj na miejscu, nie zostawi siostry, będzie jej szukał tak długo, aż znajdzie.

– Dokąd jedziemy? – odezwała się w końcu.

To było jak znak z niebios, właśnie mijali zjazd prowadzący do wioski Vadu – Bruno gwałtownie skręcił kierownicą, aż zakurzyło się spod kół. Już znał odpowiedź – stara opuszczona fabryka idealnie nadawała się na kryjówkę.

Kryjówkę dla „Dziewiątego Kamienia”, jak czasami o niej myślał.

– Wybacz, ale zmieniłem plan naszej wycieczki – mruknął.

– Zauważyłam. Nic mi nie powiesz? – Głos Wiery już nie drżał.

Nawet jej opanowanie wzruszało go w tym momencie. Znowu poczuł ukłucie w sercu. Myśl, że to już koniec, odbierała mu dech w piersiach.

– Ktoś chce mnie odwiedzić – bąknął w końcu.

– Ciebie? Chyba nas. I kto? Ludzie Grizzly’ego czy on sam?

– Pewnie wysła kilku swoich przydupasów. Nie sądzę, by Sorokin się tutaj fatygował. – Specjalnie zbagatelizował zagrożenie, żeby dodać Wierce otuchy. – W schowku jest twój portfel z dokumentami i telefon. Wyjmij te rzeczy.

– Co teraz? – spytała, ale najpierw sprawdziła zawartość portfela. Już dawno trafiły tam dokumenty Wiery, jej paszport i prawo jazdy. Bruno zadbał również o kasę, do kieszonki włożył sto euro. – Mam go włączyć? – Patrzyła na nowiutkiego iPhone. Jeszcze miał folię ochronną z przodu.

– W kontaktach masz wpisany mój numer. Wi-fi nie działa, ale nie będzie potrzebne. Włóż wszystko do torebki i zapnij suwak.

– Już.

– Z tego telefonu możesz zadzwonić do kogo chcesz – powiedział z rozmysłem. Wprawdzie nie zamierzał przeciwstawić się Wiktorowi, i sam próbować dzwonić do Doneckiego, ale Wierzy nie dotyczył ten zakaz. – Telefon jest bezpieczny. Nikt cię nie namierzy i nie podsłucha.

Czuł, że pęknie mu serce, kiedy będzie musiał się z nią rozstać. Był pewien, że Wiera liczy na zupełnie inny rozwój wypadków, że sprawi jej ból, kiedy pozna jego plan. Oczekiwała czegoś innego, że będą razem do końca – jak Thelma i Louise, jak Leon i Matylda z filmu Luca Bessona, jak Bonnie i Clyde. „Nasza historia ma inny scenariusz, Wiero” – pomyślał, zaciskając mocno zęby, żeby nie zacząć krzyczeć, że to wszystko jest cholernie niesprawiedliwe. On nigdy nie miał prawa do szczęścia, ale ona? „Zrobię wszystko, żebyś go kiedyś zaznała” – przysiągł w duchu.

– Czy to jest... – zaczęła, bo wjechali na szutrową drogę, prowadzącą na plażę Vadu i musiała poznać okolicę, ale wtedy on skręcił w lewo.

Jak wichur gнали przez główną ulicę, która prowadziła między zrujnowanymi zabudowaniami. Bruno był tu kiedyś, pamiętał, jakie wrażenie zrobiło na nim to miejsce, było jak żywcem wyrwane z jakiegoś postapokaliptycznego horroru, idealnie nadawało się na kryjówkę. Zahamował z piskiem opon przed niewielkim budynkiem i spojrzał krytycznie. „Nie, tu nie jest bezpiecznie” – szybko ocenił betonową ruinę. Przejechał powoli kilkanaście metrów i zawrócił.

– Czego szukasz? – spytała Wiera, kiedy dotarli blisko wyjazdu z fabryki.

– Już niczego – odparł.

Właśnie znalazł odpowiednie miejsce.

\* \* \*

Wiera rozejrzała się wokół. Widok nie napawał optymizmem, a budynek stróżówki sprawiał koszmarnie wrażenie: zamiast okna w ścianie ziała wielka pustka, również drzwi komuś się przydały, ale futryna ocalała. Cała podłoga usłana była gruzem, śmieciami,

plastikowymi butelkami, trafiło się nawet coś, co zapewne zostawił jakiś pies, który wpadł tutaj za potrzebą.

– Co za pieprzony chlew... – jęknęła Wiera, i znowu spróbowała szarpnąć ręką, niestety, jeśli liczyła, że pręt zbrojeniowy, który wystawał ze ściany, podda się wątlej sile kobiecej ręki, była w błędzie. – Zabiję cię, zobaczysz. Zabiję!!! – ryknęła bezsilnie.

Postanowiła zmienić położenie ciała, a nuż zauważy jakąś drogę ratunku? Obróciła się na drugą stronę i rozejrzała wokół, w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej posłużyć za narzędzie. Przydałaby się solidna metalowa brecha, wówczas wsadziłaby jej koniec pomiędzy ogniwo kajdanek, nacisnęła na drugi i już – droga wolna, a że zostałaby w bransoletce? Kto by się jej przyglądał? Zawsze mogła owinąć nadgarstek chustką, miała jedną w torbie.

– Niech cię trafi szlag, Bruno. Ty pieprzony tchórzliwy gnojku, no... – jej głos zabrzmiał żałośnie, ale czuła się totalnie bezradna. Nie miała innego wyjścia, jak cierpliwie poczekać na niego, ale wtedy... Zacisnęła zęby, aż zazgrzytały. – Zobaczysz, zajebię cię! – Udało jej się wstać, wychyliła się, by obejrzeć teren przed wjazdem do starej fabryki.

W zasadzie była to przetwórnia metali rzadkich, oczywiście dawno temu, jeszcze za czasów reżimu. Potem przetwórnia upadła, jej losy się zmieniały, przez pewien czas funkcjonowała tutaj wytwórnia artykułów budowlanych, lecz teraz znowu jedyne, co nawiedzało ruiny, to silny wiatr od morza.

– Jak tu przyjdą bezpańskie psy i mnie zagryzą, będziesz miał wyrzuty sumienia do końca życia, zobaczysz! – warknęła. – Będziesz płakał, ale wtedy już za późno na żal. Draniu ty jeden! Halo!!! – wrzasnęła z całych sił, usłyszawszy dobiegający z oddali odgłos przejeżdżającego samochodu.

Słusznie przypuszczała, że czasami jeżdżą tędy samochody, głównie prowadzone przez urlopowiczów zmierzających na dziką plażę. Niestety, wąska droga, pełna dziur i wykrotów, przebiegała prawie sto metrów od budyneczku, w którym Wiera została uwięziona, dlatego żaden kierowca nie miał szans usłyszeć krzyku. Gdyby ktoś jechał na rowerze lub szedł pieszo, wówczas tak – istniała niewielka szansa, że nawoływania o pomoc zostałyby usłyszane, lecz o tej porze roku, przed wakacyjnym sezonem i w



dobie pandemii, spotkanie rowerzystów wymagało sporej dozy szczęścia.

– Jesteś świnią, Bruno. Świnią, kłamcą i padalcem, nienawidzę cię!  
– Wiera właśnie zauważyła pajaka i aż ją zmroziło z trwogi. Fortunnie pajęczak okazał się martwy, pewnie leżał tutaj od dłuższego czasu i nie stanowił zagrożenia, ale kto wie, czy wokół nie czaiły się inne pajaki? Żywe? – Jesteś trupem, Bruno. Już nie żyjesz... – wymamrotała, siadając z powrotem pod ścianą. – Poczekam, żebyś wiedział, że poczekam tutaj, a potem cię zabiję. – Wyjęła telefon z kieszeni spodni i znowu wybrała numer Brunona. Oczywiście nie odebrał, ale miał włączony aparat, chociaż tyle.

– Napiszę mu SMS-a. – Wiera podrapała się po głowie. Odkąd zauważyła martwego pajaka, wszystko ją swędziało. Inna rzecz, że wokół panował okropny brud i bałagan, wszystko pokrywała wieloletnia warstwa kurzu, a ten, jak wiadomo, mógł wywołać alergię. – Widzisz?! Już mnie dusi! – krzyknęła, najpierw solidnie kichnąwszy. – Zabijesz mnie!

Zaczęło ją gryźć w gardle, prawdopodobnie nie przez kurz, raczej przez nieustanne pokrzykiwania, dlatego upiła resztkę wody z butelki i rzuciła nią w kąt stróżówki. Wstukała ostatnie zdanie wiadomości i ją wysłała, bynajmniej nie licząc na odpowiedź. Ku jej zdumieniu ta przyszła prawie natychmiast: „Nie mogę teraz gadać, prowadzę”.

– No masz! Patrzcie, jaki zajęty! Mogłeś mnie zabrać ze sobą, dupku! Pomogłabym ci! Nie jestem jakąś pieprzoną debilką, umiem gadać ze swoimi! Od dziecka mam takich wokół! Ech!

Ogarnęła ją taka złość, że niewiele myśląc, posłała aparat telefoniczny dokładnie w to samo miejsce, w które trafiła pusta butelka po wodzie. Wiera zdała sobie sprawę, że popełniła straszne głupstwo prawie od razu, niestety czasu nie da się cofnąć, spontanicznego odruchu również. „Wiesz, że jesteś debilką?” – głęboko westchnęła nad własną głupotą. Tyle dobrze, że akurat w tym kącie stróżówki wiatr nawiał zeschnięte liście i prawdopodobnie aparat nie ucierpiał – tak zakładała.

Była pewna, że zaraz temu zaradzi, przyciągnie telefon choćby patykiem, który znalazła w zagłębieniu między ścianą a posadzką, niestety nie sięgnął tak daleko. Postanowiła skutecznie

gimnastykę: niewiele brakowało, a wyrwałyby sobie dłoń, tak ją naciągnęła – tę spiętą kajdankami, podczas gdy drugą, uzbrojoną w zeschnięty bąbel, wysunęła jak najdalej – znowu porażka! Zrobiła nawet coś na kształt szpagatu na leżąc, niestety, telefon leżał prawie trzy metry od niej, a to było zdecydowanie za daleko.

– Ja pierdolę... – pociągnęła nosem, zdając sobie sprawę, że sama pozbawiła się ostatniej deski ratunku. Teraz nie mogła nawet wezwać pomocy, zadzwonić pod sto dwanaście ani wysłać SMS-a do Brunona. – Jestem głupia! Głupia! Głupia!!!

Opadła bez sił, zwinęła się w kłębek, o ile można zwinąć się w kłębek, kiedy jedna ręka wisi nad głową, przypięta kajdankami do uzbrojenia budynku. Już zupełnie jej nie czuła. „Pewnie dostanę gangreny i utną mi dłoń albo umrę tutaj. Ludzie umierają przez amputację, dostają wstrząsu i umierają” – dumiała nad swoją przyszłością, malującą się w czarnych barwach. „Zanim Bruno wróci, zdechnę tu z pragnienia jak ten pająk, a potem przyjdą psy i zjedzą moje truchło” – pomyślała, zamykając oczy.

\* \* \*

Już przyjechali na miejsce.

Bruno schylony podbiegł jeszcze kilka metrów i zatrzymał się, by ocenić sytuację. Ludzie Sorokina dotarli tu jednym wozem, zakładał, że może ich być co najwyżej pięciu, więcej nie zmieściłoby się w starym nissanie patrolu. Pięciu na jednego, to nie brzmiało dobrze. Mieli znaczącą przewagę, ale on nie był całkiem bezbronny. Uparcie trzymał się myśli, że Grizzly nie odkrył jego tajemnicy, dlatego musiał wykorzystać przewagę, jedyną, jaką miał – element zaskoczenia. No, chyba że o jego fałszywym inwalidztwie też już wiedzieli.

Zakładał, że zdążyli przeszukać budynek. Dom był mały, łatwy do przeszukania, bez piwnicy, z pustym strychem. Mało miejsca, by się ukryć. W zasadzie to było nierealne. Zapewne stwierdzili, że nikogo nie ma, a teraz albo przeszukiwali dom, albo przyczajeni czekali na niego. Zapobiegawczo nie pozwolił Wierce na rozpakowanie walizek, większość ich rzeczy została w samochodzie. Bruno i Wiera zabierali z bagażnika tylko to, co było im potrzebne w danej chwili: głównie

czyste ciuchy. Resztę wozili ze sobą. To sporo ułatwiało, w razie potrzeby mogli błyskawicznie się spakować i zniknąć.

Zauważył pierwszego.

Adrenalina natychmiast wypełniła krwioobieg Brunona. Czuł się odcenił przeciwnika: mężczyzna stał przy samochodzie, palił papierosa i gadał z kimś przez telefon. Był niski, krępy jak tur i łysawy na środku głowy. Z ramienia zwisał pistolet maszynowy, Bruno od razu rozpoznał czeskiego skorpiona. Sprzyjało mu szczęście, bo facet przeszedł za samochód, wsparł stopę na tylnym zderzaku i głośno rechotał, zagłuszając kroki. Bruno podkradł się bliżej – rzucił okiem na budynek, oszacował ich odległości od zabudowań i w myślach wybrał rodzaj broni. Postawił na nóż, ponieważ strzał z pistoletu, nawet z tłumikiem, mógłby go zdradzić. Facet, roboczo ochrzczony mianem Pierwszego, znowu zarżał, puścił w eter jakieś przekleństwo – ostatnie słowa, które wypowiedział za życia – i się rozłączył.

Bruno dopadł do niego, chwycił za głowę lewą ręką, a prawą dłonią, uzbrojoną w bojowy nóż z czarnej matowej stali, przeciągnął po gardle Ruskiego. Ten zacharczał, zwiotczał, zaczął osuwać się na ziemię, ale Bruno nie puszczał chwytu. Zatkał mu usta. Wiedział, że niektóre ofiary z poderżniętym gardłem chwilę przed śmiercią potrafiły solidnie hałasować, dlatego nie zabrał ręki dopóty, dopóki Rosjanin nie oddał ducha. Na wszelki wypadek Bruno sprawdził tętno – koleś nie żył. Szybko go rozbroił, wrzucił jego broń pod samochód i wyjrzał zza niego, żeby skontrolować, jak wygląda sytuacja.

Na razie nikt nie wyszedł z domu, czyli reszta żołnierzy Grizzly'ego musiała być tam – założył, chociaż nie miał stuprocentowej pewności, że tak jest. Równie dobrze któryś z nich mógł kręcić się na tyłach posesji lub sprawdzać pozostałe zabudowania: szopę, blaszany garaż i ziemiankę. Bruno był ciekaw, czy odkryli zapasy benzyny. Na stacji tuż za Bukaresztem zapobiegliwie kupił za gotówkę kilka kanistrów paliwa. Schował zbiorniki w szopie i zakrył je starymi derkami. Czuł, że dzisiaj mogą się przydać do zatarcia śladów.

Miał bardzo mało czasu, istniało poważne ryzyko, że towarzysze jego pierwszej ofiary sprawdzą, co u kumpla. Skokami pokonał

dystans, jaki dzielił go od budynku. Skrył się pod schodami, żeby wyrównać oddech i uspokoić tętno. Nasłuchiwał. Ruscy jak to Ruscy – zero dyskrecji i kultury. Dobiegały do niego liczne dźwięki i odgłosy demolki, musieli ostro sobie poczynić, stwierdziwszy, że zastali pusty dom. Możliwe, że już kończyli zabawę, to uzasadniałoby znudzenie koleś, który stał na czatach przy nissanie.

„Wasz boss nie byłby zadowolony” – pomyślał, słysząc głośny brzęk butelek, które odkryli w małej spiżarni w korytarzu. Usiłował zorientować się, ilu ich jest i uznał, że co najmniej dwóch, bez ustanku rozmawiali ze sobą, rozróżniał wyłącznie dwa głosy, ale to nadal stanowiło przewagę, chociaż mniejszą, niż zakładał na początku. Cekał, aż się rozdziela. Wyjął zza pazuchy pistolet i przyczajony pod schodami, patrzył przez wąskie szczeliny w podeście. W końcu się doczekał. Koleś wyszedł, stanął prawie nad jego głową i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Bruno miał zamiar pozwolić mu zapalić, ale wtedy przyszło mu na myśl, że przy zapalaniu papierosa napastnik pochyli głowę, spojrzy w dół i może go wypatrzeć. Wycelował w krocze, zrobił to instynktownie.

Drugi, jak go nazwał roboczo, stał jeszcze przez chwilę, zdumiony tym, co się stało, lecz Bruno już zdążył wysunąć się spod podestu i strzelić ponownie, tym razem celując w szyję mężczyzny. Krew rozbryznięta się na boki, jej krople doleciały do niego, odruchowo przymknął oczy, a kiedy je otworzył, ujrzał swój trzeci cel. Znowu huknęły strzały, trafił w głowę ostatniego gościa.

Bruno czuł, że w jego żyłach płynie czysta adrenalina, już kiedyś to przeżył, gdy polował na Romana Drona, ale nigdy wcześniej nie ubił aż tyle zwierzyny za jednym razem. Cuchnęło krwią i śmiercią, drażniło jego wyostrzone zmysły, miał wrażenie, że jest w jakimś transie, kiedy szybko pozbawił broni obu Ruskich i ukrył tymczasowo tuż za drzwiami wiodącymi do budynku. „Co teraz?” – bynajmniej nie stracił czujności, utrzymywał stan najwyższej gotowości, wiedząc, że to gwarantuje sukces misji. „A jeśli się uda?” – jeszcze nie pozwolił sobie na tryumf, ale w jego głowie zaświtała nadzieja, że karty się odwróciły. Teraz do niego należał ruch.

Postanowił sprawdzić cały dom, musiał ocenić sytuację. Wszedł do korytarza, buty zachręściły głośno, gdy nadepnął na szklane

okruchy z rozbitych butelek ze starym winem. Wszedł do głównego pomieszczenia – wszędzie panował totalny bajzel: rozwalone meble, wybebeszone półki, szafa bezpowrotnie straciła drzwi i zawiasy, a telewizor zwisał ze ściany na kablu od anteny. „Co za bydlę” – pokręcił głową. Nie żeby mu było jakoś szczególnie żal tego domu, był tu wcześniej zaledwie trzy razy, ale mimo to czuł gniew, widząc jakich spustoszeń dokonali ludzie Sorokina.

Pewnie szukali czegoś cennego, możliwe, że laptopa czy innych przedmiotów, które mogły się przydać w wytropieniu zbiegów, ale laptop tkwił bezpiecznie ukryty w piecu chlebowym. Bruno poszedł tam, żeby go wyjąć. Napastnikom nie przyszło do głowy tam zaglądać, a nawet jeśli zajrzeliby do czarnego wnętrza pieca, nie byli w stanie zauważyć ciasnej wnęki po lewej stronie głównej komory. Miał go wyjąć, ale najpierw porządki: musiał przetransportować zwłoki Ruskich do budynku. Im później służby ich zidentyfikują, o ile w ogóle da się to zrobić, tym lepiej. Co do broni, ją postanowił zabrać ze sobą, a potem ukryć gdzieś po drodze, chociażby wrzucić do rzeki.

Podniósł z podłogi duży kawałek lustra – ono też padło ofiarą bandytów Grizzly’ego – i spojrzał na siebie krytycznie. Wprawdzie włożył czarne ciuchy, ale nawet na nich znać było krew. Musiał się przebrać, a na pewno umyć twarz pokrytą brązowiejącymi kropkami. W łazience przemył twarz, koszulkę chciał zmienić potem, po przetransportowaniu zwłok Ruskich. Z dwójką, która leżała na podeście przy wejściu, poszło mu całkiem sprawnie. Przewłókł ich ciała, ciągnąc za nogi, najpierw jednego, potem drugiego. Ułożył zwłoki obok siebie i mruknął do trupów:

– Miłego wypoczynku, chłopaki. Witamy w Dobrudży.

Z trzecim nieboszczykiem poszło mu nieco trudniej, koleś ważył tonę, był ciężki jak diabli i oporny. Zupełnie jakby miał focha na kolegów i nie chciał wraz z nimi zalegnąć w korytarzu. Ale musiał go tam zaciągnąć, nawet jeśli to zabrało Brunonowi kilka kolejnych cennych minut. W końcu się udało. Teraz mógł zmienić koszulkę, tę zakrwawioną rzucił na podłogę w łazience, a broń spakował do torby. Laptop, owinięty w dwie warstwy foliowych siatek, opuścił skrytkę w chlebowym piecu i też do niej trafił. Bruno wyszedł z budynku,

postanowił najpierw zanieść torbę do samochodu, ale zmienił zdanie. Położył ją na podeście i zbiegł po schodach.

Właśnie wtedy go trafił...

## Rozdział 15

W pierwszej chwili pomyślał, że mu się zdawało, że świst pocisków był nieprawdziwy, bo skąd? Jak? Że to jakaś przedziwna projekcja, przeniesienie w czasie.

Że nie dostał.

Upadł, ale jego ręka i reszta ciała, zadziałały automatycznie. Przeturlał się za podest, zdołał sięgnąć po torbę, ściągnął ją i wyszarpał z jej wnętrza pistolet maszynowy. Odbezpieczył i wychylił się, żeby dojrzeć ostatniego napastnika. Facet skrył się za samochodem, Bruno wyczuwał jego strach, rejestrował wibracje panicznego zwierzęcego przerażenia. Mógł tu poczekać, aż ten drugi też się wychyli, ale to rozwiązanie nie wchodziło w grę, nie miał czasu. Zwłoka mogła go kosztować życie.

Przeciął serią po samochodzie. Odczekał, aż zapadnie cisza, aż ptaki spłoszone odgłosem strzałów odlecą daleko albo zastygną, ukryte w gęstwinie koron drzew. Wycelowwał w miejsce, gdzie pod blachą krył się bak z paliwem. Walnął. Odczekał chwilę i znów. Nie łudził się, że koleś oberwał rykoszetem. Nie ten kierunek. Poprawił się, przystawił oko do celownika, żeby trafić dokładnie w korek wlewu paliwa. Strzelił i od razu przeniósł cel o metr w lewo, był pewien, że właśnie tam pojawi się człowiek Sorokina.

Intuicja go nie zmyliła. Chłopak – musiał być bardzo młody, jeszcze nie nabrał masy ciała dojrzałego mężczyzny – wystrzelił pędem zza samochodu. Bruno ściął go jednym strzałem. Nie musiał sprawdzać, czy był skuteczny. Odrzucił pistolet i opadł na ziemię. Chciwie łapał powietrze, czemu był taki wyczerpany? Jego serce dudniło w piersi, zdawało mu się, że właśnie przestało tłoczyć krew. W uszach narastał nieznośny pisk. Zebrał się w sobie i jakimś nadludzkim wysiłkiem usiadł. Spojrzał na lewe udo. Tkanina spodni lśniła w słońcu lepkiem połyskiem świeżej krwi.

„Zatamuj krwawienie – wydał sobie dyspozycję. To on musiał zatamować krwotok, nie mógł liczyć na pomoc. „Mam zdrętwiałe

palce” – zauważył, z trudem rozpinając klamrę paska do spodni. Wiedział, że teraz liczą się nie minuty, a sekundy. Był zdany wyłącznie na siebie. Wywłókł pasek ze szlufek, jakimś cudem zdołał opasać nim nogę, związać w supeł i mocno zaciągnąć końce. Cała operacja wypruła go z resztek energii. Znowu leżał na ziemi i próbował oddychać głęboko. Myślał. Myślał coraz szybciej, ale był to ogromny wysiłek. „Uzupełnij płyny” – przypomniawszy sobie jeden z elementów pierwszej pomocy przy krwotoku. Z jękiem obrócił się na bok, musiał poszukać w torbie butelki z izotonikiem. To zadanie wydawało się teraz jednym z największych wyzwań, których się podjął.

Butelka napoju izotonicznego była jak transfuzja. Błogosławił samego siebie, że ją tam zostawił, wraz z małą saszetką elektrolitów w proszku. Tych nie był w stanie wsypać do butelki, ale nie musiał. Izotonik wystarczył. Z każdym łykiem Bruno czuł, że wraca do niego życie. Już w trakcie picia obmyślił kolejne kroki: musi się schronić, musi wejść do domu. Ale to były jedynie pobożne życzenia. Nie miał siły, żeby wstać, co dopiero pokonać stopnie wiodące do budynku.

– Cholera jasna... – jęknął, czując narastające rwanie w miejscu, w którym trafiła go kula. Przesunął tam dłoń i ostrożnie dotknął. Nie był w stanie wyczuć, gdzie dokładnie znajdował się wlot pocisku, ale przynajmniej na razie, nie czuł jeszcze bólu, zaledwie dyskomfort. Gdyby nie ta obezwładniająca słabość, która odebrała mu władzę nad ciałem, mógł rzec, że panuje nad sytuacją. – Muszę zebrać siły – powiedział do siebie.

Kusiło go, żeby zamknąć oczy i odpłynąć w niebyt, lecz wiedział, że to droga w jedną stronę. Nie dało się z niej zawrócić. Wyjął telefon z kieszeni. Drżały mu ręce, ale był w stanie go obsługiwać. Na razie jeszcze tak. Pierwsze co zrobił, to wstukał SMS-a, że w kieszonce torebki Wiera odnajdzie kluczyk do kajdanek. Wsadził go tam parę dni temu. Drugi trzymał przy sobie, czuł, że raczej go nie użyje – ta świadomość ciążyła na sercu jak ołów. Nie miał odwagi zadzwonić do Wiery, co gorsza, przypuszczał, że telefon, który jej dał, przestał działać. Leżał w schowku auta kilka dni, mógł się rozładować. „Dlatego nie odpisała” – pomyślał.

Nagle zaatakował go ból. Zaciśnął zęby i na kilka sekund wstrzymał oddech, żeby przetrwać tę falę. Zdawał sobie sprawę, że



lepiej nie będzie. Przeciwnie: z minuty na minutę miało być coraz gorzej. „Umrę tutaj” – zdobył się na odwagę, by to sobie powiedzieć. Wklepywał pojedyncze słowa i wysyłał. Robił to, bo każda kolejna chwila mogła być tą ostatnią, a on miał jeszcze tyle do powiedzenia. Nie zdążył się pożegnać. Nie pozwolił na to Wierce. „Do widzenia, kocham cię” – napisał i puścił wiadomość. „Przepraszam”.

Nagle poczuł przypływ sił. Mimo to zdawał sobie sprawę, że zostało mu niewiele czasu. Kciuki zatańczyły na ekraniku: „Kiepsko ze mną. Nie tak miało być, przepraszam” – zaczął. Dopisał kilka linijek tekstu i wysłał. Znowu musiał odpocząć. Myśli coraz wolniej przepływały przez głowę. Jego świadomość dryfowała na granicy jawy i snu. Uruchomił dyktafon, albo tylko tak mu się zdawało. Nie miał pewności.

– Nie łudzę się, że będziesz o mnie pamiętać. A jeśli nawet, że twoje wspomnienia... że będą rzeczywiste. Kiedyś prawdziwy ja zniknę. Zostanie wyobrażenie. Ale to dobrze, bo... – Brakowało mu odpowiednich słów. – Nie warto mnie pamiętać. Nie warto tęsknić. Chociaż chciałbym, żebyś tęskniła. Wiem, to próżność. Czuję się taki bezbronny. Samotny. Umieram, Wiero. – Jego głos zbliżył się do granicy niesłyszalnego szeptu. Rozpaczliwie zaczerpnął powietrza i ciągnął dalej: – Kiedyś byłem. Byłem policjantem, byłem dzieckiem, uczniem, facetem, który jeździł na wózku. Ciągłe kimś byłem. Teraz... Już nic z tego nie zostało. Jestem człowiekiem, który wkrótce umrze. Tylko tyle ze mnie zostało. Wybacz, że tak się obnażam. Jeszcze nie wiem, czy wyślę ci to nagranie. Prawdopodobnie nie. Nawet na pewno.

Znowu zamknął oczy. Policzył do pięciu i z wysiłkiem podniósł powieki.

– Ale jestem wolny – wychrypiał. – Nareszcie czuję wolność. Zostało mi jeszcze... – zamilkł, bo jego serce gwałtownie załomotało w piersi. „To koniec?” – pomyślał. Uspokoił oddech. Przeszło, podjął więc na nowo: – Został mi bilans. Podsumowanie. Co się udało, a co nie. Co zmarnowałem. Gdyby nie ty, Wiero, właśnie zrozumiałbym, że wszystko. Wszystko zaprzepaściłem. Moje życie było marne. Bardziej nie żyłem, niż żyłem. To cholernie trudne, przyznać się do błędu, ale wszystko spieprzyłem. Sam. Teraz wiem, że już nie zdążę... Nic nie zdążę. To boli – jęknął. – To boli najbardziej.

Bezradność. Nie mogę cofnąć czasu. To boli – powtórzył. Wziął głęboki wdech. – Zaprzepaściłem tyle... tyle okazji. Mogłem z tym skończyć, zatrzymać się. Zmarnowałem prawie wszystkie szanse. Prawie wszystkie, bo ty... Nie pozwoliłaś mi spieprzyć tej ostatniej. Za to cię kocham. Nie będę kłamał, cholernie żałuję, że muszę umrzeć. Ale jeszcze mocniej żałuję, że wegetowałem zamiast żyć. Przy tobie narodziłem się na nowo. Szkoda, że na tak krótko. – Z trudem powstrzymał jęk z bólu. – Chciałbym...

Zamknął oczy.

\* \* \*

Nikita mógł przypuszczać, że Snarski nie strzeli focha, w końcu był twardzielem, ale wolał spytać, czy ich umowa nadal obowiązuje. Rozmowa była krótka, rzeczowa i chłodna jak zmrożona Stolicznaja. Myślał, że na tym się skończy, ale wtedy Snarski zapytał o Weronikę.

– Pojechała do Katariny. Ona i Mikołaj.

– Potrzebuje czasu.

– Na to wygląda.

– Dałeś dupy, Donecki.

– Już za późno na żale, rzeki nie zawrócisz, czasu nie cofniesz.

Wyjechali nazajutrz po tej rozmowie. Łatwo nie było, nie dość, że kontrole na granicach, to jeszcze odwołane wszystkie loty. Lotniska stały, ruch powietrzny umarł. Nikita musiał solidnie posmarować, żeby pozwolono mu na prywatny lot z Lozanny do Bukaresztu. Samochodem tłukliby się trzy dni, a czas gonił.

Koordynaty dostał jeszcze przed odlotem. Sądził, że Grizzly da mu dokładne namiary miejsca, gdzie przebywał Niżyński vel Bruno i Wiera. Niestety, wskazówki były nieprecyzyjne. Nikita usłyszał, że uciekinierzy skrywają się na wybrzeżu i poradę, by na razie zostać w Bukareszcie. Wynajął zatem trzy pokoje: dla siebie, Snarskiego i dwójki ludzi, którzy im towarzyszyli. Zamiast luksusowego hotelu był prywatny motel, przerobiony z wojskowego obiektu, położony blisko ringu obwodnicy, otaczającej rumuńską stolicę. Na wygody nie mogli liczyć, ale obiekt miał jedną ważną zaletę: lądowisko dla śmigłowców.

Czekali.

Początkowo nie zamierzał dzielić się ze Snarskim, w jaki sposób poznał trochę szczegółów z życia Niżyńskiego, ale ostatecznie postanowił uchylić rąbka tajemnicy. Podczas pierwszej kolacji w motelu Raport opowiedział Snarskiemu, jak udało mu się otworzyć pliki w laptopie ojca.

– To Weronika mi pomogła. Miałem dostęp do laptopa, oczywiście wynajęłem kogoś, kto ogarnia. Chłopak jest naprawdę dobry, ale nawet on nie dał rady. Powiedział, że są jakieś specjalne zabezpieczenia, potrójne szyfrowanie, nie do złamania. Weronika się zna na książkach, dużo czyta. Podpowiedziała mi, że pseudonim Bruno może mieć coś wspólnego z niejakim Bruno Schulzem. Podała tytuły książek tego gościa, a potem już poszło. Niżyński zabezpieczał pliki tytułami powieści albo rozdziałów. Stary zawsze grał ostro. Gdy Niżyński odezwał się do niego i zaczęli ze sobą gadać, wymyślił sobie, że znowu do ciebie uderzy.

– Tak myślałem. – Rafał skrzywił się nieznacznie. – Po co? I jak chciał to zrobić?

– Po co, nie wiem. Maniks nie żyje, jego zastępca też. Może ojciec chciał cię po prostu odpalić? Albo was oboje, ciebie i Weronikę? To bardziej prawdopodobne. A może chciał sprawdzić, czy Niżyński będzie lojalny? Kto to wie. Za pośrednictwem Niżyńskiego wysłał Weronikę do ciebie. Namierzał ją, więc wiedział, gdzie się ukrywasz.

– Bez wizyty Weroniki też wiedział. Bruno mógł mu powiedzieć.

– Nie do końca. Ten Niżyński, czy Bruno, jak wolisz, odpowiadał za twoje bezpieczeństwo. Gdyby ktoś przyjechał na wyspę i cię odpalił, facet miałby poważne problemy, bo to on ustalał, kto wie o twoim istnieniu, Snarski.

– A tak zwaliłby na Weronikę? – domyślił się Rafał.

– No właśnie. Miałby kozła ofiarnego. Weronika знаła twój adres, komuś chlapnęła i ludzie Maniksa cię znaleźli.

– Maniksa już nie ma. Karpia też.

– Nie śledzę, kto ocalał, a kto nie. Wiem, że Niżyński pogrywał sobie z Weroniką na polecenie mojego ojca. Ale co miał do ciebie? To już nie mój biznes, tylko twój, Snarski. Jest duża szansa, by to wyjaśnić.

Poszli spać, rannem Nikita sprawdził, czy są jakieś wieści, ale Grizzly milczał. Zaczął się niepokoić, rozważał nawet, czy sam nie

spróbuje uderzyć do Grizzly'ego, żeby wymusić na nim dokładniejsze informacje, kiedy ten zadzwonił. Przekazał, że zaraz wyśle mu namiary na miejsce, w którym ukrywa się Grzegorz Niżyński i Wiera Donecka. „Nie musisz się spieszyć. Chłopaki poczekają. Masz pięć godzin na dotarcie, potem chłopaki go odpalą. Tylko tam nie świruj” – ostrzegł Grizzly.

Nikita najpierw zamierzał polecieć, obstałował śmigłowiec i operatora, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. W samochodzie czuł się pewniej. Zresztą im mniej osób wiedziało, dokąd i w jakim celu tu przyjechali, tym lepiej. Nie powiedział swoim ludziom, co się kroi. Szczegóły znał tylko on i częściowo Snarski. Auto już czekało: załatwił je wcześniej, jeszcze przed przybyciem do Rumunii. Ktoś podstawił wóz pod motel Raport i mogli wyruszyć.

- Sami jedziemy? – spytał Snarski, kiedy zajął miejsce obok.
- A co? Boisz się? – Nikita zarechotał, widząc minę pasażera.
- Spierdalaj.
- Damy radę, co nie?

Wyjechali z parkingu przy motelu. Nikita odezwał się dopiero wtedy, gdy byli na prostej, wiodącej do Konstancy.

– Tak cię obserwuję i powoli zacznę rozumieć, czemu Maniks chciał cię z powrotem.

- Długo nad tym myślałeś?
- Trochę.
- To przestań. Skończyłem z tym głównym.
- Tak ci się tylko zdaje. – Nikita pokręcił głową. – Dobry jesteś. Nie pytasz, nie wnikas. Cicho siedzisz, słuchać umiesz.

– Skończ pierdolić, człowieku. Lepiej włącz radio.

Nie gadali ze sobą do końca trasy. Dopiero trzy kilometry przed celem Nikita się odezwał:

- Wierzysz w podświadomość, Snarski?
- To znaczy?
- W szósty zmysł, intuicję, przeczucie. Jak zwał, tak zwał.
- Czasami wierzę.
- I co ci podpowiada?
- Że byłoby nieźle ci wjechać. Ale to później, już po wszystkim. Nikita prawie opuł kierownicę, tak się roześmiał.
- Zapomnij. Za cienki jesteś.

– Chcesz sprawdzić? – mruknął od niechcenia Snarski.  
– Chętnie. Ale to później, po wszystkim. – Nikita przedrzeźnił ton jego głosu.

Nawigacja wskazywała, że lada chwilą dotrą do celu.

– Kto tam będzie?

– Ktoś – odparł Nikita.

– Musisz im ufać, skoro nie zabrałeś swoich przydupasów.

– A po co? Mam ciebie. – Nikita uchylił się, żeby nie dostać z łokcia. – O kurwa! – Nagle ryknął. – Widziałeś? – Szybko odwrócił głowę. Zahamował ostro i wrzucił wsteczny. Przejechali prawie dwadzieścia metrów tyłem, dopiero wtedy się zatrzymał. Wskazał brodą na samochód w zaroślach. – To bryka Niżyńskiego.

– Raczej tak.

Wysiedli i szybko tam pobiegli, by sprawdzić, co jest grane. Samochód był zamknięty, dlatego zapuścili żurawia przez okna.

– Rozumiesz coś z tego? – Nikita miał na myśli wózek inwalidzki, wciśnięty za tylne siedzenie. Obok leżała walizka i parę innych rzeczy: śpiwory, jakieś foliowe torby z nieznaną zawartością, napoczęta zgrzewka wody mineralnej. – Może ma drugi wózek, a ten jest zapasowy? – Zerknął na Snarskiego.

– Nie sędzę. Popatrz, używał go.

Koła były brudne od błota, a rama nosiła ślady używania.

– No fakt. – Nikita z niechęcią przyznał mu rację.

– Robi się ciekawie.

– Też tak czuję. Zabrałeś gnata?

– Nie, mam. Zostawiłem na szafce nocnej – odparł Snarski.

Wrócili do samochodu. Ostatnie sto metrów pokonali w żółtim tempie, rozglądając się czujnie na boki, ale niczego interesującego nie wypatrzyli. Za zakrętem pojawiły się zabudowania. „Dotarłeś do celu. Na prawo” – oznajmiła cicho nawigacja. Zatrzymali się przy starym nissanie, obaj przygotowali broń i wysiedli, czujnie się rozglądając.

– Ten już jest zimny – powiedział cicho Nikita, dostrzegłszy pierwszą ofiarę strzelaniny. Młody chłopak leżał na plecach, miał szeroko otwarte oczy, zupełnie jakby się dziwił, że leży tu martwy. Nikita przykucnął, bezceremonialnie chwycił chłopaka za szmaty i przewrócił na brzuch. – Już ma plamy opadowe – stwierdził

fachowo, obejrzawszy odsłonięte plecy młodzika. – Chyba się spóźniliśmy.

– Niekoniecznie. – Snarski właśnie zauważył Brunona. – Tam – mruknął, wskazując brodą na leżącego mężczyznę.

Nikita wstał i obaj podeszli bliżej.

– Uuu... Co tu się porobiło? – Nikita wsunął pistolet za pasek spodni. Czuł, że już nie będzie potrzebna. Przykucnął przy leżącym i chwycił mocno za nadgarstek. – Jeszcze żyje.

– Ale co to za życie?

– Chujowe – zaśmiał się.

– To na pewno on? – Snarski przykucnął obok. – Tylko z nim gadałem. Zawsze przez telefon.

– Na pewno, widziałem zdjęcia. Dostał dwa razy. W tętnicę i tutaj, popatrz. – Pokazał na ślad po kuli.

Ta nie narobiła szkód, odbiła się od czegoś, co Niżyński vel Bruno miał w kieszeni. Nikita z trudem to wydobył.

– Kamień? – spytał Rafał.

Na pierwszy rzut oka trudno było rozpoznać, bo obły przedmiot pływał w krwi. Dopiero kiedy Nikita z grubszą wyczyścił go w trawie, upewnili się, że to kamień. Niezbyt duży, gładki, prawie biały.

– Miał szczęście. Poszło rykoszetem. – Nikita cmoknął z uznaniem. – Gdyby nie ten kamień, mógł zginąć od razu. Chcesz go?

– Po co?

– Na pamiątkę nieudanej akcji. – Nikita zarechotał. Wstał z kucek i podał znalezisko Snarskiemu. – Bierz, może przyniesie ci szczęście. Jak jemu – zakpił, patrząc na Niżyńskiego.

– Może przyniesie. – Snarski włożył kamień do tylnej kieszeni spodni. – Pójdę zobaczyć, co w domu. – Zaproponował.

– Idź, ja muszę zabrać coś z samochodu.

Rafał wrócił na miejsce po kilku minutach.

– W środku jest trzech, wszyscy martwi – zrelacjonował. – Jednego załatwił nożem, dwóch zastrzelił.

– Przechuj – powiedział z uznaniem Nikita. – A Wiera? – spytał, z góry wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

– Dziewczyny nie ma.

– Musiał gdzieś ją ukryć. – Nikita otworzył swój plecak i wyjął stamtąd złożoną w kostkę folię termoizolacyjną. – Jest tam jakiś koc? Narzuta? Cokolwiek. Trzeba go okryć.

– Chyba coś widziałem.

Zakryli Brunona folią i kocem, ale najpierw Nikita wepchnął do rany kłęb gazy hemostatycznej.

Nie certolił się, wepchnął gazę na chłama, a potem próbował założyć wkłucie do żyły w zgięciu łokcia. Niestety, półpuste naczynie krwionośne się zapadło.

– Myślisz, że to coś da? – spytał Snarski, przypatrując się Doneckiemu z niekłamany podziwem. Zaimponował mu. Nie tylko wiedzą, lecz także przygotowaniem do akcji. – Co chcesz mu podać?

– Zwykłą solankę i glukozę. No i coś przeciwbólowego.

– Nie chcę być złym prorokiem, ale ratujesz trupa – mruknął, czekając jak Donecki, na jakąś reakcję ze strony ratowanego.

– Więcej wiary. – Nikicie nareszcie udało się założyć wenflon. Wkłuł się w tętnicę szyjną, a potem szybko podpiął zbiornik z płynami. – Trzymaj wysoko – rozkazał Snarskiemu, a sam wygrzebał z plecaka pojemnik z tlenem. – Musi się udać.

Czekali w napięciu na efekt starań.

– Chyba... – Nikita nachylił się niżej. Prawie dotykał uchem plastikowej maski przy ustach Niżyńskiego. – Otwórz oczy. Słyszysz, Bruno? Gdzie jest Wiera? – Wyprostował się i spojrzał na twarz Niżyńskiego. – Powiedz, gdzie jest Wierka, a potem możesz zdychać.

Napięcie rośnie, zwłaszcza że oboje – i Nikita, i Snarski, dostrzegli nieznaczny ruch gałek ocznych pod powiekami. W końcu się podniosły. Nikita natychmiast odsunął plastikową maskę, przez którą inhalował Niżyńskiego tlenem z małej butli.

– Gdzie jest Wiera? No mów! – Szarpnął za jego ramię.

– Vadu. Wiera jest w Vadu – powtórzył Bruno. – Stara przetwórnia, Wiera jest zaraz przy wjeździe. W stróżówce.

– Sprawdź to – polecił Nikita.

– Już. – Rafał uruchomił nawigację w telefonie. – Jest coś takiego, popatrz. – Podstawił swój telefon pod nos Doneckiego. – Godzina jazdy stąd.

– Podaj jej numer – Nikita wyjął swój telefon. – Słyszysz? – Znowu potrząsnął Niżyńskim, lecz ten znowu odpływał i zamknął

oczy. – Daj numer!

– Telefon nie działa, padła bateria – zdołał wyszeptać Bruno. – Ale Wiera jest bezpieczna. Spalcie wszystko.

– Co mówisz? Powtórz.

– Benzyna jest w szopie.

– Popatrz na mnie! – ryknął Nikita ze złością. Niestety, już nie doczekał się reakcji. Ułożył Niżyńskiego w półleżącej pozycji, a worek z płynami umieścił nieco wyżej, na podeście schodów. – Trzeba zabrać fanty. Widziałeś jego telefon?

– Tak, leży tutaj.

Aparat trafił do torby leżącej obok Brunona. Nikita zdecydował, że zabierają całą broń, również stary AK47, leżący przy nissanie. Przeszukał Niżyńskiego, ale nie odnalazł żadnych dokumentów, natomiast pilota do samochodu owszem.

– Jedź tam i poszukaj dokumentów, muszą gdzieś być – powiedział do Snarskiego. – Zabierz walizkę i sprawdź torby w bagażniku, może tam coś jest.

– Wózek też zabrać?

– Nie. I tak nie ukryjemy samochodu.

Zanim Snarski wrócił, Nikita zdążył przeszukać ciała ludzi Sorokina, ale nie mieli przy sobie nic interesującego. Ich dokumenty zostawił, tak samo telefony. Żeby zapewnić sobie dupochron przed Sorokinem, zrobił zdjęcie każdej z ofiar – zbliżenie na twarz i całe ciało, ale pominął Niżyńskiego. Nie chciał, żeby Grizzly wiedział, że Nikita próbował go ratować. Chwilę pomyślał i zmienił zdanie. Cyknął zbliżenie na twarz, całej sylwetki nie robił, za to odwinął koce i walnął fotę miejsca, w które oberwał Niżyński.

Jego laptop oraz telefon były bezpieczne w torbie, służbowa broń, która mogłaby zdradzić jego tożsamość, też tam trafiła. Nikita nie miał pewności, że czegoś nie przeoczył, ale nie było czasu na wnikliwe poszukiwania.

Gdy Rafał pojawił się na placu przed domem, wszystkie ciała spoczywały wewnątrz budynku. Zmroziło go, gdy zrozumiał, że to już koniec. Odruchowo potarł ramiona, patrząc na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą dogorywał Bruno. Została po nim wielka i ciemna plama zasychającej krwi.

– Dzwoniłeś do Wiery? – spytał.



– Nie. Zadzwońłem do chłopaków, żeby jechali na lotnisko. Tam mają na nas czekać. – Nikita wsunął aparat do kieszeni.

– Przynieść kanistry?

– Tak. Zjaramy chałupę, to spowolni służby.

– Idę – odparł Rafał, ale Nikita zawrócił go z drogi:

– No chyba, że sobie darujemy? – Donecki zerknął na zegarek, nie mieli zbyt wiele czasu, w zasadzie w ogóle go nie mieli. Już powinni jechać po Wierkę, o ile faktycznie czekała na nich w tej starej fabryce.

– Zdążymy – zdecydował Rafał.

Nikita zabrał dwa kanistry i wszedł do budynku. Rafał miał ochlapać ściany domu z zewnątrz. Szybko się uwinęli. Już po minucie obaj stanęli przed domem, Donecki rzucił kamieniem, żeby rozbić szybę, a w powstały otwór wpadła zapalona zapalka. Oczekali chwilę. Nic się nie działo i nagle buchnęły płomienie. W jednej chwili objęły wnętrze domu.

– Spierdalamy stąd! – powiedział Nikita, widząc, co się dzieje.

Odbiegli od budynku i wstawiali się do samochodu.

– Masz adres tej fabryki? – spytał Nikita, wycofując range rovera z wąskiej drożki.

– Ta... – odburknął Rafał. – Najbliżej będzie tędy. – Wskazał w prawą stronę.

– Oho, zaczyna się – burknął Nikita, widząc we wstecznym lusterku pierwsze jęzory ognia, liżące dach domostwa.

Nie podziwiał ich długo, bo zabudowania zniknęły za zakrętem.

– Próbuje dodzwonić się do Wiery, telefon Niżyńskiego jest w torbie. Na pewno się z nią kontaktował.

– Nie ma szansy, nadal ma wyłączony aparat – odparł po chwili Rafał. – Ale są SMS-y.

– Od młodej?

– Chyba tak. Od niej i do niej.

– Czytaj.

– „Gdy wrócisz, to cię zabiję. Parszywy gnoju, jak mogłeś mnie tak zostawić, ty świniou. Nienawidzę cię” – przeczytał. – Odpisał jej, że nie może teraz gadać, bo prowadzi.

– Aha, coś jeszcze? Kiedy to było?

– Coś tu jeszcze jest.

- Od Wierki?
- Nie. Od niego. Sporo krótkich wiadomości, co Wiera ma zrobić. Na koniec napisał, że przeprasza.
- Romantyk pieprzony. To wszystko?
- Nie. Został ostatni wpis.
- Dobra, pierdolić to. Potem przeczytam.
- Nie chcesz wiedzieć?
- Dawaj. – Nikita zmienił zdanie.

„Kiepsko ze mną. Nie tak miało być, przepraszam. Pierwszy raz w życiu żałuję, że byłem, kim byłem. Że zemsta mnie pochłonęła. Idziesz na wojnę, szukaj dwa groby, pamiętaj o tym i uwierz, nie warto. Cholernie żałuję, że nie mogę dotrzymać słowa. To już koniec, nie wrócę, wybacz mi. Kocham cię”.

– Nieźle – mruknął Nikita. Na chwilę zapadło milczenie. Musiał zebrać myśli, ale ostatecznie nic mądrego nie przyszło mu do głowy.

– Pieprzyć to. Najważniejsze, żeby młoda się odnalazła. A wtedy... – Zgrzytnął zębami. – Wyniosę pieprzoną gówniarę na kopach, zobaczysz.

– Gówniara? Młoda? Dziwne określenia. Jakby była twoją siostrą, nie żoną.

– Bo jest – palnął bez namysłu Nikita. – No co? – Spojrzał na Snarskiego.

– Nic nie mówię. – Rafał prawie się udławił śmiechem. – Ty tak na serio?

– To moja przyrodnia siostra. Mamy wspólnego ojca. My razem nic z tych rzeczy, żeby była jasność. – Spojrzał na Snarskiego spod uniesionych brwi. – Chyba nie myślisz, że jestem jakimś zwyrodnialcem? To zwykły *deal*. Musieliśmy scalić rodziny, moją i starych Wierki. Długo by opowiadać. – Nikita machnął ręką.

– Chyba nie jestem ciekaw.

– I słusznie.

Nikita nerwowo zabębnił palcami na kierownicy. Żałował, że chlapnął. Myślał, że Snarski zna sytuację od Weroniki, bo rozmawiali sam na sam zaraz po jego przyjeździe do ich willi. Teraz okazało się, że Weronika zachowała dla siebie rodzinną tajemnicę Doneckich.

– Po tobie Wiera taka łagodna. – Snarski parsknął śmiechem. – Od razu wyczułem pokrewieństwo.

– Zgadza się. – Nikita wyszczerzył zęby. – Wierka zawsze była sukowata. Katia też, ale mniej.

– A Weronika? Jaka jest Weronika?

– I po co pytasz. – Nikita wzruszył ramionami. – Znasz ją.

– Znałem. Czas mocno przeszedł.

– Masz do mnie żal. – Palce Nikity bezwiednie się zacisnęły. – I słusznie. Dziwię ci się. Mogłeś mnie zająć, choćby tam. – Machnął głową za siebie. – Nikt by się nie dowiedział, bo jak.

– Żeby Weronika jeszcze bardziej cierpiała? – spokojnie odparł Rafał, ale tylko on wiedział, co tak naprawdę teraz czuje. – Masz pieprzony immunitet, ale poczekaj. Jeśli moja żona – świadomie tak ją określił – przestanie cię kochać, jeśli nie wróci od Katariny i definitywnie z tobą skończy, znów się spotkamy, Donecki.

– Cóż, nie boję się – mruknął pod nosem Nikita. – Nie żebym miał ochotę na to spotkanie.

– Liczysz, że ona ci wybaczy. – Rafał oparł głowę o skórzany zagłówek.

– Jestem pewien.

– Czemu życzę ci powodzenia? – Były mąż Weroniki pokręcił głową.

„Nadal ją kochasz i pragniesz dla niej tego, co da jej szczęście. Właśnie dlatego” – odpowiedział sobie w myślach. Czuł, że ta miłość, przynajmniej na razie, jest zbyt silna, by Weronika mogła z niej łatwo zrezygnować. Jeśli kiedyś to nastąpi, jej serce zamknie się na Doneckiego, wtedy wkroczy i rozprawi się z nim ostatecznie – to było pewne.

Na razie Donecki dostał kredyt, ale kiedyś miał nadejść czas zapłaty.

Zawsze kiedyś nadchodził.

## Rozdział 16

Musiała zasnąć. Zasnąć i śnić, że Bruno wrócił. Słyszała jego głos, a może tak jej się wydawało. Nagle Wierka zerwała się, usiadła i dopiero wtedy przypomniała sobie, gdzie jest. Już powoli zmierzchało, zrobiło się chłodniej, a wysokie topole, widoczne przez okienną niszę, rzuciły swój mroczny cień na budynek stróżówki.

Zamknęła oczy i przywołała w pamięci ich ostatnie wspólne chwile.

– Obiecuj, że wrócisz – powiedziała, trzymając kurczowo jego dłoń.

– Obiecuję. Nie zostawię cię, przysięgam. Nie, póki żyję.

Jej ciałem wstrząsnął szloch. Podniosła powieki, ale nic się nie zmieniło.

Kompletnie nic.

– Bruno, gdzie jesteś? – Przygryzła kącik ust, żeby nie wybuchnąć płaczem i nagle dotarł do niej przedziwny dźwięk. – Dzwonki? – szepnęła, wyżejając słuch.

Tak, bez wątpienia to były dzwoneczki. Musiały być małe, poruszały się, były coraz bliżej, a wraz z nimi dobiegało coś jeszcze: niskie beczenie i pojedyncze szczeknięcia psa.

– Na pomoc!!! Proszę mi pomóc!!! – ryknęła, zrywając się na nogi. – Help!!! – wykrzykiwała, ile sił w płucach. Wrzeszczała po polsku, po rosyjsku i angielsku. Jej głos zwielokrotniony echem, wydarł się ze stróżówki i pokonał dziesiątki metrów. – Tu jestem!!! Na pomoc!

Prawie umarła ze strachu, kiedy usłyszała zbliżające się ostrożne kroki. Ktoś się skradał. „A jeśli to ktoś niebezpieczny?” – pomyślała, wyobrażając sobie zapuszczonego pastucha, który ją ujrzy, zupełnie bezbronną, zdaną na jego łaskę. Mógł być zboczeńcem, pijakiem albo innym wyrzutkiem. Niestety, zbyt późno się zreflektowała i teraz jedyne, co jej pozostało, to przygotować się na konfrontację.

Aż zadygotała z wrażenia, kiedy spostrzegła w wejściu małego chłopca. Mógł sobie liczyć nie więcej niż osiem, może dziesięć lat.

Tuż za nim pojawił się drugi malec, ten zdecydowanie był młodszy, góra sześciolatek. Obaj z ciemnymi czuprynami, twarzami brunatnymi z brudu, wgapiali się w Wierę, jakby ujrzeli ducha.

– Dzień dobry – wykrztusiła. – Hej. *Do you speak English?* – spytała starszego chłopca, ten od razu rozciągnął usta od ucha do ucha. – Matko, dziękuję... – jęknęła Wiera, przykładając dłoń do serca.

Pierwsze, co postanowiła zrobić, to poprosić chłopaków, żeby podali jej telefon. Już miała pokazać, gdzie leży smartfon, gdy nagle opadły na nią wątpliwości: „Co, jeśli te łobuzy zabiorą go i uciekną?”. Spojrzała na nich czujnie, oceniła wygląd – mieli na sobie normalne ubrania, a jeden markowe adidas, lecz byli brudni jak nieboskie stworzenia, ich nogi pokrywało mnóstwo czerwonych bąbli po ukąszeniach, wyglądało to nieciekawie.

Szybka analiza w niczym nie pomogła. Wiera musiała zaryzykować. Już prawie wskazała na kupkę liści, gdy zmieniła zdanie. Wprawdzie nadal jej sytuacja nie przedstawiała się zbyt dobrze, mając z powrotem telefon poczułaby się pewniej, lecz to mogło poczekać. Powoli i wyraźnie powiedziała dzieciakom, że muszą jej pomóc rozpiąć kajdanki. Kazała poszukać czegoś, co można wsadzić w ogniwo łańcucha i rozerwać go. Starszy chłopiec zrozumiał, pokiwał głową, przekazał coś młodszemu i razem wybiegli, zostawiając biedną Wierę w towarzystwie psa. Ten na szczęście był przyjaźnie usposobiony, położył się przy niej i ułożył łeb na łapach.

– Pilnujesz mnie? – Wiera się zawahała, ale w końcu potrzeba fizycznego kontaktu wygrała. Wyciągnęła dłoń i pogłaskała psiaka po głowie. Od razu uderzył ogonem w zakurzoną posadzkę. – Pilnujesz mnie, prawda? – spytała, ocierając łzę wierzchem dłoni. Nie wiedzieć kiedy, rozplakała się jak dziecko. – A gdzie są owieczki? Czemu ich nie pilnujesz?

Pies szczeknął. Jak na zawołanie, w niewielkiej odległości znowu zabrzęczały dzwonki i rozległo się ciche beczenie.

– Słuchają cię. Fajnie. – Wiera wsunęła palce w miękką sierść na karku psa i trochę ją poczochnęła. – Mam nadzieję, że twoi przyjaciele wrócą. Że chociaż oni wrócą po mnie. – Zlizwała z warg słone krople. Musiała coraz bardziej się starać, by nie myśleć

o najgorszym. Czuła, że coś się stało. Coś bardzo złego. – Bruno obiecał, że wróci. Przyrzekł. – Z trudem powstrzymała szloch.

Nagle pies uniósł łeb i zastrzygł uszami. Ktoś się zbliżał. Wierka zastygła. Wprawdzie czuła, że to ktoś znajomy, zapewne znowu dwóch rumuńskich chłopaków, skoro pies nie reagował, lecz dałaby sobie uciąć rękę, że usłyszała głos dorosłego mężczyzny. Zagadka prędko się rozwiązała, ale najpierw snop ostrego światła latarki oślepił Wierę i chwilowo pozbawił wzroku. Zamrugła, żeby cokolwiek widzieć. Przybysz skierował latarkę w kąt stróżówki i nareszcie Wiera mogła ujrzeć swojego wybawcę. Mężczyzna musiał być kimś bliskim dla chłopców, raczej dziadkiem, nie ojcem, ponieważ szczycił się długą siwą brodą. Młodszy chłopczyk przytulał się do jego boku, co od razu uspokoiło Wierkę. „To nie może być ktoś zły i niebezpieczny” – racjonalnie oceniła sytuację.

– Nie rozumiem – odpowiadała raz po raz, kiedy mężczyzna zasypał ją gradem słów. Bezradnie spojrzała na starszego chłopca i powtórzyła to samo po angielsku.

Stwierdziła, że łatwiej będzie pokazać na migi, czego potrzebuje. Wskazała na rękę spiętą kajdankami, w zamian mogła zobaczyć promienny uśmiech staruszka. Dopiero teraz zauważyła, że przyniósł spory metalowy kufer, z którego wyjął wielkie pordzewiałe cęgi. Trochę ją zmroziło ze strachu, ale obawy szybko zniknęły, ponieważ dziadek chłopców przeciął łańcuszek łączący obręcze kajdanek.

„Co za ulga!” – Wiera natychmiast zajęła się masażem zupełnie zdrętwiałej dłoni. Czucie nie chciało wracać, lecz trudno spodziewać się natychmiastowej poprawy, skoro ręka wisiała na kajdankach kilka długich godzin. „Telefon!” – nagle przypomniała sobie o aparacie, dopadła go, niestety bateria odmówiła posłuszeństwa i telefon się wyłączył. „Co za pech!” – jęknęła bezgłośnie. Spojrzała na swoich towarzyszy i pokazała na aparat.

– *Kaputt* – stwierdził dziadek i wyszczerzył pożółkłe od nikotyny zęby.

Znowu wygłosił energiczną perorę, a Wiera konsekwentnie nie zrozumiała ani słowa, no może kilka: „bateria”, „telefon” i „electricitate”. Te brzmiały znajomo. Cała trójka Rumunów wdała się w szybką polemikę, głównie mówił starszy chłopiec, senior rodu

wyraźnie się z nim spierał, a najmłodszy członek rodziny, szarpał za pazuchę dziadka i świergotał piskliwie. Wiera pomyślała, że zaraz oszaleje, kiedy nagle rozmowa ucichła i staruszek spytał:

– *Politie?*

„Co to znaczy?” – zmarszczyła czoło, ale wtedy wnuk dodał po angielsku:

– *The police.*

– Policja? Nie! – Natychmiast wykrzyknęła Wiera. – Nie, żadnej policji. *No, please don't call the police!*

– Okej! – Dziadek musiał ją zrozumieć. Namyslił się i pokiwał ręką, żeby za nim poszła.

Wszyscy opuścili stróżówkę. Wiera odetchnęła głęboko. Nareszcie była wolna, lecz nadal coś gniotło ją w piersi. Sądziła, że jest już zupełnie ciemno, ale słońce jeszcze ciągle wisiało nad nieboskłonem. Spojrzała na mężczyznę, który właśnie coś do niej mówił. Zrozumiała, że powinna iść za nim i chłopcami, poszli więc całą grupą: z przodu trójka Rumunów i ona, tuż za nimi żwawo dreptało stadko owiec. Korowód zamykał psiak, poszczekując na owce, żeby się nie rozłaziły.

Dotarli na miejsce po kilku minutach. Celem było niewielkie gospodarstwo. Po drodze Rumun zdążył się przedstawić, nazywał się Vasile Ionel, a jego wnuki nosiły imiona Radu i Daniel. Vasile pokazał na budynek i skłonił się zapraszająco. Wiera zrozumiała – zapraszał ją w gościnę. Wzruszenie ścisnęło jej serce, lecz nie mogła tam wejść i rozgościć się, choćby nie wiem jak tego potrzebowała w tej chwili. Chciało jej się sikać, czuła pragnienie, było jej zimno, lecz to wszystko musiało poczekać.

– *Do you have a car?* – spytała Daniela. Ten od razu pokiwał głową, zatem kontynuowała: – *Could you take me to a certain place?*

Daniel nie zrozumiał. Potrząsnął głową i spojrzał pytająco na dziadka, ten w ogóle nie miał pojęcia, o co prosi Wiera, więc tradycyjnie wyszczerzył zęby, bo tylko to przyszło mu na myśl.

– Ja... – wskazała na siebie – i ty – pokazała placem na Vasila. – *In car.* – Pokazała gestem kierowanie samochodem. – *I'll pay you. I have money.* – Szybko rozsunęła zamek torebki i wyjęła stamtąd portfel.

Vasilowi prawie wypadła sztuczna szczeka, kiedy spojrzał na banknot. Gwałtownie zaprotestował i odepchnął jej dłoń. Stropiła

się, że to zbyt mała kwota i już zamierzała zdjąć złotą bransoletkę i dodać do puli, kiedy Daniel wyjaśnił kulawym angielskim, że dziadek nie weźmie pieniędzy od gości z innego kraju.

Koniec końców po paru minutach Wierka usadowiła się obok kierowcy, czyli Vasila, a chłopcy postanowili dotrzymać im towarzystwa i zasiedli z tyłu. Przez Daniela dziadek przekazał, że posiada ten samochód od prawie trzydziestu lat i jest niezawodny, nigdy się nie zepsuł, a on chce nim podróżować do końca życia. Tym wspaniałym wozem była błękitna Dacia, z kierownicą obszytą baraním futerkiem i z małą ikoną, przyklejoną do deski rozdzielczej.

Wierka ledwie ją zobaczyła, od razu się przeżegnała. Miała tylko jedną prośbę do Stwórcy: móc spełnić wszystkie te cholerne groźby, które złożyła w opuszczonej stróżówce.

– Słucham? – spytała, bo Vasile mruknął coś pod nosem.

Odmruczał po swojemu i wskazał na ikonę.

– Ech, żebyś ja wiedziała, co ty do mnie gadasz... – odparła bezradnym tonem. – Dziękuję. *Thank you.* – Spojrzała z nadzieją, że to słowo zna każdy człowiek, nawet Vasile z małej wioski Vadu na końcu świata, ale dojechali właśnie do rozjazdu i musiała wskazać drogę.

Wprawdzie była tutaj zaledwie dwa razy, parę dni wcześniej i dzisiaj, lecz zapamiętała charakterystyczny punkt: spore rozlewisko i dwa dosyć pokaźne silosy zbożowe. Wskazała na lewo, Vasile uruchomił kierunkowskaz i ruszyli z krzyżówki. Nie ujechali więcej niż trzy, może cztery kilometry, kiedy minął ich wielki czarny SUV.

– Stop! Stój! – krzyknęła Wiera.

Zapiszczały hamulce dacji. Wiera wyskoczyła z auta i stanęła na poboczu. Nie, nie myliła się! W tamtym samochodzie był Nikita! On też ją zauważył, i cofał szybko, by po kilku sekundach zatrzymać samochód na poboczu, po przeciwnej stronie szosy. Wyskoczył z range rovera i podbiegł do Wiery.

– Co z tobą? – Chwycił ją za ramiona i obejrzał uważnie.

Tyle miesięcy się nie widzieli, bez mała rok. Już prawie zapomniiała, jak Nikita wygląda.

– Niki, jak dobrze cię widzieć! – wykrzyknęła. Pierwszy raz w życiu na widok starszego brata jej serce zalała fala ulgi i szczęścia. – Wszystko ze mną w porządku. – Czuła, że telepie się jak w febrze, ale



widok brata dodał jej wiary, że zaraz wszystko się dobrze skończy, a co najważniejsze, skończy się jej strach o Brunona. Że Nikita go uratował. Przecież widziała kogoś, kto siedział obok brata. To musi być Bruno. Wychyliła się, lecz nic nie mogła dostrzec. – On tam jest? – szcęknęła przez zaciśnięte zęby.

– Kto?

– Bruno.

– Nie, no skąd. Został tam. – Machnął głową przez ramię.

– Puść – wyrwała mu się, lecz Nikita chciał coś jeszcze wyjaśnić: – Co to za ludzie? – Wskazał na dziadka, siedzącego za kierownicą zdezelowanej Daczki. – Z tyłu są dzieciaki? O co biega z tą ferajną?

– On mnie uratował, ten staruszek. Jest naprawdę miły, pomógł mi.

– Pomógł ci? – Nikita uniósł brew. – Jest miły? – Wykrzywił usta w powątpiewającym grymasie.

– Tak, jest miły. To zwykły człowiek, nie żaden bandyta, a z tyłu siedzą jego wnuki. Potem ci opowiem, a teraz chodźmy. – Wiera chciała jak najszybciej sprawdzić, kto został w samochodzie, którym przyjechał Niki, a potem szybko wrócić do Brunona.

– Sekunda. – Przyrodni brat przytrzymał ją jedną ręką, a drugą wyjął z kieszeni plik banknotów. Zapukał w szybę drzwi od strony kierowcy i wręczył Vasile kasę.

Tym razem staruszek nie oponował, rzucił pieniądze na siedzenie obok, zakręcił szybę, przeżegnał się i wbił wsteczny bieg. Zawrócił na polnej drodze wiodącej w pola i z piskiem wysłużonych opon wtoczył się dacią na asfalt. Ruszył, aż poleciał błękitny dym z rury wydechowej. Prawdopodobnie Vasile Ionel chciał jak najszybciej opuścić to miejsce i zapomnieć o wielkim osiłku w czarnej, opiętej na mięśniach koszulce. Żał mu było dziewczyny, czuł, że wpłatała się w poważne kłopoty, lecz co mógł zrobić? Ano nic. Nie warto z takimi zadzierać, a ten wielkolud wcale nie musiał przystawiać palca do ust, by Vasile pojął, że ma trzymać język za zębami. To zrozumiał bez słów i gestów.

– Nie zdążyłam mu podziękować... – szepnęła Wiera, patrząc w stronę Vadu.

– Ale ja zdążyłem. – Nikita pociągnął ją za ramię. – Spadamy stąd.

– Jedziemy do domu?

– Jakiego znów domu? – Pokierował ją, żeby podeszła do tylnych drzwi samochodu.

– Tam, gdzie mieszkam z Brunonem – doprecyzowała, sięgając do klamki.

– Nie sędzę.

Natychmiast się odwróciła.

– Czego nie sądzisz? – Założyła ręce na piersiach. – Nie wsiądę do tego samochodu, jeśli nie przyrzekniesz, że zawieziesz mnie do Brunona. A tak w ogóle, skąd się tu wziąłeś?

– Ze Szwajcarii. – Wzniósł wzrok ku niebu, prosząc o odrobinę cierpliwości. Już zdążył zapomnieć, jak irytująca potrafiła być przyrodnia siostra, a technicznie rzecz biorąc, nadal jego małżonka, choć papierowa.

– Ze Szwajcarii? – Zmarszczyła czoło.

– Wyprowadziłem się do Szwajcarii, jeszcze coś? – Bezceremonialnie szarpnął za klamkę, a po chwili jego krnąbrna siostrzyczka siedziała na tylnej kanapie, zapięta pasami i z zablokowanymi drzwiami po obu stronach.

– Kto to jest? – spytała, wskazując brodą na pasażera siedzącego po przekątnej. Widziała go doskonale, na oko był pod czterdziestkę, z długą brodą, czapką z daszkiem i w okularach przeciwsłonecznych, które w kręgach gangsterów stanowiły tak samo często spotykany atrybut jak nóż czy pistolet.

– To mój znajomy. Rafał – powiedział po polsku.

– Miło mi. – Olbrzym skinął głową.

– Jaki Rafał? – Natychmiast przestawiła się na drugi język. – Jesteś Polakiem? Co tu robisz? Może chociaż ty mi powiesz, dokąd jedziemy i gdzie jest Bruno? – Wychyliła się do przodu i wsparła dłoń na oparciu fotela. – Hej, mówiłam coś.

– Skończ śledztwo – uciął Nikita, lecz musiałby najpierw zakneblować Wierkę, bo nie miał co liczyć na to, że go posłucha.

– Skończę, kiedy mi wyjaśnisz, o co tutaj chodzi. – Spojrzała we wsteczne lusterko przed kierowcą.

– Kiedyś się dowiesz, a teraz przestań gadać – odpowiedział Nikita.

Czuła, że nic więcej z niego nie wydobędzie, z kolei człowiek głąz, który siedział obok Nikity musiał mieć przykazane milczenie, bo

lekko zsunął się w fotelu, opuścił daszek czapki na twarz i na tym skończył pogawędkę. „Jesteś głupia. Durna idiotka! Mogłam nie wsiadać do tego auta, Vasile by mnie zawiózł!” – żałowała swojej decyzji. Nagle coś sobie przypomniała: „telefon!”.

– Niki, masz ładowarkę do iPhone? – spytała.

– Dać jej? – mruknął kompan brata.

– Daj.

Musiała chwilę poczekać, zanim aparat załadował się na tyle, by można było go uruchomić. Wiera od razu zauważyła, że dostała mnóstwo wiadomości. Ping, ping, ping... – przychodziły jedna za drugą. Gdy przeczytała pierwszą, że kluczyki do kajdanek są w torebce, ukryte w kieszonce wewnątrz, aż nią zatrzęsło ze złości. „Czemu nie przeszukałam torebki?!”. Już miała to zrobić, ale wtedy...

Wtedy jej wzrok padł na kolejną wiadomość.

I kolejną.

I ostatnią.

\* \* \*

Można się było tego spodziewać. Nikita westchnął ciężko, zerknął na lustro wsteczne i pokręcił głową z dezaprobatą. „Ja pierdolę, zaraz oszaleję” – pomyślał. Wierka wyła, krzyczała i zawodziła. Próbował cierpliwie to znosić, ale kiedy wypięła się z pasów i rzuciła na niego z pięściami, co nieco utrudniało dalszą podróż, zahamował tak ostro, że smarkula przeleciała między siedzeniami i prawie wybiła głową przednią szybę.

– Zamknij się! – ryknął.

– Zabiłeś go!!! Ty pieprzony morderco!

Nikita nie zamierzał się patyczkować, chwycił Wierkę za włosy i mocno szarpnął.

– Zamknij pysk! Nikogo nie zabiłem! – Gwałtownie odepchnął dziewczynę z powrotem na tylną kanapę. – Siedź tam i przestań szaleć, dość problemów narobiłaś!

– Daj jej spokój. – Rafał odpiął pas i wysiadł. – Otwórz drzwi z tej strony! – krzyknął, bo oba zamki były zablokowane. Usiadł obok Wiery, nie bacząc na atak jej drobnych piąstek. Z niewielkim trudem

zapiął jej pasy i mruknął do Nikity, że może jechać dalej. – Już dobrze – powiedział do dziewczyny.

Jej ciałem co rusz wstrząsał szloch, próbowała coś mu powiedzieć, lecz nie był w stanie zrozumieć ani słowa, nie dość, że Wierka mówiła po rosyjsku, to jej głos był zniekształcony przez płacz. Nie żeby Rafał musiał wiedzieć dokładnie, co mówiła. Rozpacz wylewała się z niej strumieniami łez, a na tę powódź nikt nie wymyślił skutecznej tamy czy zapory. Taki żal mógł wyleczyć jedynie czas.

– Już dobrze – powtórzył, kiedy trochę się uspokoiła. – Chcesz coś pić?

– Nie. Zabiłeś go!!! – wrzasnęła, ale tym razem Nikita już nie zareagował.

– Spokojnie. – Rafał na wszelki wypadek chwycił jej obie ręce i unieruchomił skuteczniej niż para kajdanek. – Przestań, bo zrobisz sobie krzywdę.

– Ja już mam krzywdę! On mi ją zrobił! To wszystko przez niego!!! – Znowu zaczęła szlochać. – Jak mogłeś, Niki?! Nie masz serca!

„Co racja, to racja” – pomyślał Snarski. On sam jeszcze nie doszedł do pełnej równowagi po ostatnich wydarzeniach, a kiedy przypomniawszy sobie treść wiadomości wysłanych przez Brunona, mógł w pełni zrozumieć emocje, które targwały dziewczyną. Była jeszcze młoda, ileż ona mogła mieć lat, gdy brała ślub z Doneckim? To też wpłynęło na równowagę psychiczną Wierki. „Biedny dzieciak” – pomyślał, spoglądając na nią z obawą, że nie podniesie się po tym nieszczęściu. Zabrał rękę i wyciągnął z bocznej kieszeni bojówek manierkę, miał w niej setkę czystej wódki. Właśnie mogła się przydać.

– Przeczytaj! No czytaj, co mi napisał Bruno! – Wierka wykorzystała chwilę nieuwagi Rafała i wydobyła spod siebie smartfona. – Widziałeś?! No czytaj! – Podstawiła Rafałowi pod nos swój telefon. – To Niki go zabił! Zastrzelił go!

– Wypierdol ten telefon. – Nikita opuścił obie tylne szyby, wiatr wpadł z impetem do środka range rovera i ogłuszył wszystkich. – Wywał go!

Smartfon wylądował w przydrożnym rowie. Istniała duża szansa, że zostanie tam już na zawsze.

– Mogłem nie dawać jej ładowarki – słusznie zauważył Rafał, spełniwszy polecenie Nikity. – Zamknij okna – powiedział.

– Jesteś takim samym śmieciem jak on. – Wierka wbiła w Rafała mordercze spojrzenie. – Takim samym, słyszysz? – Wcześniej mieszała polskie i rosyjskie słowa, ale teraz wygłosiła oskarżenie czystą polszczyzną. – Bandyta, morderca, tępą pacholek mojego brata.

– Dość. Wystarczy. – Nikita pokręcił głową. – Nie chcę jej słyszeć – powiedział cicho.

– Nie będę cicho! Zastrzel mnie! No już! – ryknęła, lecz wtedy jej usta zostały dosyć solidnie zatkanie masywną dłońią Rafała. Próbowwała go ugryźć, ale znał podobne sztuczki i nie pozwolił na to.

W końcu Wiera odpuściła. Zapadła się w sobie, zamknęła oczy, skuliła na siedzeniu, a łzy płynęły i płynęły, jakby nigdy nie miały przestać. „Czemu muszę na to patrzeć?” – spytał w duchu Rafał. Wiedział na co się pisze, przyjeżdżając do Szwajcarii, a potem biorąc udział w dzisiejszej akcji kierowanej przez Doneckiego. Mógł śmiało założyć, że wydarzy się tragedia, ktoś zginie, ktoś zostanie pogrążony w rozpacz, taka branża. „To wszystko jest chore” – bezradnie zacisnął szczęki. Wolał milczeć, zatrzymać w sobie cały gniew i ból, który znowu szarpał jego sercem, które musiałyby być z kamienia, żeby móc zignorować wielkie nieszczęście, koniec świata, który właśnie przytrafił się młodej niewinnej dziewczynie. Miała pecha już od momentu swoich urodzin. Już wtedy jej los został przypieczętowany.

– Dokąd jedziemy? – spytała po prawie godzinnym milczeniu.

– Do Bukaresztu – wyjaśnił Rafał. – Myślałem, że śpisz.

– Nie spałam. – Pociągnęła nosem. – Jak mam spać? Po tym wszystkim? – Załkała żałością. – Po co tam jedziemy?

– Stamtąd polecimy do Lozanny.

– Po co do Lozanny? Co tam jest?

– Mieszkam blisko Lozanny – odpowiedział dotychczas milczący Nikita. – Tam cię zabieram. Na razie – dodał po chwili.

– Nie jestem paczką, żebyś mnie zabierał – fuknęła.

„Oho, znowu się zaczyna”. Rafał ciężko westchnął. Wyraźnie tych dwoje nie było w stanie funkcjonować razem, nie kłócąc się i nie spierając ze sobą. Inna rzecz, że lepszy był gniew niż totalna rozpacz

i obezwładniająca tęsknota. To wszystko mogło zabić nawet twardziela, wyssać resztki energii i sprawić, że człowiek kawałek po kawałku umierał w środku.

Właśnie tak się czuł przez pierwsze miesiące po stracie Kacpra i Weroniki. Jakby miał w sercu wielką dziurę, która z czasem pochłonie wszystko. Dzień po dniu umierała jego dusza, ulatywał sens życia, to, co stanowiło całe jego jestestwo. Ale była nadzieja, on sam mógł zaświadczyć, że czasami możliwe jest zmartwychwstanie, niestety, jedynym remedium na ból po stracie była miłość, a tej nie każdy doświadczał. Nie każdy miał tyle szczęścia co on.

– Potrzebujesz czasu – powiedział cicho. Spojrzał na Wierę, wsunęła obie dłonie pod pachy, widocznie było jej zimno. Co gorsza, na jednym z nadgarstków nadal błyszczała bransoleta kajdanków, twarde krawędzie otarły skórę do krwi. – W torebce masz kluczyk, daj – poprosił.

Bez słowa podała mu torebkę, znalazł kluczyk i wprawnie rozpiął bransoletę.

– Trzeba to zdezynfekować. Masz tu jakieś perfumy? Może być dezodorant.

– W dupie mam dezynfekcję. – Wiera potarła obolały nadgarstek.

– Może jeszcze każesz mi założyć pieprzoną maseczkę? – piła do zasad bezpieczeństwa, ogłoszonych w prawie każdym europejskim kraju.

– Nie, nie każę. – Zaśmiał się cicho. – Ale czymś to trzeba przemyć.

Wprawdzie nie znalazł w torebce Wierki nic na bazie spirytusu, ale została jeszcze resztką wódki. Lepsze to niż nic. Chwycił dłoń dziewczyny i ostrożnie wylał alkohol na rany po kajdankach.

– Szczypie! – Wierka wyrwała rękę.

– Poszczypie i przejdzie.

– Mogłam to wypić, przynajmniej byłby jakiś pożytek.

– Proponowałem – przypomniał.

Wierka wzruszyła ramionami. Owszem, ten śmieszny brodac zapytał, czy chce się napić, ale nie było mowy o wódce.

– Daleko jeszcze? – Spojrzała w lusterko wsteczne, by nawiązać kontakt wzrokowy z bratem.

– Niecała godzina i będziemy na miejscu.

– Na lotnisku – doprecyzował Rafał.

– I tak ucieknę, Niki. – Wierka buńczucznie zadarła brodę. – Z tej twojej pieprzonej Szwajcarii. Zobaczysz. Jeszcze nie wiesz, na co mnie stać.

– Wiem aż nadto dobrze – burknął Nikita, a gdy zorientował się, że jego siostra nie zamierzała na tym skończyć, pogłośnił radio. Na marginesie, audycja była świetna, nawet zerknął na wyświetlacz, żeby poznać nazwę stacji. – Radio KISS – przeczytał cicho.

– Ona też tam jest? – Wiera musiała podnieść głos, żeby Nikita ją usłyszał. – Ta gruba ruda Polka? Jest twoją kochanką, prawda? Ponoć urodziła ci dzieciaka. – Specjalnie mówiła po polsku, żeby kompan Nikity mógł zrozumieć. – Masz kiepski gust, Niki. Mogłeś sobie znaleźć naszą dziewczynę, a nie jakąś biedę z Polski.

– Waż słowa – warknął Nikita. Na moment odwrócił głowę, by z niepokojem zerknąć na Snarskiego.

Dobrze się domyślał. Takie słowa musiały wywołać reakcję.

Rafał bezwiednie zacisnął pięści, a na jego policzku zadrżał mięsień. „Trudno cię polubić, dziewczyno”. Powoli zaczynał rozumieć Doneckiego, Wierka była wyjątkowo uciążliwym typem, nieprzyjemna, arogancka i pyskata. Ale nadal zachował dla niej odrobinę współczucia oraz zrozumienia, może przez pamięć własnych przeżyć. Po stracie rodziny też był chamski, ranił wszystkich wokół, częstokroć ludzi, którzy chcieli mu pomóc. Choćby ciotkę Kryskę. Potraktował ją wtedy okrutnie, odciął się, zniknął, a przecież ona też cierpiała. Opłakiwała Weronikę i Kacpra tak samo jak on.

– A ty? – Skupiła swoją uwagę właśnie na Rafale. – I po co tu jesteś? A wiem, jesteś przydupasem mojego brata, kolesiem od brudnej roboty. Przyznaj, Niki strzelał, ale ty kopalesz grób. Co? – Wzgardliwie wydeła wargi.

Nikita przekręcił potencjometr i całkiem wyciszył radio. Nie zamierzał przekrzykiwać się z siostrzyczką.

– Posłuchaj, *tupica* – zaczął spokojnym tonem. – Albo natychmiast się zamkniesz, albo resztę podróży spędzisz w bagażniku. Najpierw tutaj, z tyłu, potem, w samolocie, w luku bagażowym. Zwiążę cię lub mój przydupas to zrobi, a uwierz, przed

chwilą dałaś mu mocne powody, żeby potraktował cię jak ostatnią szmatę.

– Pieprz się, Niki. – Oczy Wierki zwęziły się w szparki. – Możesz mnie związać, zakneblować i wyrzucić do rowu jak mój telefon, mam to w dupie. I tak powiem wszystkim prawdę, tej grubej rudej zdzierze też.

– *Job twoju mat’!* – Nikita uderzył dłonią w kierownicę. – Weź ją czymś zatkaj, bo nie zdzierzę! Chcesz się zamienić miejscami? – spytał, kierując propozycję do Snarskiego.

– Nie trzeba – mruknął Rafał.

– Szkoda.

Już on dałby sobie radę z Wierką, uciszył ją skutecznie, zatykając jej usta czymkolwiek, choćby majtkami, zwiniętymi w kulkę, które najpierw zdarłby jej z tyłka. Lecz to było niczym wobec myśli i uczuć, które wypełniały głowę i serce Snarskiego...

– Ta ruda zdzira, jak ją nazwałaś, kiedyś była moją żoną – wychrypiał Rafał. – Nie waż się więcej używać takich słów wobec niej, bo spełnię prośbę twojego brata.

Łudził się, że Wierka skończy temat, zamilknie i da wreszcie spokój. Jemu, Nikicie, samej sobie. Niestety, sromotnie się mylił.

– Tak? – Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. – Nie! Nie wierzę. – Pokręciła głową. – I co ty tu robisz? Na rozum ci padło? A! – krzyknęła z tryumfem. – Kupił cię! *Podonok!*<sup>3</sup> Ciekawe, ile hajsu dostałeś za swoją starą, pewnie niedużo. – Prychnęła ze wzdargą.

Nagle jakiś wakacyjny hit ryknął z głośników, ale nie był w stanie zagłuszyć wycia silnika. Nikita wcisnął gaz do dechy. Rozsadzała go furia. Rozważał zjazd na pierwszą lepszą stację benzynową i pozostawienie tam tej idiotki. Niech sobie radzi. Jeśli Grizzly chciał sprzedać Wierkę jakiemuś pojebowi z Japonii czy Chin, proszę bardzo, wyśle namiary na stację benzynową i jeszcze dopłaci mu za fatygę.

Z emocjami Rafała nie było wiele lepiej. Uświadomił sobie, że w pewnym sensie historia zatoczyła koło, powtórzyła się jak w dniu świstaka. „Wierce też dasz w końcu jakąś pierdoloną pigułkę, żeby się uspokoiła?”. Nie odrywał wzroku od zagłówek kierowcy. „Uciszysz ją tak skutecznie, jak zrobiłeś to z Weroniką?” – zadawał



bezgłośnie pytania. W tym momencie nienawidził Doneckiego bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej.

Najchętniej opuściłby samochód, pożegnał się z Doneckim i jego walniętą siostrą. Mógł stąd wrócić do Polski choćby na piechotę, a stamtąd polecieć do Luizy i do małej. „Dasz, kurwa, radę!” – warknął na siebie w duszy. Musiał się ogarnąć. Taka smarkula nie mogła go sprowokować. To było cholernie trudne, ale nie potrafił zostawić Wiery bez opieki. Musiał nad nią czuwać, przynajmniej na razie, póki nie dotrą do Szwajcarii. Wtedy zasugeruje Nikicie, by odesłał Wierkę do Katii, tam powinna być bezpieczna.

Na szczęście już dotarli do obwodnicy Bukaresztu, stąd do lotniska było już niedaleko. Nikita ściszył radio, poinformował, że za kwadrans będą na miejscu i kazał Wierce się ogarnąć.

– Nie histeryzuj, bo będą kłopoty – ostrzegł.

Posłuchała. Już nie chciało jej się płakać, była nieludzko głodna i chciało jej się siku, ale nie pisnęła ani słówka, żeby nie drażnić Nikity. Czuła, że przegięła. W sumie to było jej głupio, bo nieświadomie uraziła brodacza, a wydawał się okej, w końcu nic złego jej nie zrobił, przeciwnie, widać było, że chciał pomóc. „Wypadałoby go przeprosić”. Zerknęła z ukosa na Rafała, lecz on od dłuższej chwili klepał coś w komórce. „Pewnie pisze do rudej” – pomyślała, ale zaraz uznała, że to głupota. Skoro Weronika była teraz z Nikitą, brodaty wielkolud musiał odpuścić. Co jak co, ale jej popieprzony braciszek nie lubił się dzielić kobietami, nawet nią, żoną na papierze.

Samolot już czekał. Nie rozpoznała go, widocznie Niki musiał coś wyczerterować. Szybko zajęli miejsca, siedzieli w małej salonce, niezbyt luksusowej jak na doświadczenia Wiery. Podróżowała lepszymi maszynami, ale poczęstunek dali pierwsza klasa, najadła się do syta. Najpierw jednak skorzystała z toalety. Kiedy spojrzała w lustro, z obrzydzeniem stwierdziła, że wygląda jak monstrum: zaryczana, brudna na twarzy, w przepoconych ciuchach.

Zdażyła zauważyć, że Niki zabrał do samolotu pokaźną sportową torbę. Pamiętała ją, to była torba Brunona. Aż ścisnęło ją w dołku, ale postanowiła już nie zadawać żadnych pytań, nie żeby liczyła na odpowiedź. Jej ojciec zawsze powtarzał: „im mniej wiesz, tym bezpieczniej dla ciebie”. Niby racja, przeważnie stosowała się do tej

radę, ale nie zawsze się dało. Była ciekawa, czemu żona Rafała odeszła od niego, wyprowadziła się z Polski i co robiła w Edenie. Bardzo możliwe, że została tam przywieziona siłą, wcale nie zdziwiłoby to Wierki. Znała te metody, w końcu była córką prawdziwego mafioza, wyssała je z mlekiem matki.

– Można tu gdzieś się zdrzemnąć? – spytała po angielsku stewarda, który zbierał puste naczynia ze stolika, przy którym w trójkę zjedli posiłek.

Chłopak spojrzał na Nikitę, a ten pokręcił głową.

– Wyśpisz się na miejscu – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wolał mieć Wierę na oku.

– Jesteś wredny – fuknęła. Założyła ręce na piersiach i przeniosła wzrok na Rafała. Niestety, konsekwentnie ją ignorował. Właśnie przeglądał kartę win, zachowywał się, jakby nikogo tutaj nie było, zwłaszcza jej, Wierki. – Przepraszam. – Nawet nie drgnęła mu powieka, powtórzyła więc nieco głośniejszym głosem: – Przepraszam.

Nikita zachichotał pod nosem, ciekawy, jak skończy się ta sytuacja. Pierwszy raz w życiu słyszał, że Wierka kogoś przeprosza. Inna rzecz, że to było u nich rodzinne: problem z wypowiedzeniem tego jednego krótkiego słowa. Ich ojciec nigdy nie przeproszał, nigdy przynigdy. Nikita dopiero przy Weronice nauczył się przeproszać, zwłaszcza ostatnio miał dużo okazji do ćwiczeń. Niestety, przynajmniej na razie, Weronika była nieprzejeżdżalna. Poleciała do Katii, nie oddzwaniała i nie odpowiadała na wiadomości. Cóż, zawalił. I to na całej linii.

– Ej! Mówiłam coś! – zniecierpliwiła się Wierka.

– Słyszałem. – Snarski odłożył kartę win, splótł palce i ułożył dłonie swobodnie na brzuchu. – Przeprosiny przyjęte. – Skinął lekko głową.

– Byłam zdenerwowana.

– Jasna sprawa.

– To przez niego. – Wiera zgarbiła się, jakby Niki usiadł właśnie na jej plecach. – Spokojnie. Nie będę wrzeszczeć. – Spojrzała na brata.

– To raczej w twoim interesie. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Dureń. – Przewróciła oczami.

– Radziłbym spuścić z tonu. Tu możesz pyskować, ale na miejscu, w moim domu – podkreślił ostatnie słowo – masz być grzeczna, miła

i rozsądna.

– Grzeczna, miła i rozsądna, ple, ple, ple... – Wykrzywiła buzię, czym rozbawiła Rafała.

Parsknął, myśląc przy tym, że ta ładna młoda blondynka, szczupła i delikatna, ma w sobie więcej siły niż niejeden koleś pokroju Doneckiego. „Ma dziewczyna jaja” – przyznał. Przed paroma godzinami straciła chłopaka, mógł tylko spekulować, jak wyglądał ich związek, ale bez wątpienia tych dwoje: Niżyńskiego vel Brunona i Wierkę, łączyło uczucie. Przypomnił sobie treść wiadomości, którą wysłał Bruno i znów coś urosło mu w gardle. Jakże samotny musiał się wtedy czuć. Samotny i bezradny.

– Ona tam będzie? – Ni to spytała, ni stwierdziła, patrząc na brata. – No wiesz, ta laska. Weronika. – Postarała się nadać głosowi neutralny ton. W końcu co była winna ta kobieta? Już wystarczająco ją pokarało, bo Niki zwrócił na nią uwagę. „Biedaczka, fatalnie wybrała. Brodaty jest tysiąc razy lepszy. Ciekawe, czemu go olała, muszę to wiedzieć”.

– Weronika jest u Katii.

– O. – Usta Wierki ułożyły się w zgrabne kółko. – A czemu? – Przenosiła wzrok to na Nikitę, to na Rafała. – No tak. Dzięki, że się tym ze mną podzieliliście – wypluła z drwiną. – Pewnie miała cię dość. – Uśmiechnęła się szyderczo do Nikity. – Czemu mnie to nie dziwi.

– Nie twój interes – odparł.

– Nie mój. – Wzruszyła ramionami. – A może... – Nagle coś przyszło jej na myśl. – Może ona chce ślubu? – spytała z lisim uśmieszkiem.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś – powiedział ze spokojem Nikita. – Musimy unieważnić nasze małżeństwo. Chciałem to załatwić bez ciebie, ale...

– Się nie dało – dokończyła z satysfakcją. – I się nie da. Co ty na to? – Oparła plecy o wygodne oparcie fotela i założyła nogę na nogę.

– Nie zamierzam niczego ci ułatwiać. Nic a nic. Zapomnij.

– Jeszcze zobaczymy. – Nikita bynajmniej się nie przejął.

Wiedział, że bez Wierki może załatwić przecięcie węzła, w który wplątał go ojciec. Na pewno wymagało to więcej zachodu, powołania świadków i innych komplikacji, ale było do zorganizowania. Nikita

miał kilku świadków: Katię, matkę Wierki i doktor Sonię Ziemińską, lekarzkę, która opiekowała się Wierką, kiedy ta zachorowała na białaczkę, ale nawet jeśli te trzy kobiety odmówiłyby pomocy, została dokumentacja medyczna. Teczka z wynikami badań genetycznych spoczywała bezpieczna w sejfie, w domu Nikity. Wystarczyło przedstawić wyniki badań w cerkwi, wyznać duchownym, że ślub odbył się pod przymusem, że on i Wiera nigdy nie skonsumowali małżeństwa i całość podsypać obficie złotem, by odzyskać wolność.

– No właśnie, zobaczymy. – Wierka spojrzała na niego jak na insekta.

– Wiesz, co ty możesz? Całe nic. Zero.

– Sam jesteś zero, Niki!

Miała coś jeszcze dodać, ale do salonki wszedł steward. Przyniósł wodę i przekąski.

– Teraz ja spróbuję – mruknął Rafał. – Można się tutaj zdrzemnąć w jakimś spokojnym miejscu? – zwrócił się do młodego mężczyzny po angielsku. – Byłbym wdzięczny.

Nikita ryknął śmiechem.

## Rozdział 17

Będzie krótko. – Katia nie zamierzała bawić się w ceregiele. Poznał to po jej głosie. – Rusz dupsko, Niki, i przyjedź tu, inaczej masz po związku. Po wszystkim, rozumiesz? Ona cię zostawi na amen, już przebąkuje, że chyba wróci do Polski, bo nie chce być dla mnie ciężarem.

– Ciężarem? – Nikita klepnął się w czoło.

Co ta durna Katia bredziła? Weronika była najmniej absorbującą kobietą świata, nie wymagała żadnej opieki ani troski, równie dobrze Nikita mógł zwolnić cały personel ich willi. Weronika na pewno zajęłaby się domem, kuchnią i nawet ogrodem.

– Chodzi o kasę, czy jak? – Nie umiał wyczuć kontekstu.

– Chodzi o wszystko. Ona zawsze była spokojna, taka trochę przytrzymana, wiesz o co mi chodzi.

– Założmy – mruknął. Wcale nie uważał, że Weronika jest przytrzymana. Owszem, daleko jej było do temperamentu Katii, o Wierce nawet nie wspominając, ale nie każda baba musiała być heterą i gadułą, jadaczką klepiącą od świtu do nocy.

– Mam w domu zombie! – wrzasnęła Katia.

O, właśnie. Właśnie tak zachowywała się baba hetera. Nikita aż się skrzywił, gdy zacharczało w głośniku. Ostatnio Katia była okropnie nerwowa, a on nie miał pojęcia czemu. Ale ostatnią rzeczą, którą chciałby zrobić, to poddać analizie zachowanie siostry.

– Weźże się ucisz – burknął, bo Katia zaczęła nadawać, że Weronika ma doła, jest radosna tylko wtedy, gdy zajmuje się Mikołajem, a kiedy malec idzie spać, łązi po domu, snuje się jak duch, i potem jest półprzytomna.

– Masz ruszyć dupsko – warknęła. – Przyjedź po nią.

– Nie mam dupska – zaprotestował, bo drugi raz użyła tego okropnego określenia, a co jak co, ale miał całkiem niezłą, wąską i umięśnioną dupę. – I po co mam przyjechać? Przecież nie zgodziła się na spotkanie ze mną. Dzwoniłem wczoraj.

– Wiem, że dzwoniłeś. Nie musisz mi mówić, kiedy gadaliście ze sobą. Widzę to po niej. Za każdym razem, kiedy dzwonisz, Weronika jest potem jak w amoku. Ona tęskni. Tęskni tak, że nawet mnie to, kurwa, boli.

– Ale pieprzysz – jęknął Nikita, nie kryjąc irytacji. Odłożył telefon na blat biurka, przełączył na tryb głośnomówiący i sięgnął po butelkę z wódką. Właśnie nalewał sobie trzecią setkę, a nie minęło nawet południe. Rano, zamiast zająć się robotą, musiał ogarnąć młodszą siostrunię, bo zrobiła awanturę kierowcy, który nie chciał jej w tajemnicy przed Nikitą zabrać do Buchillon, a teraz wysłuchiwał od starszej. – Przyjadę – powiedział, upiwszy solidny łyk wódki.

– Kiedy?

– Muszę kogoś ustawić, żeby warował przy tej wariatce, Wierce. Co chwilę odwala jakiś numer.

– Poproś Rafała. – Katia sądziła, że u Nikity nadal przebywa były mąż Weroniki.

– Już dawno wrócił do siebie, na wyspę. Będzie ze dwa tygodnie jak poleciał. Na rozum ci padło? Facet ma rodzinę, kobietę, dziecko, po co ma tu siedzieć?

– A ty nie masz rodziny. Ani kobiety, ani dziecka. Karma wraca, Niki. Jak ty rodzinie, tak rodzina tobie.

– Co?! – Aż nim szarpnęło. – Ciekawe, ale nie kojarzę, bym zrobił krzywdę tobie czy Wierce. No, może prócz zgody na ten debilny ślub.

– Już miał dodać, że Wierka to istna suka, bo konsekwentnie odmawia mu zgody na stwierdzenie nieważności ich papierowego małżeństwa, ale ugryzł się w język. Nie chciał dać Katii okazji do dalszych złościwości.

– To kara boska, Niki. I nie musi być konkretna, tylko za całokształt.

– Znalazła się święta.

– Tak, jestem święta! – wrzasnęła. – W tym roku sama się nominuję do pieprzonej nagrody Nobla, wiesz w jakiej kategorii?!

Chciał wtrącić, że z dziedziny ekonomii i potem głośno zarzęć, bo Katia nie zrezygnowała z kursów zorganizowanych przez ich nieżyjącego ojca, ale uznał, że to będzie wybitnie chamskie. Nie radziła sobie dziewczyna, zwłaszcza z matematyką i pokrewnymi

przedmiotami: ekonomią, statystyką i rachunkowością. Widocznie nie miała do tego głowy.

– Do pokojowej się zgłoszę! – dokończyła, rozbawiając go prawie do łez.

– O chuju złoty... – wykrztusił. – Okej, będę na ciebie głosował.

– Nie będziesz w jury, kretynie.

– E tam. – Ziewnął, bo zaczęła go nudzić pusta wymiana zdań, nawet jeśli głośnik jego telefonu komórkowego co rusz charczał pod wpływem zbyt silnych dźwięków. – Na razie, siostra. – Rozłączył się.

Załatwił opiekę nad Wierką, ostrzegł Borysa, że ma nie odstępować jej na krok. „Gdzie Wierka, tam ty, nawet w kiblu” – pouczył z nadzieją, że Borys się spisze, był młody, czujny i posłuszny jak pies. *Formatny* chłopak.

Poleciał bezpośrednio na Krym, w Edenie zjawił się późnym popołudniem. Od razu Katia go dorwała, dała jeść, pozwoliła na krótki odpoczynek, a w tym czasie zorganizowała mu *schodkę*, czyli sam na sam, z Weroniką. Katia zdecydowała, że tak będzie lepiej. Chciał najpierw zobaczyć się z synkiem, ale uznała, że poczeka do rana. „Na to przyjdzie czas”.

– Idź tam. Olka jest w swoim starym domku. – Często się zapominała i używała imienia, które nadał Weronice ich ojciec.

– Skończ mną dyrygować – odparł.

Żałował, że tu przyjechał. Czuł, że nic nie osiągnie. Męczył go spór z Weroniką, ale nie miał odpowiednich narzędzi, by go zakończyć. Na Weronikę nie działał przymus, była jak ściana z waty – nie do przebiccia.

– No idź.

– Idę.

\* \* \*

Dobrze było mieć trochę czasu tylko dla siebie, ale Weronika już odwykła od swobody, którą się cieszyła, zanim została matką. Katia zabrała Mikusia i oznajmiła stanowczym tonem, że powinna odpocząć, zrelaksować się w bani albo wziąć długą kąpiel. Pomyślała nawet o miłych dodatkach, sprezentowała jej śliczny biały koszyk wypełniony najdroższymi francuskimi kosmetykami. „Rozpieść się”

– powiedziała przyjaciółka. Weronika podziękowała i nawet przybrała na twarz coś, co miało przypominać uśmiech. „Dzięki, że zajmiesz się Mikusiem”. Przy Katii zajrzała do środka, rozwinęła cienką bibułę, pooglądała buteleczki i flakony, i odstawiła koszyk na komodę. Stał tam do teraz.

Nie chciała iść do bani. To miejsce kojarzyło jej się tylko z Nikitą, a o nim chciała zapomnieć. Co do kąpieli – wolała szybki prysznic, natomiast francuski balsam do suchej skóry, nawet najlepszy i najdroższy, nie działał kojąco na duszę. Dlatego ogarnęła domek, uprzątnęła w pokoju, w którym spała, zmieniła pościel i nastawiła pranie. Wyjęła z suszarki czyste ubrania i poskładała w idealnie równe kostki. Nastawiła również prawie pustą zmywarę – w środku były tylko kubki i parę talerzyków oraz miseczka, z której Mikołaj codziennie jadł zupkę, a potem ręcznie umyła butelki. Kończyła układać ubranka Mikołaja, kiedy dobiegło ją ciche skrzypnięcie drzwi. Odetchnęła z ulgą – „nareszcie koniec”. Miała dość panującej w domu martwej ciszy, dokuczliwej mimo odgłosów wydawanych przez zmywarę.

– Nikita... – wychrypiała, gdy dostrzegła, kto przyszedł.

Poczuła w sercu ukłucie zawodu, bo Katia musiała to ukartować, pozwolić na ich spotkanie bez żadnych świadków, bez tarczy ochronnej w postaci synka. Gdyby go teraz miała przy sobie, byłoby łatwiej stawić czoła emocjom. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaka jest słaba i jak mocno tęskniła za Nikitą. Nie potrafiła zapanować nad przyspieszonym oddechem, nad krwią, która wypełniła każdą komórkę skóry twarzy. Czuła, że poczerwieniała, a pachy oblał pot.

„Boże, jak on wygląda” – jęknęła w duszy.

Nikita miał na sobie ciemne dżinsy, ciasno opinające uda, do nich włożył czarną koszulę – lekko rozpiął ją pod szyją i podwinął rękawy, ukazując umięśnione przedramiona. Weronika prześlizgiwała wzrokiem po całym tym samczym wizerunku, czując, że miękną jej nogi. Musiał niedawno wziąć prysznic, jego włosy lekko się skrzywiły pod wpływem wilgoci, a od ciała bił upojny zapach ulubionej wody toaletowej.

– Dzień dobry. – Lekko skłonił głowę.

– Co ty tu robisz? – spytała, chociaż odpowiedź była oczywista i wcale jej nie zaskoczył, gdy odparł:



– Przyjechałem po was.

– Nie. – To było łatwe, powiedzieć to jedno słowo, ale co później? Nikita podszedł bliżej. Odruchowo się odsunęła, niestety, nie było drogi ucieczki. Dotknęła plecami drzwi szafy, skrzyżowała ręce na piersiach i na tym musiała poprzestać. – Ale ja nie chcę wracać.

– Nie? – mruknął. – Powiedz, dlaczego? Ile jeszcze mam czekać? I po co ta zwłoka? – Jego głos wypłynął głęboko z trzewi, był niski, groźny i władczy, wprowadził ją w panikę.

Wzięła naprędce głęboki wdech, zatrzymała na chwilę powietrze w płucach, żeby dać sobie czas, ale nie pomogło. Właśnie się rozsypała, uświadomiła sobie, że nie ma żadnych szans w tej konfrontacji, a jeśli nawet jakąś miała, to wszystko spieprzyła. „Weź się w garść!” – huknęła na siebie w myślach. Przymknęła oczy, przywołała w pamięci chwilę, kiedy Rafał stał się z Nikitą. Widziała to, słyszała byłego męża, wykrzykującego słowa gorzkiej prawdy: to Nikita rozwalił ich życie. Nikita i jego ojciec.

Ale...

Już dawno to przetrawiła. Zaraz po jej przyjeździe tutaj, do Edenu, Katia poprosiła o rozmowę. Powiedziała szczerze i bez ogródek, co myśli o roli Nikity i ojca w całym dramacie, który spotkał Rafała i jego rodzinę, bynajmniej nie wybielając brata. Jego wina była bezdyskusyjna – zgodził się na przeprowadzenie akcji, a potem zataił przed Weroniką fakty. Właśnie to najbardziej bolało. To było najgorsze – Nikita nie powiedział jej całej prawdy.

– Niki... – Otworzyła oczy. Stał zaraz przed nią, prawie dotykając torsem jej ciała. – Nie potrafię ci zaufać. Boję się, że... Że to nam nie wyjdzie. – Nagle poczuła przypływ sił. To nie była dobra energia, raczej zła, wynikająca z długo skrywanego gniewu i rozżalenia. Tłumiła ją w sobie miesiącami, najpierw, kiedy Nikita ją odrzucił, pozwolił, by jego ojciec odprawił ją do Polski, i teraz, podczas kilku długich tygodni, spędzonych w jej starym więzieniu. – Ile jeszcze mam znieść? Ile razy przekonam się, że jestem tylko twoją zabawką?

– Nie jesteś żadną pieprzoną zabawką. – Zacisnął szczęki. – Nie bawię się tobą, nigdy nie bawiłem.

– Tak?! – Aż nią zatrzęsło. – To co tutaj robisz?

– Mówiłem, przyjechałem po was.

Odważyła się na ruch – wyslizgnęła spomiędzy Nikity a drzwiczek szafy i szybko przeszła na drugi kraniec sypialni. Najchętniej w ogóle by stąd wyszła, w kuchni było więcej możliwości zachowania dystansu – wystarczyło usiąść przy stole, by zbudować przed sobą mur, ale Nikita stał niedaleko drzwi wyjściowych. Szybko zdała sobie sprawę, że to był zły ruch – zapędziła się w ślepy zaułek. Nikita znowu podszedł bliżej, ale ku jej zaskoczeniu, nagle się zatrzymał i usiadł na łóżku, zachowując odstęp dwóch metrów. Odetchnęła z ulgą.

– Masz rację – wychrypiał po dłuższym milczeniu. – Zawaliłem. Powinienem od razu ci powiedzieć, jeszcze tam, w Polsce. Gdy byłaś u tych ludzi. Źle to wyszło. Przepraszam.

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie nic z siebie wydusić, ale tylko sam Bóg wiedział, ile kosztowała ją ta konfrontacja.

– Już mnie ukarałaś. Jesteś tutaj, a ja... a ja tam. – Wzruszył ramionami. – Znowu osobno. – Musiał prawidłowo odczytać, co właśnie chciała wykrzyczeć: „To ty, Niki, byłeś odpowiedzialny za nasze pierwsze rozstanie. Za drugie też”, bo dodał: – Moja вина, nie przeczę. Ale... to zawsze ja wyciągam rękę do zgody. Zawsze ja. Przyjechałem po ciebie do Polski, a teraz tutaj.

Miał rację, lecz to niczego nie zmieniało. Złapała się na myśli, że czuje satysfakcję. Chyba wygrała tę potyczkę. To ona była górą. Do niej należał ruch, mogła coś powiedzieć, mogła nie mówić nic. Mogła kazać mu iść do diabła, zakończyć definitywnie ich związek lub przystać na powrót do Szwajcarii. Nagły ciężar decyzji przygniótł ją i pozbawił resztek równowagi. Zmuszała się, żeby pamiętać o oddychaniu.

– Czego ode mnie oczekujesz? Że się zmienię? Nie. – Pokręcił głową. – Nie zmienię się. Taki jestem.

Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale zamiast tego wstał. Jego nogi nerwowo drgnęły – jakby nie potrafił zdecydować, jaki kierunek obrać: podejść do niej czy wyjść. Ostatecznie padło na to drugie. Wstrzymała oddech aż do chwili, kiedy usłyszała cichy odgłos zamykanych drzwi. Dopiero wtedy opadło z niej całe napięcie.

Sypialnię opuściła po długim czasie. Powłokła się do kuchni, nalała wodę do kubka i wypila duszkiem. W głowie wirowały myśli,

a gardło ścisnął żal, że to już koniec. Definitywny. Gdyby mogła cofnąć czas... Ale nie o godzinę. To za mało. Gdyby mogła się cofnąć dalej, do początków ich chorego związku. No właśnie. Oklapła na krzesło przy stole i popadła w zadumę: czy to wystarczyło? A może jeszcze wcześniej zaczęła się jej udręka? Już w klinice doktora Tomasza? Czy mogła uczciwie przyznać, że chciałaby zapomnieć Nikitę, tak samo jak zapomniała Rafała?

Rafał nic dla niej nie znaczył. Nawet gdy próbowała głęboko zanurzyć się w pamięci, zatracić w niej, sięgnąć chociażby odrobiny podświadomości, Rafał Snarski nie wywoływał w niej nawet jednej setnej tych emocji, których doświadczyła przed niecałą godziną. Był neutralny, chociaż musiała przyznać, że w odróżnieniu od rodziców, których również nie pamiętała, darzyła go zdecydowanie silniejszymi uczuciami. Polubiła go, czuła się bezpiecznie w jego obecności, nawet jeśli raz pozwolił sobie na wybuch gniewu. Mimo to miała głęboką pewność, że ten człowiek nigdy nie zrobiłby jej krzywdy, przeciwnie: zawsze stanąłby w jej obronie.

Krótką wizyta Nikity wyssała z niej wszystkie siły. Ułożyła ręce na blacie stołu, głowę wsparła czołem o splecione w palcach dłoń. Czuła zmęczenie. „Muszę zadzwonić do Katii, żeby przyniosła z powrotem Mikołaja, ale to za moment” – pomyślała. Bardzo możliwe, że zasnęła. W pierwszej chwili sądziła, że zapadła w bardzo głęboki sen, absurdalny – jak większość snów, bo skąd znowu miałby się tutaj znaleźć Niki? Na dodatek wyglądał, jakby właśnie zszedł z ringu po ostrej walce: jego dolna warga nabrzmiała krwią, lekko sączącą się z kącika ust, koszula poszła w strzępy, ale z jego oczu nie wyzierała zwierzęca wściekłość czy chęć mordy, raczej na odwrót: spokój i pełna kontrola.

– Boże... – jęknęła, podniósłszy głowę. – Co ci się stało?

– Nic, to nieważne.

Nieważne?! Chyba zwariował? Wstała z krzesła i podeszła bliżej.

– Jesteś cały poturbowany.

– Nic się nie stało. – Przeskakiwał wzrokiem między jej oczami. – Musiałem ochłonać.

– Pobiłeś kogoś? – Aż nią zatchnęło, gdy pomyślała, że Nikita wyszedł od niej i dał upust złości, robiąc komuś krzywdę.

– Mówilem, to nic. Krótki sparing z Miską Połozem.

Szybko odszukała w myślach imię przeciwnika Nikity. Miszka od lat był ochroniarzem, czuwał przy bramie wjazdowej Edenu, służył tu jeszcze za czasów ojca Nikity – facet liczył sobie ponad dwa metry wzrostu, miał posturę żubra i dłonie wielkości bochnów chleba. Wstrząsnął nią dreszcz, kiedy wyobraziła sobie tę bójkę.

– Ale po co?

– Musiałem... odreagować. – Chrząknął cicho, zapewne rozbawiony jej przerażoną miną.

– Pobiłeś Miszkę, żeby odreagować? – fuknęła, nie kryjąc poirytowania. – I co ci to dało?

Już wiedziała, że to nie sen, a Nikita właśnie zachował się jak gówniarz.

– To raczej Miszka naklepał mi po ryju, nie ja jemu. – Sprecyzował i dotknął ostrożnie dolnej wargi.

– Kto sieje wiatr, zbiera burzę. – Odwróciła się na pięcie, chciała wyjść z kuchni, ale zatrzymało ją zdecydowane i zupełnie pozbawione czułości szarpnięcie za rękę.

– Co robisz? – syknęła, czując, że tonie w mocnym uścisku obu rąk Nikity.

– To, co powinienem zrobić na początku – mruknął, wywołując gęsią skórę na całym jej ciele.

W chwilę znaleźli się przy blacie kuchennym. Obłą krawędź mebla wbiła się w brzuch Weroniki, kiedy Nikita mocno docisnął jej ciało. Jego dłonie szarpnęły dresowe spodnie, które miała na sobie i zsunęły w dół wraz z bielizną. Trzęsa się jak osika, ale nie miała odwagi zaprotestować, o ucieczce tym bardziej nie było mowy – Nikita ją przytłoczył, odebrał władzę w członkach. Słyszała, jak rozpina swój rozporek, czuła, że szamocze się z górą spodni, a potem jego palce bezceremonialnie wpychają się między jej uda.

– Nie biorę tabletek – wykrztusiła, kiedy wszedł w nią jednym zdecydowanym pchnięciem.

– To nic, najwyżej zajdziesz w ciążę – wydyszał.

Chciała odparować, powiedzieć, że ona też ma coś do gadania w tej kwestii, ale nie zdołała się oprzeć szaleństwu, które ją ogarnęło. Jeśli łudziła się, że jest wolna, potrafi żyć bez Nikity, zdążyła nabyć jakiejkolwiek odporności na jego ciało, na wszystko, co teraz z nią robił, była w błędzie. Jęknęła z rozkoszy, bo chwycił

mocno za jej pierś i prawie ją zmiażdżył w stalowym uścisku. Tego chciała, za tym tęskniła, właśnie to budziło ją w nocy i sprawiało, że nie mogła zasnąć – pragnienie.

Pótleżała na blacie, Nikita musiał wyczuć, że mebel boleśnie wgniata się w jej brzuch, dlatego osłonił go jedną ręką, podczas gdy druga dłoń nie przerywała ostrych, niemalże brutalnych pieszczot piersi. Z pchnięcia na pchnięcie wzmacniał ich siłę i tempo, były coraz głębsze, jakby chciał nadrobić stracony czas.

– Nie uciekniesz, zawsze będziesz moja – jęknął zza jej pleców. – Zawsze.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że bez względu na to, co zrobiłby Nikita, a raczej czego by nie zrobił, nigdy nie uwolni się spod jego wpływu. Jediną pociechę stanowiła myśl, że on również jest niewolnikiem ich uczucia. Była tego pewna, kiedy wykrzyczał sekundy przed orgazmem, że ją kocha, że nigdy nie pozwoli jej odejść, prędzej umrze, niż puści ją wolno. Dotarła na szczyt zaraz potem, jeszcze echo niosło za sobą ślady jego słów.

Musiała lekko odpłynąć, a kiedy się ocknęła, leżeli w sypialni. Nikita pozbył się porwanej koszuli, miał na sobie czarne bokserki, leżał na boku i gapił na nią z błogim uśmiechem. W takiej chwili trudno było sobie wyobrazić, że ten człowiek na jej oczach z zimną krwią zastrzelił swojego przyjaciela, potrafił zlecić czyjeś morderstwo albo pójść pod bramę i wdać się w spontaniczną bójkę z przeciwnikiem wyższym o głowę. Był zaborczy i pełen sprzeczności, czasami gniew sprawiał, że jego krew aż wrzała, czasem wręcz przeciwnie – zachowywał się, jakby zamiast serca miał bryłę lodu – wtedy naprawdę się go bała, ale kochała go bez względu na wszystko.

– Ale mi dobrze... – mruknął. Chwycił jej rękę, docisnął do ust i cmoknął głośno. – Idziemy spać. – Musiała drgnąć, wyczuł, że chce coś powiedzieć, dlatego dodał szybko: – O siódmej rano wyjazd.

– Jak to? – Weronika podniosła głowę, przy okazji właśnie się zorientowała, że Nikita pozbawił ją ciuchów i leży zupełnie naga na grubej puszystej narzucie.

– O siódmej mamy transport. – Sięgnął do wezgłowia i zgasił nocne lampki, wiszące nad ich głowami. – Śpimy.

– A Mikołaj? – Weronika po omacku odszukała krawędź kołdry.

– Katia go położyła. Już dawno śpi.

– Aha.

Czuła, że Nikicie udało się wślizgnąć pod kołdrę, po chwili przywarł do niej, przerzucił rękę przez brzuch i mruknął po rosyjsku: *wsio w pariadkie*. Wystarczyło pięć oddechów i zasnął.

– *Wsio w pariadkie?* – szepnęła do siebie, z trudem hamując śmiech.

Jakże mu zazdrościła tej prostoty emocji.

Za to też go kochała. Że był taki nieskomplikowany. Zero-jedynkowy.

## Rozdział 18

Weronika wróciła do domu. Nikita, gdyby mógł, całowałby ziemię po której stąpała, ale wiadomo, musiał powstrzymywać swoje zapędy, żeby nie wyjść na ostatniego pantoflarza i mięczaka. Obsypywał Weronikę prezentami, stroił w biżuterię, której nie nosiła, kupował ciuchy i perfumy – czekały w garderobie Weroniki na lepsze czasy, spędzał z nią i synem każde popołudnie oraz całą niedzielę. Powoli się układało, znowu spali razem – to było najważniejsze.

Ale nie może być idealnie.

Obecność Wierki uwierała jak bolący ząb, ale nie tak, żeby znów chciał się jej pozbyć na dobre. Najpierw zaproponował Katii, że będą na zmianę mieszkać z młodą. Pół roku Wierka spędzi u niego, drugie pół u Katii, na Krymie. Albo druga opcja: kwartalna. „Trzy miesiące to nic, zlecą, nawet nie zauważysz” – wmawiał starszej siostrze. Nie dała się nabrać. Odmówiła, zresztą nawet gdyby się zgodziła, Wiera nie chciała tam jechać. Z dwojga złego wołała być tutaj, w Szwajcarii. Rozwahał nawet odesłanie smarkuli do matki. W końcu to ciotka Magda powinna była zainteresować się wreszcie córką.

Ta... Pobożne życzenia. Ciotka posłała go w diabły. Stwierdziła, że skoro Nikita ożenił się z Wierą, niech teraz pije piwo, którego nawarzył. „Ona ma do mnie żal, nie przyjedzie tutaj. Nie chce nawet ze mną rozmawiać, a ty próbujesz ją do mnie posłać?” – złagodziła ton pod koniec rozmowy telefonicznej. „Przecież zaraz znowu ucieknie, a ja nie mam nerwów, żeby drugi raz przechodzić to samo”. Fakt, ciotka Magda truła mu głowę bez ustanku. Jako jedyna naprawdę martwiła się o młodą, najpierw zawracała głowę ojcu Wiery, Wasylowi, a potem Nikicie. Gdy dowiedziała się, że odnalazł Wierkę, żywą i zdrową, pojechała do Polski, do Częstochowy, żeby podziękować Bogu za odnalezienie córki.

Nawet jej trochę żałował. Po śmierci wuja Olega ciotka Magda bardzo się zmieniła, próbowała żyć skromnie, zajmowała się domem i Kostią, a w wolnych chwilach działała w kilku organizacjach

charytatywnych. Nikita był pewien, że po zakończeniu żałoby ciotka rzuci się w wir szaleństw, znajdzie sobie jakiegoś fagasa, może nawet trzeci raz zostanie matką, a tu niespodzianka. Ale jej osobista zmiana nijak się miała do zmiany zdania przez Wierę. Młoda zaparła się i już.

Widocznie Wiera spostrzegła, że Nikitę wkurwia jej obecność – co było stosunkowo łatwe do zauważenia, dlatego siedziała uparcie w jego willi, pyskowała, zachowywała się paskudnie wobec ochroniarzy, którzy jej pilnowali, zostawiała bałagan w swoim pokoju, była roszczeniowa i wredna. Znosił to cierpliwie tylko z jednego powodu. Przez Weronikę, a raczej dla niej. Prosiła, żeby nie reagował, nie dawał się sprowokować i postarał zrozumieć młodszą siostrę. „Ona straciła kogoś, kogo kochała”, „To boli”, „Pozwól jej na przeżycie żałoby”, „Nic nie trwa wiecznie”, „Kiedyś zapomni” – nie zliczył, ile razy to słyszał. Zaciskał zęby, żeby czegoś nie palnąć, a wieczorem szedł do swojego gabinetu, żeby ukradkiem wypić setkę wódki. Inaczej by nie zasnął.

Właśnie stamtąd wracał, gdy coś go tknęło. To był impuls, tym bardziej mocny, bo w ogóle nieoczekiwany. Nikita nie wierzył w żadne pierdoły, typu szósty zmysł czy podszept intuicji. Miał swój rozum, który w zupełności wystarczał. No, może jeszcze instynkt, tak, bywało, że nim się kierował i pewnie w tym momencie, to właśnie instynkt kazał mu się zatrzymać, podejść pod drzwi apartamentu Wierki i przystawić do nich ucho. „Zachowuję się jak pieprzony paranoik” – pomyślał, zastygając w bezruchu, żeby niczego nie uronić.

– Co, do kurwy? – burknął cicho.

Do jego uszu dobiegał dziwny dźwięk, zupełnie jakby ktoś dawał koncert na pile, nie mechanicznej, rzecz jasna, tylko na takiej zwykłej – wielkiej ręcznej pile do drewna. Swego czasu na jednej z uliczek moskiewskiej starówki koncertował dziadek Jurij. Grał na wszystkim, na rondlach, kieliszkach, butelkach napełnionych wódką, sztuccach i pile. Ani jednego normalnego instrumentu, ale to nie przeszkadzało mu w urządzaniu spektakularnych koncertów. Nikita uwielbiał obserwować Jurija, niestety ten w końcu zachlał się na śmierć i zniknął z krajobrazu Moskwy.



– Ja pierdolę, dałaby spokój... – Nikita zrozumiał, że to jęśliwe zawalenie, to płacz Wierki i już miał dyskretnie się oddalić, kiedy nie wiedzieć czemu, nacisnął klamkę i wszedł do środka. – Wierka?! – krzyknął, bo wycie ucichło. – Gdzie jesteś? Co ty odwalasz? – Rozejrzał się. Zaglądnął do sypialni, ale zastał tam tylko rozgrzebaną pościel, ciuchy porozrzucane po podłodze i przewróconą flaszkę po jakiejś whisky. – Bawi się gówniara... – syknął z dezaprobatą. Przeszedł przez główny salonik i zbliżył do drzwi łazienki.

– Jesteś tam?

– Nie, kurwa. Nie ma mnie. Spierdalaj, Niki. Won! – odkrzyknęła siostrzyczka.

– Znowu się nawaliłaś?

– Nie twój interes.

– Mój, bo moja whisky.

– Żebyś się nie zesrał, chytrusie.

– Co za wredna, pyskata suka – mruknął, kręcąc głową.

Nagle znowu odniósł wrażenie, że coś jest nie tak. Spojrzał w dół, pod stopy. Spod łazienkowych drzwi wypływała kałuża, najpierw pojawiła się cienka warstewka piany, a po chwili zobaczył...

– Wierka?! – ryknął. Szarpnął za gałkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. – Otwórz! Słyszysz?

– Spierdalaj, Niki...

– Otwórz, bo rozwalę drzwi!!! – ryknął.

– Rozwalaj, to nie moja chata.

Nie musiała go zachęcać. Nikita szarpnął za gałkę, a ta została mu w ręce. Cisnął za siebie mosiężną kulą i spojrzał bezradnie na drzwi. Nie dość, że solidne, dębowe, to jeszcze otwierały się na zewnątrz łazienki. Nawet on nie sforsowałby ich tak szybko.

– Otwórz!

– Nie!

– Ja jebię... – Niewiele się namyślając, wyjął zza paska pistolet, zrobił trzy kroki w tył i władował w drzwi pół magazynku. – No i po kłopotcie – mruknął z satysfakcją, zobaczywszy z bliska drzazgi. Wsunął rękę, po omacku odnalazł uchwyt zamka i przekręcił.

– Pojechało cię?! – Przywitała go Wiera. – Mogłeś mnie zabić! Popatrz!!! – Wskazała na dwie dziury po pociskach, zdobiące ścianę

wyłożoną ceglasto rudym marmurem. – Prawie dostałam rykoszetem, debilu!

Stała w wannie pełnej po brzegi, ociekając pianą, naga jak ją Bóg stworzył, ale to nie cycki czy pokryty pianą wzgórek łonowy Wierki przyciągnął wzrok Nikity, a jej nadgarstki. Oba broczyły krwią, która skapywała na dłonie, potem na palce i zabarwiała wodę na różowo.

– Wierka?

Zmroziło go na ten widok. Na chwilę zupełnie stracił rezon, a to wystarczyło, by siostra wygramoliła się z wanny, porwała swój płaszcz kąpielowy i błyskawicznie go włożyła, czując, że zaraz będzie wielka draka. Wielka, z prawdziwym trzęsieniem ziemi, którą potrafił urządzić tylko jej pojebany brat.

– I co się gapisz? – warknęła. Odwróciła się tyłem, podeszła do wanny i zakręciła kurek, bo lustro wody znowu niebezpiecznie zbliżyło się do górnego brzegu. – Jesteś skończonym chamem, Niki. Tyle ci powiem.

– A ty skończoną idiotką.

Odzyskał mowę i panowanie nad ciałem. Dopadł do niej i szarpnął za prawą rękę, musiał zobaczyć, jak wyglądają nacięcia. Nie było dramatu, krew nadal płynęła, ale rany były płytkie i nie zagrażały bezpośrednio życiu Wiery. Sprawdził drugą rękę, ta była mocniej pociachana, ale też stosunkowo lekko. Kazał Wierce się nie ruszać, w jej sypialni znalazł kilka łaższków nadających się na prowizoryczne opatrunki oraz flakon z perfumami i szybko wrócił.

– Siadaj. – Wskazał jej brzeg wanny.

Zdezynfekował skórę na obu nadgarstkach, zawinął szmatki, a z pary skarpetek zrobił opaski, uprzednio odcinając ściągacze nożem.

– Co za troska – prychnęła Wierka, kiedy zaniósł ją do sypialni i grzmotnął na łóżko jak workiem kartofli.

– Zamknij się, tępą dzido.

Cóż, nie był szczególnie czuły w stosunku do swojej podopiecznej. Usiadł w fotelu i wyjął telefon. Wprawdzie rany nie wyglądały groźnie, ale Nikita wolał dmuchać na zimne. Na szczęście doktor Clausen, który pełnił funkcję lekarza pierwszego kontaktu dla mieszkańców i personelu rezydencji, był u siebie i mógł przyjechać w ciągu paru minut.

– Zaraz będzie lekarz – oświadczył Nikita, chowając komórkę do kieszeni spodni. – Nie ruszaj się stąd! – warknął ostrzegawczo. Musiał się przebrać, całą koszulkę miał moką, na dodatek tu i ówdzie upstrzoną kropkami z krwi.

Pobiegł do siebie, zabrał z garderoby pierwszą z brzegu polówkę i wrócił do apartamentu Wierki. Pięć minut później dostał SMS-a od wartowników, że doktor Clausen jest na miejscu.

– Nie ma żadnego zagrożenia, rany są powierzchowne. Straciła niewiele krwi. Pan miał pewnie więcej strachu niż dziewczyna. – Lekarz uśmiechnął się krzepiąco do Nikity. – Przepraszam, że pytam, ale kim jest dla pana ta młoda dama? – Jego głos zabrzmiał bardzo ostrożnie.

– To moja siostra.

– Jest pod pana opieką?

– Tak.

– Czy ona jest pełnoletnia?

– Owszem. To jakiś problem?

– I tak, i nie. Gdyby dziewczyna nie była pełnoletnia, któryś z jej opiekunów prawnych: ojciec, matka lub brat, mógłby zadbać o terapię, skierować ją na leczenie, serię spotkań terapeutycznych u psychologa, wizytę u psychiatry. Teraz sama o sobie stanowi. – Jego barki lekko drgnęły.

– Póki nikt jej nie ubezwłasnowolni – mruknął Nikita.

Rozmawiali na korytarzu, tuż pod drzwiami apartamentu Wierki. Nikita był pewien, że uparta smarkuła wylazła z łóżka i teraz stoi pod drzwiami i podsłuchuje. Już on ją dobrze znał.

– To nie takie proste – zauważył lekarz.

– Ale do załatwienia.

– Owszem, do załatwienia. – Clausen odchrząknął. – Pooglądałem dokładnie nadgarstki pańskiej siostry i obawiam się, że to nie pierwszy raz.

– Cięła się wcześniej? – spytał chrapliwym głosem Nikita.

– Tak, na pewno. Ma na nadgarstkach cały przekrój blizn, niektóre są stosunkowo świeże, przypuszczalnie sprzed tygodnia, bo tkanka jeszcze się ziarnicuje, inne starsze, sprzed roku, może dwóch, ale wszystkie powierzchowne. Mimo to kiedyś panna...

– Panna Wiera – odpowiedział Nikita, nie prostując, że technicznie rzecz biorąc, Wierka już panną nie była.

– Panna Wiera może popełnić błąd. Błąd, który może ją kosztować życie. Wystarczy infekcja, zakażenie albo zbyt głębokie cięcie. Myślę, że warto podjąć walkę o powrót do zdrowia psychicznego tej młodej damy. Najlepiej zadziałać od razu, teraz, kiedy znowu zaczęła się okaleczać. Sprawa jest świeża, nie ma żadnych wątpliwości.

– Nie poradzi sobie sama?

– Tego nie wiem. Nie znam jej, nie wiem, jakie okoliczności wywołały autoagresję, zresztą nie mam kwalifikacji, by leczyć podobne zaburzenia. Mogę przepisać lek, który powinien przywrócić równowagę psychiczną. To lekki antydepresant i środek przeciwlękowy, ale ten lek działa po minimum dwóch, trzech tygodniach terapii, a nikt nie zmusi pańskiej siostry, żeby systematycznie go zażywała.

– Założmy, że ten problem da się rozwiązać. – Nikita chciał już zakończyć spotkanie z Clausenem. – Proszę o receptę i rachunek.

– Oczywiście.

Nikita wysłał kierowcę po leki, a sam wrócił do apartamentu Wierki. Ku jego zdziwieniu, siostra zasnęła. Poprosił jedną z pokojówek, żeby została na noc z Wierą i nareszcie poszedł do siebie.

\* \* \*

Dopiero nazajutrz postanowił podzielić się wczorajszymi przeżyciami. Wstrząśnięta Weronika nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Po dłuższej chwili spytała ostrożnie, czy nie warto byłoby wezwać dobrego terapeuty.

– I co ona mu powie? Że wyszła za przyrodniego brata, uciekła z domu, była przetrzymywana przez policjanta z Polski, a na koniec popadła w syndrom sztokholmski i zakochała się w porywaczu, który zaliczył kulkę? Chyba nie myślisz, że na to pozwolę.

– No tak – stropiła się Weronika. Jeśli siostra Nikity opowiedziałaby komuś o swoich osobistych przeżyciach z ostatnich miesięcy, mogłoby się to tragicznie skończyć. Nie tylko dla Wierki,

lecz także dla Nikity i wszystkich osób zamieszanych w ich sprawy. – Masz związane ręce.

– Wiem. – Nikita rozmasował skronie, ale to nie pomogło na tępy ból, rozlewający się po całej głowie. – Żałuję, że...

– Że co?

– Że nie mogą być razem. Wiera i ten idiota z Warszawy. Pasowali do siebie jak ulał. – Potrząsnął głową, nie wierząc, że teraz byłby skłonny zgodzić się na wiele, byleby mógł odzyskać spokój.

– Masz na myśli Brunona? – spytała Weronika, zniżając głos.

– Tak.

– Oni byli razem? Wiera i ten człowiek? – upewniła się, chociaż sprawa była jasna.

– Na to wygląda. Zakochali się na amen. Koleś wywinął numer swoim zleceniodawcom i wywiózł młodą za granicę. Docelowo mieli zwać do Gruzji, stamtąd pochodził jego ojciec. Cała rodzina tam została, mieszkają w Buknari, małej miejscinie przy samym morzu. Plan był niezły, mogło się udać, ale...

– Przykro mi. – Weronika uścisnęła dłoń Nikity, lecz ten odruchowo ją wyszarpnął.

– Przepraszam – powiedział, widząc zawód na jej twarzy. – Nie znoszę litości, poza tym... – Uciał, żeby zebrać myśli. – Mam w dupie tego kolesia, nie znałem go, żał mi tylko młodej, to wszystko było niepotrzebne. – Na chwilę zakrył twarz dłońmi. – Czasami myślę, że to moja wina.

– Dlaczego?

– Efekt domina. Wierka uciekła, bo nasz ojciec przymusił ją do tego przekłętego ślubu. Mogłem się nie zgodzić, ze mną zawsze bardziej się liczył.

– Powiedz, miałeś jakieś wyjście?

– Nie. – Zacisnął wargi do białości. – Rzec w tym, że wtedy nie miałem, ale mam teraz. Chcę unieważnić ten ślub, to raz.

– A dwa? – spytała, gdy przez dłuższy czas się nie odzywał.

– Wiesz, czego żałuję? Mogłem bardziej przyłożyć się do poszukiwań, ale miałem to w dupie. Założyłem, że Wierka skryła się u rodziny matki, wszystko na to wskazywało. Tak twierdził mój stary. Ciotka Magda powiedziała, że bredzi. Pewnie dał sobie spokój,

ale najpierw sprawdził, czy nie ma racji. Rozpuścił wici, próbował wytropić młodą, lecz to się skończyło, bo go zabiłem.

– Nie możesz się obwiniać.

– Żartujesz? To ja pociągnąłem za spust, ale tego nie żałuję. Chodzi o nasz nieszczęsny ślub. Zawaliłem na całej linii, a teraz... – Potrząsnął głową.

– Powiedz, mogę ci jakoś pomóc? Tobie, Wierce?

– Nie, nie zamierzam cię tym obciążać. Po prostu bądź przy mnie. Wtedy sobie poradzę. – Spojrzał na nią.

– Będę.

– Co mi radzisz? – Nikita przyłożył dłoń do czoła i przez chwilę mocno je masował. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa, a potem, jak u mitycznego Zeusa, wyskoczy z niej kolejna wojownicza i niepokorna smarkula, jakby Wierki było mało.

– Chyba nie mam prawa wtrącać się w wasze rodzinne problemy – odpowiedziała Weronika. Nikita milczał, dlatego dodała: – Przepraszam. Pewnie cię zawiodłam, ale naprawdę nie wiem, jak to wszystko sensownie poukładać. Ona nie chce tutaj być, to pewne.

– Tyle to ja wiem.

– Musi stąd wyjechać, tylko dokąd?

– No właśnie. – Nikita się zasepił. – Nie chcę jej puszczać do Rosji, tam zaraz wydarzy się coś tragicznego, młoda wywinie kolejny numer, a nawet taka idiotka jak Wierka, ma jakiś limit szczęścia.

– Jej matka... – zagaiła Weronika, ale Niki tylko przewrócił oczami. – A może... Nie, to nie jest dobry pomysł. – Potrząsnęła głową.

– No, mów, każdy pomysł na wagę złota.

– Rozmawiałam niedawno z Luizą. Ostatnio zdarza się nam pogadać przez Skype. – Zamilkła, widząc dezaprobatę w spojrzeniu Nikity, ale szybko wrócił jej rezon. W końcu nie robiła nic złego. – Wiesz, że oni się wyprowadzili do Polski. Niedawno wrócili, na razie nieoficjalnie, a ten ich ośrodek Rafał miał podarować swojemu pracownikowi.

– No pewnie, że wiem. Ale co to ma do rzeczy? Chcesz wysłać Wierkę do Polski? Po jaką cholere? Wybacz, ale to idiotyczny pomysł.

– Nikita nawet nie krył irytacji. Sięgnął po karafkę, napełnił

kryształową szklankę i wypił połowę jej zawartości. – Chcesz? – zaproponował znowu, ale Weronika nie miała ochoty na alkohol.

– Nie do Polski.

– To dokąd? – Już miał dodać, że ma się jaśniej wyrażać, kiedy zrozumiał, na czym polega plan Weroniki. – Ty spryciaro... – Przymrużył oczy i uśmiechnął się lisio. – Nieźle to wymyśliłaś! To jest to! – Wstał i przeszedł na drugi kraniec pokoju, wsparł plecy o obmurowanie kominka i z podziwem spojrzał na Weronikę. – Genialne, serio. Stamtąd nie zwieje, będzie miała dobrą opiekę, wikt i opierunek. Brawo. – Demonstracyjnie zaklaskał.

– Luiza powiedziała, że Rafał przepisał notarialnie cały ośrodek na swojego pracownika – powtórzyła.

– Serio? Hojny gest. – Pokiwał głową. – Nie byłem tam, ale z tego, co mówiła Polina, całkiem niezła miejscówka. Snarski na pewno sporo w nią zainwestował. Chyba że ta darowizna to fikcja.

– Nie. Przepisał to i opuścili wyspę. Luiza wspominała, że Diego obiecał im darmowe wakacje do końca życia, ale ona nie zamierza w najbliższym czasie skorzystać z zaproszenia. I wcale się jej nie dziwię – pozwoliła sobie na osobiste spostrzeżenie. – Tam jest okropnie zimno. Słońca mało, ciągle wieje. – Aż potarła ramiona, kiedy przypomniawszy sobie, jak się czuła na Isla Mocha. Inna rzecz, że wtedy czułaby się równie koszmarnie w każdym miejscu na ziemi.

– Pójdę z nią pogadać.

– Tylko błagam, spokojnie. Nie rób awantury.

– Za kogo ty mnie masz? – oburzył się.

– Już nic nie mówię. – Nie miała siły się spierać. – Aha, najpierw spytałabym Rafała, co on na to.

– Spytam, dzięki.

Odprowadziła go wzrokiem. Trochę żałowała, że właśnie teraz przedstawiła Nikicie swój pomysł, mogła przeczekać kilka dni, żeby emocje ostygły. Z drugiej strony zdążyła już dosyć dobrze poznać jego rodzeństwo i wiedziała, że cała trójka ma gorące głowy, są wybuchowi, niecierpliwi i wałą prosto z mostu. „Ciekawe, jak Niki namówi Wierę na ten wyjazd?” – stropiła się na myśl, że urządzi młodszej siostrze kolejną awanturę, kiedy ta bez entuzjazmu przyjmie projekt wyjazdu na Isla Mocha lub co gorsza, zdecydowanie odmówi.

Szybko się przekonała, jeszcze tego samego wieczoru.

\* \* \*

Wiera nie zasypiała gruszek w popiele. Kiedy Nikita ją odwiedził, usiadł na brzegu łóżka, uprzednio wyrzuciwszy z pokoju pielęgniarkę, i powiedział, gdzie zamieszka, oczywiście odmówiła. Wyśmiała go, wycedziła, że nie jest jego niewolnicą i tak dalej. Padło sporo słów, w większości nieparlamentarnych, lecz brat Wierki przewidział wszystko, tylko nie to, że Wiera zaatakuje Weronikę.

– To przez ciebie, ruda małpo! – Wierka nie bawiła się w uprzejmości.

Dopadła Weronikę w małym pomieszczeniu obok biblioteki, gdzie ta szykowała paczki na kiermasz charytatywny, który miał się odbyć w najbliższy weekend. Kiermasz zorganizowali rodzice dzieci uczęszczających do jednej ze szkół w Buchillon. Dzieciaki miały kwestować na rzecz grupy swoich rówieśników mieszkających w Ghanie. Nikita zaoferował sporo fantów na ten cel, wprawdzie nie uczestniczył aktywnie w życiu szkoły i innych instytucji działających w Buchillon, ale poczuwał się do pomocy jako mieszkaniec gminy.

– W czym problem? – Weronika postanowiła nie dać się sprowokować.

– Dobrze wiesz. – Wiera wzięła się pod boki.

– Chodzi o twój wyjazd?

– A o co innego?

– Nie zgodziłaś się? – domyśliła się Weronika. Odłożyła paczkę, obwiązaną satynową wstążką i usiadła przy biurku. – Pogadajmy spokojnie.

– Pieprz się! Od początku mnie nienawidziłaś, a teraz chcesz się mnie pozbyć i proszę, Niki je ci z ręki. Kazałaś mu, to ty, prawda?! – Wycelowała wskazujący palec w stronę Weroniki. – Na pewno ty.

– Tak, to był mój pomysł.

– Wiedziałam! – Wierą zatrzęśło ze złości. – A taka cicha i łagodna jesteś. Fałszywa żmija! – wypluła obelgę. – Nienawidzę cię. Knujesz za moimi plecami, buntujesz mojego brata, a ten kretyn zamiast się ogarnąć, słucha cię jak piesek. Jesteś beznadziejna! – Tupnęła z gniewem. – Powiedział, że mam wybór, albo jadę na tę



pieprzoną wyspę, albo wyśle mnie do Rosji i zamknie w *psychuszcze*! Widzisz, do czego doprowadziłaś? Mój własny brat chce mnie zamknąć w szpitalu! W jakimś ośrodku dla wariatów! – Toczyła pianę z ust.

– Usiądź – poprosiła Weronika. – Spróbujmy porozmawiać jak ludzie. Proszę.

– Wal się! – Wierka podeszła bliżej, najchętniej walnęłaby Weronikę którymś z tych okazałych pudeł leżących wokół dużego zabytkowego biurka, ale co by to dało? – Nie będę z tobą gadać – wysyczała.

– To po co tutaj przyszłaś?

– Żebyś wiedziała, że nigdzie nie wyjadę, ani do Rosji, ani na tę wyspę.

– Okej. – Weronika wzruszyła ramionami. Wstała i sięgnęła po foliową paczuszkę, w której były wstążki. – Skoro już wszystko mi przekazałaś, i nie chcesz ze mną gadać, może... – Przeniosła wzrok na Wierkę.

– Może co? – Ta mało nie pękła ze złości.

– Może byś mi pomogła? – Weronika zrobiła dziwną minę, ni to błagalną, ni karcącą.

Na moment zapadła cisza. Obie kobiety patrzyły na siebie, nic ponadto się nie działo, gdy nagle Wierka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Najpierw zachichotała raz, potem drugi, a w końcu zanosila się od śmiechu jak po wypaleniu całej lufki zioła.

– Ja pierdołę, masz tupet... – wykrztusiła z trudem. – Siedzisz tutaj, żyjesz na koszt mojego brata, pasożytujesz na całego, ty i twój dzieciak, i jeszcze prosisz mnie o pomoc? Ty tak na serio?

– A czemu nie? – Weronika przeniosła wzrok na blat biurka, zavalony po brzegi papierem pakowym, wstążkami, plakietkami i innymi rzeczami, których używała do przygotowania ładnych i efektownych fantów na kiermasz. – Sama z tym zostałam. Inna rzecz, że Niki chciał mi pomóc, ale uznałam, że sobie poradzę. To tylko parę paczuszek. – Uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie tak mało – burknęła Wierka. – Mój brat zawsze lubił szpanować. – Przesuwała wzrok z pudła na pudło. Czegóż tutaj nie było: od słodczy, poprzez książki, po wytrawne alkohole, kosmetyki i inne drobiazgi. – Nikita musiał wywalić mnóstwo kasy.

– Raczej wydać – poprawiła Weronika.  
– Czepiasz się. – Wierka wywróciła oczami. – No dobra, co mam robić?

– Trzeba te dwie owinąć papierem, zakleić i dopiąć metkę z numerkiem. Będą na loterię fantową.

– Okej.

Wierka całkiem nieźle poradziła sobie z zadaniem, dlatego Weronika pokazała jej, jak komponować kolejne paczki, by w środku było trochę słodkości, książka, jakiś kosmetyk i mały drobiazg do domu.

– Coś dla duszy i dla ciała.

– Ta... – Młoda pomocnica parsknęła pod nosem. – Też mi radocha, wylosować takie ohydztwo... – Pokazała Weronice świecę zapachową w niezbyt atrakcyjnym odcieniu brązu. – Już wolałabym zwykłą, białą, bez żadnych dodatków.

Nieustannie marudziła pod nosem, ale Weronika puszczała jej uwagi mimo uszu. Cieszyła się, że Wierka pierwszy raz spędziła z nią tyle czasu, pomogła przy paczkach i zajęła myśli. „Szkoda, że tak późno” – dumiała bezgłośnie. Liczyła, że zbliżą się do siebie, że Wierka polubi Mikołaja, lecz siostra Nikity sprawiała wrażenie kogoś, kto nie znosi dzieci. Zresztą nieraz głośno o tym mówiła, o bachorach, że to utrapienie i kłopot, a ona sama nigdy nie zdecyduje się na dziecko.

Nazajutrz temat wyjazdu wrócił. Niki poruszył go przy śniadaniu. Weronika nie zdążyła temu zapobiec, zamarła w oczekiwaniu na ostrą jazdę, ale ku jej zdumieniu, Nikity również, Wierka oznajmiła, że się zgadza.

– Naprawdę? – spytał. – Zaskoczyłaś mnie.

– E tam. – Wiera wydeła usta. – Nareszcie będziesz mnie miał z głowy. Ona też. – Wskazała brodą na Weronikę. – Nic fajnego być gdzieś, gdzie cię nie chcą. Spadam stąd, tylko powiedz, kiedy. Muszę się spakować.

– Daj mi parę dni, trzeba zorganizować przelot i opiekę. Co taka zdziwiona? – Zaśmiał się pod nosem. – Chyba nie sądziłaś, że puszczę cię samą na drugi koniec świata.

– Nie zapomnij o kaftanie. I o maseczce. Polecę czarterem, kaftan bezpieczeństwa, gumowe rękawiczki, maseczka... – wymieniała,

udając, że się namyśla. – No i obstawa, wiadomo. A nuż odwalę jakiś numer.

– Moja w tym głowa – Nikita nie dał się sprowokować.

– Ech... – Weronika pozwoliła sobie na westchnięcie. Już miała powiedzieć coś, co złagodzi napięcie, kiedy Wierka odchyliła się na krześle i zaczęła śmiać do rozpuku.

– Boże, jakiś ty naiwny. – Prawie płakała, co rusz zerkając na minę Nikity.

– Pojedziesz tam – wycedził spokojnie.

– Nie! – Wiera zerwała się z krzesła i wybiegła z jadalni, ale przedtem zdążyła wyrzucić krzesło i donośnie trzasnąć drzwiami.

– Żal mi jej. – Weronika była poruszona.

– Wbrew pozorom, mnie też. – Nikita odłożył sztucę. – Ale inaczej się nie da.

– Nie wiem, czy się nie da. To straszne, czuć się niepotrzebnym. Ona wie, że nikogo tutaj nie ma. Nikogo, kto wstaje rano i pierwsze, co chce zobaczyć, to jej twarz, przytuloną policzkiem do poduszki. Niki, ja ją rozumiem, i bardzo współczuję. Spróbujmy to zmienić. Ty musisz spróbować, ja też się postaram. Spróbuję się do niej zbliżyć. Wczoraj... – Chciała powiedzieć, że spędziły razem prawie dwie godziny i pod koniec nawet zamieniły parę zdań, ale nie zdążyła, bo nagle Wierka wróciła.

Stała w progu jadalni, zaplotła ręce na piersiach i wycedziła:

– Dobra, pojedę na tę pieprzoną wyspę. I będę posłuszna. Ale mam jeden warunek. Jeden malutki waruneczek – podkreśliła z diabolicznym uśmiechem.

– Mów – westchnął Nikita.

– Gdy go spełnisz, masz mnie z głowy.

## Rozdział 19

Łowca brał udział w wielu akcjach i mało co stanowiło dla niego wyzwanie, zaliczył kilkanaście *schodek*, a na kilku z nich usłyszał, że to on został wykonawcą wyroku ogłoszonego na *schodce*. Nie wydziwiał. Nie odmawiał. Czekał na dokładne informacje od bossa, a kiedy je otrzymał, ruszał wykonać zadanie. Właśnie dlatego nie oponował, gdy Nikita zlecił mu wyjazd do Polski, a dokładnie do Warszawy. Był pewien, że ma tam kogoś zutylizować, ewentualnie coś przekazać, bo co innego mógłby chcieć Nikita, lecz kiedy usłyszał: „masz odzyskać kota Wierki”, pomyślał, że albo on sam zwariował, albo Nikicie coś odbiło.

– Kota? – dopytał.

Rozmawiali przez telefon, gdyż aktualnie Łowca przebywał w rajskim ośrodku na Krymie i liczył, że długo jeszcze tutaj zabawi, bo pogoda dopisywała, humor też. Szef wysłał go do Edenu przed dwoma tygodniami, ponieważ potrzebował mieć na miejscu, by wsparł Katię w interesach.

– Tak. Kota.

– W sensie...

– Zwierzę. Kot! Czego, kurwa, nie rozumiesz?

– Okej, okej! Rozumiem. Mam pojechać do Warszawy po kota.

– Dokładnie tak.

– A to jakiś... dziki kot? Tygrys?

– Chyba cię popierdoliło. Zwykły kot, normalny.

– Aha, jasne szefie.

Pojechał więc po zwykłego kota aż do Warszawy. Boss nie pozwolił mu na przelot swoim odrzutowcem, biedny Łowca musiał tam dotrzeć samochodem, ale wolał się nie narażać, bo ciągle był na cenzurowanym za swój dług jęzor. To on wychłapał Jakubowi, jak wyglądało uprowadzenie pani Weroniki, kochanki szefa, a Luiza, obecna kobieta Snarskiego, to podsłuchiwała i nie omieszkała podać

dalej. A potem wiadomo – poszły konie po betonie, boss i Snarski się pobili, a pani Weronika uciekła na Krym, do Katariny.

W końcu dotarł do Warszawy. Oczywiście dostał dokładny adres, to znaczy nazwę ulicy, numer budynku i klatki schodowej. Trudność zadania polegała na tym, że panienska Wiera, dla której miał odzyskać kota o dziwnym imieniu Nemrod, nie znała numeru mieszkania. Mieszkania, w którym rzeczony kot przebywał.

– *Job twoju mat’* – zaklął, kiedy dotarł pod drzwi wejściowe apartamentowca i zorientował się, że nie wejdzie do środka, jeśli nie skontaktuje się z kimś przez domofon. – Ochujali... – mruknął, mając na myśli swojego szefa i jego popierdoloną żonkę. Żałował, że dziewczyna się odnalazła. Mogła przepaść na amen, kto by po niej płakał?

Nacisnął pierwszy guzik i przysunął się do interkomu.

– Halo? – zagaił, usłyszawszy trzask w głośniku. – Czy masz kota?

– Słucham?

– Czy masz kota? Ja chciałby kupić kota. Mam pieniądze. Mogę zapłacić. Muszę kupić kota.

– Spieprzaj, menelu!

Koniec rozmowy. Łowca westchnął ciężko, rzucił przekleństwem i wybrał guzik z kolejnym numerem. Nikt nie odpowiedział, widocznie mieszkanie było puste. „Dobra, to teraz trójka” – nacisnął guzik, z nadzieją, że do trzech razy sztuka, lecz niestety, znowu zaliczył porażkę. Pod numerem czwartym jakiś dzieciak powiedział mu, że mamy nie ma w domu, a jemu nie wolno rozmawiać z obcymi.

– By was chuj strzelił! – warknął po polsku wprost do metalowej perforowanej osłony głośnika.

– Co też pan robi?!

Odwrócił się, słysząc oburzony kobiecy głos. To była jakaś starsza pani, na oko pod sześćdziesiątkę, ale przyjemna z twarzy i bardzo szykownie ubrana: w jasną wełnianą garsonkę i z pięknym kapeluszem. Nawet maseczkę, którą miała na twarzy, dobrała pod kolor żakietu.

– Dzień dobry. – Skłonił głowę.

– Kim pan jest? – Dama obrzuciła go szybkim i czujnym spojrzeniem.

– Ja... Ja chciałem kupić kota.

- Kota? – Nieznacznie rozszerzyła oczy. – Jakiego kota?
- Zwykłego.
- Chyba pomylił pan adresy, tutaj jest blok mieszkalny nie schronisko dla zwierząt.
- Znajomy tu mieszkał. Mieszka – poprawił się natychmiast. – On miał kota. I wyjechał na *kaniku*... na wakacje. I tego kota zostawił komuś. Ja chciałem kota odebrać. Zapłacę.
- Hmm... – Kobięcina zmarszczyła czoło. – Już wiem! Chodzi o tego pana z parteru? On jeździł na wózku inwalidzkim?
- Tak! – skwapliwie potaknął Łowca. Wprawdzie nie był do końca pewien, że tak było, ale co mu pozostało? – On potrzebuje tego kota z powrotem.
- Widziałam jakiegoś kotka u państwa Szymików. Mieszkają na ostatnim piętrze. Kiedyś im uciekł ten kotek, ale się potem odnalazł.
- Na ostatnim piętrze?
- Pod numerem osiem.
- Bardzo pani dziękuję. – Łowca wyszczerzył zęby.
- No to niech pan wejdzie, skoro już tu jestem i mogę pana wpuścić.
- Łowca szybko wspiął się po schodach i po chwili stanął przed drzwiami z numerem 8. Zastukał, lecz po drugiej stronie panowała martwa cisza. Walnął trochę solidniej, pięścią, i wtedy nareszcie doczekał się reakcji. Wysoka szczupła brunetka otworzyła z impetem drzwi i spojrzała na Łowcę jak na karalucha.
- Czego?! – warknęła. – Znowu nas sprawdzacie? Tak, jesteśmy w domu! A gdzie pańska maseczka? – Pokiwała głową z politowaniem. – Sanepid schodzi na psy!
- Przepraszam. – Łowca nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Szybko wyjął z kieszeni niebieską maseczkę i zasłonił twarz. – Ja nie po psa, ja po kota – doprecyzował.
- Co? – spytała zdumiona pani Szymik, o ile to była ona, bo nie miał pewności, że otworzyła mu właścicielka mieszkania.
- Ja przyjechałem po kota. Zapłacę za opiekę.
- Po Nemroda?
- Da. To znaczy tak. Po Nemroda.
- Posłuchaj człowieku... – kobieta zniżyła głos, zdjęła maseczkę i zbliżyła się do Łowcy. – Nie dostaniesz żadnego kota. Zapomnij.

– Ale czemu? – Łowca zbaraniał. Nie sądził, że ta misja będzie taka trudna. – Ja zapłacę. Mam pieniądze.

– Ten kot jest mój, rozumiesz?

– Nie.

– Mój! To jest zwierzę, nie jakaś rzecz! On mnie kocha! Przywiązał się do mnie, a poza tym...

– Co? – popędził ją.

– Poza tym go nie ma.

– Nie ma? – Powiedzieć, że nic z tego nie rozumiał, to za mało. Czuł, że jeszcze chwila, wyjmie zza paska klamkę, odstrzeli łeb tej pustej idiotce, wejdzie do środka i poszuka sierściucha. To, że baba kłamała, a kot przebywał w mieszkaniu, było prawie pewne.

– Nie ma. Mój... – skrzywiła się. – Mój mąż go porwał. Rozumie pan? Uprowadził go i Nemroda nie ma. – Nagle jej twarz skurczyła się i przybrała wygląd suszonego jabłka. – Ten żalosny śmieć zabrał Nemrodka. Powiedział, że to jego syn. Zabrał mi wszystkie dzieci!

„O ja jebie” – Łowca już się domyślił, że kobieta ma coś z głową. Ale sprawa Ale sprawa ciągle jeszcze nie była przegrana, musiał tylko zdobyć namiary na męża tej wariatki.

– A ma pani adres męża?

– Mam! – Odwróciła się na pięcie i pognąła w głąb korytarza, wróciła za chwilę z małą karteczką. – Oto adres.

Pojechał tam. Zaparkował pod wielkim budynkiem z rdzawo-beżową elewacją i wysiadł z samochodu. Nie miał problemu z odczytaniem treści wielkiego napisu ułożonego z niebieskich liter. Informował, że w budynku mieści się urząd skarbowy dla dzielnicy Mokotów.

– *Job twoju mat’!* – zaklął znowu, bo czarnowłosa babsztyl wyprowadził go w pole. Rozejrzał się bezradnie, ale prócz niego nikt nie kręcił się po parkingu. Postanowił podejść do budki strażnika, a nuż coś wie?

Miał niebywałe szczęście, okazało się, że owszem, wie. Wie to, co najważniejsze.

– Szymik jest naczelnikiem naszego urzędu – zdradził informację, po delikatnym wsparciu finansowym w postaci banknotu stużłotowego.

– Jego żona to jakaś... – Łowca nie dokończył.

- Ona zwariowała. Jest chora umysłowo.
- No tak. Wzięli rozwód?
- A pan to kto? – Ochroniarz wsunął stówkę do kieszeni spodni i spojrzał podejrzliwie na Łowcę.
- Kolega. Chciałem pogadać z Szymikiem. Mam sprawę.
- Nie można wejść do środka, urząd zamknięty. Tylko na telefon albo trzeba się umówić. Pandemia jest. – Poprawił maseczkę.
- Da się coś zrobić?
- Może i da.

Łowca pozbył się drugiej stówki, ale teraz stał w wąskim przedsionku urzędu i miał w ręce drugą karteczkę. Dostał numer telefonu bezpośrednio do naczelnika. Zadzwoił z aparatu recepcjonisty, który mu udostępniono. Naczelnik nie był miły, przynajmniej na początku rozmowy, a kiedy usłyszał, że chodzi o kota, zapienił się błyskawicznie.

- Ale kim pan w ogóle jest?
- Mówiłem, dzwonię ze schroniska dla zwierząt. Kierownik mi kazał zabrać kota. Bo jest źle traktowany, sąsiadka do nas dzwoniła ze skargą – dodał po szybkim namyśle. – Kot uciekał, był źle traktowany. Musi pan oddać kota, on się nazywa Nemrod.
- Ale ja go nie mam, proszę mi dać święty spokój!
- Byłem u żony, powiedziała, że pan zabrał kota.
- Nieprawda! Jeszcze coś?
- Ten kot...
- On nie żyje! – Szymik przerwał Łowcy. – Spadł. Wypadł z balkonu – sprecyzował. – Żona nie przyjęła tego do wiadomości. Uważa, że go zabrałem, ale to jakieś bzdury, bo sam zawiozłem go do weterynarza. Niestety, nic się nie dało zrobić. Już pan rozumie? – Na moment umilkł. – Mam gdzieś paragon za usługę utylizacji. Skremowali go.

- Kot nie żyje?
- Tak. Moja żona ma pewne problemy. Leczy się na nerwy. – Szymik zniżył głos prawie do szeptu. – Powiedziała, że dostała Nemroda od sąsiada z parteru. Ten facet poruszał się na wózku, teraz gdzieś zniknął, możliwe, że się wyprowadził, bo mieszkanie stoi puste, ale nie w tym rzecz. Żona twierdziła, że ten człowiek przyszedł do niej. Przyszedł na własnych nogach – podkreślił – dał



jej kota i poprosił o opiekę. Moja żona uważa, że Nemrod miał jakieś magiczne moce. Uzdrawiał ludzi, przywracał im władzę w nogach i leczył niepłodność.

– Ale go nie ma. Nie żyje.

– Tak, nie żyje.

– Szkoda. – Łowca ciężko westchnął.

– Szkoda? – Szymik parsknął śmiechem. – Pan też wierzy w uzdrawiające moce kota?

– Nie – Łowca natychmiast zaprzeczył. – Szkoda, że nie żyje, to bardzo źle.

– To jakiś problem? W razie potrzeby dam panu mój prywatny numer, znajdę ten paragon za usługę weterynarza.

– Nie trzeba. Dziękuję.

Łowca wrócił do samochodu. Musiał stawić czoła Nikicie. Z ciężkim westchnieniem wybrał numer bossa. Ten odebrał od razu.

– To ja – mruknął. – Jestem w Warszawie. Kota nie ma. Zabił się.

– Co zrobił?

– Zabił się. Popełnił samobójstwo, skoczył z balkonu.

– Ups. Wierka będzie niepokieszona.

– Zrobiłem, co mogłem.

– Wierzę.

– Mogę wracać?

– Tak, szerokiej drogi.

„Dobre sobie... Szerokiej drogi?” – mruknął w myślach Łowca. Tyle zachodu, zmarnowanego czasu i paliwa, a wszystko jak krew w piach. Uruchomił silnik i powoli wyjechał z parkingu. Gdyby on miał decydować, w życiu nie wysłałby kogoś po kota.

Co to w ogóle za kretyński pomysł?

Ale już odbył pokutę. Znów miał czyste konto u Nikity.

## Rozdział 20

Takiego gościa Diego nie pamiętał. Zdarzali się tacy, którzy mało czasu spędzali na zewnątrz, lubili pływać w krytym basenie, zaglądali do sali z bilardem albo przesiadywali namiętnie w barze, lecz prędzej czy później nawet oni decydowali się opuścić budynek i pojechać na którąś z oferowanych wypraw. A młoda blond piękność? Nie wyściubiała nosa ze swojego apartamentu w prawym skrzydle głównego budynku, nawet posiłki zanoszono jej do pokoju, a kiedy zjadła – a raczej nie zjadła, bo zostawiała prawie wszystko, zabierano półmiski i to był cały kontakt Wiery Doneckiej z personelem.

Diego nie wnikał, dlaczego tutaj zamieszkała. Coś wiedział, szef przekazał, że bratem dziewczyny jest koleś, który trzęsie gangsterskim półświatkiem w Rosji, że to bardzo majątny facet i równie niebezpieczny, ale na tym wiedza Diega się kończyła. Owszem, snuł rozważania, że dziewczyna się ukrywa, lecz nie miał odwagi zadzwonić do swojego byłego szefa i spytać, czy słusznie dedukuje. „Mieszka, to mieszka, a tobie nic do tego” – upominał się, kiedy czasami zauważył jakiś ruch za białą roletą, zasłaniającą tarasowe okno sypialni dziewczyny.

Oczywiście zdążył ją poznać osobiście, wiedział jak wygląda, że jest absolutnie piękna i absolutnie poza jego zasięgiem. Co mógł zaoferować takiej lasce jakiś zwyczajny chłopak? Nic. Wprawdzie odkąd został właścicielem całego ośrodka, jego akcje jako kawalera do wzięcia gwałtownie podskoczyły, lecz nadal kobiety pokroju Wiery znajdowały się na zupełnie innej orbicie.

„Może ten brat wysłał ją tutaj za karę?” – spekulował, chociaż zdawał sobie sprawę, że to kompletnie idiotyczne. W każdym razie dziewczyna mieszkała na wyspie bez mała miesiąc, a on widział ją raptem trzy razy, z tego tylko raz oficjalnie, kiedy przyjmował jej meldunek i musiała wypełnić kilka świstków. Oj, miał wtedy okazję, żeby dokładnie się jej przypatrzeć, choć nie trwało to długo. Zrobiła

na nim ogromne wrażenie, czuł się oszołomiony, zupełnie jakby miss świata zstąpiła w skromne progi ośrodka i na chwilę zaszczyciła Diega swoim widokiem.

Odkąd pamiętał, podobały mu się wysokie szczupłe blondynki, koniecznie z jasną cerą i niebieskimi oczami. Pani Luiza też była blondynką, całkiem ładną kobietą, ale przy Wierze bladły nawet gwiazdy. Wiera była zjawiskowa i miała fantastyczną budowę: pełne piersi, niezbyt wydatne biodra, na pewno nieco węższe niż typowa chilijska dziewczyna, długie nogi i cudowne dłonie ze szczupłymi palcami.

Ach.

Diego mógłby ustawić ołtarzyk, na środku usytuować rosyjską piękność i gapić się na nią godzinami. Dlatego, gdy nastąpił ten moment, czyli druga chwila bezpośredniej konfrontacji, zupełnie odebrało mu mowę. Szedł właśnie do garaży, żeby sprawdzić, jak poszło wezwanym do ośrodka elektrykom – mieli naprawić system podnoszący bramy, bo ostatnio szwankował, ale nie dotarł na miejsce. Wryło go w ziemię, kiedy dostrzegł, że za dREWUTNIĄ, na stosie desek – leżały tu od maja i czekały na pocięcie – siedzi dziewczyna z jego marzeń.

– E... – bąknął. – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedziała.

– Przepraszam, szedłem właśnie do garaży.

– Nie masz za co przepraszać. – Wzruszyła ramionami.

– Zakłóciłem twój spokój. – Na szczęście ostatnio podszlifował swój angielski i mógł swobodnie się z nią porozumieć, nie kalecząc i nie stękając, bo zapomniał jakiegoś słówka.

Wiera spojrzała na niego, a jej ramiona znowu nieznacznie drgnęły.

– Tu zawsze jest tak zimno? – spytała, lecz w jej głosie na próżno było szukać zainteresowania. Widocznie uznała, że trzeba coś powiedzieć.

– Nie zawsze. – Diego pomyślał, że zaproponuje jej własne okrycie, czyli grubą polarową bluzę na suwak, ale odrzucił tę myśl. Raz, że to byłoby zbyt poufale, a dwa – nie miał pewności, czy bluza jest czysta. – Może... – chrząknął. – Może pójdziesz ze mną?

– A dokąd?

- Idę sprawdzić, czy elektrycy naprawili bramę.
- No dobrze, chodźmy – odparła po krótkim namyśle.

Zgrabnie zeskoczyła ze stosu desek i stanęła przy nim. Znowu zachwyciła go jej uroda, lecz nie mógł tak stać i gapić się z otwartymi ustami, bo wyszedłby na głupka, prawda? Postanowił wyjąć telefon i oświetlać drogę. Wprawdzie on znał tu każdy kamień, ale ona? Przesiadывała w swoim pokoju, skąd mogła wiedzieć, że trzeba uważać i patrzeć pod nogi.

– Powinnaś się cieplej ubierać – zasugerował, bo Wiera włożyła krótkie džinsowe spodenki, a jej ramiona zostały zupełnie odkryte. Prócz szortów miała na sobie tylko blad różowy top bez ramiączek i białą czapkę z daszkiem. – To nie miejsce na letnie stroje.

– Ponoć jest lato – powiedziała.

– Tutaj nawet w lecie jest chłodno. A na pewno chłodniej niż tam, gdzie mieszkałaś.

– Głupie to. Jest koniec października, powinna być już zima.

– Powinna, ale nie jest. Tutaj zima zaczyna się w czerwcu.

– Bez sensu, zima w lecie.

Nie miał żadnego argumentu na jej słowa. Miał jej tłumaczyć, że to zależy od położenia geograficznego? Na słońce i wyższe temperatury mieszkańcy wyspy mogli liczyć wkrótce: w listopadzie i grudniu, ale upałów i spiekoty próżno było oczekiwać. Co by to zmieniło? Na szczęście dotarli już na miejsce, Diego szybko sprawdził bramy i przekonał się, że działały bez zarzutu, mogli więc wracać.

– Chcesz się rozgrzać? – spytał, kiedy weszli do głównego holu. Wprawdzie tutaj panowała znacznie wyższa temperatura niż na zewnątrz, ale ramiona Wiery nadal pokrywała gęsia skórka, a jej usta były sine z zimna.

– Nie piję alkoholu.

– Nie mam na myśli alkoholu – sprostował pośpiesznie.

– To co?

– Chodź. – Wyciągnął rękę.

Zawahała się, ale ostatecznie chwyciła jego dłoń. Była ciepła, duża i silna.

– Ładnie tutaj – powiedziała, gdy wprowadził ją do swoich pokoi.

Po wyprowadzce szefostwa, Diego zajął ich kwatere. Uznał, że należy mu się ten apartament, skoro został niepodzielnym władcą ośrodka. Władcą i właścicielem. Ech, jak to brzmiało – „właściciel ośrodka wczasowego”. Diego czuł dumę, nieustającą i tak samo wielką jak w pierwszych dniach swoich rządów.

– Ładnie – potwierdził.

Cóż, wystrój pomieszczeń był zasługą pani Luizy. To szefowa urządziła całe mieszkanie, umeblowała, ozdobiła niezliczonymi poduszkami, roślinami w dekoracyjnych donicach i innymi pierdołami, które nadawały całości elegancki, a zarazem bardzo przytulny wygląd. Na początku planował pozbyć się większości bibelotów czy roślin, w końcu to miał być apartament mężczyzny, nie oranżeria, ale ostatecznie wszystko zostawił. A nuż kiedyś pani Luiza wpadnie tu na urlop? Byłoby jej miło zastać swoje mieszkanie w takim samym stanie, w jakim je zostawiła.

– Różowe zasłony? – Wiera uniosła brwi.

– Nie są różowe – zaproponował. – To inny kolor.

– Łososiowe.

Biedny chłopak nie miał pojęcia, czy łososiowy kolor to odcień różowego, czy nie. Wolał się nie spierać, bo jakie to miało znaczenie? Podszedł do kominka, przykucnął i podłożył ogień pod zgrabny stos szczapek. Od razu się zajęły. Jak dobrze, że pani Luiza była zmarzluchem. Już dawno tu nie mieszkała, ale tradycja palenia w kominku została. Codziennie rano któraś z pokojówek przychodziła tutaj, sprzątała pomieszczenia, w tym kominek. Układała drobno pocięte drwa, wystarczyło więc podpalić i gotowe.

– Podejdź tutaj. – Przywołał ją ruchem ręki. – Tu jest ciepło.

– Lubię patrzeć na ogień – powiedziała Wiera, stając obok.

– Każdy lubi. – Diego usiadł przed kominkiem.

Ona zajęła miejsce obok, na grubym dywaniku imitującym baranią skórę. Na nieszczęście, on też był w odcieniu pastelowego różu, czego dziewczyna nie omieszkła zauważyć.

– Lubisz taki kolor? – Wsunęła palce w miękkie włosie.

– Lubię wszystkie kolory.

– Pod warunkiem, że są różowe.

– Nie tylko. – Czuł, że się z niego nabija, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. – Ty też lubisz różowy. – Wskazał brodą na jej

bluzkę.

Nagle uświadomił sobie, że to nie był dobry pomysł – wgapić się w bluzkę Wieri. Nie włożyła stanika, pod cienką dzianiną uwidoczniły się sterczące brodawki piersi. Diego przełknął ślinę. Jeszcze tego brakowało, żeby Wiera zauważyła, że ma wzwód. Spojrzał dyskretnie na rozporek. Siedział z nogami skrzyżowanymi w kostkach, objął kolana ramionami. Dziewczyna musiała widzieć to miejsce jak na dłoni. „Fuck” – zaklął w duchu, czując poruszenie w spodniach.

– Ciepło ci? – zagadał ochryple.

– Tak.

– Zrobię coś do picia. – Nie czekał na odpowiedź, wstał i energicznie podszedł do bufetu. Musiał zająć czymś ręce. – Chyba że chcesz coś ciepłego? – spytał zza pleców.

– Może być zwykła woda albo sok.

– Mam sok w kuchni.

Zniknął, a kiedy wrócił, trzymał przed sobą tacę zastawioną nie tylko dzbankiem z lemoniadą, lecz także drobnymi przekąskami: miseczką pełną pikli, drugą z pikantnym serem i małą puszką orzeszków. Ostrożnie ułożył tacę na podłodze i usiadł.

– Częstuj się.

– Dzięki. – Wiera napełniła szklanke lemoniadą i wypila duszkiem. – Pyszna. Sam zrobiłeś?

– Nie, nasza kucharka.

– Masz dziewczynę? – spytała jakby od niechcenia.

Przechyliła głowę, bo Diego nie odpowiedział, siedział i gapił się na nią baraním wzrokiem. W końcu wykrztusił:

– Czemu pytasz?

– Nie chcę wchodzić komuś w paradę.

– Słucham? – Jego oczy musiały przypominać spodki, a kiedy Wiera odsunęła tacę i usiadła okrakiem na jego udach, poczuł, że zaraz eksplodują mu jaja.

– Pytałam, czy masz dziewczynę, żonę, kochankę. Kogoś, kto...

– Nie mam – przerwał jej.

– Super. A masz prezerwatywy?

– Tutaj? – pisnął nie swoim głosem.

– No przecież nie w garażu. – Przewróciła oczami.

– Tutaj nie mam, ale są na parterze, w recepcji, w automacie z batonami.

– Idź po paczkę – poleciła.

Prawie się zabił na schodach, a potem wpadł na Catalinę. Właśnie wychodziła, bo umówiła się na randkę z niedawno poznanym chłopakiem z sąsiedniego hotelu. Siostra zrobiła wielkie oczy na jego widok.

– A coś ty taki czerwony?

– Czerwony? – Nerwowo potarł policzki.

– Wyglądasz dziwnie.

– Może mam gorączkę? – zasugerował, modląc się w duchu, żeby odeszła i dała mu spokój. Zerknął nerwowo w stronę zakątka, gdzie stało kilka donic z dorodnymi palmami, a tuż za nimi trzy automaty pełne batoników, napojów i chipsów.

– Oby to nie ten wirus. – Catalina odruchowo postąpiła krok do tyłu. Wprawdzie na wyspę covid jeszcze nie dotarł, lecz licho nie śpi, a nuż któryś z gości pozostawił po sobie pamiątkę? – Kaszlesz?

– Trochę. – Diego chrząknął w kułak.

– A czujesz zapachy?

– Hmm. Raczej tak. – Pociągnął nosem i prawie się zakrztusił, bo jego siostra musiała wylać na siebie flakon perfum.

– Wiesz co, lepiej się przebadaj, a teraz idź odpocząć.

– Zaraz pójde się położyć, a jutro zadzwonię do doktora Duhalde, może coś poradzi – zgodził się z nią.

– Dobry pomysł. Muszę lecieć, mój chłopak już czeka – zaświergotała radośnie.

Dziękował w duchu wszystkim bóstwom, bo Catalina obróciła się na pięcie i pognąła do wyjścia, a on w spokoju mógł zrealizować swoją misję. Bał się, że kiedy gadał z siostrą, jego gość zmienił zdanie, ale nie – Diego wrócił i zastał Wierę w łóżku.

Tak. W jego własnym łóżu.

– Masz? – spytała beznamiętnie.

– Co? – Ledwie był w stanie coś z siebie wydobyć, ponieważ Wiera zdążyła pozbyć się ciuchów. Leżała na jego łóżku, naga jak ją Bóg stworzył.

– Jak to co? Prezerwatywy.

– Tak, mam. – Pokazał jej pudełeczko.

– Okej, zgaś światło.

– Ale... – Chciał zaprotestować, powiedzieć, że jest taka piękna, że chce podziwiać każdy centymetr jej ciała, lecz powtórzyła stanowczo:

– Zgaś to cholerne światło.

Zanim pstryknęły wyłączniki, Diego zdążył spostrzec, że rolety w oknach są zaciągnięte, co oznaczało egipskie ciemności. Trudno, pozostanie mu zmysł dotyku, dobre i to. „Może ma jakieś kompleksy? – próbował znaleźć powód. Ale jakie kompleksy mogła mieć taka piękna dziewczyna? Nie potrafił sobie ich wyobrazić. Wiera była doskonała. Idealna w każdym calu.

Niestety, Diego nie miał wielkiego doświadczenia z kobietami, to znaczy jakieś miał, zwłaszcza za młodziaka, kiedy mieszkał w Concepción, bo tam nie brakowało chętnych lasek, ale tutaj – na wyspie – rzadko trafiały się okazje do przygodnego seksu. Oczywiście takie okazje, które jemu by odpowiadały i na które mógłby sobie pozwolić. Zawahał się, czy powinien najpierw zdjąć ciuchy, a dopiero potem położyć się obok Wiercy, czy zrobić na odwrót. Ostatecznie wybrał tę pierwszą opcję, po omacku pozbył się ubrań i butów, ostrożnie położył przy Wiercy i wyciągnął rękę. Chciał ją dotknąć jak najprędzej.

– Wygodnie ci? – zapytał, czym wzbudził u niej natychmiastową reakcję: parsknęła śmiechem. – E... co robisz?

– Błagam, zamknij się wreszcie – syknęła, siadając na nim okrzakiem.

Czuł końcówki kosmyków jej włosów, łaskotały go po twarzy, drobne dłonie Wiercy ugniatały jego klatkę piersiową, a ona sama przesuwiała się po jego podbrzuszu w przód i tył. Pomyślał, że jeszcze chwila i wytryśnie, to było zbyt intensywne. Nagle uświadomił sobie z trwogą, że nie założył prezerwatywy!

– Przepraszam, muszę...

– Co znowu?

– Nie założyłem gumki. – To była naprawdę koszmarna chwila. Jeszcze nigdy nie czuł się równie skrępowany i zażenowany przy kobiecie, ale cóż, sam tego chciał, mógł jej nie zapraszać do siebie. – Poczekaj sekundę.



Udało mu się błyskawicznie odnaleźć spodnie, wyjąć pudełeczko i założyć kondom, ale trwało to nieco dłużej niż obiecał.

– No chodź.

„Nie owija w bawełnę” – pomyślał.

Było jak oczekiwał, a nawet lepiej: ciasno, mokro i gorąco. Musiał wspiąć się na wyżyny samokontroli, by nie skończyć zaraz na początku, po ledwie kilku posunięciach. Skupił się na tym, co mógł usłyszeć i poczuć, ale zachowanie Wiery nie ułatwiało mu zadania. Nie dość, że wiała się pod nim jak wąż, to głośno dyszała, stękała i generowała mnóstwo odgłosów, świadczących, że jest jej dobrze. Nawet miała śmiałość, by rozkazać, że ma ją pieprzyć mocniej i szybciej.

Nie musiała go szczególnie zachęcać, dawał radę, chociaż czuł się mocno wyczerpany, a powstrzymywanie się od wytrysku do złudzenia przypominało balansowanie na linie – jeden niewłaściwy ruch i czekał go upadek. Co jak co, ale nie chciał zostawić Wiery bez porządnego orgazmu, nie pozwalała mu na to męska duma. Chyba pierwszy raz w życiu nie wyczekiwał kobiecego spełnienia tak niecierpliwie, dopiero kiedy się upewnił, że dziewczyna naprawdę odleciała w kosmos, pomyślał o sobie.

Najwyższy czas. Mdląły mu ręce, bo wspierał się na nich przez całe zbliżenie. Nie mógł pocałować Wiery, dotknąć jej, szepnąć słówka. Dała mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy, wsparła dłonie na klatce piersiowej Diega i nie opuściła ich do końca. Finał był mocny i długi, chociaż tyle. Zmęczony do granic, stoczył się z niej i padł na wznak, ciężko dysząc. Pewnie dlatego dopiero po chwili usłyszał, że Wiera płacze.

– Coś się stało?

Obrócił na bok i dotknął ramienia Wiery, lecz ta od razu się odsunęła. Usłyszał szmer pościeli, chociaż było bardzo ciemno, mógł dostrzec, że dziewczyna owinęła się szczelnie kołdrą i odwróciła do niego tyłem.

– Czemu płaczesz? – spytał, dyskretnie zsuwając zużytą prezerwatywę. Rzucił ją na podłogę i przysunął się do kochanki, ale niewiele to dało. Nadal cicho łkała, a on nie usłyszał ani słowa odpowiedzi. – Przepraszam, nie chciałem zrobić ci krzywdy – powiedział na wszelki wypadek.

Skupił się, żeby przeanalizować każdą sekundę zbliżenia, lecz nic go nie zaniepokoiło. „Nic nie zrobiłem” – upewnił się bezgłośnie.

– Nie przepraszaj, to ja – szepnęła po dłuższej chwili.

– Ty? Nie rozumiem.

– I nie zrozumiesz.

– To mi wyjaśnij.

– A po co? To niczego nie zmieni.

– Ktoś cię skrzywdził?

– Uhm... – mruknęła.

Zrobiło mu się słabo, ale zaraz potem płuca napełniły się powietrzem, a głowa nawałem myśli i koszmarnych wyobrażeń, że jakiś pieprzony kutas zrobił krzywdę tej najcudowniejszej istocie pod słońcem.

– Ktoś cię kiedyś zgwałcił? – wychrypiał, nie mając żadnej pewności, czy w ogóle ma prawo zadać takie pytanie, czy nie wywoła ono jeszcze gorszej reakcji.

– Nie.

Powiedzieć, że zbaraniał, było sporym niedopowiedzeniem. Skoro nikt jej nie zgwałcił, co było powodem tej rozpacz?

– Nie chcesz o tym rozmawiać? – próbował załagodzić sytuację, ale wtedy Wiera wypaliła:

– On nie żyje.

„On nie żyje” – obrócił zdanie w głowie. „On, czyli jej chłopak, bo kto inny?”. Już pojął, dlaczego była taka przygnębiona i milcząca. To, że właśnie został wykorzystany jako plaster na złamane serce było bezdyskusyjne, ale na razie postanowił się tym nie przejmować.

– Dlaczego zmarł?

– Mój brat go zabił. Jeszcze coś chcesz wiedzieć? – Nagle zmieniła ton na agresywny.

Nie, od Wiery już nic nie chciał wiedzieć. Tak samo jak nie chciał być potraktowany jak przedmiot, ale na ten moment to było najmniejszym problemem. Musiał po prostu poczekać, aż jego gość postanowi opuścić apartament. „Ja pierdolę, gruba sprawa”. Leżał w łóżku z laską, której brat zamordował własnego szwagra. Chyba wolał nie znać powodów, dlaczego to zrobił. „Ciekawe, czy szef o tym wie? Pewnie tak” – gdybał.

– Czemu nic nie mówisz? – burknęła.

– Widocznie nie mam nic do powiedzenia. – Usiadł i po omacku odnalazł swoją bieliznę. Włożył bokserki, wstał, ale wtedy Wiera znowu go zaskoczyła:

– Nie odchodź. Zostań ze mną.

– Jesteś pewna?

– Tak. Zostań.

Poczuł się jak na rozdrożu, co miał teraz począć? Wrócić do niej, próbować pocieszyć, zrozumieć? A może lepiej byłoby jej powiedzieć, że powinna wyjść? Wybrał dyplomatyczne rozwiązanie:

– Późno już. Jutro muszę wcześniej wstać, dlatego... – Odchrząknął.

Zrozumiała. Poprosiła, żeby zapalił światło i zostawił ją samą. Kiedy wrócił z łazienki po Wierce nie było już śladu. Nawet łóżko posłała, a opakowanie po prezerwatywie i jego zawartość zniknęły. Musiała je zabrać ze sobą.

– Co jest z tobą, dziewczyno? – Diego przysiadł na brzegu materaca. Wprawdzie Wiera posprzątała po ich miłosnych zmaganiach, ale na poduszce zostało kilka jej długich włosów. Zebrał je i podniósł. W nikłym świetle lampki nocnej zaśniły jak złoto. – A ty jesteś kretynem, Diego – mruknął. – Kretynem i zwykłą pizdą, ot co.

\* \* \*

Przez kilka kolejnych dni starał się jej unikać, co nie było trudne, przeciwnie, gdyby chciał ją spotkać gdzieś na terenie ośrodka, zaliczyłby porażkę. Wiera znowu zabunkrowała się w swoim pokoju, a kiedy wieczorami próbował dojrzeć ją przez okna – stał na zewnątrz i obserwował je niczym żalosny Romeo – nie zauważył żadnego ruchu.

– Czy zanosisz posiłki do pokoju pani Wiery? – spytał Sofię, jedną z pokojówek, odpowiedzialną za pokoje na tym piętrze.

– Tak, zanoszę. Śniadanie, lunch, obiad i kolację.

– W porządku. – Wydał usta. – A czy ta... – zająknął się. – Czy gość zjada posiłki?

– Prawie wszystko zabieram z powrotem. Czasami pani Wiera wypije kawę, ale jedzenie zostaje.

Aż nim zatrzęśło ze złości.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – warknął.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że mam zgłaszać takie rzeczy. – Biedna dziewczyna przełknęła ślinę ze zdenerwowania. Pracowała tutaj dopiero od dwóch tygodni i zależało jej na tej robocie, bo była lekka, a Diego dobrze płacił, na dodatek dawał tygodniówki i nigdy nie spóźniał się z pensją, co wcale nie stanowiło normy na wyspie.

– To już wiesz. A tak w ogóle, to przepraszam, nie powinienem na ciebie napadać.

Diego odwrócił się na pięcie i pozostawił dziewczynę z rozdziawionymi ustami, ale nie dbał o to, co pomyśli o nim pokojówka. Wbiegł na schody i po chwili stanął przed drzwiami apartamentu Wiery. Dopiero teraz spadło na niego otrzeźwienie. Jakie miał prawo, by mówić jej, jak ma żyć? Że musi jeść, inaczej się rozchoruje? Gdy Sofia przekazała mu informację, że Wiera zostawia nietknięte posiłki, nagle uświadomił sobie, że był ślepy i głupi.

Już zrozumiał, dlaczego Wiera chciała, by zgasił światło. „Pewnie jest chuda, wystają jej żebra, wstydziła się swojego wyglądu”. Coś czytał o anoreksji, ale nie znał się na tym, był przecież właścicielem ośrodka wypoczynkowego, nie psychiatrą. Zawahał się. Wyciągnął rękę, ułożył palce, żeby zapukać do drzwi, lecz brakło mu odwagi. Pewnie stałby tak wieczność, jak ostatni dureń, i ostro się zastanawiał, czy zapukać, czy lepiej odejść, lecz usłyszał jakieś głosy na schodach przeciwpożarowych. Umknął spod drzwi apartamentu jak niepyszny.

Zajął się robotą, lecz nic mu nie wychodziło. Pomylił adresy mejlowe gości, którzy zrobili rezerwację na następny miesiąc, wysłał złe zamówienie do firmy, która dostarczała środki czystości, a na koniec oblał się kawą.

– Jesteś beznadziejny – nie miał dla siebie litości.

Zmienił spodnie, po chwili namysłu stwierdził, że ma nieświeżą koszulę, ją też zmienił i zszedł na parter. Nogi same zaniósły go do kuchni. Na blacie wielkiej wyspy jak zwykle stały już tace z przygotowaną wcześniej kolacją.

– Która jest do pokoju pani Wiery? – spytał pozornie beznamiętnie.

– Ta. – Kucharka wskazała na najmniejszą. – Zaraz ktoś ją zanieś. Sofia albo...

– Nie trzeba, sam to zrobię. – Diego zabrał tacę i bez słowa opuścił kuchnię.

Nie miał pojęcia, że za jego plecami odegrała się błyskawiczna i bezgłośna wymiana zdań między kucharką a Consuelą, przełożoną pokojówek. Obie kobiety spojrzały na siebie i porozumiewawczo się uśmiechnęły. Tutaj, w kuchni, nic się nie ukryło, żaden sekret i żadna tajemnica, nawet najbardziej chroniona.

\* \* \*

Kolejny dzień minął, a Wiera już przestała czuć, że w ogóle żyje. Tęsknota nie odpuszczała, poczucie pustki narastało. Myślała, że nieoczekiwane zdarzenie z właścicielem pensjonatu trochę ją poruszy, wyrwie z marazmu, lecz już zdążyła o nim zapomnieć, dlatego zdziwiła się, kiedy Diego wszedł do apartamentu i postawił przed nią tacę z kolacją.

– Spotkał mnie zaszczyt – skomentowała. – Czemu?

– Czemu? – Diego zerknął na fotel i spytał: – Mogę?

– Jeśli chcesz, siadaj.

– I co u ciebie?

– A co ma być? – Nawet nie drgnęła jej ręka, nie miała ochoty na jedzenie, chociaż kolacja wyglądała smacznie: pikantne kiełbaski na ciepło, sałatka, świeżo upieczone bułeczki, obsypane obficie przyprawami i miseczka z owocową salsą. – U mnie bez zmian.

– Dlaczego nie jesz? Nie jesteś głodna? – zapytał ostrożnie.

„Tu cię mam” – pomyślała z tryumfem. Już wiedziała, po co przylazł. Pewnie ktoś przekazał mu, że od kilku dni oddaje nietknięte posiłki. Dlaczego? Po prostu straciła apetyt, nic ponadto. Nie zamierzała zagłodzić się na śmierć czy wzbudzać czyjegoś zainteresowania, o buncie albo proteście nie wspominając. W końcu kogo obchodził jej los? Nikogo.

– Nie chce mi się jeść – odparła.

– Rozchorujesz się.

– Nie sędzę. – Sięgnęła po dzbanek z kawą i napełniła filiżankę. – Nic mi nie będzie, możesz być spokojny.

– Powinnaś coś zjeść – upierał się.

Podniosła wzrok na chłopaka. Od początku jej się podobał, trafił w jej gust bezsprzecznie, ale to nic nie zmieniało. Na świecie żyło mnóstwo facetów, z którymi chętnie poszłaby do łóżka: wysokich, młodych, z ładną nieprzesadną muskulaturą i męskimi rysami twarzy. To, że jego umięśnione przedramiona pokrywały gęsto ciemne włosy, a oczy zdawały się kryć jakąś mroczną tajemnicę, spełniało jej oczekiwania i kusilo, by nawiązać bliższy kontakt. Znowu poczuła mdlący ból w dole brzucha, a sutki stanęły na baczność w miękkich miseczkach biustonosza. „Daj sobie spokój z tym kołesiem, to nie ten typ” – próbowała ostudzić swoje zapędy.

Co gorsza, nie wiedzieć czemu i kiedy, zupełnie zniknęło pragnienie, by znowu się pociąć. To było łatwiejsze i mogła sama pochlastać się po nadgarstkach, nie potrzebowała drugiej osoby. Nawet zapobiegawczo zdobyła narzędzie – znalazła gwóźdź przy drewnitni, oczyściła go z rdzy i schowała w kosmetyczce. Leżał tam, zawinięty w chusteczkę higieniczną. Czuła, że ma znacznie większy problem. Potrzebowała seksu, nie nowych sznyt na rękach. Co gorsza, wczoraj w nocy niespełniona żądza tak jej dokuczyła, że Wiera rozważała wycieczkę do apartamentu Diega. Oparła się pokusie tylko dlatego, że to byłoby skrajnie żałosne.

– Możesz mnie zostawić? – spytała, pragnąc, żeby już sobie poszedł. W jego obecności, bardzo bliskiej, było jej jeszcze trudniej.

– Pójdę, ale najpierw musisz coś zjeść.

Przewróciła oczami. Znalazł się miłosierny samarytanin czy inny cudotwórca. Chciał ją uratować? No proszę, jaki bohater.

– Gdy zjem, dasz mi spokój?

– Tak. – Kiwnął głową.

Postanowiła spróbować zjeść bułkę, o kielbaskach nawet nie myślała. Gdyby po trzech dniach bez jedzenia wrzuciła na pusty żołądek smażeninę, skończyłoby się tragicznie.

– Smaczna – oceniła po chwili. Przeżuła kolejny kęs, ostatni i już.

– Gotowe. Zjadłam, możesz sobie pójść.

– Nie.

– Nie? – Uniosła brwi. „Co za uparty kretyń”. – Ale o co ci chodzi, człowieku?

– Martwię się o ciebie.

No masz.

– Niepotrzebnie, daję radę.

– Zimno ci – stwierdził.

– Trochę. – Faktycznie, jej ramiona pokrywała gęsia skórka. – Tu wiecznie jest zimno. Powoli przywykam. – Wstała i wyszła do łazienki. Kiedy wróciła, miała na sobie gruby płaszcz kąpielowy. – Lepiej?

– Czemu nie włożysz czegoś... czegoś, co jest stosowniejsze. – Wyraźnie pił do jej kusych szortów i koszulki na ramiączkach.

– Bo nie mam? – Przechyliła głowę.

– Jak to nie masz? Nie masz cieplejszych ciuchów?

– Nie, nie mam. Ani jednej bluzy, długich spodni, ciepłego dresu czy flanelowej piżamy. Chce pan zrewidować moją walizkę, panie Troskliwy? – Prychnęła. – Przyjechałam tu na wakacje. Pieprzone przymusowe wakacje, sponsorowane przez braciszka – wypłuła z siebie ostatnie słowo.

– Serio?

– Zjadłam bułkę – przypomniała mu. – Idź już.

– Musisz mieć cieplejszą odzież. – Diego nie wierzył w to, co usłyszał.

– Ale nie mam. Kasy też nie mam, ani w gotówce, ani na koncie, zresztą nawet gdybym miała, nie mam karty płatniczej. Nic nie mam prócz kupki letnich ciuchów. Nie zabierzesz mnie stąd, bo nie mam żadnych dokumentów. Nie ucieknę, nie wyjadę. Będę tutaj siedzieć, aż Niki uzna, że skończyłam czas odsiadki.

– Jezu... – jęknął Diego. Był w szoku, bo właśnie zrozumiał, chociaż częściowo, dlaczego dziewczyna była taka przygnębiona. – Mówisz prawdę? – wymuskiło mu się, a kiedy Wiera skrzywiła się z irytacji natychmiast przeprosił: – Wybacz, ale to się nie mieści w głowie.

– Co się nie mieści? Żyję, mam się dobrze, niczego mi nie brakuje. Nie przesadzaj.

– Uwięził cię tutaj. Zabrał dokumenty. No właśnie, kto je zabrał? Ten facet, który ci towarzyszył? – Przypomniał sobie osiłka eskortującego Wierę z lotniska. Gdy Diego wypełniał kartę pobytu, stał obok i bez słowa gapił się na jego ręce, a potem polazł z Wierą

do pokoju. Wtedy musiał odebrać jej paszport i pozostałe dokumenty, jeśli takowe miała. – On je zabrał?

– Tak. Borys.

– Wierzyć się nie chce – powtórzył, przeczesując bezwiednie włosy. – Czemu się na to zgodziłaś? Mogłaś powiedzieć, że zostałam w pewnym sensie ubezwłasnowolniona, pomógłbym ci.

– Miło z twojej strony, ale uwierz, z moim bratem trudno dyskutować.

– Nie bój się, coś zaradzimy. Nie może tak być, żebyś nie miała pieniędzy. To jest chore – zaskrzypiał, bo z wrażenia wyszło mu w gardle. – Najpierw musimy kupić ci ubrania, a potem... Potem coś wymyślimy – dokończył, myśląc, że jeszcze dzisiaj zadzwoni do byłego szefa i przegada z nim temat.

– Dzięki, ale... Po co to robisz, Diego? – spytała. – Liczysz na coś?

– Ja? Nie! – zaprzeczył gwałtownie.

Zapadło niezręczne milczenie. Wiera westchnęła głęboko, bo cisza aż dzwoniła w uszach.

– Przepraszam, to było niegrzeczne.

– Nic się nie stało. – Diego poczuł, że poczerwieniał. Policzki piekły go jak oblane wrzątkiem, ale za wszelką cenę starał się zachować twarz, nawet jeśli dziewczyna odkryła część prawdy. Nie mógł szczerze powiedzieć, że na nic nie liczył, bo liczył. – Może jutro?

– Co jutro?

– Pojedziemy na zakupy.

– Mogę pojechać. – Wierce było wszystko jedno. Nawet obecność Diega przestała jej przeszkadzać. – Tu w ogóle są jakieś sklepy?

– Tak, w jednym hotelu jest butik.

– Niech będzie. Nie wiem, kiedy oddam ci kasę – zastrzegła.

– Nieważne.

– Mogę odpracować. – Nagle przyszło jej do głowy, że dobrze byłoby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Może zmobilizowałaby się do życia. – Nie umiem zbyt wiele, ale mogę sprzątać. Piekę dobre ciasta – dodała.

– Pomyślimy o tym później. – Diego uśmiechnął się krzepiąco, lecz wyszedł z tego niewyraźny blady grymas.

– A o czym pomyślimy teraz?



– Teraz?

– Tak, teraz. – Wiera przełknęła ślinę. „Na co czekasz, idiotko?”, pomyślała, patrząc na Diega. Nieznośny ból brzucha ustąpił podczas rozmowy, ale teraz wrócił. „Muszę iść do lekarza. Do psychiatry albo psychologa”. Czuła, że sama nie poradzi sobie z emocjami. – Chciałabym... – na moment zamknęła oczy. Tak było łatwiej poukładać myśli. – Ciągłe chce mi się... chce mi się seksu. Chciałabym pójść z tobą do łóżka. – Była świadoma, że on teraz siedzi i patrzy na nią z potępieniem, może nawet pogardą. Łzy przypuściły atak, a w gardle urosła wielka kluska. – Chyba mam z tym problem.

– Mogę cię przytulić? – usłyszała szept chłopaka.

– Nie.

– Jeśli chcesz się kochać, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej... Hmm. Szczerze? Powiedz „tak” i... Możemy to zrobić.

Jak to kusiło, jak strasznie kusiło ją, żeby powiedzieć mu „tak”. Przez jej ciało przebiegł dreszcz, gdy pomyślała, że za chwilę dostałaby dawkę dobrze znanego narkotyku, że w jej krwi rozleje się zastrzyk dopaminy i na pewien czas zapewni jej spokój.

– Nie, bo wtedy... – Ucieła.

– Spójrz na mnie. Proszę.

Otworzyła oczy.

– Nie wiem, czy umiem ci pomóc, ale spróbuję – zadeklarował poważnie. – Na nic nie liczę, po prostu chcę ci pomóc, tak normalnie, jak człowiek człowiekowi.

– Masz dobre serce. – Wiera otarła łzę. – To rzadkość.

– Jutro pojedziemy na zakupy – odparł zmieszany komplementem.

– Dobrze.

– A potem coś wymyślimy.

## Rozdział 21

Snarski kipiał gniewem, nie taka była umowa.

Ledwie rozłączył się z byłym pracownikiem, wybrał numer Doneckiego. „Odbierz, gnoju” – pomyślał, czekając na sygnał. W końcu kliknęło po drugiej stronie i wybrzmiało suche:

– Donecki przy telefonie.

– Mamy do pogadania – zaczął obcesowo. – Co ty, człowieku, odpierdalasz?

– Miło cię słyszeć, Snarski. Co tam?

– Pytam, co z tobą? – warknął Rafał. – Co ty odwalasz z Wierą? Co to za chore akcje?

– Z Wierą? Coś z nią nie tak? – szczerze się zdziwił. – Siedzi na wyspie i odpoczywa.

– Wiem. Odpoczywa bez kasy, bez papierów, jak w pace. Na rozum ci padło? Po tym wszystkim, co dziewczyna przeszła, ty ją więzisz? – wypluł ze złością. – Ona potrzebuje spokoju, dobrej opieki, a nie kolejnej traumy.

– Otóż to. Spokój i opieka. Ma to zagwarantowane, sam mówiłeś.

– Ale nie pod przymusem! – Rafał czuł, że nie zapanuje nad sobą. Najchętniej dałby teraz Doneckiemu po mordzie, jak kiedyś. – Czemu zabrałeś jej papiery?

– Skąd wiesz? Dzwoniłeś do tego leszcza? – zainteresował się Nikita. – To ci gnojek, myślałem, że potrafi trzymać język za zębami.

– To Wiera mu poskarżyła, że nie ma pieniędzy i dokumentów.

– Domyślam się, ale ten twój smarkacz obiecał pełną dyskrecję.

– Komu? Tobie?

– No przecież, że nie tobie. Borysowi obiecał. Gnojek dostał ekstra kasę, żeby siedzieć cicho i nie lecieć na skargę do postronnych osób, a ty jesteś właśnie taką osobą, postronną. Nic ci do mojej siostry, Snarski.

– Jesteś w błędzie. Nie oczekuj, że będę patrzył spokojnie na krzywdę tej dziewczyny, dość przeżyła.

- Na własne życzenie.
- Pierdolisz od rzeczy.
- A ty dramatyzujesz jak baba. Coś jeszcze? Coś ważnego?
- Nagadała chłopakowi, że zabiłeś jej faceta.
- Idiotka.
- Powinieneś jej to nareszcie wyjaśnić.
- Nie. A ty nie wychodź przed szereg – warknął Donecki i rozłączył rozmowę.

Skoro on mógł przekroczyć wszelkie możliwe granice przyzwoitości, Rafał nie czuł się w obowiązku dochować swojego przyrzeczenia. Napisał do Diega, że chciałby pogadać z Wierą. Nie liczył, że dziewczyna się zgodzi, w końcu był dla niej tylko „przydupasem” brata, ale miał to gdzieś. Co dziwne, Diego załatwił temat. Najpierw Rafał chciał porozmawiać z nią przez telefon, ale potem uznał, że woli ją widzieć. Umówili się na Skype. Gdy zobaczył Wierę, aż go zamurowało. Siostra Nikity strasznie zeszczupiała, nie musiał widzieć, jak wyglądają jej ręce czy nogi. Wystarczyło spojrzeć na twarz: skóra pod oczami nabrała siniego odcienia, a kąciaki ust wyginały się w dół. „Cień dziewczyny” – pomyślał.

- Co u ciebie? – spytał.
- Nic nowego. – Jej ramiona, ukryte pod grubym wełnianym swetrem, nieznacznie się podniosły. – Czemu chciałeś ze mną pogadać?
- Musimy coś wyjaśnić.
- Co? – spytała beznamiętnym tonem.
- Twój brat jest... – Rafał zmełł w ustach wulgarne określenie. – Nie przepadam za nim. I ze wzajemnością. Ale... Powinnaś coś wiedzieć. Szkoda, że on sam nie zechciał ci o tym opowiedzieć. To nie Nikita zabił Brunona.
- Chrzanisz. – Wiera potrząsnęła głową. – Po co w ogóle cię słucham?
- To nie on.
- Nie wierzę ci. Gdybyś mówił prawdę, Nikita pozwoliłby mi go zobaczyć.
- Nie pozwolił, bo...
- Bo? – popędziła go Wiera.

– Coś ci powiem. Postanowiłem napisać książkę – przyznał z lekkim skrępowaniem, bo jaki był z niego pisarz? – To książka trochę o mnie i trochę o nim. O Brunonie. Zabraliśmy laptopa Brunona. Laptopa, telefon, jego dokumenty, służbową broń i tak dalej. Te rzeczy są u twojego brata, ale ja mam kopie dysków i wszystko, co było zapisane w pamięci telefonu. Bruno prowadził w nim dziennik, chociaż nie pisał codziennie. Rzadziej. Czasami przez miesiąc nic nie zanotował. Przeczytałem te zapiski.

– Pisał o mnie? – Wiera ścisnęła wargi, aż pobiełały.

– Nie. Ale zostawił nagranie na telefonie. To było niecałe pół godziny przed tym, jak tam przyjechaliśmy. Nie wysłał ci go. Myślę, że nie chciał.

– A może nie mógł? – wychrypiąła z przejęciem Wiera. – Słuchałeś tego?

– Tak. Kilka razy. To dowód, że twój brat nie miał nic wspólnego ze śmiercią Brunona. Przeciwnie, starał się go odratować, miał ze sobą apteczkę, zatamował krwawienie, podał mu nawet kroplówkę, ale było za późno. Ludzie Sorokina dorwali go przed nami. Bronił się, wszyscy zginęli, ale jemu też się oberwało. Dostał w pachwinę udową. Wykrwawił się. Przykro mi – powiedział, myśląc, że takie gadanie na odległość ma jedną cholerną wadę: nie można było przytulić tej drugiej osoby i powiedzieć, że kiedyś przestanie boleć.

– Czemu mnie tam nie zabraliście? – Załkała żałośnie. – Chciałam się pożegnać. Dotknąć go ostatni raz.

– Bruno się przygotował. Chciał zatrzeć za sobą wszelkie ślady, spalić dom, w którym mieszkaliście. Kupił benzynę. Twój brat zdecydował, że to dobry plan. Wszystko poszło z dymem. Nikita chciał oszczędzić ci tego widoku, tak myślę. Zresztą nie mieliśmy czasu, samolot już czekał. Wiesz, jak wtedy było – pił do obostrzeń obowiązujących w lecie.

– On tam został? – spytała.

– Tak. Potem podpaliliśmy budynek. Nie mogliśmy czekać, aż się spali do końca, ale uwierz, nic tam nie zostało. Widziałem zdjęcia, twój brat wysłał mi linka do artykułu w lokalnej gazecie.

– Ale nagranie zostało – wyszeptała. – Chcę go wysłuchać.

– Jesteś pewna? – Zawahał się. – Nie wystarczy moje słowo?

– Chcę tego wysłuchać. Proszę.

- Wyślę ci na mejla. Podaj adres.
- Nie rozumiesz. – Otarła rękawem policzek. – Teraz chcę.
- Dobrze. – Westchnął ciężko.

Czuł, że będzie żałował, nie ze względu na Doneckiego, jego miał gdzieś. Chodziło mu o Wierę. Nawet on z trudem panował nad emocjami, kiedy odsłuchiwał to nagranie po raz pierwszy. Co dopiero dziewczyna. Zminimalizował okno, odszukał w plikach ten konkretny i podwyższył głośność w laptopie na maksimum.

– „Nie łudzę się, że będziesz o mnie pamiętać. A jeśli nawet, że twoje wspomnienia... że będą rzeczywiste. Kiedyś prawdziwy ja zniknę. Zostanie wyobrażenie” – popłynęły pierwsze słowa.

Odwrócił wzrok, żeby pozwolić Wierce na trochę prywatności. Mógł sobie wyobrazić, co ona teraz przeżywa, ale prócz głosu Brunona, nic nie docierało do jego uszu. Nagranie się skończyło, urwane na słowie „chciałbym”, lecz dał jej jeszcze chwilę.

– Puść jeszcze raz.

Spojrzał na ekran. Wzruszenie ścisnęło mu serce. „Odmów, powiedz jej, że wystarczy” – pomyślał, ale nacisnął odtwarzanie. Starał się zdystansować, kiedy tego słuchał i patrzył na Wierę, lecz to było nierealne. Znowu wybrzmiało urwane „chciałbym”. Powstrzymał oddech, spodziewając się powtórki, ale Wiera spytała:

– Piszesz książkę?

– Próbuję – odparł, zaskoczony opanowaniem jej głosu. – Może to głupi pomysł, ale... – Wzruszył ramionami. – Nieważne. Chcę ją napisać, choćbym miał potem wszystko skasować. Piszę na komputerze – wyjaśnił.

– Mogłabym... – zawahała się. – Mogłabym ci pomóc.

– E... Chcesz to napisać ze mną? Wspólnie?

– Tak.

– Zgoda – odparł bez namysłu. – Napiszemy ją razem.

– Naprawdę się zgadzasz? – Nie uwierzyła mu. Cofnęła brodę i potrząsnęła głową. – Czemu?

– Bo czuję, że ci to pomoże.

– Dzięki, jesteś dobrym człowiekiem. Dobrym i mądrym.

– Niech ci będzie. – Mrugnął do niej. – Napiszemy to razem, ale obiecaj, że już nigdy nie powiesz, że jestem przydupasem Nikity, dobra?

## Rozdział 22

Minęło równo pół roku, odkąd się tu sprowadzili. Umowa wynajmu obejmowała dwanaście miesięcy, lecz Rafał już dawno stwierdził, że nie będą jej przedłużać. Dom był mały, ale nie to mu przeszkadzało, a nieustanny hałas, dobiegający z oddalonej zaledwie o kilometr trasy S11. Właściciel twierdził, że w budynku jest cicho, a ogród duży i przestronny. To się zgadzało, ogród mógł zapewnić nieustanne zajęcia nawet trzem osobom, w domu było cicho, ale co z tego, skoro nie dało się spokojnie wysiedzieć na zewnątrz.

Rafał żałował, że tutaj trafili na wygnanie. Musieli gdzieś mieszkać, zanim Rafał uzyska oficjalną rehabilitację ze strony wymiaru sprawiedliwości. Facet, który zastąpił Grzegorza Niżyńskiego, niejaki Waldemar Brzęczek, wyznaczył im miejsce pobytu tymczasowego. Mieli do wyboru Wrześnię, Środę Wielkopolską albo Śrem oraz peryferia tych miast. Padło na małą wioskę o niewdzięcznej nazwie Komorniki. Luizie spodobała się ta nazwa, ponoć brzmiała swojsko, jemu przeciwnie. Słowo „komornik” budziło w nim fatalne skojarzenia, ale nie on wtedy decydował.

To skarb państwa płacił za umowę najmu, tak samo było z kosztami mediów. Rafał otrzymywał niewielki zasiłek tymczasowy, a Luiza pobierała pięćset plus na Gabę. Ale nie cierpieli biedy. Na koncie Luizy zostały jeszcze pieniądze, które dostała od Rafała, gdy była w ciąży z Gabrysią, natomiast on mógł dysponować sumą odpowiadającą mniej więcej dwóm milionom złotych, ulokowaną na kilku rachunkach bankowych.

Wystarczyło na godne życie, na nowe Volvo XC90 dla Luizy oraz na trzech prawników, którzy reprezentowali Snarskiego przed sądem, a stawki mieli niehumanitarne, jak określiła to pani Kazia, gdy Luiza powiedziała mamie, ile za godzinę pracy bierze główny pełnomocnik Rafała.

– Przeczytałam! – dobiegł go donośny głos Luizy.

Jak zwykle siedział w drewnutni. Kończył się dzień, a on nadal układał drewno na opał. Już prawie skończył, zostały tylko te większe klocki, które rozłupywał na pół lub na ćwierć siekierą. Wyprostował się i otarł spocone czoło. Musiał przyznać, że kocha taką robotę: ciężką, fizyczną, wymagającą wysiłku, pozwalającą myśłom płynąć swobodnie.

– I jak? – Wbił siekierę w klocek i podszedł do Luizy.

– Nie wiem, co powiedzieć. To jest... to jest po prostu świetne.

– Serio? – Aż zaświeciły mu się oczy.

– Tak, naprawdę. – Pokiwała głową. – Świetne. Chodź już do domu, jest późno. Jutro skończysz.

– Hmm... – Spojrzał na swój warsztat pracy. Niewiele zostało, ale Luiza miała rację: jutro też miał być dzień.

Poszli do domu, razem zjedli ciepłą kolację, a potem Luiza ułożyła Gabrysię do snu, podczas gdy Rafał wziął długą kąpiel. Do tematu, czyli książki, wrócili już w sypialni. Przebrani w piżamy siedzieli na łóżku, Luiza wertowała kartki, znajdowała miejsca, które w jej ocenie trzeba poprawić, zresztą już zdążyła tu i ówdzie nanieść flamastrem swoje uwagi.

– Jezu, naprawdę super się to czytało. – Spojrzała z niekłamanym podziwem na Rafała. – Nie miałam pojęcia, że masz taki talent.

– Cóż, ja tym bardziej. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Schlebiasz mi, ale nie czuję, żeby to było coś wielkiego. – Wskazał brodą na wydruk rękopisu. Klepał to i klepał, myśląc, że Luiza przeczyta, powie mu, że lipa i każe wrzucić do kominka. Wcale by się nie zdziwił, urazy nie poczuł, bo jaki z niego pisarz? Śmiechu warte. – Fajnie, że ci się podobało, ale...

– Nie ma żadnego „ale” – nie pozwoliła mu dokończyć. – Trzeba to poprawić, w niektórych miejscach dopisać coś, żeby było jaśniej, a w innych usunąć, bo są dłużyzny.

– Dłużyzny? – Uniósł brew.

– No wiesz, masło maślane albo niepotrzebne opisy. Po co komu szczegółowy opis jak się zrzuca wagę? Wystarczy w skrócie. Ale może ja się nie znam – zastrzegła, widząc jego minę. – Na pewno pójdę z tym do kogoś, kto dobrze zna polski. Wyślę mejlem do pani Joli, naszej polonistki z Milikowa? – zastanawiała się głośno.

– Nie! – Rafał drgnął nerwowo na łóżku. – Wyśmiej mnie. To nie jest dobry pomysł.

– Przeciwnie, doskonały. Ktoś, kto się zna, musi to zobaczyć, ale pomyślimy o tym później, a teraz... – Zanurzyła nos pomiędzy kartki, żeby odnaleźć kilka fragmentów, które budziły jej wątpliwości. – Mam – mruknęła. – Powiedz, wtedy, gdy był ten wypadek, ile miałeś lat?

– Jaki wypadek?

– Gdy zginął ten taksówkarz. Ojciec Brunona.

– A... Siedemnaście. To ma jakieś znaczenie? Specjalnie nie pisałem żadnych dat ani niczego, co ułatwiłoby identyfikację. Żadnych prawdziwych nazwisk i ksywek – wyjaśnił.

– Wiem, ale napisałabym, że nie byłeś wtedy pełnoletni. Można to ująć w zawoalowany sposób.

– W jaki? – Rafał wyszczerzył zęby. Nawet nie próbował powtórzyć tego słowa.

– W inny niż bezpośredni. Na przykład: byłem wtedy nieopierzonym leszczem, miałem mleko pod nosem, byłem pryszczatym smarkaczem.

– Wypraszam sobie, nigdy nie miałem pryszczu. – Zrobił minę smerfa Ważniaka, rozbawiając Luizę, ale nie było czasu na śmiechy.

– Oj, wiesz o co mi chodzi. – Przewróciła oczami. – Poczekaj, przeczytam ci ten kawałek. Chodzi mi o moment, kiedy zrozumiałeś, że ojciec Goczy czy też Brunona nie żyje.

– Nie musisz, pamiętam, co napisałem.

– Okej, to opowiedz mi to. – Odłożyła plik kartek.

– Jeszcze raz? – Spojrzał w sufit i ciężko westchnął.

– Pierwszy raz. Nie opowiadałeś tego.

– Ale napisałem.

– Ja chcę usłyszeć. Chcę usłyszeć prawdę. To ma być prawdziwe, takie jak wtedy. – Luiza dyskretnie poprawiła swój telefon. Przed chwilą tak samo dyskretnie włączyła dyktafon, ale wolała nie informować o tym Rafała.

Czuła, że tak będzie najlepiej.

– No dobra. – Westchnął, myśląc, że życie pisarza jest cholernie ciężkie, jeśli w kółko trzeba opowiadać to samo. – To był przypadek. Jego stary po prostu znalazł się w złym miejscu i czasie. Czasami tak



bywa, sama wiesz. Pod tym klubem wiecznie stały taksówki, ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, ci, którzy wyszli z klubu, byli najebani w trzy dupy, wiadomo. No co się krzywisz? – Parsknął śmiechem, widząc jej zdegustowaną minę. – Wyszedłem na papierosa, wtedy kurzyłem. No co? Wszyscy kurzyli, taki lajf. To był dwa tysiące trzeci, ludzie jeszcze kurzyli, dopiero teraz jest taka moda, że palenie poszło do lamusa.

– Nie do końca. – Luiza pomyślała o stałych bywalcach sklepu w Milikowie. Panowie w jednej ręce trzymali butelkę z piwem, a w drugiej papierosa.

– Wtedy wszyscy kurzyli – odparł Rafał. – Zwłaszcza nieletni. Za szczeniaka inaczej się myślało. Papieros dodawał powagi. Od razu człowiek czuł się dorosły. No i męski. Poza tym jak będziemy każdy drobiazg tak omawiać, zamiast książki wyjdzie cegła – zauważył słusznie. – Wyszedłem na tego peta, stoję, kurzę i zajeżdża taksówka. To był taki stary parch, bodajże golf. Nawet na pewno. Stary, zardzewiały, aż dziwne, że w ogóle pozwolili mu tym ludzi wozić. Może dał łapówkę? A nie! – przypomniał sobie. – On jeździł na nielegalu, kupił od kogoś koguta, tę lampkę z napisem TAXI. Sprytny gość, takich się chwali. No co? – Spostrzegł kwaśną minę Luizy. Znowu zapomniał, że kiedyś była urzędnikiem. – Wtedy ludzie kombinowali, jeszcze nie było jak teraz, że nawet na Uberze musisz mieć papiery. Nieważne, koleś stanął tak na uboczu, nie przed samym wejściem do Domina.

– Domino to prawdziwa nazwa tego klubu? – spytała Luiza, bo w historii opisanej przez Rafała klub nosił nazwę Chińczyk.

– Yhy. Koleś podjechał taryfą, stanął i czekał na kogoś. Stoję, palę, nic się nie dzieje. To znaczy dzieje się, jakieś laski wyleciały z klubu, a jedna kilka metrów ode mnie pojechała do Rygi. Pamiętam, miała długie włosy, chyba sztuczne. Całkiem je sobie porzygała, mówię ci, rzygi spływały i kapały. Co znowu? – spytał, widząc jej minę. – Opowiadam, jak było, a było jak przed każdym klubem: wrzaski, hałasy, pełno samochodów, pijanych gnojków, bo tam wpuszczali każdego, gówniarzy też, nikt nie sprawdzał dowodów. Muzyka leciała, znasz taki kawałek *Nas nie dogoniat*? Taki po rusku?

– No pewnie.

– No to sobie wyobraź, że to ryczy na całą pizdę. Ups... – zreflektował się, że trochę zbyt naturalistyczna jest jego opowieść, a na pewno zbyt wulgarne określenia użył, ale miało być tak jak wtedy. Realistycznie. – Na zewnątrz ktoś zamontował głośniki, muzyka była wszędzie, w środku i na zewnątrz. Bębny pękały, jak się stało w pobliżu tych głośników. Powaga, wszędzie to czuć, we flakach, w płucach. *Nas nie dogonią...* – zaintonował, ale po cichu, żeby nie obudzić śpiącej za ścianą Gabrysi. – Ogromny hałas, zamieszanie, piski i krzyki, tabuny ludzi, i wszyscy pijani. Więc stoję i kurzę, popijam piwo, miałem butelkę jakiegoś browara, ten facet czeka w taksówce i nagle coś zaczyna się dziać. Wypada Kiełek, a za nim Rekord. To ksywki chłopaków Maniksa – wyjaśnił. – Kiełek mnie zauważył i ryczy: – Spierdalamy, zaraz będzie kocioł.

– Usłyszałeś go? Przecież był hałas.

– No właśnie nie usłyszałem, widziałem, że Kiełek coś wrzeszczy, ale nie zrozumiałem. Potem mi powiedział.

– Aha.

– Stoję i palę, nie będę marnował papierosa, miałem wtedy oszczędne podejście do życia. – Zarechotał. – Ale nawet gdybym go zrozumiał, nie było czasu na reakcję, bo zaraz na front podjechali Rusczy. Wiedzieli, kogo szukają, a Kiełek i Rekord wystawili im się jak na patelni, idioci, mogli zostać w środku. Inna rzecz, że wtedy byłaby niezła jatka. Kto się pierdoli w tańcu, gdy chce kogoś odpalić?

– Mogli zastrzelić ludzi w dyskotecę?

– Nawet na pewno ktoś by zginął. Tam była moc narodu, kilka setek, wszyscy pijani. Czujesz, jaka byłaby panika? Stratowali by się, zdeptali. Szczęście w nieszczęściu, że Kiełek i Rekord zdążyli wyjść, a Rusczy ich rozpoznali. No i się zaczęło. Tamci mieli karabinki, nasi tylko kłamki. Ja nic. – Parsknął śmiechem. – Jeszcze nie zasłużyłem na swoją, miałem tylko nóż, na dodatek co chwilę się zacinał i żeby go otworzyć, musiałem czasami wałnąć nim o coś twardego. Nieważne. Strzelanina, aż dziwne, że jakoś żaden z cywili nie ucierpiał. Wiesz, nawet te gówniary, te z laską, która wymiotowała, zdołały się uchronić. Leżały obok mnie plackiem i piszczwały jak głupie. No i ta muzyka. Łup! Łup! Łup! – Coraz bardziej się nakręcał. – Na początku wryło mnie w ziemię. Stałem jak słup soli i patrzyłem. Chłopaki skryli się za palmami. Tam przed wejściem stały wielkie

skrzynie i sztuczne palmy. Też mi ochrona – prychnął pod nosem. – Ale jakaś była, przynajmniej nie było ich widać. Ruscy seria, nasi pojedyncze strzały i wtedy wróciło mi myślenie. Padłem na glebę i pełzną do tej taryfy. – Rafał zrobił ruch, jakby zamierzał upaść na podłogę i przeczołgać się przez pokój. – Jestem na linii strzału, bo Ruscy zatrzymali wózek z boku, po przekątnej. – Wziął długopis i naprędce rozrysował uproszczony szkic sytuacyjny. – To jest wejście, tu są Ruscy, a tutaj taksówka. Przepelźłem do taryfy, otworzyłem drzwi i mówię, żeby koleś jechał. Wrzeszczę: „jedź!”, a on nic. – Rafał nagle zastopował. Dopiero teraz miało być najgorsze. – Ech, wiesz co? Zapaliłbym. – Zaśmiał się.

– Mam jechać na stację benzynową? – Luiza zażartowała, żeby nieco rozładować napięcie. Czuła, jakie emocje targają Rafałem. Wystarczyło na niego spojrzeć, na żyłkę tętniącą na skroni, na dłonie, na całą postać.

– No dobra. – Podrapał się po czubku głowy. – Nie ma co pękać. Przysunąłem się bliżej, prawie się wyprostowałem, ale wiadomo, kule świstały, a samochód to jakaś ochrona, marna bo marna, ale jednak. Mówię drugi raz: „Ruszaj, człowieku, zmywamy się stąd”, a on nic. Siedzi i gapi się przed siebie. Ma głowę opartą o boczną szybę, oczy otwarte, nawet coś jak uśmiech. Miał na sobie czarną kurtkę z ortalionu. Pewnie dlatego nie zauważyłem krwi, było ciemno. Szturchnąłem go i wtedy poczułem, że coś jest nie tak. Wsadziłem rękę, wyciągnąłem i dotknąłem go w brzuch. Wszędzie krew, nie musisz widzieć, żeby wiedzieć, że to krew. Jest śliska i lepka. Popatrzyłem w górę. Dostał w szyję. O tutaj. – Pokazał na wgłębienie tuż nad wewnętrznym końcem obojczyka. – Potem mówili, że jedną marną pestkę.

– Jeden nabój?

– Tak. Gdyby się schylił, schował łeb pod kierownicą, cokolwiek, nic by się nie stało, bo na samochodzie nie było ani jednego śladu. Tylko ten jeden strzał i po gościu. Miał lekko uchylone okno, nie zdążył zasunąć szyby, chyba też palił, czekając na pasażera. Do dzisiaj nie wiadomo, kto zadzwonił po tę taksówkę. Ale to bez znaczenia. Wtedy... – Zamilkł, żeby zebrać myśli. – Chwyciłem go za nadgarstek, pociągnąłem w dół, myślałem, że to coś da, że on się schroni. Miał otwarte oczy, gdy widzisz człowieka, który normalnie

wygląda, ma normalną twarz, patrzy na coś, myślisz, że wszystko z nim okej, że żyje – wytłumaczył. – Próbowałem wyczuć puls, ale w tym szaleństwie to było trudne. Chłopaki się ostrzeliwali, ktoś musiał wyłączyć muzykę, bo nagle zapadła cisza. Tylko strzały i nic więcej, ludzie nie krzyczeli. Może udawali martwych? To taki odruch, udajesz, że nie żyjesz. Nikt nie strzela do trupa.

– Długo to trwało?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że wieczność, że naboje nigdy się nie skończą. Siedziałem w samochodzie, trzymałem za rękę tego faceta i modliłem się. W kółko zaczynałem „Zdrowaś Mario, łaski pełna” i tyle. Resztę zapomniałem. Tylko te cztery słowa. Modliłem się, żeby ten facet przeżył, ocknął się i ruszył tą pieprzoną taksówką. I nagle wszystko ucichło, nie zarejestrowałem, kiedy Ruscy odjechali. Pamiętam tylko krzyk Rekorda. Wołał mnie: „Leszczu! Leszczu!!!”, ale nie mogłem się ruszyć. Przez chwilę pomyślałem, że też dostałem, bo nie mogłem nawet drgnąć. Rekord musiał skojarzyć fakty, zauważyć otwarte drzwi golfa. Podbiegł i znalazł mnie. Potem uciekliśmy. – Rafał pokiwał głową.

– Policji nie było?

– Przyjechali później, ja nie widziałem. Kilka dni potem już było wiadomo, że zginęła tylko jedna osoba, właśnie ten taksówkarz. Chłopaki dowiedzieli się ze swoich źródeł, że facet był imigrantem. Najpierw mówili, że z Kirgistanu, potem że z Gruzji. Różne ploty krążyły po mieście. Nawet taka, że koleś należał do którejś z grup przestępczych. Maniks zdobył wiarygodne informacje, powiedział, że to nikt ważny, żaden gangsta, zwykły człowiek, bez przeszłości i przynależności. To było na plus, bo za śmierć żołnierza przeważnie była zemsta, a tak nikomu nic się nie stało, ani Ruskim, ani naszym. Włos nam z głowy nie spadł, nie było powodu do odwetu.

– Po co oni tam przyjechali? Ci Ruscy? Chcieli was zabić?

– No właśnie nie. To była pomyłka. Potem się wyjaśniło, że mieli odpalić kogoś innego. Pomylili kluby. Głupie, no nie? Zginąć, bo jakiś kacap pomylił nazwę klubu.

– Wtedy... – Luiza sięgnęła po pled i narzuciła go na ramiona. Było jej zimno, a jednocześnie czuła, że piżama przemokła pod pachami od potu. – Nie myślałeś, żeby zrezygnować, wycofać się?

– Nie. Było za późno. Swoją drogą, psiarnia od razu nas dorwała. W tym środowisku nic się nie ukryło. Były przesłuchania, zresztą wiesz, bo czytałaś.

– Co wtedy czułeś?

– Na przesłuchaniach? Nic. Chciałem stamtąd jak najszybciej wyjść. Maniks musiał kogoś opłacić, bo szybko dali nam spokój. Nawet na dołek nie posadzili. Przyszedłem, zeznałem i do domu. Jakby to była kradzież bułki w markecie. Chłopaki mówili, że facet był koło trzydziestki. Miał rodzinę, dzieciaka. Na szczęście tylko jednego, nie całą gromadkę. Pracował na nielegalu, dlatego żadnej renty czy coś. Ktoś zaproponował zrzutkę dla wdowy, ale Maniks stanowczo zabronił. Kazał nam siedzieć cicho i zapomnieć o sprawie, zresztą nie było pewności, czyja kula trafiła gościa. Równie dobrze to mogli być Ruscy, prawie na pewno, bo nasi strzelali z innego miejsca. No, chyba że rykoszet. Ale nikt o to nie dbał. A potem za dużo się działo, żeby ktoś pamiętał i wnikał, co u rodziny jakiegoś pechowca.

– Ale ty pamiętałeś. – Luiza poprawiła brzegi pledu.

– Tego nie dało się zapomnieć. Czasami śni mi się ta noc, wszystko jest takie prawdziwe. Czuję te same emocje.

– I jak sobie z tym radzisz?

– Nijak. To siedzi tutaj. – Rafał przyłożył pięść do serca. – Masz to w sobie na zawsze. Maniks kazał nam zapomnieć, ale ja nie potrafiłem. Znalazłem tego chłopaka, co zresztą nie było jakieś skomplikowane. Wbrew pozorom Warszawa to małe miasto, wszyscy się znają, wystarczy spytać odpowiedniego człowieka. Gocza był dziwny. Spodziewałem się, że to jakiś zwyczajny smarkacz, dzieciak, który żyje sobie normalnie, chodzi do szkoły, uczy się, ma kolegów, rżnie w gałę, biega po dzielni i tak dalej. Mieszkał z matką w wynajętym mieszkaniu na Ursynowie. Chudy jak patyk, wysoki, ciemny jak Cygan. Gdy na niego popatrzyłaś, ale nie tak zwyczajnie, tylko uważniej, prosto w oczy, widziałaś ten gniew. Był jednym wielkim gniewem. Może dlatego ciągle był sam, sam szedł do szkoły i sam wracał, nie bawił się na podwórzu przed blokiem, nie grał w piłkę. Typowy samotnik.

– Poznałeś go osobiście?

– Intrygował mnie, ale różnica wieku była zbyt duża, żeby podejść i zagadać. Wtedy byłem już prawie pełnoletni, a on chodził do podstawówki. Dzieciak. Wolałem zachować dystans. Jeszcze by mnie ktoś posądził o pedofilię. – Pokręcił głową. – To dopiero lipa. Trzymałem się na uboczu, parę razy podszedłem pod szkołę, popatrzyłem, co robi. Zawsze był sam. Często czytał. Nikt do niego nie podchodził, nie rozmawiał. Zupełnie jakby go napiętnowali.

– Przez to, że miał ojca Gruzina?

– Prawdopodobnie tak. A po śmierci ojca to musiało się zaostrzyć.

– Dokuczali mu?

– Wtedy sądziłem, że nie. Jak na swój wiek, chłopak był wysoki i mimo wszystko wysportowany. Musiał sam ćwiczyć, bardzo intensywnie. Samotny wilk, czekający na okazję, by zacząć polowanie, tak o nim myślałem. Szkoda, że wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jak byłem blisko z moją przepowiednią. Żałuję, że nie podszedłem, że zabrakło mi odwagi, by zagadać. Może potrzebował wtedy wsparcia. Nawet na pewno. Matka nie wystarczyła, szkolny pedagog też nie. Gocza potrzebował ojca, którego stracił. Nie miał nikogo prócz matki, ale ona musiała pracować, żeby utrzymać siebie i dziecko. Żałuję. To wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Mogłem zostać jego przyjacielem, kimś w rodzaju starszego brata.

– Który wciągnął go w szeregi żołnierzy Maniksa? Przecież mogło się tak stać.

– Masz rację. Istniało takie zagrożenie. Bardzo prawdopodobne, że tak by się stało, ale zdecydowałem inaczej. Nie chciałem się ujawniać, dlatego pomagałem anonimowo. Czasami podrzucałem kasę w kopercie do skrzynki – wyjaśnił. – To były dość duże sumy, ale i tak nie przywróciło życia ojcu chłopaka.

– Komuś jeszcze o tym opowiedziałeś? O Goczy? O twoim prywatnym śledztwie, a potem wsparciu?

– Ta książka... to pierwszy raz. Szczerze? – Spojrzał na plik kartek.

– Myślę, że to zniszczę. Wrzucę do pieca i już. Szkoda mi tylko rozdziałów, które napisałem razem z Wierą. Są naprawdę zajebiste, zwłaszcza ten o kamieniach.

– Ale prawda kiedyś wypłynie, poza tym ludzie powinni wiedzieć.

– Tak sądzisz? Czy nie lepiej zapomnieć?

– To się nie uda. Nie zapomnisz o tym.

- Nie mam żalu do Brunona. Do Goczy. Na jego miejscu...
- Zrobiłbyś tak samo? Zemsta?
- Nie wiem. – Zamilkł, by usłyszeć, co podpowiada mu serce. – Gdybym miał dowody, ale takie stuprocentowe. I sposobność. I wiedzę, że ludzie, którzy skrzywdzili moją rodzinę nie odpowiedzieli za swój występki... Bruno miał prawo do zemsty. Oko za oko, życie za życie, ale z drugiej strony tak się nie da. Nie da się żyć tylko zemstą i nienawiścią. Bruno dotarł do protokołów z przesłuchań. Ktoś zawalił, nie zniszczył ich, zostały w archiwum, w jakiejś zakurzonej teczce. Po kolei docierał do każdego, kto brał udział w tej akcji. Rekord i Kiełek już nie żyją, Kiełek zginął dwa lata temu.
- Pisałeś. Ktoś go dorwał na jakimś osiedlu i skopał na śmierć.
- Ktoś. – Rafał nieznacznie uniósł brew.
- Masz pewność, że to Bruno? – Luiza poczuła dreszcz. – Może skłamał – piła do rozdziału stworzonego na bazie opowieści Wiery Doneckiej.
- Jestem pewien. Tylko ja się ostałem z tej grupy.
- Ale teraz już nic ci nie grozi. – Luiza starała się, by jej głos zabrzmiał pewnie, lecz daleko mu było do spokoju.
- Nie rozumiesz. Nie chodzi o strach. Nigdy nie bałem się śmierci. Może teraz, ale nie o mnie mi chodzi, a o was, o małą. Wiem, że poradziłabyś sobie, ale...
- Nie gadaj głupstw. Masz żyć. Dla mnie, dla Gaby. Rozumiesz?
- Wiem. – Przysunął się do Luizy, objął ją i mocno przytulił. – Mam dla kogo żyć. On też miał. Ojciec Goczy Nemsadze. Nikita sprawdził, jego matka żyje, mieszka w Otwocku. Nie wyszła ponownie za mąż. Z finansami kiepsko, ale stabilnie.
- Współczuję jej. – Luiza pokiwała głową. Nie знаła nikogo z tej naznaczonej tragedią rodziny, ale mogła sobie wyobrazić, co teraz przeżywa ta kobieta, najpierw pozbawiona męża, teraz jedyne dziecko. – Kiedy się dowiedziała o śmierci Goczy?
- Nie dowiedziała się. Nemsadze, a raczej Grzegorz Niżyński, bo tak się ostatnio nazywał Bruno, nadal ma status zaginionego.
- Boże. – Luiza odsunęła się, żeby spojrzeć na Rafała. – Ktoś musi jej powiedzieć. Tak nie może być, żeby żyła w niepewności. To nieludzkie. Zrób coś. – Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jakie

katusze przechodzi teraz matka Brunona. – Ktoś musi jej powiedzieć prawdę, ty albo Nikita.

– Wiem. – Rafał przełknął ślinę.

– Ona ma prawo wiedzieć. To jego matka.

– Właśnie dlatego ta książka – wychrypiał Rafał. – Chciałem ją napisać, żeby prawda wyszła na jaw. Żeby wreszcie ta kobieta poznała całą prawdę.

– Nikita o tym wie?

– Nie. Donecki sądzi, że potrzebowałem informacji, żeby się zrehabilitować. Taki zresztą był jego plan. Z oczywistych powodów nie mogłem porozmawiać z Brunonem, dlatego udostępnił mi zawartość laptopa i telefonu. Nie ma pojęcia, że opisałem całą historię. Ale mam w dupie jego zdanie. Jeśli będę chciał to opublikować, zrobię to bez względu na konsekwencje.

– I słusznie. To trzeba pokazać światu.

– Zemsta jest złym wyborem, zemsta niszczy. Niszczy wszystko, co dobre, niszczy życie, uczucia, miłość, rodzinę. Trzeba przerwać to koło – wychrypiał. – Każda matka, która straciła syna w tej wojence, każda, bez wyjątku, moja Weronika też, ma prawo do prawdy. Jesteśmy to winni tym kobietom. Ja jestem.

– Musisz to dopisać. To, co teraz powiedziałaś.

– Co? Przeceniasz moją pamięć, ale postaram się.

– Nie musisz. – Luiza wygrzebała swój telefon i pokazała ekranik Rafałowi.

– Nagrywasz nas? – spytał zaskoczony.

– Uhm. Nie gniewasz się?

– Nie. Nie potrafię się gniewać na ciebie. Zbyt mocno cię kocham.

– Ja też cię kocham. Jesteś dobrym człowiekiem. – Poglaskała Rafała po policzku. – Masz dobre serce.

– A Bruno? Dla mnie ten facet jest sprzecznością. Nie potrafię jednoznacznie go ocenić.

– Chyba nie mamy prawa go oceniać – powiedziała Luiza. – Nie wiem, jak bym się zachowała na jego miejscu. Wszystko, co zrobił...

– Nie dokończyła, bo Rafał sięgnął po jej komórkę i przerwał nagrywanie. – Dlaczego wyłączyłeś dyktafon?

– Ten laptop, to istna skarbnica wiedzy. Gdybym wszystko to opublikował... – Rafał pokręcił głową. – Byłoby niezłe piekielko.



Bruno bezustannie zbierał kwity na policję. Czego tam nie było: utajnianie wyników sekcji zwłok i ekspertyz balistycznych. Bywało, że jedna ekspertyza miała trzy różne warianty, w zależności od potrzeby, to samo wyniki autopsji. Zwłoki znikwały z prosektorium, a prokurator nie widział problemu, że zostały nielegalnie skremowane.

– Nie rozumiem.

– Gdy spalisz ciało przed pochówkiem, nikt nie może dokonać ekshumacji i ponownego zbadania zwłok.

– No tak.

– Ogółem, totalny bajzel. Gdybym to wszystko przedstawił, poleciałyby głowy. I słusznie, bo należy się łajdakom, ale przy okazji dostałoby się niewinnym ludziom.

Luiza podniosła kartkę, na której widniał tytuł powieści Rafała.

– Dziewiąty kamień. – Przeczytała. – Świetnie to wymyśliłeś.

– Akurat tytuł to nie mój pomysł – przyznał skromnie. – Wierka go wymyśliła.

– To ona jest dziewiątym kamieniem?

– Tak.

– Bruno miał go w kieszeni – przypomniała sobie Luiza. – Potem ty go zabrałeś. No właśnie, co się z nim stało? Nigdy nie pokazałeś mi tego kamienia.

– Już go nie mam, wysłałem Wierce. Kiedy opowiedziała mi historię z plaży, pomyślałem, że musi go mieć. Byłem pewien, że to właśnie ten dziewiąty kamień. I że przyniesie jej szczęście.

## Rozdział 23

*Dwa lata później...*

Milików się budził, wiosenne słońce przygrzewało coraz mocniej, koguty piał, pierwsze pszczoły wyruszały z uli, żeby odwiedzić forsycje obsypane żółtym deszczem płatków, jabłonie upiękzone bielą niczym strojne panny młode, tulipany oraz szafirki, wszystko, co zdobiło ogródki, sady i wioskowe skwery.

Luiza poczuła, że zaraz coś w niej pęknie, a ona sama wybuchnie płaczem albo udusi się ze wzruszenia. Spojrzała na Rafała, siedział obok i chyba tak samo jak ona, napawał się ciszą i pięknem tego jakże wytęsknionego miejsca. Wiedziała, że Rafał kochał swoje rancho na Isla Mocha, lecz jego serce zostało tutaj, była pewna. Wystarczyło zaobserwować wczorajsze powitanie z rodzicami, to właśnie Rafał okazał – czy tego chciał, czy nie – że powrót do Milikowa, znaczył dla niego o wiele więcej niż dla Luizy.

Rozpłakał się. Jej ukochany wielkolud, twardziel nad twardziele, rozkleił się zupełnie jak dzieciak. Do tego stopnia, że ze wstydu uciekł, bąknął pod nosem: „przepraszam” i wypadł na podwórko. Gdy wrócił, raz jeszcze poprosił o wybaczenie: „musiałem się pozbierać” – powiedział, ale to było zbędne, przecież wszyscy zrozumieli.

Ich tułaczka się skończyła. Rafał został w pełni zrehabilitowany, bez mała trzyletnie postępowanie sądowo-administracyjne zamknięte, a pokaźne odszkodowanie zasądzone. Rafał zamierzał przekazać tę sumę matce Brunona. Kobieta wyjechała z kraju, nie znał jej miejsca zamieszkania, ale Donecki miał z nią kontakt. Rafał nie potrzebował pieniędzy od państwa, nie przyjąłby ich nawet, jeśli miałyby klepać biedę. Ta ostatnia mu nie groziła. Rok temu wydał swoją powieść – z wiadomych względów Wiera nie zezwoliła, by podał jej nazwisko jako współtwórczyni, a przed miesiącem firma Netflix kupiła prawa do ekranizacji bestsellera *Dziewiąty kamień*.

Byli bogaci. On, Luiza i mała Gaba.

– Powiesz, dokąd jedziemy? – spytał ochrypłym tonem.

– Zaraz zobaczysz. – Luiza uśmiechnęła się z tryumfem.

Planowała, że zasłoni mu oczy, ale szybko uznała, że to dziecinada. I tak by się zorientował, bo ileż dzieliło dom Mleczków od gospodarstwa po starych Pawlikach? Co zabawne, nadal wszyscy tak mówili na dom i ogród, który przed kilku laty kupił nikomu wtedy nie znany Rafał Snarski. Gdy skręciła w uliczkę prowadzącą pod bramę wjazdową, Rafałem aż wzdrygnęło.

– Czekaj – powiedział.

– Niby na co? – zaśmiała się.

Właśnie podjechali pod bramę, ku wielkiemu zdumieniu Rafała Luiza wyjęła coś z kieszeni żakietu, a po chwili rozsuwane skrzydło odsłoniło pięknie wybrukowany podjazd.

– Luiza? – Rafał spojrzał na nią. Jego oczy ledwie tkwiły na swoim miejscu. – Co ty wyprawiasz? Czemu tu... czemu ty... – jąkał się.

Był w szoku. Wtedy, gdy ustanowiono, że został świadkiem koronnym i zanim uporzeczono jego śmierć oraz pogrzeb, spisał testament. Przekazał wówczas cały swój nieruchomy majątek ciotce Krystynie Minis, a ona spieniężyła tę nieruchomość. Tyle dowiedział się od Brunona. Zakładał, że to prawda, nigdy nie wnikał i nie sprawdzał, czy ciotka faktycznie pozbyła się gospodarki, co więc tutaj robili i dlaczego Luiza dysponowała pilotem do bramy? Mało tego, wysiadła i krzyknęła:

– No chodź! Musimy pooglądać nasz dom!

„Nasz dom?”. Poczuł, że mu słabo. Na miękkich nogach opuścił samochód i dał się podprowadzić pod drzwi. One też nie wyglądały znajomo. To znaczy znajomo, ale jednak inaczej niż kiedyś. Ktoś je odnowił, wyczyścił do gołego drewna i odmalował na ciemnozielony, butelkowy kolor. Tak samo zostały pomalowane nisze okienne, a zamiast starych skrzynkowych okien, pyszniły się nowe kwatery, też zielone.

– Cudnie to wygląda, prawda? – Luiza patrzyła to na dom, to na Rafała, ale ten nadal nie odzyskał głosu.

– Ale jak? – wykrztusił. – Ten dom...

– Twoja ciotka wystawiła dom na sprzedaż. I ktoś go kupił, wyobraź sobie, że to była pewna laska, niektórzy mówili do niej

„Cukiereczku”. – Luiza zachichotała, przypominawszy sobie przebieg ich pierwszego spotkania *face to face*.

Ileż się wydarzyło od tego czasu...

– Kupiłeś go? – Rafał pomyślał, że jeszcze chwila i znowu będzie musiał się oddalić, żeby na osobności dojść do siebie. „Trzymaj się, frajerze! Chłopaki nie płaczą!” – obsztorcował się w duchu, lecz niewiele to pomogło.

– Owszem, kupiłam. Pewien koleś, ten od „Cukiereczka” – sprecyzowała z przekąsem – podarował mi mnóstwo pieniędzy, zdecydowanie za dużo, żebym mogła wydać taką sumę. Zresztą cena okazała się symboliczna. Widocznie twoja ciotka nie chciała zarobić na sprzedaży, ale zastrzegła, że w każde święta, które będziemy tutaj obchodzić, musimy ją zaprosić. Przystałam na ten warunek. – Jej usta sięgały od ucha do ucha.

– Wejdziemy? – spytał, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Zaraz, najpierw musisz coś zobaczyć.

Pociągnęła Rafała za sobą. Już z oddali widział kolejną niespodziankę: pięć kolorowych uli pyszniło się w słońcu jasnymi pastelowymi barwami. „To się nie dzieje naprawdę” – pomyślał, przełykając ślinę, ale nie miał racji – ule były prawdziwe, pszczoły też, wszystko wokół niego: pięknie odnowiony dom z krwistoczerwoną dachówką, wybrukowany podjazd, nowe nasadzenia, czyli moc kwiatów, o które zadbała pani Kazia, która przez ostatnie dwa lata opiekowała się tym ogrodem jak własnym. Rodzice Luizy postanowili, że zmienią stare gospodarstwo w istne чудо i wyszło im to koncertowo, jak mawiał Bolek. Zresztą on też szykował dom Luizki, jak wszyscy pracownicy pana Mleczki.

– I co powiesz? – spytała z nadzieją Luiza.

Z nadzieją, że Rafał w końcu coś z siebie wydusi. Na razie czuła lekkie rozczarowanie, bo Rafał nie okazał dotychczas entuzjazmu, przeciwnie, wyglądał jak człowiek, który ma ochotę zniknąć stąd jak najprędzej. Nagle przyszła jej do głowy myśl, która nią wstrząsnęła: „a jeśli on chciał o wszystkim zapomnieć?”. Strwożyła się, bo przecież z tym miejscem też wiązały się dramatyczne wspomnienia, to tutaj Rafał był zmuszony więzić Barskiego, tutaj został postrzelony i aresztowany, ale najpierw stracił swoją pasiekę.

– Jezu... – jęknęła, przeświadczona, że właśnie przypomniła mu te straszne wydarzenia, zamiast postarać się, żeby na zawsze o wszystkim zapomniał. – Przepraszam, nie pomyślałam.

– Przepraszasz? – Natychmiast ocknął się ze stuporu, w który popadł, patrząc na pszczoły kręcące się wokół nich. Ciche brzęczenie skrzydełek było dlań najpiękniejszą melodią jaką słyszał. – Za co? – Zwrócił się do Luizy i spojrzał w jej oczy. – Za co?

– Może... Ja nie wiem, czy tego chciałeś. – Wyraźnie pomarkotniała, bo najwidoczniej niespodzianka okazała się niewypałem.

– Tego? – Wskazał brodą na ule. – A może tego? – Machnął ręką w stronę budynku, ledwie widocznego zza welonu kwiatów starych jabłoni.

– Powiedz... – Luiza rzadko traciła rezon, lecz dzisiaj właśnie tak się stało. – Chciałam, żebyś... żebyśmy tutaj, my razem, ty i ja, i Gaba... – „i jeszcze ktoś”, dodała w duchu, bo do tej pory nie zdążyła się pochwalić, że znowu spodziewa się dziecka. – Że będziemy tutaj mieszkać, ale... Jeśli nie chcesz, mogę sprzedać ten dom. – Zmusiła się, żeby wzruszyć ramionami.

– Sprzedać? – Na twarzy Rafała odmalowało się niewyobrażalne szczęście, takie, które rozsadza serce, wypełnia każdy skrawek ciała, każdą najmniejszą komórkę i strzęp duszy. – Posłuchaj... – Przełknął ślinę. – Nie marzyłem o takiej chwili. Nie umiem mówić jak poeta, ale... – Odchrząknął. – Ja pierdolę, zaraz tu... No kurwa mać. – Zamilkł, by po sekundzie ryknąć śmiechem, takim, że ule podskoczyły, a kwiaty pobliskiej jabłoni naprędce stuliły płatki.

Rżał, chichotał, ocierał łzy z kącików oczu, nie mógł zaczerpnąć powietrza, tak się chichrał.

– Czyli co? Cieszysz się czy nie? – Luiza wzięła się pod boki.

Miała dość tych wszystkich stresów, a ten głupek, zamiast od razu powiedzieć, że jest okej, że mu się podoba i będą tutaj mieszkać, najpierw lał za nią jak zombie, a teraz śmiał się niczym student po lufce marychy.

– Tu jest pięknie! – ryknął, dopadłszy do niej. Porwał Luizę w ramiona i podniósł wysoko, okręcił z nią młynka tyle razy, że w końcu zawróciło mu się w głowie i upadli. W ostatniej chwili zdołał pociągnąć Luizę na siebie, żeby nie potłukła sobie tyłka. – Tu

jest pięknie, super, zajebiście! Słyszysz? Zajebiście, Cukiereczku – wydyszał.

– Głupek – fuknęła, udając, że jest na niego zła.

– Jestem głupkiem, masz rację. – Obrócił Luizę na trawę i zawisł nad nią na wyprostowanych ramionach. – Zaraz mnie rozwali ze szczęścia. Co mam jeszcze powiedzieć? Dzięki. – Pocałował ją w policzek. – Dzięki. – Zrobił to samo w drugi. – Jesteś niesamowita. Ty, twoi rodzice, ciotka Kryśka. Nie wiem, co powiedzieć – wychrypiał przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

– Powiedz, że chcesz zobaczyć naszą sypialnię. – Luiza kilka razy uniosła i opuściła brwi.

– Łał, czyżby pojawił się mój bardzo niegrzeczny Cukiereczek? – Potarł podbrzuszem o jej uda.

– Panie Snarski, znowu nie złożył pan deklaracji o sortowaniu odpadów – mruknęła, powodując w bokserkach Rafała natychmiastowe poruszenie.

– A niech cię... – Wyszczерzył zęby. – Masz klucze do tej chałupy?

– Wypraszam sobie, to porządny i nowoczesny dom jednorodzinny, nie żadna chałupa.

– Kocham cię. Kocham cię! Kocham!!!

\* \* \*

Jak ona nienawidziła rodzinnych spędów. Tutaj, na Isla Mocha, Wiera była bezpieczna. Mimo kiepskiej pogody i uciążliwości niektórych gości ośrodka, polubiła to miejsce. Nikt ich nie odwiedzał, a oni lecieli na stary kontynent nie częściej niż raz w roku. Odwiedzali wtedy hurtem rodzinę Wiery: Nikitę w Szwajcarii, bo nadal tam mieszkał, Kostka i mamę w Moskwie, a Katię na Krymie. Wracła z tych wyjazdów wykończona nerwowo. Gdy miesiąc temu Catalina przypomniła Wierce, że Diego wkrótce będzie obchodził trzydziestkę, pojęła, że tym razem się nie wywinie. Siostra Diega postanowiła urządzić bratu wielkie przyjęcie-niespodziankę. Kazała Wierce zaprosić swoją najbliższą rodzinę, a ona sama miała ogarnąć ich rodzinę oraz panią Luizę, Rafała i Gabrysię.

Szkoda, że tylko matka Wiery i Kostia odmówili przyjazdu.

Niestety, reszta gości dopisała, nawet Luiza mimo ciąży.

– Gdzie są dzieci? – Wiera wpadła do salonu i spojrzała na Diega.

– Nie denerwuj się. – Podeszedł do niej i chwycił za dłonie. Były lodowate. – Katarina je zabrała. Są u niej, w apartamencie.

– Ale po co? Jest noc, przecież już dawno zasnęli. Upadłeś na głowę?

– Nie upadłem, po prostu... – Przystąpił z nogi na nogę. – Katia powiedziała, że... To znaczy, ja pomyślałem, że...

– Że co? – Wyrwała dłonie z uścisku Diega i skrzyżowała ręce na piersiach. – Diego... – warknęła. Z jej zwężonych oczu tryskała wściekłość. – Natychmiast idź po chłopców, słyszysz?

– Nie.

– To ja po nich pójde. Co za kretyński pomysł?!

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, ale Diego zdołał ją schwytać. Dopadł do niej w korytarzu i zamknął w mocnym uścisku. Uważał przy tym, by nie zrobić jej krzywdy. Była taka szczupła, krucha i wiotka, dopiero teraz to poczuł. Zazwyczaj nosiła zbyt luźne, obszerne ciuchy, które maskowały jej ciało, a raczej kości powleczone skórą. „Jesteś idiotą” – opieprzył się w duchu. Już dawno powinien był zareagować, zainteresować się, czemu Wiera go unika, ucieka przed nim i całym światem. Ignorował to, dopiero dzisiaj, kiedy Katia zasugerowała mu, że coś się dzieje z młodą, jak mówiła o Wierce, dotarło do niego, że czas na poważną rozmowę.

A było tak dobrze...

– Puść – warknęła Wiera.

– Nie. Nie puszczę cię.

– Co ty odwalasz, Diego? – syknęła z irytacją. – Zostaw mnie.

– Porozmawiajmy.

– O czym? – Czuł, że sztywnieje. Zupełnie, jakby złapał ją na gorącym uczynku.

– O nas. O tobie, o mnie.

– Nie ma o czym gadać.

– Przeciwnie, jest.

Nie opierała się, kiedy zaciągnął ją z powrotem do salonu. Posadził na kanapie, a sam usiadł na fotelu naprzeciwko. Chwilę się pogapił, gdy nagle zmienił zdanie. Kazał jej wstać i razem poszli do sypialni. Do ICH sypialni. Wiera nie była tu wieki, całe tygodnie.

W zasadzie ostatni raz, kiedy zagościła w tym pokoju, miał miejsce tydzień po jej powrocie z prywatnej kliniki położniczej w Concepción. Rozejrzała się wokół. Nie żeby była ciekawa, jak teraz wygląda ich małżeńska sypialnia. Ot tak, zrobiła to odruchowo. Nic się nie zmieniło – te same zasłony, ciężkie, kremowe, ten sam dywan, pościel, narzuty – wszystko czyste i pachnące. Codziennie ktoś tutaj sprzątał, któraś z dziewczyn pracujących w ośrodku.

Uświadomiła sobie, że wszyscy wiedzą. Wiedzą, że ona i Diego nie śpiąją razem, że Wiera wyniosła się do pokoju dzieci, a Diego został tu sam.

– Chodź. – Wyciągnął rękę.

Siedział na brzegu łóżka i patrzył na nią.

Mogła uciec.

Mogła też zostać. I stawić czoła temu, co niszczyło ją od środka.

– Dzięki – powiedział, kiedy usiadła obok niego, zakutana po szyję w grubą puszystą podomkę, która zakrywała nawet stopy.

W kominku buchał ogień, a mimo to marzła. Skrzyżowała ręce i wsunęła dłonie pod pachy. Jeśli Diego myślał, że podda się bez walki, był w błędzie. Nie rozsypie się, nie rozklei, jeszcze miała odrobinę siły, by... No właśnie. Nie potrafiła jasno określić, przed czym się broniła.

– Pogadajmy – powiedział. – Spójrz na mnie, proszę.

Posłusznie obróciła głowę. Jeszcze ciągle widziała w nim tego mężczyznę, który trzy lata temu wyciągnął do niej pomocną dłoń. W którym się zakochała, ale nigdy mu o tym nie powiedziała. Nigdy przenigdy. Miał to samo ciepłe spojrzenie i delikatny, trochę figlarny uśmiech, jak na początku. Wiedziała, że w lewym policzku Diega tworzy się dołeczek, kiedy był czymś mocno rozbawiony, a gdy się czymś martwi, często przeczesuje włosy.

Jak teraz.

– Czemu... Czemu mnie odtrącasz? – wychrypiał. Znowu wyciągnął rękę, chciał ją dotknąć, ale od razu się odsunęła.

– Nie odtrącam cię – odparła. – Po prostu jestem zmęczona.

– Czym? Chłopcy już dawno przesypiają całe noce, w dzień pomaga ci Catalina, zajmuje się dziećmi. Ja też. Staram się jak mogę, by spędzać z nimi, z wami – poprawił się – jak najwięcej czasu. Uczę się rosyjskiego, żebyś czuła się tutaj jak u siebie.



– Wiem, Diego. Widzę to i doceniam. – Jej słowa zabrzmiały sztucznie, ale na nic więcej nie było ją stać.

– Więc nie chodzi o zmęczenie?

– Daj mi spokój. – Uciekła wzrokiem. Skuliła się, jakby dźwigała na ramionach ciężar całego świata i wbiła wzrok w dywanik przed łóżkiem. – Nie mogę być zmęczona?

– Możesz.

– Nie dotykaj mnie – warknęła, czując jego dłoń na udzie.

– Dlaczego? Co ci zrobiłem? – Jego głos drżał, a jej właśnie pękło serce.

Ściany pokoju napierały na nią, brakowało jej powietrza, czuła się jak w potrzasku. „Nie wytrzymam tego” – pomyślała, zamykając oczy. Nie reagowała, kiedy Diego przysunął się jeszcze bliżej, kiedy delikatnie, ale stanowczo pchnął ją na łóżko, kiedy rozsunał zamek podomki, a jego dłoń musnęła jej pierś, skrytą pod cienką tkaniną koszuli nocnej. Już nie karmiła chłopców piersią, ale nie potrafiła rozstać się z tą koszulą: bezkształtnym workiem z białej bawełny, zadrukowanej w małe stokrotki. Była niczym pancerz – zbroja dla kobiety, która zapomniała o swojej kobiecości, wyparła się jej z chwilą, kiedy stała się matką.

Rozpinał guziki, pstrykały cicho, prawie niesłyszalnie, lecz wiedziała, że wkrótce Diego całkiem ją obnaży, a wtedy zobaczy, co z niej zostało: jej wiotki biust, a raczej jego resztki, sporą bliznę, bo lekarze z kliniki najpierw przecięli brzuch Wiery tuż nad łonem, a potem poprawili drugim cięciem, które ciągnęło się prawie do pępka. Inaczej nie mogli, tak mówili. Zszyli ją, a doktor Poblete, jej osobisty ginekolog, powiedział, że za pół roku trzeba zrobić plastykę blizny. Nawet się umówiła, zarezerwowała termin zabiegu, ale potem go odwołała.

– Zaspokoileś ciekawość? – spytała cicho. – Jeśli tak, powiedz.

Dłoń Diega zniknęła. Przestał ją dotykać. Chyba usiadł, bo poczuła lekkie ugięcie materaca po lewej stronie.

– Czemu tak mówisz? Czemu mnie ranisz? Nie zrobiłem ci nic złego, a jeśli tak się stało, nie chciałem. No powiedz coś! – krzyknął.

Otworzyła oczy. Sięgnęła rękami po poły podomki, ale Diego natychmiast to zauważył, naskoczył na nią, zakleszczył jej dłonie,

wbił w materac, a sam zawisł nad jej twarzą, wsparty na wyprostowanych ramionach.

– Pragnę cię. Czemu tego nie widzisz? – Przełknął ślinę.

– To nieprawda. Nie można pragnąć... – Ucięła. – Diego, nie widzisz, jak ja wyglądam?

– Widzę.

– Ech... – Przygryzła wargę. Odwróciła głowę, nie mogąc znieść wyrazu jego twarzy. Zawodu i rozczarowania, które się na niej odmalowały. – Przykro mi, ale... Nas już nie ma, Diego. I chyba nigdy nie było.

– Chodzi o niego? To przez tę pieprzoną książkę!

– Daj. Mi. Spokój – wyszczała.

Nieoczekiwanie spełnił jej prośbę: zerwał się z łóżka, ale zanim wypadł z sypialni, zdążył narzucić na Wierę gruby pled, który leżał na oparciu fotela. Wrócił szybko, w ręce trzymał książkę, parę dni temu podpisał ją jego szef, Rafał Snarski. Facet, którego wielbił, szanował i hołubił, ale teraz, w tym momencie, nienawidził Rafała, nienawidził go za tę książkę, to przez nią Wiera przypomniała sobie o tamtym człowieku. Otworzył kominek, wrzucił książkę w płomień i zatrzasnął z powrotem szklane drzwiczki.

Wyprostował się. Dopiero teraz zauważył, że Wiera zdążyła usiąść. Otuliła się pledem, siedziała i patrzyła na niego. W jej oczach odbijał się ogień, trawiący gwałtownie książkę, usta drżały, jakby hamowała w nich stek obelg, oskarżeń i słów najgorszej nienawiści, jaką może czuć człowiek.

– Nie ma. Nie ma książki. Nie ma tego człowieka. On umarł – wyrzucał z siebie krótkie zdania, które w ciszy sypialni brzmiały jak strzały z pistoletu. – On nie żyje! Ale ja żyję! Ja, Diego! Ja jestem! – wykrzyczał. – Jestem obok ciebie. Zawsze. – Opadł z sił. Zbliżył się, przyklęknął przed nią na podwiniętych stopach. – Co mam zrobić? Czemu mnie nie chcesz? Czemu nigdy nie chciałaś? Bo nie chciałaś, prawda? Byłem tylko plastrem, lekiem, żeby zapomnieć. Ale nieskutecznym.

Pierwszy raz zobaczyła, że Diego się poddał. Jej serce zatrzepotało w piersi, a w gardle urosła wielka twarda gęła.

– Ty nic nie rozumiesz... – wychrypiła z trudem. – Ja już dawno... Nie. Inaczej. – Pokręciła głową. – Nie zapomniałam

Brunona. Nigdy nie zapomnę. Ta książka... – Musnęła wzrokiem szybę kominka. Płomień już przygasł, a z papieru pozostał tylko popiół. – Nigdy jej nie czytałeś, dlatego...

– Mylisz się – przerwał jej. – Przeczytałem. Już dawno to przeczytałem.

– Kiedy?

– Dawno. Zaraz na początku.

– Przecież ty nie znasz polskiego.

– Wrzuciłem plik do tłumacza.

– Grzebałeś w moim laptopie? – spytała, ale na oburzenie brakło jej siły.

– Grzebałem. Wiem, jestem idiotą, to nic nie dało. Było jeszcze gorzej. I jest. – Zrobił ruch, jakby chciał wstać i odejść, dlatego dotknęła jego ramienia.

– Poczekaj. Pozwól mi zebrać myśli – poprosiła. – Masz rację, Diego. Ta książka wszystko przywołała, ale... Boże, czemu to takie trudne? – Pochyliła głowę, zakryła twarz dłońmi i przez chwilę trwała w bezruchu, by poukładać to całe szaleństwo myśli i uczuć, przetaczające się przez jej duszę. – Kocham cię, Diego – szepnęła. Zrobiła to bardzo cicho, niemalże tak cicho, że nie miała pewności, czy to już wypowiedziane słowa, czy zaledwie myśl. – Kocham cię – powtórzyła. – Zakochałam się w tobie tak szybko, że byłam na siebie zła. Zła, bo nie powinnam tak łatwo się zakochiwać to w jednym facecie, to w drugim. – Pokręciła nieznacznie głową. – Bruno umarł, a ja zamiast go opłakiwać przez długie lata, zakochałam się w tobie. – Z jej ust wydobył się nieokreślony dźwięk, ni to śmiech, ni ciche szczyknięcie. – Ale mam usprawiedliwienie. Niewiele trzeba, żeby cię pokochać. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego poznałam w życiu. I pewnie najlepszym, jakiego nosi ziemia. Już rozumiesz? – Oderwała dłonie od twarzy i podniosła ją, żeby spojrzeć na Diega.

Nadal klęczał przed nią, nie uronił nawet słówka, które padło z jej ust. Jego oczy zdawały się zapomnieć o mruganiu, a serce spowolniło swój rytm.

– Nie zasługuję na ciebie. Bardziej pasowałam do niego. Do Brunona. Oboje byliśmy... Byliśmy tacy sami. Nienormalni, niedobrzy, zepsuci i popieprzeni. Oboje skrzywdzeni przez los, przez ludzi, zli, podli i pełni gniewu. Nieważne. – Machnęła ręką. – To bez

znaczenia. Bruno odszedł, a ja... – Przełknęła ślinę. – Poznałam ciebie. Za co? Czym sobie zasłużyłam na takiego człowieka, jakim jesteś? No powiedz. Powiedz, czy mam prawo być z tobą?

Milczał. Oddałaby życie za jego myśli, ale to było niemożliwe. Odrzuciła pled, wstała, zrzuciła z siebie podomkę i koszulę. Jej ciało dygotało, nie potrafiła nad tym zapanować, ale musiała doprowadzić do końca tę ostatnią rozmowę między nimi. „Nie wolno ci płakać! Nie możesz się rozpłakać!” – przygryzła mocno kącik ust. Rozluźniła szczęki dopiero wtedy, gdy poczuła słoność krwi na języku.

– Jesteś ideałem, Diego. A ja? – spytała, podniósł głowę, by móc spojrzeć w jej oczy. – Widzisz? Kiedyś miałam chociaż to: ładne ciało. Nie byłam idealna, miałam sznyty na nadgarstkach, ale ogólnie było nieźle. Teraz tego już nie ma. Nic nie zostało. Rozsypałam się na miliony małych kawałeczków. Pewnie można je pozbierać, może nawet kiedyś to robiłam. Wiele razy je zbierałam, ale teraz już nie da się ich posklejać. Diego, zasługujesz na prawdziwą miłość, na kogoś innego, na... – Zabrakło jej słów.

– Jesteś piękna, czemu tego nie dostrzegasz? Co z tobą? – Jego głos załamywał się przy każdym słowie.

– Mówiłam, jestem popieprzona. Beznadziejna. Popsuta. Tracisz czas, Diego.

Czuła się głupio, kiedy stała nad nim, górowała, a on klęczał. Usiadła, skrępowanie wróciło, chciała się zakryć, ale wtedy poczuła dłonie Diega na swoich kolanach. Zamarła w bezruchu, zrozumiałwszy, co teraz będzie. Nie spuszczał z niej oka, wbił spojrzenie prosto w jej oczy. Jego dłonie rozchyliły jej nogi, rozszerzyły, aż poczuła na łonie ciepły podmuch powietrza.

– Pragnę cię. Chcę się z tobą kochać. Teraz, kiedy wiem... Kiedy wiem, że...

– Nie wiesz, co robisz. – Wsparła dłonie na jego torsie, żeby go powstrzymać, ale je zabrał.

– Doskonale wiem. Wiem, czego chcę. Chcę ciebie.

Znowu opadła na materac, pozwoliła mu na wszystko: na pokrywanie pocałunkami skóry jej ud – centymetr po centymetrze, na dotyk, na pieszczoty, na każdą z nich. Gdy wsunął swój język do jej ciepłego, opływającego sokami wnętrza, wygięła się w łuk, uniosła biodra, chcąc ostatecznie się przekonać, że nic z tego nie

będzie. Wstydziła się swojego ciała, śladów po ciąży, rozstępów na brzuchu, wiotkiej skóry na piersiach i szpecącej dół brzucha, grubej, sfałdowanej blizny. Ale wbrew temu wszystkiemu, wbrew jej myślom, obrzydzeniu, które czuła, gdy patrzyła na swoje odbicie w wielkim łazienkowym lustrze... Jej niedoskonałe ciało za nic miało te myśli i uczucia. Zupełnie, jakby odcięło się od mózgu.

– Jeszcze... – wyszeptała, kiedy Diego na moment przerwał pieszczotę.

– Powiedz, że tego chcesz.

– Chcę. Chcę, żebyś mnie dotykał.

Doprowadził ją na szczyt językiem i palcami, umiejętnie masującymi jej złaknioną dotyku waginę. Fale spełnienia nadpływały i znikały, ciągle i ciągle. To trwało bardzo długo, zupełnie jakby chciała nadrobić straty, przeżyć za jednym razem wszystkie utracone orgazmy. Gdy się skończyło, wróciła pełna świadomość, spostrzegła, że Diego leży tuż obok. Chciała go zobaczyć, dotknąć całą sobą.

– Zdejmij to. – Skubnęła za przód T-shirtu.

Usiadł, pozbył się koszulki i spodni, a po krótkim wahaniu, ściągnął również bokserki. Cóż, nie miała wątpliwości, że jej mąż jest gotów na seks. Nie powiedział ani słowa, kiedy ułożył się obok niej. Jego ręka opadła na jej biodro, a palce przywarły do pośladka.

– Diego... – Zabrakło jej słów, by wyrazić, co teraz czuła. Jego zapach ją oszołomił. Tęskniła za tym, za ciepłą, korzenną wonią, za jedyną i niepowtarzalną kompozycją, którą pachniała skóra Diega. – Jesteś taki piękny. – Nieśmiało dotknęła jego klatki piersiowej, nieskażonej najmniejszym tatuażem, gładkiej, napiętej na niezbyt wydatnych, ale twardych jak skała mięśniach. Przysunęła się bliżej, wtuliła twarz w jego tors i zaciągnęła się zapachem. – Nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam. Gdy znowu przeczytałam tę historię, nie przypominałam sobie Brunona. Przypominałam sobie tę straszną tęsknotę, ale to za tobą tęskniłam mocniej. O wiele mocniej.

– Nie musisz za mną tęsknić, jestem tutaj – odparł.

– Wiem.

## Epilog

Łódź motorowa ślizgała się po falach, płynęli tak szybko, że niemożnością było utrzymać na głowie czapkę. Zdjął ją i schował do kieszeni wiatrówki.

– Co, Nemrod? – zagadał do psa.

Biszkoptowy labrador uniósł łeb, spojrział na swego pana i z powrotem popadł w drzemkę. Najwyraźniej jemu nie przeszkadzał pęd motorówki i głośny ryk silnika Yamaha. Wiatr szarpał kosmatymi uszami Nemroda, wodny aerozol pokrywał wszystko wokół mgiełką, a oni pędzili przed siebie.

– Halo! – krzyknął, bo zbliżali się do Buchillon. – Stop! Zatrzymaj maszynę!

Wczoraj jeszcze raz dokładnie przeanalizował mapę. Otworzył zdjęcia satelitarne Google i zapoznawał się z okolicą. Nie było wątpliwości, jeszcze chwila i dotrą na miejsce. Rejs trwał krótko, bo odległość między Buchillon a Morges, gdzie nocował od kilku dni w niezbyt drogim hotelu Fleur du Lac, była niewielka, raptem osiem kilometrów lądem, jeszcze mniej wodą.

Sternik zmniejszył gaz, ryk silnika złagodniał i zmienił się w cichy, głęboki pomruk. Wstał z wąskiej ławki, kiedy łódź prawie się zatrzymała. Sunęli, pchani siłą rozpędu, silnik pracował na wolnych obrotach, nie zakłócając już swoim rykiem śpiewu mew. Pojawiły się szybko, zainteresowane, czemu łódź zatrzymuje się na środku jeziora.

Wsparł się pośladkami o oparcie kanapy przed sobą i podniósł do oczu lornetkę. Żałował, że nie zainwestował w lepszy sprzęt. Może nie w takie drogie cacko jak kanadyjskie lornetki termowizyjne marki GSCI, bo te kosztowały krocie, ale w coś, co łączyło dobrą jakość i umiarkowaną cenę. Obraz skakał, rozmazywał się i pływał przed oczami. Westchnął z irytacją, poprawił ustawienia i wtedy...

Zobaczył ją.

Siedziała na końcu małego molo, a dokładnie na ostatnim, najniżej usytuowanym podejściu. Schodziło się na nie po schodach, najpierw z poziomego gruntu na pierwszy podest, potem dziesięć stopni i znów, aż do trzeciego, wystającego zaledwie dwadzieścia centymetrów nad lustrem wody.

Miała na sobie białą sukienkę na ramiączkach, włosy spięła w kucyk, jej zanurzone w wodzie nogi ugiwały się i prostowały, tworząc wokół przenikające się okręgi. „Wiera. Moja Wiera. To ty?” – przesłał jej bezgłośny komunikat, lecz ona go nie słyszała. Nie mogła zareagować, a w coś takiego jak pojednanie dusz czy telepatię nigdy nie wierzył. Był na to zbyt pragmatyczny. Dla Wiery stał się martwy, umarł i nic nie mogło tego zmienić. Nie odrywał wzroku od mglistej kobiecej sylwetki. Gdy łodzią zakołysało, balansował, żeby utrzymać równowagę, ale jego oczy wlepione były tylko w nią.

Stał i patrzył. Czuł, że stąpa po cienkim lodzie: wystarczyło polecieć sternikowi, by uruchomił silnik i podpłynął w tamtą stronę. Byliby na miejscu w dwie minuty, nie więcej. Tylko tyle dzieliło go od Wiery. Pieprzone dwie minuty, sto dwadzieścia sekund, sto uderzeń złamanego serca. Oderwał od oczu lornetkę i obrócił się w stronę sternika. Mężczyzna zauważył jego ruch, uśmiechnął się i spytał po angielsku, czy płyną dalej.

– Nie – odparł. – Jeszcze chwila.

Chciał jeszcze trochę być blisko niej. Myśleć, że ma ją na wyciągnięcie ręki, że gdyby chciał, mógłby wziąć ją w ramiona szybciej, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich pięciu lat. Że w ogóle mógł to teraz zrobić. Znowu przyłożył lornetkę do oczu i wtedy zauważył, że coś się zmieniło. Ona patrzyła na niego. Przestała majtać nogami, kręgi wokół kolan zniknęły. Zrobiła daszek z dłoni i patrzyła w ich stronę, widział to wyraźnie. Zastygł w bezruchu. Chyba nawet jego serce chwilowo ucichło.

– Wiera... – szepnął. – Tęsknię za tobą.

Nie spuszczała z niego wzroku, to trwało i trwało, jak w stopklatce. Myślał, że tak zostanie na zawsze, oboje zawieszeni między czymś a czymś, jawą a snem, marzeniem a prawdą. Nagle się ruszyła, drgnęła. Jakby chciała do niego pomachać. Wstała i dopiero wtedy dostrzegł, że spodziewa się dziecka. Wiatr oblepił sukienkę na wydatnym brzuchu, łopotiała jak żagiel, biała i czysta.

Chociaż to było niemożliwe, czuł jej zapach, słyszał bicie jej serca, wiedział, że patrzy na niego i wie. Wie, że to on. To trwało kilka sekund, lecz zupełnie wystarczyło, żeby posłać do diabła wszystko, co wypracował przez ostatnie pięć lat. To zniknęło. Zniknęło tak samo jak słowa, które wymówił, obietnice, które złożył, rozsądek, którym się kierował.

– Paul... – zwrócił się do sternika.

Chciał tam płynąć. Już. W tym momencie. Ale wtedy na szczycie najwyższego podestu ktoś się pojawił. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna zbiegł po schodach, dopadł do Wierę i mocno ją chwycił. Coś mówił, ona pokręciła głową, chyba się zaśmiała, bo przez moment odchyliła głowę, a jej długie włosy rozsypały się na wietrze. Objął ją i ruszyli w kierunku schodów. Wiera też go objęła, jasna skóra ręki kontrastowała z granatem T-shirtu. Oddalali się. Pokonali schody i weszli na drugi podest, a wtedy Wiera się odwróciła.

Mógł pomachać.

Czuł, że dałby jej dowód, pewność, że to on, lecz jego ręka ważyła tonę.

– Paul, wracamy – powiedział, opuszczając lornetkę.

Usiadł na ławce i nachylił się nad Nemrodem. Pies zastrzygł uszami, uniósł łeb i spojrzał w oczy swojego pana. Ciekawe, czy rozumiał, co oznacza ich niespotykana szklistość i krople czegoś, co spływało po jego policzkach. Pewnie nie rozumiał, chciał sprawdzić w czym rzecz, wysunął więc język i polizał.

Dotarli do Morges w niecałe dziesięć minut. Zaczumowali blisko hotelu, wysiedli, Paul otrzymał swoją zapłatę, a on i pies ruszyli w stronę bulwaru. Zaraz przy brzegu biegł deptak imienia Igora Strawińskiego. Ktoś postawił wzdłuż ścieżki drewniane ławki, na jednej z nich siedziała Naira, już z oddali ją widział. Znowu miała na sobie swoją ulubioną sukienkę: czarną, z jedwabiu, pozbawioną wszelkich kolorowych akcentów, ale wyjątkowo piękną i podkreślającą figurę. Obok stały dwie walizki: jego była granatowa, a Nairy szara.

Podszedł i usiadł obok kobiety. Milczała, co zresztą było dla niej typowe. W końcu to on odezwał się pierwszy:

– Mogłaś poczekać w hotelu.

– Tu ładniej.



Miała rację, okolica była wyjątkowo piękna. Spojrzał na Nemroda, pies ciężko dyszał, bo o tej porze dnia słońce wisiało prosto nad ich głowami, a lekki wiatr od jeziora prawie ustał.

– Nie spytasz, gdzie byłem?

– Mam spytać? – Popatrzyła na niego. Tyle razy widział to spojrzenie, ale nigdy nie odgadł, co się w nim kryło. – Gdzie byłeś?

– Popłynąłem coś zobaczyć.

– Co takiego?

– Szczęście – odpowiedział po dłuższej chwili.

– Ach tak. – Spuściła głowę. Jej dłoń odnalazła jego, wsunęła się pod spód, zmusiła go, żeby otulił ją swoją dłonią. – Musiałeś popłynąć, żeby zobaczyć szczęście?

– Tak.

– Ale wróciłeś do mnie.

– Wróciłem – odparł. – Obiecałem, że wrócę...

---

<sup>1</sup> B. Schulz, *Sanatorium Pod Klepsydrą*, [w:] *Bruno Schulz. Proza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 132.

<sup>2</sup> Tamże, s. 138.

<sup>3</sup> Drań! (ros.)